

Douglas Arthur, Howden Smith

Złoto z Porto Bello

tłumaczył Józef Birkenmajer

Krajowa Agencja Wydawnicza
Rzeszów 1991

ISBN 83-03-03315-8

przepisała Marianna Żydek

Do R.L.S. (Robert Louis Stevenson, autor "Wyspy Skarbów", osiadł w 1890 r. na jednej z wysp archipelagu Samoa, gdzie po czteroletnim pobycie zmarł i został pochowany na najwyższym wzgórzu wyspy. Ludność tubylcza nazywała go "Tusitala", czyli "Składacz Opowieści".)

Tusitalo, co z piersią zimną i nieczułą
Leżysz "pod niebios wielką, gwiazdzistą kopułą"
Hen tam, na wzgórzu Samoim...
Nie myśl, że me bajędy, niezdarne, najlichsze,
Mogą dotrzymać placu przy gromowym wicherze
Geniuszu i sztuki twojej!
Ja żegluję kupiecką, niepozorną barką,
Ty lecisz nad obłoki, jak skowronek, szparko.
O, wybacz śmiałości mojej!
Gdy spotkamy się kiedyś na marzeń wyżnie,
Powiem, czemu nam w myślach i dawniej, i ninie
John Silver, jak żywy, stoi.
I cała ta hałastrą, plugawą, ponurą,
Coście niegdyś z Hawkinsem ją znali, a która
Znów w świecie hula i broi...

A.D. Howden Smith

I
Tajemnica mego ojca

Bawiłem właśnie w kantorze, rozmawiając z Piotrem Corlaerem, głównym naszym dostawcą futer (przybył on właśnie tego dnia rzeką z krainy Irokezów), gdy z ulicy wpadł nasz pacholik, Darby.

- Przyjechał statek pocztowy z Bristolu, panie Robercie! - zawołał. - A przy tym, paniczku, przewoźnicy powiadali, że nadjechał jakiś okręt

korsarski.

Pamiętam, że roześmiałem się z tej trwogi widniejącej pospołu z radością na jego licach. Było to chłopaczysko niezdarne, prawdziwy błotołaz (przez wisko nadawane chłopom irlandzkim - przyp. tłum.), a kupiliśmy go z ostatniego czambułu kajdaniarzy, jaki zawitał w nasze brzegi. Mówił z irlandzkim akcentem, gwara, która stawała się rubaszniejsza, gdy był podniecony.

- Co się tyczy statku, to ci wierzę, Darby - odrzekłem. - Ale musisz mi pokazać korsarzy.

Piotr Corlaer, jak to miał w zwyczaju, zarechotał pogodnym a hucznym śmiechem, a baniasty brzuch począł mu się trząść pod łowieckim kaftanem z kozłej skóry, całkiem niby jakaś potworna bryła galarety.

- Ja (niem. - tak), ja, pokaż nam te pirati - zaszydził.

Na to Darby uniósł się iście irlandzką zapalczywością, która doskonale zgadzała się z ognistorudą barwą jego skołtunionych włosów.

- Chciałbym być piratem i dostać cię w ręce, ty fasko masła! - rozjuszył się. - Ręczę, że stanąbyś na belce (mowa tutaj o sposobie zabijania jeńców przez korsarzy: zawiązywano im oczy i kazano iść po belce zawieszanej nad burtą. aż wpadali w morze - przyp. tłum.).

Piotr ociężale wy dobył z pochwy nóż myśliwski, złapał Darby'ego za płomienne kudły i mimo że ów się wrywał, zaczął wykonywać takie ruchy, jakby go chciał oskalpować.

- Jeszeli mam stanąć na deska, to ci najpierw zedrę czupryna, ja - oznajmił.

- Nie próbowałbyś, gdybym był dorosły - fuknął Darby.

- Musiałbyś mieć tшы razy większy wzrost, szeby mnie pokonać, Darby - odrzekł Piotr spokojnie. - Lepiej poproś pana Ormeroda, szeby ci pozwolił iść ze mną do kraju Irokezów. Zrobilibyśmy z ciebie myśliwca, ja! To lepiej, niż być korsaszem.

Darby zamyślił się rysując końcem buta koło na podłodze.

- Nie! - oświadczył na koniec. - Wolę być korsarzem. Nie znam się wcale na waszym lesie, ale morze... o, to ci życie dla mnie! To pewna, że korsarz zakosztuje więcej podróży i przygód aniżeli łowca, który nie walczy z nikim więcej, jak tylko z czerwonoskórymi i dziką zwierzyną. Nie, nie, panie Piotrze, ja się wybieram do piratów; mniejsza o to, jak rychło to nastąpi.

- Długo jeszcze poczekaasz, Darby! - odezwałem się. - Czy wykonałeś zlecenia, jakie ci dał mój ojciec?

- Wszystkie co do jednego.

- Doskonale! Wobec tego udaj się do komory, masz tam rozgatunkować skóry przyniesione przez Piotra. Nawet korsarz winien pracować.

Chłopak, patrzył spode łba, wymknął się z izby, ja zaś zwróciłem się do Piotra.

- Ojciec zechce pewno dowiedzieć się o poczcie, którą przywieziono - powiedziałem. - Czy chcesz iść ze mną do gubernatora? Rada przyboczna pewnie niebawem się rozejdzie, bo posiedzenie trwa od południa.

Piotr dźwignął i wyprostował swe ogromne cielsko. Zdumiałem się, jak zawsze po dłuższej niebytności tego człowieka, patrząc na jego rozmiary. Temu, kto go nie znał, wydawał się istną faską masła, jak przezwał go Darby. Ten widział w nim tylko kupę łojowatych, mięsistych kłębów, kadłub, podobny do baryły z wieprzowiną, oraz tłustą, opasłą, gładką gębę, na

której drobne, ledwo zaznaczone rysy sprzeczały się pocieszenie z całą jego tuszą. Małe oczki dobroduszenie przeblyskiwały spomiędzy zasłaniających je zwałów tłuszczu. Nos, maluchny przyszczepek, ledwie widniał nad ustami, które i mała dziecina mogłaby uznać za swoje.

Ale pod warstwami tego sadła kryły się mięśnie z kowanej stali, on sam zaś umiał się zdobyć na lamparcią zwinność. Na pograniczu nie było człowieka, który wszedłszy mu w drogę, nawet gdy ów był bezbronny, zdołałby mu się wymknąć.

- Ja - rzekł po prostu - i-ciemy.

Postawił muszkiet w kącie i wyjął rożek z prochem tudzież worek z kulami, a ja tymczasem włożyłem kapelusz i płaszcz, gdyż powietrze było jeszcze mroźne, a ziemia przyprószone śniegiem. Weszliśmy na ulicę Perłową i podążyliśmy na zachód, ku placowi Hanowerskiemu; na samym końcu tego placu zdybałem ojca wraz z gubernatorem Clintonem i wicegubernatorem Coldenem.

Ciepło mi się w sercu zrobiło, gdy zobaczyłem, jak ci panowie, oraz jeszcze kilku innych, wsłuchiwali się z uwagą w jego słowa. Dawniej, w czasie zamieszek roku 1745, nie brakło takich, którzy rzucali nań oszczerstwa, ponieważ wiadano, iż w młodości był jakobitą (jakobitami nazywano stronników wygnanego króla Jakuba Stuarta; o walce ich z whigami (stronnikami Jerzego Hanowerskiego) pisze R. L. Stevenson w powieści "Porwany za młodu" - przyp. tłum.), lecz przyjaciele ojca okazali się możniejsi od wrogów, przeto z radością myślę, że miał niemały mir u swych zwierzchników, którzy utrzymywali Nowy Jork w wierności względem króla Jerzego, choć wielu parło do tego, byśmy los swój narazili dla pretendenta.

Spostrzegłem mnie nadchodzącego z Piotrem i jał ruchem ręki przyzywać nas ku sobie. W tejże jednak chwili na wschodniej połaci bulwaru powstał jakiś niezwykle rwetes i ukazała się gromadka ludzi otaczających szpakowatego, rumianego wiarusa, którego błękitny kubrak, poplamiony wodą morską, jak również chwiejny chód świadczyły wyraźnie o zawodzie żeglarskim. Posłyszałem wyraźnie jego chrapliwy głos huczący głośno po całym bulwarze:

- Przemknąłem się zwinawszy topzagle... (Topzagieli (topsel) - najwyższy trójkątny żagiel pomiędzy szczytem masztu a gaflem - drągiem wspartym ukośnie o maszt) na własne oczy, a jakże!... a kiedy przybyłem do portu, nie zastałem tam ani jednego okrętu królewskiego...

Mój ojciec przerwał mu:

- Co się stało, kapitanie Farraday? Czy mówisz, że cię ścigano? Myślałem, że jesteśmy w pokoju z całym światem.

Kapitan Farraday rozepchnął słuchaczy, którzy towarzyszyli mu dotychczas, i powlókł się na przelaj przez plac, rycząc w odpowiedzi takim głosem, iż sprzedawcy postawali w drzwiach swych sklepów, a niewiasty wytknęły głowy na piętrach:

- Ścigano?! Tak, byłem ścigany, panie Ormerod, przez... takiego raka... najnikczemniejszego z rozbójników morskich, jacy tylko urągają władzy króla jegomości na...

Tu spostrzegłem, kto stoi koło mego ojca. Zdjął kapelusz i ukłonił się nisko, z szacunkiem.

- Sługa waszej wysokości! Cześć wam, panie Colden! Ale nie cofnę ani słowa z tego, com powiedział, mimo że nie zauważyłem, kto stoi koło mnie i słyszy to wszystko. Ba, więcej by jeszcze należało powiedzieć, o wiele więcej! Ładna historia, jeżeli te łotry pojawiają się tu, na północy, w

naszych portach!

Piotr Corlaer i ja przyłączyliśmy się do gromadki kupców stojących koło gubernatora, inni zaś ciekawscy podkradali się tak blisko, jak tylko im pozwalała własna śmiałość.

- Ale, moim zdaniem, trudno temu dać wiarę, kapitanie - odezwał się gubernator Clinton dość łaskawie. - Piraci? W tej szerokości geograficznej? Nie byliśmy napastowani od dłuższego czasu przez takich ptaszków.

Kapitan Farraday pokiwał głową z uporem.

- Wszystko to aż nadto prawdziwe, ręczę waszej wysokości, a odkąd mamy pokój, nie byliśmy też napastowani przez francuskich flibustierów (flibustierowie - najemni korsarze w służbie jakiegoś państwa, zwani też kaprami. Od państwa, które ich najmowało, dostawali glejt, czyli patent upoważniający ich do rozbijania, brania w niewolę i rabowania okrętów nieprzyjacielskich - przyp. tłum.). Ale nadejdzie czas, że wybuchnie znów wojna z Francuzami, a wtedy statki kaperskie będą plądrowały cały Ocean Atlantycki, zarówno na północy, jak i południu. A jednocześnie proszę was, miłośnicy panie, byście pamiętali, że piratów nigdy u nas nie braknie; a do tego są to zmyślne bestie, bo jeśli się przekonają, że ich rzemiosłu nie wiedzie się w jednej okolicy, natychmiast przenoszą się gdzie indziej. Pierwszą zaś wieścią o nich będzie utrata kilkunastu okrętów oraz jakiś dość szczęśliwy marynarz, który - jak ja - zdołał się im wymknąć.

- Może masz słusność - przystał gubernator. - Opowiedz nam coś więcej o swych przygodach. Czy widziałeś, który statek cię ścigał?

- Czy widziałem? Naturalnie, zem widział, i to diabelnie blisko, jaśnie wielmożny panie! Nadjechał dwa dni temu z wiatrem południowo-wschodnim; od razu po górnych żaglach poznałem w nim fregatę (żaglowiec o trzech masztach rejowych; pierwowzór krążownika).

- Fregatę? - zdziwił się pan Colden. - Był aż tak wielki?

- Tak, panie mój i łaskawco! A jeżeli znam się cokolwiek na linach i żaglach, był to nie inny statek, lecz ten sam "Król Jakub", który w roku 1743 ścigał mnie przez trzy dni bez przerwy, gdy wracałem do domu z Indii Zachodnich.

- To będzie chyba statek tego draba, co to go zowią kapitanem Rip-Rapem - przemówił mój ojciec, a głos miał taki jakiś dziwny, że coś mnie tknęło, by przyjrzeć mu się dokładnie.

Było rzeczą widoczną, że starał się zapanować nad jakimś silnym wzruszeniem, ale jedyną tego oznaką na jego twarzy była lekka surowość wyrazu, tak iż nikt inny nie zwrócił na to uwagi. Natomiast ja byłem tym wielce zdumiony, zwłaszcza że ojciec był człowiekiem o stalowych nerwach, a choć tam podobno w młodszych latach zakosztował niemało osobliwych przygód, to jednak obecnie, o ile mi było wiadomo, nic go nie łączyło z morzem.

- Masz pan rację, panie Ormerod - odrzekł kapitan Farraday - od czasu zaś, gdy umarł Morgan, nie było gorszego zbója na świecie. Jeden z mych marynarzy, który został przezeń schwytyany na Jamajce przed dwudziestu laty, opisuje go jako człowieka o tak wytwornej odzieży i manierach, iż nie powstydziliby się ich nawet firecyk londyński. Niech nas Bóg ma w swojej opiece! A przy tym jest, jak zawsze, człowiekiem wyjętym spod prawa i jakobitą, o czym świadczy miano jego okrętu.

- Słyszałem, że zazwyczaj żeglują w towarzystwie - nadmienił mój ojciec.

- On działa na spółkę z Johnem Flintem, który jest nie mniejszym łotrem,

choć bardziej szorstkim w obejściu; tak powiadają ci nieszczęśliwcy, którzy weszli mu w drogę. Flint pływa na "Koniu Morskim", wielkim okręcie plymouckim, który jechał do Smyrny, zanim wpadł w jego ręce. Obaj tworzą z sobą doskonałą parę.

- Czyście słyszeli, mości panowie, jak to oni zatopili okręt portugalski płynący z Madery, choć nie mieli innego powodu, jak samą tylko żądę niszczenia? Tak, oni to uczynili. Mają też dość kul armatnich, by posiepać parę okrętów królewskich, ale zazwyczaj przed nimi mają się na baczności. Korsarzy portugalskich, francuskich, hiszpańskich i berberyjskich to oni napadają, ale nigdy nie strzelają do ludzi Jego Królewskiej Mości. Czemu to tak? Nie umiem tego objaśnić, powiem tylko, że nie płynie to bynajmniej z braku odwagi. Pewno wiedzą, że gdyby to uczynili, lordowie admiralicji, których mało obchodzi niedola nas, biednych kupców (wyłączam zawsze osobę waszej ekscelencji), daliby się nakłonić do wysłania przeciwko nim floty zbrojnych fregat.

Kapitan Farraday zatrzymał się, by nabrać tchu, gubernator Clinton pochwyił tę sposobność i zagadnął go z uśmiechem:

- Nazwaliście swego prześladowcę kapitanem Rip-Rapem. Cóż to za nazwisko? Kupiec wzruszył ramionami.

- Nikt nie wie, łaskawy panie. Jest to w każdym razie jedyne nazwisko, jakie nosi. Słyszałem, że lat temu... będzie ze dwadzieścia lub więcej... zatrzymał statek pocztowy wracający do domu, a gdy wywołał kapitana na pokład, przede wszystkim zapytał, czy wśród jego towarzyszków nie ma kto rip-rapu - bo zdaje się, że ma szczególne zamiłowanie do tego gatunku tabaki. Teraz zaś, jak mi opowiadano, właśnie jego podwładni dają mu to przezwisko, bo nawet oni nie wiedzą na pewno, jakie imię nadano mu przy urodzeniu. Mówiono, że jest to szlachcic prześladowany za swe przekonania polityczne, ale to może być zarówno prawdą, jak i łgarstwem. Ja wiem tylko tyle, że zapędził mnie już niemal w kozi róg, jednakowoż "Anna" popędziła co sił w piętach i opuściwszy topzagle, dziś o świcie zwiłała mu przed nosa. Kiedym zaś zawinął do przystani, dowiedziałem się, że nie ma w niej ani jednego królewskiego okrętu, by mógł ruszyć w pościg.

- Tak - skinął głową gubernator - fregata "Tetys" odjechała przed tygodniem z ważnymi listami do kraju. Jednakże wyprawię gońca do Bostonu, gdzie kwateruje komandor Burrage, i nakażę mu, by nie tracąc czasu ruszył na morze. Pochwalam twoje uczucia, kapitanie Farraday, bo nie ma wątpliwości, że znosić się tego nie godzi, by takim hultajom, jak Rip-Rap i Flint, pozwalano bezczelnie drwić z rządów Jego Królewskiej Mości. Nie powątpiewaj, że nasz zacny komandor da im za to tęgą nauczkę.

- Muszę jednak powątpiewać, jaśnie wielmożny panie! - odparł kapitan Farraday z krnąbrną uporczywością. - Gońca do Bostonu, tak pan mówi? Hm! To zajmie dwa lub trzy dni czasu. Jeden dzień na przygotowania do żeglugi. Dwa dni, a może i trzy, by odpłynąć na południe. Oho! łaskawi panowie, za tydzień to Rip-Rap i Flint zdążą wykonać wszystkie swe zbrodnicze zamiary - i szukaj wiatru w polu.

- Być może, być może! - rzekł gubernator lekko zniecierpliwiony. - Ale nic lepszego uczynić nie mogę.

To rzekłszy oddalił się wraz z wicegubernatorem Coldenem i resztą obecnych, jedynie mój ojciec jeszcze się ociągał.

- Czy masz dla mnie listy, kapitanie Farraday? - zagadnął.

- Tak, a jakże, łaskawy panie... od pana Allena, waszego pełnomocnika w Londynie. Właśnie wybierałem się, by je wam doręczyć. Przywiozłem też spory zapas toporów, noży, paciorków, naczyń, krzesiwek i innych towarów na wasz rachunek.

- Odbiorę listy z twych rąk i oszczędzę ci tym samym spaceru na ulicę Perłową, kapitanie - odparł mój ojciec. - Mój syn Robert, który oto tu stoi, odwiedzi cię jutro na pokładzie i wyda zarządzenia co do przewózki waszego ładunku.

- Nie będę się sprzeciwiał takim słowom - odparł skwapliwie kapitan Farraday wyławiając z kieszeni pod połą surduta paczkę owiniętą jedwabiem.

- To dla was, panie Ormerod. Teraz pójdę sobie do szynkowni "Pod Jerzym", by przekąsić nieco lądowej strawy i wychylić kufel grzanego piwa.

Ojciec przez chwilę obracał w rękach pakiecik.

- Czy jesteś przekonany, że ścigał cię kapitan Rip-Rap? - zagadnął nagle.

- Przysięgłbym na jego topżagiel! - odpowiedział Farraday poufale. -

Zważcie sami, łaskawy panie: zrazu, gdy go ujrzałem, byłem pewny, że to okręt floty królewskiej, więc podjechałem ku niemu, aż zwrócił się do mnie całą długością. Wtedy zobaczyłem, że nie miał wywieszanej bandery, a ponadto w jego zachowaniu było coś takiego, czego nawet nazwać nie potrafię, dosyć, że wzbudził we mnie podejrzenie. Podciągnąłem więc banderę - on jednak nie wywieszał swojej. Wypaliłem z działa - on na to zaczął pędzić na mnie, ja zaś czmychnąłem rozwinawszy wszystkie żagle... tak, aż drewna trzeszczały. Poznałem bowiem, że on nie ma dobrych zamiarów, że to Rip-Rap. Jak wspomniałem poprzednio, gonił on mnie raz w roku czterdziestym trzecim, a Jenkinsa pojmał wraz z załogą "Cyntii" z Southampton, gdzie w drodze z Jamajki zaskoczyła ich śnieżycą. Flint chciał wtedy utopić całą załogę, ale Rip-Rap, chłodny jak zawsze, wyraził się, że nie należy zabijać bez potrzeby, więc wsadzono ich do łodzi i wypuszczono na wolność. Zresztą na "rejestrze", oprócz Rip-Rapa, nie pozostał już nikt, kto by żeglował na wielkim okręcie wyglądającym na królewską fregatę: "Koń Morski", należący do Flinta, jest wielkim okrętem i ciężko uzbrojonym, ale nie ma żagli tak szerokich jak "Król Jakub". Jenkins powiada, że on jest Francuzem, i trzeba przyznać, że okręt jego jest tak piękny, jak to budować umieją Francuzi.

Mój ojciec czynił daremne wysiłki, by przerwać ten potop gadulstwa, ale nareszcie udało mu się wtrącić:

- Sądziłem, że kapitan Rip-Rap znikł w Indiach Zachodnich w czasie ubiegłej wojny.

Kapitan Farraday wzruszył ramionami.

- Podobno. Na owych morzach było za wiele krążowników obu stron walczących, by mogło mu się to podobać. Ale teraz wie, że mamy znów czasy, pokoju, a gdy narody zawrą pokój - żniwo zbierają piraci. Możecie mi wierzyć, panie Ormerod.

- Nie można temu zaprzeczyć - zgodził się ojciec. - Dziękuję ci, kapitanie. Bądź łaskaw odwiedzić mnie, gdy będziesz miał wolny czas, a jeżeli mogę ci być w czym użyteczny, to jestem do usług.

Kapitan Farraday powlókł się chwiejnym krokiem w stronę gospody, a za nim, na pięty mu następując, ruszyła cała hałastrą gapiów ulicznych.

Uśmiechałem się w duchu, myśląc o mocnym napitku, jakim go częstować będą w zamian za jego opowieść. Nie zanosilo się na to, by miał być trzeźwy przez całą dobę.

Ojciec z roztargnieniem skinął głową Piotrowi, który przez czas rozmowy stał nieporuszony, a jego tłusta, zaspana twarz nie wyrażała najmniejszego wzruszenia.

- To mi się nie podoba! - rzekł, jakby sam do siebie.

Piotr rzucił nań bystre spojrzenie, ale nie powiedział słowa.

- Czy stało się coś złego? - zapytałem.

Ojciec spojrział na mnie kwaśno, a potem wpatrzył się kędyś w dachy domów, jak to miał we zwyczaju, niby chcąc sięgnąć wzrokiem w przyszłość.

- Nie... tak... nie wiem... - i urwał nagle. - Piotrze, cieszę się, że jesteś tutaj - dodał po chwili.

- Ja - rzekł Piotr bezmyślnie.

- Jeszcze, ojciec, nie zajrzał do listów - przypomniałem.

- Nie miałem sposobności - odparł. - Jest tu coś... ale ulica nie jest miejscem właściwym na takie rozmowy. Chodź do domu, mój chłopcze, chodź do domu!

Szliśmy raźnie po ziemi zasypanej śniegiem; ludzie, których mijaliśmy, kłaniali się mojemu ojcu lub sięgali do czapek, gdyż był on ważną osobistością w Nowym Jorku, ustępującą znaczeniem tylko gubernatorowi; on jednak szedł tym razem zatopiony w myślach, wbiwszy oczy w ziemię. Kiedy skręciliśmy w ulicę Perłową, mruknął znowu:

- Nie, to mi się nie podoba.

W drzwiach czekał na nas Darby Mc Graw, a z jego dzikiego spojrzenia wymiarkowałem, że spodziewał się ujrzeć piratów idących już trop w trop za nami.

- Czy wypełniłeś zlecenie, Darby? - zagadnął mój ojciec, gdy chłopak cofnął się do kantoru po prawej ręce od sieni.

- Tak, proszę pana.

- Więc zabieraj się stąd. Nie chcę, by mi przeszkadzano.

- Postaraj się uzyskać dla nas ostatnie wieści o piratach, Darby! - dodałem, gdy ów przemykał się koło mnie.

Odpowiedział mi na to radosnym spojrzeniem, ale ojciec tupnął nogą.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Robercie?

Zmieszałem się i nie wiedziałem, co odrzec.

- Ojciec dobrodzieju, Darby szaleje za piratami. On...

Piotr Corlaer zamknął drzwi za Irlandczykiem i podszedł ku nam poruszając się z ową złodziejską zwinnością, która była jednym z najbardziej zadziwiających jego przymiotów.

- Ja, on nic nie wie - przemówił.

- O czym? - zapytał ostro mój ojciec.

- O tym, co pan chce, szepem ja wieciał - odparł spokojnie Holender.

- Więc i ty wiesz, Piotrze?

- Ja.

Nie mogłem dłużej powściągnąć niecierpliwości.

- Cóż to za tajemnica? - zapytałem tonem stanowczym. - Myślałem, że znam wszystkie sekrety naszego przedsiębiorstwa, ale nigdy nie przypuszczałem, ojciec, że jako spółka handlowa mamy się wdawać z piratami!

- Nie wdajemy się - odrzekł ojciec krótko. - Jest to sprawa, na której wcale się nie rozumiesz, Robercie, ponieważ dotychczas nie było sposobności, byś mógł ją poznać.

Tu się zawahał.

- Piotrze - podjął po chwili - czy mamy zwierzyć się chłopakowi?

- To nie chłopak, to męszczyzna - odrzekł Piotr.

Zapałałem wdzięcznością dla Holendra, wyrażając ją uśmiechem; on jednak na to nie zważał. Ojciec też, zda się, o mnie zapomniał, tylko przechadzał się tam i z powrotem po kantorze, włożywszy ręce w rękawy surduta i zwiesiwszy głowę w zadumaniu, a co pewien czas wyrwały mu się urywki zdań: - Myślałem, że umarł... Byłaby rzecz dziwna, gdyby miał znów się pojawić... To zagadnienie, z którym nigdy nie sądziłem, że będę mieć do czynienia... Może przesadzam... nie powinniśmy do tego przywiązywać wielkiej wagi... Z pewnością to rzecz przypadkowa...

- Neen, on przybywa w pewnym celu - przerwał Piotr.

Ojciec zatrzymał się przed Piotrem, tuż koło kominka, na którym gorzał stos grabowych polan.

- Jak przypuszczasz, Piotrze, kim jest ów kapitan Rip-Rap? Powiedz otwarcie! Miałeś rację mówiąc, że Robert nie jest już chłopcem. Jeżeli grozi nam niebezpieczeństwo, on winien o tym wiedzieć.

- To Murray! - odparł Corlaer piskliwym głosem, który pozostawał w rażącej sprzeczności z jego potworną tuszą.

- Andrzej Murray! - zadumał się mój ojciec. - Tak, to chyba on.

Domyślałem się tego od wielu lat... uważałem to za pewne. Ale skoro po ostatniej wojnie przestał się pokazywać, byłem przekonany, że Opatrzność czuwa nad nim. Zdaje mi się, że się pomylił.

- Ktokolwiek jest ów korsarz, toć chyba w Nowym Jorku nie zdoła uczynić nam nic złego - odważyłem się wtrącić swoje trzy grosze.

- Nie bądź zanadto dufny, Robercie - skarcił mnie ojciec. - Otóż właśnie on jest twoim ciotecznym dziadkiem.

Sięgnął do stojaka nad kominkiem, wybrał stamtąd długą faję glinianą i zaczął ją nabijać tytoniem, ja tymczasem z wolna ochłonałem ze zdumienia.

- Twój stryj, ojczy? - wykrztusiłem.

Corlaer przysunął parę stołków i usiedliśmy przed kominkiem tak, iż miałem ojca po lewej stronie, a Corlaera po prawej. Zmierzch szybko zapadał, więc pokój zaroił się od cieni tańczących wokół ogniska. Ojciec długo spoglądał w środek skaczących płomieni, zanim zdobył się na odpowiedź.

- Nie... wuj twojej matki - rzekł na koniec.

- Ależ to był wielki kupiec, uprawiał handel przemytniczy z Kanadą! - zawołałem. - Słyszałem o nim. On to ustanowił Karny Szlak, by francuskich handlarzy futer zaopatrywać w towar, nie dopuszczając do nas nikogo z dalej zamieszkałych traperów. Sam mi o tym opowiadałeś, a również i pan Colden. Wszak to z nim walczyłeś ty i Corlaer, i Irokezi, kiedyście przełamali granicę Karnego Szlaku zdobywając handel skórą dla naszego narodu. Więc to ty... ty...

Wiedziałem, jak tkliwe uczucia żywił zawsze ojciec dla mojej matki nieboszczki. więc nie śmiałem naruszać jego wspomnień. On jednak sam z ust mi wyjął słowa mówiąc:

- Tak, to było wtedy, gdy pokochałem twoją matkę. Ona... ona nie była. jakbyś mógł się spodziewać, związana żadnymi węzłami z tym wielkim szubrawcem, choć była jego siostrzenicą... to rzecz pewna, Robercie. Była z domu Kerr z Ferrieside; jej matka była siostrą Murraya. Kerr i Murray wyruszyli razem w roku 1715; Kerr poległ pod Sheriffmuir. Wdowa umarła

niedługo po nim, a Murray zabrał do siebie biedną, bezdomną Marjory. Opiekował się nią dobrze - nie ma co mówić; ale swoją drogą zamierzał uczynić ją narzędziem swych późniejszych zamysłów. Patrzył zawsze chłodno w przyszłość, nie myśląc o niczym, jak tylko o własnym powodzeniu, a gdybym ja... ale nie ma co się nad tym rozwodzić. Wiadomo ci, Robercie, jak Corlaer i Seneka, wódz Tawannearów - ten, który dziś jest dozorcą zachodniej bramy Długiego Domu - i ja potrafiłmy skruszyć tę ogromną siłę, jaką Murray obwarował granicę. Rozbiliśmy go tak zupełnie, podkopując jednocześnie jego znaczenie, iż był zmuszony uciekać z prowincji, a nawet jego przyjaciele, Francuzi, nie chcieli mieć z nim nic wspólnego, przynajmniej otwarcie. Zawsze skłaniałem się do mniemania, że i nadal służył z całą swobodą ich sprawie, gdyż jest do głębi duszy zagorzałym jakobitą, i to szczerze... mimo tak dziwnych, zagmatwanych sposobów. Tak, jest w nim coś, Robercie, czego nie można łatwo zrozumieć. On sam święcie wierzy, że wszystko, co czyni, zmierza do wzniosłych celów politycznych.

- Ależ to korsarz! - wykrzyknąłem.

- O, to nie ma wagi w jego oczach.

- On był już korsaszem na łące - potwierdził Piotr.

- Tylko szalenieć może sobie uroić, iż służy państwu będąc korsarzem! - sarknąłem.

- Mówisz nazbyt ostro - skarcił mnie ojciec. - Żyją dziś jeszcze ludzie, którzy pamiętają, jak Morgan, Davis, Dampier i wielu jeszcze innych zuchów, im podobnych, żyli z korsarstwa, a jednocześnie służyli królowi. Niektórzy z nich skończyli na haku, ale Morgan umarł szlachcicem. Jest tu możliwe.

- Jakim sposobem?

Pomyśl, mój chłopcze! Murray - twój cioteczny dziadek, miej to w pamięci! - jest jakobitą, przeto dla obecnego rządu ma jeno nienawiść i pogardę. Każde przedsięwzięcie, które może przynieść szkodę obecnemu rządowi, wydaje mu się usprawiedliwione, jako przyczyniające się do upadku tych, których on nienawidzi. Patrz, jaką szaloną fanaberię miał ten człowiek nazywając swój okręt "Royal James"! (dosłownie: "Królewski Jakub". Tytuł Royal nadawany jest wszystkim członkom prawowitego rodu królewskiego, zwłaszcza przysługuje następcy tronu - przyp. tłum.).

- Czy aby to tylko naprawdę człowiek, za jakiego go uważasz? - odparłem, bynajmniej nie uradowany myślą, że za ciotecznego dziadka mam korsarza. Ojciec roześmiał się, życzliwie klepiąc mnie po kolanie.

- Wiem, jak musisz to odczuwać, drogi chłopcze - odezwał się. - Zupełnie tak samo mówiła twoja zmarła matka... zacności kobieta! Byliśmy niedawno po ślubie, gdy wytworny lotrzyk przysłał nam przez jednego ze swych smoluchów (pogardliwa nazwa marynarzy - przyp. tłum.) ów naszyjnik, który teraz spoczywa u mnie w okutej skrzyni... zapewne złupiony jakiejś indyjskiej królowej. Później... już po jej śmierci... gdy dopiero zaczynałeś chodzić w porciętach... przysłał nam znowu owe srebrne talerze, co stoją na kredensie w jadalni. Nabyte nieuczciwie, to pewna, ale cóż miałem czynić? Nie mogłem rzucić ich w morze ani też nie wiedziałem, jak mu je zwrócić. Potem przybył trzeci posłaniec, tym razem jedynie z listem, w którym wyraził mi współczucie z powodu śmierci tej, którą obaj ubóstwialiśmy nade wszystko! Wtedy, przyznam się, miałem chęć go zadusić, gdyż gdyby mu się powiodły jego zamysły, byłby ją wyswatał pewnemu Francuzowi, który był sługą niecnego czarta. Atoli z drugiej strony dbał o nią i obchodziło go wielce

wszystko, co się z nią działo. Choćby znajdował się nie wiem jak daleko, zawsze jakoś zasięgał o nas wiadomości. Dowiedział się o twoim przyjeździe na świat; dowiedział się o jej zgonie. Teraz zaś, kiedy doszedłeś do pełnoletności, jego żagle ukazują się za Piaszczystą Mierzeją. Nie wiem, co to znaczy, Robercie, ale mi się to nie podoba! Nie podoba mi się!

- Przecież nie znajdujemy się na morzu - wyraziłem swoje zdanie. -

Mieszkamy w Nowym Jorku. W fortecach króla Jerzego stoi załoga wojskowa. Komandor Burrage lada dzień nadciągnie z Bostonu. Czegoż dokaże przeciw nam jeden statek korsarski, a choćby i dwa? Ba! a miejskie strażę...

- Nie obawiam się przemocy - przerwał mi ojciec - ale piekielnej przebiegłości przebiegłości wypaczonego umysłu.

- Ja - potwierdził Piotr.

Ojciec zwrócił cybuch fajki w jego stronę.

- I ty coś przeczuwasz, stary przyjacielu? - zawołał.

- Jeżeli Murray tu się znajduje, to nie znaczy nic dobrego - odpowiedział poważnie Holender. - Szaden pirat nie wyruszy na północ w posze zimowej tylko dla zabawy. Neen! Za wiele tu niebezpieczeństwa; nie ma kcie biegać ani kcie się ukryć.

- Tak, masz rację - przystał mój ojciec. - Zresztą bywali tu tacy, co zarzucali Nowemu Jorkowi, że to miasto nie jest tak wolne od konszachtów z piratami, jakby się mogło wydawać na pozór. Murray i jemu podobni muszą sprzedawać zrabowane towary, a do tego potrzeba im wszędzie stosuneczków z kupcami. Za czasów tego potrzeba im wszędzie stosuneczków z kupcami. Za czasów wielkorządcy Burneta zwykliśmy byli zwracać baczną uwagę na szynkownię "Pod Głową Wieloryba" i inne knajpy podlejszego gatunku, lecz winienem przyznać, że nie upolowaliśmy nigdy grubszej zdobyczy niż przybłąkanego buntownika lub zbiega. Jednak wiem, że w naszej mieścinie nie brak kupców prowadzących podejrzanego interesu, a nie każdy okręt, co tu zawija, jest tak Bogu ducha winny, jakby na ogół sądzić można było.

- W każdym razie, ojcie dobrodzieju, mamy się na ostrożności! - nadmieniałem.

Ojciec roześmiał się, a pocieszny, głupkowaty chichot Corlaera wtórował jego wesołości.

- Roztropny wróg uprzedza nawet wieść o swym przedsięwzięciu - odrzekł mój ojciec. - Ufajmy, że mamy odrobinę szczęścia, żeby dać sobie radę. Jakikolwiek zamysłu knowa Murray, wykona je niespodziewanie i z ręcznie. Ale sza! Słysząc dzwonek na obiad. Dajmy na razie spokój przewidywaniom.

II

Człowiek o jednej nodze i irlandzka dziewczyna

Nazajutrz rano zająłem się przy pomocy Piotra Corlaera sprawdzeniem wszystkich naszych potrzeb handlowych; zbiegło mi pół popołudnia, zanim mogłem wyjść z kantoru i udać się na pokład okrętu kapitana Farradaya, żeby tam umówić się z załogą co do przeniesienia tej części ładunku, jaka przypadła na naszą składnicę.

Gdym chwycił za kapelusz, Darby Mc Graw wpatrzył się we mnie tak

przenikliwie, iż wyprawilem go do kuchni, by nabrał pełną torbę świeżo zabitych kurcząt oraz jarzyn inspektowych - wiedziałem bowiem, że takie jadło miłe będzie żeglarzom po długiej podróży - i kazałem mu zanieść to do stoczni. Uradował się, zupełnie jak gdyby go obdarzono wolnością, i podskakiwał przez całą drogę, pogwizdując jak skowronek.

Przebywszy ulicę Perłową doszliśmy do Szerokiej, gdzie odnoga morska wrzyna się w ląd, mijałem ją zamierzając u wylotu Whitehall Street wystarać się o czółno, które by nas przewiozło do pocztowego statku bristolskiego, gdy naraz Darby zwrócił moją uwagę na strzeliste maszty i zagmatwany takielunek (całokształt lin i sznurów służących do omasztowania i olinowania statku) wielkiego okrętu, stojącego na kotwicy w ujściu Rzeki Wschodniej.

- To fregata, panie Robercie! - zakrzyknął.

Nie można było się mylić widząc strzelnice armatnie i warowne parapety, toteż przez chwilę przypuszczałem, że komandor Burrage uprzedził nasze żądanie. Wtem na szczycie bezanmasztu (tylny, niższy maszt na statku żaglowym) rozwinęła się flaga i zobaczyłem czerwono-złote barwy Hiszpanii.

- Czy pan przypuszcza, że on tu przybył w pościgu za korsarzem? - szepnął Darby, któremu oczy aż się skrzyły pożądliwością.

- O nie, Darby - odpowiedziałem śmiejąc się. - To Hiszpan, a on i im podobni nie pragną krwi korsarzy.

- Phi! Gdyby to choć raz lub dwa razy puknął z armaty! - westchnął Darby.

- Albo gdyby powieszono jakiego nieboraka na rei, byśmy mogli to oglądać. Ach, panie Robercie, czyż nie byłby to wspaniały widok?

- Idźże sobie! - rzekłem śmiejąc się z dziwacznych wymysłów chłopaka. - Jesteś krwi chciwy niczym korsarz, co żegluję po morzach hiszpańskich.

- Ręczę panu, że taki jestem - odparł Darby z uporem. - Chciałbym być wielkim korsarzem, tak jest... i nie robiłbym sobie nic z fregat, czy byłyby to okręty hiszpańskie, czy króla angielskiego... dalibóg! choćby i francuskie. Zdobyłbym je co do jednego!

- Tak, z pewnością byś zdobył - potwierdziłem. - Ale spojrzij no, Darby. Za tą fregatą jest jeszcze jakiś dziwny statek. - Wskazałem mu mały, pogruchotany bryg o łatanych i brudnych żaglach, na którego czarno malowanym kadłubie widać było biały rozbryzg w miejscu, gdzie kula armatnia wyrwała mu drzazgi z desek.

- On też widział piratów, głowę za to daję - zauważyłem. - Pewnie ledwo się wymknął.

Darby'emu oczy się rozszerzyły jak kotu w ciemności.

- Hejże hej! Przypatrzcie się ino, jak go kulą haratnęli w bok! Będzie miał tęgi paternoster! A teraz, panie Robercie, będziesz jeszcze ze mnie szydził, gdy gadam, że korsarze są tuż na granicy?

- Nie, Darby. Ów zuch z pewnością bliższy był śmierci, niż mógłbym sobie wyobrazić - odpowiedziałem.

- Najprawdziwsze słowa, jakie zdarzyło mi się słyszeć! - oznajmił jakiś miły głos poza mną. - Świadczą one o wielkiej wrażliwości umysłu i litościwym sercu, zważywszy, że doprawdy niewielu jest takich szczerów lądowych, którzy by pomyśleli o tarapatkach, na jakie narażony bywa biedny żeglarz, nie otrzymując za to nawet "Bóg zapłać" od swych panów, a od szypra tylko wymyślania; prawie że nikt o tym nie pomyśli. Co prawda, to prawda, młody paniczku. Jestem sługą waszmości i spodziewam się, że pan

pozwole mi, bym złożył mu najpokorniejsze dzięki, boć należą do tych, którym udało się ocalić cudownym sposobem.

Odwróciłem się, by się przekonać, kto tak przemawia. Zobaczyłem przystojnego, pogodnego mężczyznę w kwiecie wieku: był rosły i krzepki, ale miał tylko jedną nogę. Druga noga (mianowicie lewa) była ucięta w górze pod samym prawie biodrem, przeto podpierał się na długim szczudle z pięknie rzeźbionego twardego drzewa - był to mahoń, jak się później dowiedziałem. Szczudłem tym posługiwał się z wielką zręcznością, zupełnie niby utracona noga. Rzemień, przeciągnięty przez dziurkę w podpaszku, obwiązał sobie tak dookoła szyi, iż nawet gdy chciał usiąść, nie rozstawał się ze swoją podporą; na końcu zaś szczudła umieszczony był ostry kolec żelazny, służący do pewnego utrzymywania się na nierównym gruncie lub śliskich pokładach.

Gdym mu się przypatrywał po jego pierwszych słowach, on jął kusztykać dokoła mnie z miną poufałą, która dla młodzika mogła być bardzo pochlebna; bądź co bądź wywarł na Darbym większe wrażenie niż na mnie.

- Czy waćpan jesteś z owego brygu? - zagadnąłem z ciekawością.

- Tak, tak, młody paniczu, jestem stamtąd... i jestem jednym z tych niezliczonych grzeszników, których ocaliła niedocieczona Opatrzność, nie zważająca na ludzkie uchybienia... na sprawiedliwe i niesprawiedliwe, jak powiadają kaznodzieje. Przybywam z Brabados, na brygu "Constant". Nazwisko moje Silver, panie łaskawy... na imię mi John, jak mówią moi chrzestni rodzice. Jednakowoż majtkowie nazywają mnie przeważnie "Brytfanną", ponieważ uważają mnie za wyśmienitego kucharza. A zresztą, łączy się z tym cała powieść, młody panie. Ach tak! Nie po raz pierwszy mi się to zdarzyło, żem ucierpiał z rąk tych piratów, co to srożą się i rozbijają na morzach na pohybel biednym, uczciwym marynarzom.

Tu zniżył głos.

- Czy widzisz, jak mi to szpetnie ucięli kawał cielska? Widzisz, sameś to powiedział. Tak, tak! Nietrudno to poznać kuternogę. Co sądzisz, jak utraciłem ten lewy kulas, he? Nie umiesz objaśnić, powiadasz, i nic w tym dziwnego, boć nigdy przedtem nie widziałeś mnie na oczy. Dobrze, więc ci opowiem, mospanie. Waćpan masz liczko młode i uprzejme i widzę, że współczujesz dolegliwościom biednego marynarza... a jakże... i tak samo ten pocziwy chłopak, co jest z tobą... z Irlandii rodem, czy nie tak, mój drogi? Poznałem, poznałem!... Ale o czym zacząłem mówić? Ach tak, pewnie opowiadałem ci o utraconej nodze... cieszę się, żem wtedy i łapska nie utracił. Czemu to tak, powiadasz? Ponieważ człowiek może przeboleć utratę nogi, która do niczego nie jest przydatna, jak tylko do chodzenia. Ale utracić rękę? Pomyśl, mój panie! Nie mając ręki, nie można pracować, nie można walczyć, prawie nie można jeść. Dlatego to powiadam, że jestem szczęśliwy.

Człowiek ten ujmował mnie swą niezwykłością, więc otwarcie wyznaję, że byłbym się domagał dalszych wyjaśnień, nawet gdyby przy mnie nie było Derby'ego. W każdym razie nie kto inny, lecz Darby skierował go z powrotem do głównego zagadnienia naszej rozmowy.

- Czy widziałeś piratów? - wykrztusił chłopak w podnieceniu.

John Silver odwrócił się wyniośle na swym szczudle i rzucił chmurne spojrzenie na bryg naznaczony kulą armatnią.

- Czym widział? - powtórzył. - No, mój chłopcze, to jeszcze zależy. Tak, tak, to wszystko zależy. Chciałeś zapewne się dowiedzieć, czy to było w

ostatnich czasach? Nie, nie mogę powiedzieć z ręką na sercu, bym widział ich tymi czasy. Inaczej było, gdy utracił nogę... i wówczas, gdy Flint mnie zesłał na odludną wyspę.

- Więc waćpan znasz Flina? - natarłem na niego.

Potrząsnął głową.

- Czy go znam? O nie, młody paniczu, nie znam żadnego z tych krwawych opryszków. Widziałem ich, to prawda... widziałem za wiele na raz, można by powiedzieć. Wycierpiałem swoją pokutę, gdyż ostatnim razem Bóg wyzwolił mnie cało i zdrowo z rąk owych szubrawców.

- Czy napadli cię od strony Piaszczystej Mierzei? - badałem go.

- Piaszczystej Mierzei? - powtórzył. - Może i tak było, młody paniczu.

Małośmy na to baczyli, gdzie się znajdujemy. Jedyłą naszą myślą było dobić do portu cało i zdrowo.

- Ale widzę, że was postrzelili! - pytałem natrętnie.

- Ten okręt? - odpowiedział. - Ach, tak! ale... Będę na tyle śmiały, łaskawy panie, że zapytam: nie wieszli przypadkiem, czy jakie inne okręty z Nowego Jorku były również ścigane?

Wskazałem na statek kapitana Farradaya kołyszący się na kotwicy o jakie ćwierć mili od brzegu.

- Jest to statek pocztowy z Bristolu, a ledwie wczoraj rano zemknął przed pościgiem osławionego kapitana Rip-Rapa.

Marynarz zmarszczył brwi jakby w zamyśleniu.

- Powiadasz, że to był kapitan Rip-Rap! Niechże mnie kule biją, młody paniczu, ależ to straszna nowina! No, no, no! Kto ma szczęście, ten uciecze - zawsze tak było. Miło to posłyszeć, że innym też trafia się szczęście.

Ale przypuszczam, że okręty królewskiej floty puszcza się teraz za nim w pogoń?

- Nie, nie ma ich bliżej, jak w Bostonie - odpowiedziałam. - Co najmniej tydzień się zmitręży, zanim zdołamy odpędzić stąd tych drapichrustów.

Pokiwał z ubolewaniem głową.

- Niech mnie kule biją, ale to zła nowina! Byłem doprawdy szczęśliwy, iż mi to uszło na sucho. Gonił za mną aż do samej nocy, a że mnie wypuścił z rąk, to - gotów byłem poprzysiąc - raczej z obawy przed mieliznami niż z innego powodu.

- A zatem on wczoraj ścigał waćpana? - zapytałem.

- Ma się rozumieć, młody paniczu. Alboż ci tego nie opowiadałem? Wczoraj, koło południa, wpadł jak piorun, a o zmierzchu zdołał już wycelować na nas do strzału przednie armaty i zamierzał strzaskać jeden z wręgów (żebra, krzywe boki podtrzymujące kadłub okrętu), by nas obezwładnić. Jednakowoż kula ugodziła, jak widzisz, w bok okrętu i przebiła go nieszkodliwie, choć mogła wyrządzić wiele złego.

Jeden z przewoźników wiosłował wzdłuż wybrzeża w naszą stronę. Skinąłem nań, żeby przybił do pomostu, na którym staliśmy.

- Muszę odejść - odezwałem się. - Winszuję panu, panie Silver, że udało ci się wymknąć. Choć tam dawniej zakosztowałeś wiele złych przygód, to wczoraj sprzyjało ci szczęście.

Pokiwał głową i potarł sobie czuprynę.

- Dziękuję uprzejmie, młody paniczu. Pozwól waszmość, że pochwycę cumę (lina, którą przytwierdza się do lądu okręt lub czółno). Doskonale!... Czy postawić koszyk na poprzek? A czy ten oto miły chłopak nie pójdzie razem?

Nie? Tedy może pan okaże mi jeszcze jedną łaskę i wypożyczy go na pół godziny, aby mi pokazał w tym mieście parę miejsc, przez które wypadła mi droga. Nie śmiałybym o to prosić łaskawego pana, ale jak sam waszmość widzisz, jestem, że tak powiem, na poły kaleką, a ten port jest mi zgoła nie znany, jako że zazwyczaj krążyłem dokoła Indii Zachodnich.

- Korzystajże z jego usług, jak ci się żywnie podoba! - odpowiedziałam. -

Darby, zaprowadź pana Silvera, gdziekolwiek by iść sobie zyczył.

Piegowata twarz Darby'ego rozpromieniała na samą myśl o dłuższym obcowaniu z tym chorym żeglarzem, który opowiadał z taką swobodą o walkach i włóczęgach pirackich.

- O tak, panie Robercie - odrzekł. - Będę mu pomagał, ile tylko w mej mocy.

- Wierzę jego słowom - wtrącił Silver. - Nigdy nie widziałem chłopca z taką dobrotliwą buzią... Dobrotliwa twarz oznacza dobrotliwe serce, zawsze to mówię, młody paniczu.

Mój przewoźnik już miał ruszyć wiosłami, gdy naraz przyszła mi myśl, która sprawiła, że go powstrzymał.

- Za pozwoleniem - zawołałem - przyszło mi na myśl, że może Darby nie potrafi waćpanu usłużyć we wszystkim, czego byś sobie zyczył. Czy asan szukasz kogoś szczególnie?

Zawahał się na jakieś ćwierć minuty.

- No, nikogo tak znowu w szczególności, łaskawy panie - odrzekł na koniec. - Wybieram się do gospody "Pod Głową Wieloryba". Może waszmości zdarzyło się słyszeć o takim zakątku?

Skinąłem głową potakująco.

- Znajdziesz ją we wschodniej połaci miasta. Darby może ci wskazać.

Krzyknął mi znów parę podziękowań i pokuszył się żwawo o kuli. Darby kroczył koło niego, odęty śmieszną zrozumiałością.

Na pokładzie "Anny" zastałem zupełny rozgardiasz. Kapitan Farraday, jak przewidywałem, od chwili gdy na wczorajszym przedwieczierzu udał się na ląd, jeszcze dotychczas nie powrócił; niewątpliwie wysypiał się kędyś w gospodzie "Pod Królem Jerzym", wychyliwszy nadmierną ilość wszelkich trunków. Sztorman wybrał się dziś rano na wybrzeże, by go odnaleźć, i zapewne skorzystał ze sposobności, by pójść w ślady swego szypra. Pan Jenkins, który uniknął był śmierci z krwawych rąk okrutnego Rip-Rapa i Flinta, miał okręt w swej pieczy. Był to człek markotny i skwaszony, rodem ze wschodniej prowincji, który czynił wszystko po długim namyśle, więc zmusza to była robota sprawdzać wraz z nim rejestr przywiezionego towaru. Przyjąłem jego zaproszenie na obiad, a cały czas poobiedni zbiegł nam na ostatecznych przeliczeniach; umówiliśmy się, kiedy nazajutrz mają przyjąć tragarze, po czym wyszliśmy znowu na pokład.

Mój przewoźnik od dawna gdzieś się zapodział, więc Jenkins wydał bosmanowi rozporządzenie, by przysposobił wioślarzy, którzy mieli mnie odwiedzić na brzeg. Stojąc na schodkach burtowych napomknąłem mimochodem o dwóch okrętach, które tu rankiem przybyły.

- Ten bryg miał bliższą styczność z naszym przyjacielem Rip-Rapem - nadmieniałem.

- A jakże - odpowiedział Jenkins posepnie. - Jakoś mi się to dziwne wydaje, by Barbadyjczyk miał przewozić rum i cukier do Nowego Jorku. Zwykle zdają to na Jankesów.

- Prawda - potwierdziłem - ale w każdej regule może się zdarzyć wyjątek.
Na pokładzie hiszpańskiej fregaty rozległ się donośny, srebrzysty głos świstawki.

- Źle to, że nie ma tu obecnie żadnego z naszych okrętów - zauważyłem.
Rip-Rap zakosztowałby własnej pigułki.

Pan Jenkins, nie marszcząc nawet twarzy, okazał po sobie ogromne niezadowolenie.

- To są podobno Hiszpanie! - parsknął. - Chciałbym wiedzieć, co oni tu mają do roboty!

- Może wichura zagnała ich na północ w czasie żeglugi? - wyraziłem przypuszczenie.

Pan Jenkins parsknął po raz drugi.

- On wcale nie zбочzył z drogi. Ich przybycie grozi jakimś nieszczęściem; nie wiadomo zupełnie, jak go uniknąć.

- Jakim nieszczęściem? - dopytywałem się.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiadomo, powtarzam. Ale od Hiszpanów nigdy nam nie przyszło nic dobrego, panie Ormerod, możesz mi wierzyć.

Zanim zdołałem mu odpowiedzieć, bosman oznajmił, że łódka już czeka w pogotowiu koło schodków, więc rzuciłem panu Jenkinsowi przelotem kilka słów pożegnania, gdyż jego tępa zgorzkniałość odstręczała mnie od bliższej z nim zażyłości.

Gdy moja łódka, odbiwszy od pocztowego statku bristolskiego, pomykała hyżo przed siebie, naraz zza kadłuba hiszpańskiej fregaty wyloniła się spora szalupa i zaczęła nas gonić, popędzana przez dwunastu ogorzałych chłopców wiosłujących co sił. Na rufie, za komendantem, siedziała na uboczu jakaś postać opatulona w płaszcz. Obie łodzie prawie jednocześnie dojechały do Broad Street; wyskoczyłem na brzeg, rzuciłem parę groszy marynarzom, którzy mnie przewieźli, i ruszyłem w drogę, by zanieść sprawozdanie ojcu, który - jak wiedziałem - mógł się gniewać, iż tyle czasu straciłem na załatwienie poruczonych mi zadań. Nie uszedłem jednak nazbyt daleko, gdy od strony przystani zawołał ktoś za mną:

- Senior!. Sirr-rr-ah! (jest to wyraz angielski, coś jakby "mopanku"; Hiszpan wymawia go jednak po swojemu, uwydatniając silnie spółgłoskę "r", której Anglicy prawie nie wymawiają - przyp. tłum.).

Odwróciwszy się ujrzałem bosmana z szalupy hiszpańskiej fregaty i usłyszałem wielki galimatias hiszpańskiego szwargotu, z którego nie rozumiałem ani słowa. Kiedy to oznajmiłem przybyszowi, zaraz jakaś inna osobistość wysunęła się naprzód, stając w żółtym świetle ulicznego kaganku, który wisiał w portalu najbliższego sklepu. Była to owa opatulona postać z szalupy; jednakowoż zamiast miczmana (najniższy stopień oficerski w marynarce) albo podoficera rozpoznałem w niej, przy skąym oświetleniu, młodą kobietę, której zgrabna postać uwydatniała się mimo ciężkiego przyodziewku. Dość było jednego słowa, wyrzeczonego sykliwą hiszpańszczyzną, a bosman przycichł jak trusia.

- Łaskawy panie - odezwała się potem angielszczyzną nie gorszą od mojej - czy możesz wskazać nam drogę do szynku "Pod Głową Wieloryba"?

Nie zdobyłem się na lepszą odpowiedź, jak zająknięcie się. Oto po raz drugi w dniu dzisiejszym cudzoziemiec zapytał mnie o szynk "Pod Głową Wieloryba", szynk, który jak zeszłego wieczoru napomknął mój ojciec,

uchodził za miejsce schadzek różnych podejrzanych indywiduów. Ta kobieta jednak zgoła nie wyglądała na to, by mogła mieć coś wspólnego ze zgrają hałaśliwej hołoty, jaka tam bywała. Ponadto nie mogłem wyjść ze zdziwienia, skąd tak powabna dziewczyna wzięła się na pokładzie hiszpańskiej fregaty.

Widziana w nikłym świetle kaganka, nie wyglądała wcale na Hiszpankę. Wprawdzie miała włosy ciemne i lśniące, ale oczy jej były tak błękitne jak u Darby'ego Mc Grawa, a nosa ani trochę nie można było podejrzewać o zarys kabłąkowaty. Usta miała szerokie, z lekkim jakby zagięciem w kącikach, które zacinały się dziwnie, gdy się śmiała, a gdy płakała, obwisały smutno, aż serce się krajało. Wiekiem niewiele odbiegała lat dziecięcych, a niewinność, malująca się w jej postawie, dziwnie kłóciła się z zadaniem mi pytaniem. Gdybym tak stał wytrzeszczywszy na nią oczy, jej drobna nóżka dreptała niecierpliwie po wyboistym bruku.

- No, łaskawy panie - odezwała się chłodno - czy waćpan przypadkiem nie umiesz tyle po angielsku co po hiszpańsku?

- N... nie - udało mi się wyjąkać. - Ale... ale prawdę powiedziawszy, gospoda "Pod Głową Wieloryba" nie jest odpowiednim miejscem dla osób takich jak pani.

Przymrużyła oczy.

- Zdaje się, że nie rozumiem, o co panu chodzi - odpowiedziała. - Idę tam, by spotkać się z moim ojcem.

- Ależ ojciec żadną miarą nie pochwali pani za przybycie tam o tej porze - zauważyłem.

Nieznajoma wybuchnęła śmiechem.

- Mówi pan, jakby był dokładnie poinformowany o jego sposobach postępowania - zauważyła. - Ale mniszki od św. Brygidy nieraz mi to kładły w uszy, jak mam się wybierać na ten grzeszny świat, a ja niestety już się trochę przypatrzyłam grzesznikom. Więc postanowiłam sobie, że zakosztuję dzisiaj wieczorem nieco przygód, a to dlatego, że przez tyle tygodni byłam, jak w kozie, zamknięta w tym przebrzydłym, brudnym okręcie. Kazałam więc don Pablowi, który był oficerem dyżurnym, aby przygotował łódź dla mnie... mimo że ów załamywał ręce i perswadował mi, że chcę go tym przywieść do zguby.

Roześmiałem się w duchu z tej dziwnej samowoli jej kaprysu. Prawdę powiedziawszy, mogłem sobie wyobrazić, jak młodzi panowie z fregaty kochali się w niej na zabój.

- Ale to nie upoważnia pani, by wybierać się nocą do szynku "Pod Głową Wieloryba" - upomniałem ją. - Doprawdy, pani nawet myśleć o tym nie powinna.

- Ja sama będę sędzią swych postępów! - odcięła się wyniośle, jak wprzód. - A jeżeli jest tam mój ojciec, nie może mi się stać nic złego.

- O ile on tam się znajduje - rzekłem. - Ale mam wątpliwości, czy pani nie pomyliła się co do jego zamiarów.

- Nie, nie - odparła stanowczo. - Słyszałam, jak on z nimi o tym rozmawiał. Ale być może, waćpan masz słuszość, a ja nie będę na tyle niewdzięczna, bym miała drwić z życzliwej rady uprzejmego cudzoziemca. Gdy dojdziemy do gospody, Juan wejdzie do środka, a ja pozostanę na dworze. Muszę się jednak przejść gdziekolwiek, bo nogi mi się roztrzęsły od ciągłego kołysania się okrętu, a jutro wraz ze zmianą odpływu wyjedziemy znów na pełne morze. Odtąd już przez wiele tygodni nie będę miała

sposobności, by stąpnąć nogą na ląd.

- Jeżeli pani pozwoli, to poprowadzę was ku gospody "Pod Głową Wieloryba"
- zaofiarowałem się. - zaofiarowałem się. - Właśnie sam idę w tym kierunku.
- Wielka to uprzejmość z pańskiej strony; oczywiście, że z niej skorzystam - odpowiedziała nieznajoma. - Mogę być jedynie panu za to wdzięczna.

I wydała po hiszpańsku jakiś rozkaz, na który wystąpił z ciemności podoficer, zwany przez nią Juanem, oraz jeden z jego podkomendnych. Ci przyłączyli się do nas i ruszyliśmy wzdłuż jednolitego szeregu sklepów.

- Czy pani ma przed sobą daleką podróż? - odważyłem się zapytać.
- Najlepiej, niech pan sam sobie na to odpowie - zawołała. - Stąd na Florydę, a stamtąd dalej do Hawany i do innych miast Morza Hiszpańskiego (mowa o Atlantyku).

- Toteż pani niezadługo nie będzie potrzebowała uskarżać się na brak przygód - powiedziałem. - Niewielu jest mężczyzn, a cóż dopiero dziewcząt, wybierających się w podróż tak odległą.

- O, łaskawy panie, właśnie o tym lubię myśleć! Omal nie oszalałam z radości, gdy ojciec przybył do klasztoru i odebrał mnie zakonnicom. Dopóki nie poczułam pokładu okrętu pod moją stopą, nie chciało mi się wierzyć, że naprawdę jestem wolna!

- Ale pani jest chyba Hiszpanką? - odezwałem się. - Nie pytam z prostej ciekawości, choć...

Jej śmiech zabrzmiał jak dźwięk dzwonek.

- Ma się rozumieć; powiadają, że jestem Irlandką. jak te prosiaki na wzgórzach Wicklow, gdzie się urodziłam.

Naraz spoważniała znowu.

- Nie znam pańskich przekonań politycznych, ale może nie zawadzi wspomnieć, że mój ojciec był jednym z tych, co stawiali czoło hanowerczykom, walcząc za sprawę króla Jakuba i Karola Dobrotliwego; ponieważ zaś jego własny król nie może korzystać z jego usług, przeto ojciec wszedł w służbę króla hiszpańskiego.

- Niemiło to pomyśleć Anglikowi, że tylu dzielnych szlachty musi służyć cudzym władcom - przyznałem. - Atoli sądzę, że w Indiach będzie się pani dobrze powodziło.

- O, nie zatrzymamy się tam długo - odpowiedziała wesoło. - Ojciec mój jest oficerem inżynierii i ma pod nadzorem fortyfikacje na oceanie i gdzie indziej. Za rok powrócimy znów do Hiszpanii. Ale niech no pan spojrzy! Czy to godło ma wyobrażać głowę wieloryba?

- Tak - odpowiedziałem. - To jest owa szynkownia.

Jedno spojrzenie na jaskrawo oświetlone szyby gospody oraz na zbójcekie oblicza gawiedzi, to wchodzącej, to wychodzącej przez niskie drzwi, przekonało mą towarzyszkę, że nie przedstawiłem jej owego miejsca w fałszywym świetle. Stała jak wryta, a kąciki jej ust obwisły smutno.

- Na miłość Boską, jakaż to straszna jaskinia! - mruknęła. - Po cóż by tu miał padre (ojciec) przychodzić? W ważnej sprawie, powiedział, ale...

I potrzęsła głową powątpiewająco i dobitnie.

- Nie chciałbym pani wydać się natrętem - przemówiłem - lecz boję się, że wasi Hiszpanie nie potrafią się tam z nikim dogadać. Czy pani nic nie ma przeciwko temu, bym wszedł do środka i zapytał się o ojca pani?

Zamyśliła się przygryzwszy kącik wargi białymi ząbkami.

- Doprawdy, łaskawy panie - odpowiedziała na koniec - nie wiem, jak mam być wdzięczna za tyle uprzejmości.

Nastąpiła chwila milczenia.

- A jak mam...

- Ay de mil! - zawołała wybuchając wesołym śmiechem. - Jakże to niemądre z mej strony, by nie pamiętać o tym, że jestem dla pana cudzoziemką zza morza. Niech pan pyta o pułkownika O'Donnella i powie mu, że jego córka czeka przed domem.

A skoro ruszyłem ku drzwiom, dodała wesoło:

- Nie każdej dziewczynie to się zdarza, by wyszła na brzeg obcego lądu i znalazła kawalera, który tylko czeka, żeby być na jej usługi. A co powiedziałyby matka Serafina na takie wybryki? Ach, jakbym ją teraz widziała! "Niechże nas święci mają w swej opiece, Moiro! Czyż nie masz w sobie już ni odrobiny skromności i obyczajności?. Odprawisz sto zdrowasiek i drogę krzyżową przed obiadem!" Jej głos jeszcze dźwięczał mi w uszach, gdy usunąwszy z drogi jakiegoś pijanego marynarza schyliłem głowę, aby przejść przez niski próg drzwi gospody, i w ten sposób dostałem się w mglistą, niebieskawą atmosferę izby szynkowej, zatłoczonej stołami, przesiąkniętej dymem i stęchłymi drożdżami piwnymi, huczącej chrapliwymi głosami, wrzeszczącymi wniebogłosy przekleństwa i piosenki marynarskie.

Jedna z tych pieśni, chórem śpiewana, zdołała oderwać me myśli od młodej Irlandki czekającej na dworze; była to okropna melodia, a raczej ryk, jakby nabrzmiały krwią i szubrawstwem:

Piętnastu chłopów na Umrzyka Skrzyni -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Piją za zdrowie, resztę czart uczyni -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Spojrzałem w róg izby, skąd ów śpiew dobiegał, i spostrzegłem kulawego żeglarza, Johna Silvera, który wybijając na stole takt cynowym kuflem, rej wodził w otaczającej go gromadzie. Na samym jej przedzie, tuż za Silverem, stał Darby Mc Graw, którego płomiennoruda czupryna sterczała wżwyż niby chorągiew łupieżców, a piskliwy głos wybijał się ponad grzmiący bas jego towarzyszy. Ci - z samej już powierzchowności - stanowili zgraję tak szelmowską, jakiej nie zdarzyło mi się jeszcze w życiu oglądać. Zauważyłem zwłaszcza człowieka o twarzy bladej i wydłużonej, którego przebiegłe, kose oczy osłaniało pasmo gęstych, czarnych włosów, oraz rosłego i krzepkiego draba o zasmolonym harcacie (warkocz noszony w XVIII w. przez żołnierzy dla ochrony karku przed uderzeniem) i twarzy ogorzałej na mahoń; ów, jak widać było, znajdował tyle upodobania w śpiewie co biedny, ogłupiały Darby.

Silver dostrzegł mnie prawie w tej samej chwili, gdym go wytropił; natychmiast, szepnąwszy coś przelotem do swych towarzyszy, powstał i pokuszył się przez całą izbę, ciągnąc Darby'ego pod ramię za sobą. Jego szerokie, jowialne oblicze przybrane było uśmiechem nieco zaprawionym żalością.

- A więc pan przyszedł po niego, panie Ormerod? - zawołał donośnie, by go słyszano w tym rozgardiaszu. - Powinienem się wstydić, pan powie, i pan ma rację. Ale ja nie myślę sprowadzać porządnego chłopca na manowce... toteż poczęstowałem Darby'ego tylko dobrym, tęgim piwkiem i garstką dykteryjek marynarskich, żeby miał o czym śnić w ciągu następnych nocy. Nie powinienem był mu pozwolić, aby tu przychodził powtórnie, łaskawy panie, ale skoro on

tu godzinę temu wetknął znów swą rudą czuprynę, nie miałem wprost serca, by go stąd wyrzucić. Nie stało mu się nic złego, więc pan chyba nie będzie się gniewał na niego, że sobie chłopak wypił o kilka kufli piwa za wiele; nieprawdaż, panie?

- Nie przyszedłem tu po niego - odpowiedziałem - lecz ponieważ już tu jestem, najlepiej będzie, gdy on wróci ze mną do domu. Skądście dowiedzieli się o moim nazwisku, Silverze?

Rozgarnął znacząco czuprynę.

- Skądże by, jak nie od Darby'ego, łaskawy panie... zresztą mógłby mi opowiedzieć o was, panie, każdy, kto mieszka nad zatoką, zważywszy, jaki z was uprzejmy i dobrotliwy kawaler. Ale - proszę mi wybaczyć tę śmiałość - czy mogę waszmości być w czym użyteczny?

- Nie zdaje mi się - odpowiedziałem. - Szukam pułkownika imieniem O'Donnell. - Zdawało mi się, że błysk zdziwienia nieco zmaćcił przesadną uprzejmość malującą się na jego twarzy. Wytrzeszczywszy oczy rozejrzał się wokoło po izbie.

- Nigdy, jako żywo, nie słyszał o tym szlachcicu, łaskawy panie, i nic w tym dziwnego, boć przed dzisiejszym rankiem nigdy jeszcze nie bawiłem w tej gospodzie; ale zetknąłem się tu z kilkoma dawnymi kamratami, którzy zapoznali mnie z tą miejscowością, toteż być może, iż uda mi się od którego z nich zasięgnąć wieści. Racz waszmość poczekać tu chwilę, panie Ormerod, a zobaczę, czy mi się powiedzie.

Wydało mi się to najwłaściwszym rozwiązaniem sprawy, jako iż w izbie szynkowej nie widać było nikogo, kto by wyglądał na pułkownika O'Donnella, przeto skinąłem głową przyzwalająco. Skoro Silver odszedł od nas utykającym krokiem, przeciskając się zwinnie to tu, to tam pomiędzy cizbą siedzących za stołami, zagadnąłem Darby'ego, co tu porabia. Ku niemałemu zdziwieniu mojemu chłopak stał się markotny i odpowiadał mi półsłówkami. Raz tylko ujawnił iskierkę zainteresowania, gdy napomknąłem:

- Iście diabelska była ta pieśń, którą śpiewałeś, Darby.

- A jakże! - zawołał. - Hej, kiedy się ją śpiewa, czuje się krew spływającą po kordelasie.

- A któż to byli ci inni, co z tobą śpiewali?

Posepny wyraz, niby zasłona, zakrył mu oblicze.

- Ach, marynarze-kamraci.

- Twoi?

- Gdzie tam! Pana Silvera.

- Jakież są ich nazwiska?

- Nie wiem.

- Oho! Nie wymiguj się, Darby!

- No... na jednego on wołał Billy Bones, a na drugiego Czarny Pies... ale ten drugi nie ma nic szczególnego w charakterze.

Silver, który był zniknął za drzwiami, postępując w ślad za jednym z pijaków, ukazał się prowadząc jakiegoś wysokiego mężczyznę o pociągłej twarzy, przybranego w bogaty strój srebrno-czarny; szabla o złotej rękojeści świadczyła o szlacheckim pochodzeniu przybysza. Tego to człowieka Silver przyprowadził do mnie, okazując serdeczną uprzejmość.

- Udało mi się szczęśliwie, panie Ormerod! - zawołał, gdy mogłem go już dosłyszeć. - Mój przyjaciel dowiedział się przypadkiem, że pułkownik jest na górze. Oto ten młody pan, o którym mówiłem waszmości. Czółem wam obu,

cni panowie, jestem zawsze do usług!

I kołysząc się na szczudle odszedł w stronę kąta, gdzie kamraci powitali go okrzykami.

Człowiek o szczupłej twarzy rzucił na mnie bystre spojrzenie, rzekłbym, wprost podejrzliwe. Był on z natury gorączka, w oczach migotał mu jakby nieustanny płomień.

- Cóż powiecie, miły panie? - zagadnął. - O ile zrozumiałem, chciałeś asan ze mną rozmowy?

- Jeśli waćpan jesteś pułkownikiem O'Donnellem...

Kiwnął głową niecierpliwie.

- ...tedy powiem waszmości, że pańska córka oczekuje was na dworze - dokończyłem.

Był szczerze zdumiony.

- Moja córka?... Kim jesteś, asan, że występujesz jako jej opiekun?

Byłem zakłopotany i nie zawahałem się pokazać tego po sobie.

- Ona sama, wyszedłszy na brzeg, pytała mnie o drogę tutaj, a ponieważ uważałem to za rzecz mało prawdopodobną, byś waćpan był rad jej wchodzeniu do izby szynkowej, przeto sam ofiarowałem się, by was do niej przyprowadzić.

Mogłem się teraz przekonać, jak był do niej podobny: kąciki ust opadły mu w dół zupełnie w ten sam sposób co u niej. Jednocześnie burknął po hiszpańsku coś jakby przekleństwo.

- Jestem waćpanu mocno zobowiązany - odrzekł chłodno. - Jest to jeszcze dziewczeczka zupełnie nie znająca świata, a ja muszę być dla niej zarazem ojcem i matką.

Ukloniłem się i usunąłem w bok, by dać mu przejście.

- Panie Ormerod... wszak tak nazwał cię ów marynarz? - mówił dalej O'Donnell - może waszmość pozwolisz starszemu człowiekowi, że wyrazi ci uznanie za postępek tak zacny.

Mowa jego zatraçała tonem z lekka pompatycznym.

- Nie są mi obce najznamienitsze gniazda naszej społeczności w Starym Świecie i mam zaszczyt piastować urząd szambelana na dworze monarchy, który - choćby na ziemi angielskiej nie wolno było wymieniać jego imienia - przecież kiedyś odzyska władzę wydartą mu przez przywłaszczyciela. Nie potrzebuję chyba nic więcej dodawać do tych słów.

- Rozumiem, szanowny panie - odrzekłem. - Ale czy mogę przypomnieć, że panna O'Donnell czeka na waszmości?

Prześliznął się po mnie zniecierpliwionym spojrzeniem i wyszedł na ulicę, a za nim ja i Darby, upojony widokiem jego kosztownej odzieży, koronkowych mankietów otaczających mu przeguby rąk oraz ozdobnej rękojeści jego szabli. Skoro we trójkę wynurzyliśmy się z sieni, panna O'Donnell przyskoczyła do ojca i uchwyciła go za poły surduta.

- Ach, padre! - wołała w narzeczu irlandzkim, w którym zacierały się jej słowa przybierając szorstkie brzmienie - nie powinieneś mieć mi tego za złe, bo już mi się sprzykrzył pobyt na okręcie i chciałam poczuć ziemię kruszącą się pod stopami; a kiedy ciebie nie było, czułam się tak samotna, że omal nie płakałam wysiadując w kajucie i nie mając nic innego do roboty, jak czytanie godzinek!

Pułkownik zmiękł, jakby to się stało na jego miejscu z każdym mężczyzną, i wziął ją w objęcia gestem zakrawającym nieco na teatralność.

- Cyt, cyt! Moiro! - upomniął ją łagodnie - był to z twej strony postępek niewłaściwy, a w krajach hiszpańskich nabawiłoby cię to niemałych przykrości. Pamiętaj, żeby to się nie powtórzyło po raz drugi. Oddam cię pod opiekę Juana, a ponieważ już zakosztowałaś swobody, musisz wracać na okręt, albowiem mam jeszcze wiele spraw wymagających mej obecności. Ach, prawda, musisz jeszcze należycie podziękować temu kawalerowi za jego uprzejmość. Jest to pan Ormerod, moja droga! Jego ojciec jest znacym kupcem w tym mieście.

Panna O'Donnell obdarzyła mnie zgrabnym dygiem, a ja odwzajemniłem się jej ukłonem, zachodząc w głowę, skąd pułkownik zdobył o mnie tak dokładne wiadomości. Gdyśmy się spotkali w szynkowni, wydawało mi się, że nie wie zgoła, kim jestem.

- Oczywiście, nawet nie będę starała się panu dziękować - rzecze do mnie moja dama mrugnawszy okiem - bo nie podobna mi dobrać słów, które by zdołały wdzięczność mą wyrazić. Ale w pańskich oczach, jaki kwadrans temu, musiałam wydawać się straszną gąską.

Pułkownik O'Donnell przerwał jej tonem karcącym:

- Niech ci to będzie nauczka, moja dziewczeczko. Jeszcze raz ci dziękuję, panie Ormerod. Wyraż ode mnie, jeśli łaska, uszanowanie swemu ojcu. Dobranoc waćpanu.

Zrozumiałem, że chciał się mnie pozbyć, i podjąłem słowa podpowiedzianej mi roli.

- Dobranoc waszmości! - rzekłem. - Szczęśliwej podróży, szanowna panienko! Jeżeli mogę być nadal czymś użyteczny, proszę mną rozporządzać.

- Nie, panie Ormerod, tu nasze drogi się rozchodzą - odpowiedziała łagodnie i oparła rękę na ramieniu ojca.

W chwilę później szedłem z pośpiechem w północno-zachodnią połąć miasta; Darby Mc Graw, idąc obok mnie, paplał bez ustanku, jak gdyby świetna uroda panienki wyгнаła strapienie z jego duszy.

- Ach, toć to była piękna i miła dziewczeczyna, w sam raz dla was, panie Robercie! - pokrzykiwał - Czy pan słyszał, jak śpiewny był jej głos? I czy pan widział błękit jej oczu, co były niby woda jeziora otoczona wokół zielonymi niwami i oświetlona bladym słońcem? Bije od niej dech torfiastej ziemi irlandzkiej... ale tej, niestety, już nigdy nie zobaczę, bo powiedziano mi, że mam być korsarzem.

- Pleciesz duby smalone! - odpowiedziałem szorstko.

- DUBY? - powtórzył. - Ciężkie to słowo, panie Robercie. Ale... teraz... pan wstawi się za mną u pana starszego? Czy tak?

Powiedziałem, że uczynię zadość jego prośbie, głównie dlatego, by nareszcie powstrzymać jego roztrajkotany ozór; on zaś podskoczył w górę jak żreback, który dopiero pierwszy raz zakosztował owsa.

- Ej, zastawia na was sidła ta wytworna panienka! - mówił dalej. - Ona miała jakieś plany, jeszcze by nie! No, dla niej zgodziłbym się nawet nie być korsarzem.

- Już jej nigdy nie zobaczymy, Darby! - odrzekłem. - Za parę tygodni będzie ona za wyspami Karaibów, a my tu, w Nowym Jorku, będziemy nadal zajmować się swoją pracą.

Rzucił mi chytre spojrzenie i rzekł:

- Doprawdy; mądrzejszy od papieża jest taki człowiek, co potrafi powiedzieć, co będzie za parę tygodni, panie Robercie...

III

Nocny gość

Siedzieliśmy przy wieczerzy do późna w noc, gdyż ojciec chciał koniecznie, bym mu powtórzył od początku do końca całą opowieść o moich przygodach za dnia; okazywał przy tym niezwykle wprost zaniepokojenie, natomiast Piotr Corlaer zjadał wciąż z uroczystym spokojem, a w jego małych oczkach, prawie schowanych za przedmurzem ciała, ledwo czasami błysnęła iskierka ciekawości.

- Słyszałem niegdyś o tym pułkowniku O'Donnellu - ozwał się mój ojciec, gdy zakończyłem opowiadanie. - Bawił on w Szkocji z królewiczem Karolem... Był to jeden z tej szajki irlandzkiej, która znęcona nadzieją zysku, wmieszała się w tę burdę... o ile prawda, co mówią ludzie. Dziwię się jego lekkomyślności, iż tu wylądował, bo w Anglii chybaznaczono cenę na jego głowę. Niewątpliwie w gospodzie "Pod Głową Wieloryba" urządził sobie schadzkę z jakimś tutejszym sprzymierzeńcem jakobitów... wszak to doskonałe miejsce na takie spiskowania... Kapitan fregaty, jak opowiadał mi pan Colden, dziś rano odwiedził gubernatora zmyślając kosałki-opałki o pomyłce w obliczeniach, która zaniósła go na północ od właściwego celu żeglugi. Czuję w tym jakieś knowania jakobickie! Twój posepny przyjaciel Jenkins miał rację. Nie wierz nigdy Hiszpanowi, gdy przybywa udając przyjaźń.

- Panna O'Donnell powiedziała, że mają jechać na Florydę - sprzeciwiałem się. - W takim razie chyba nie bardzo zeszli z drogi.

Ojciec po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Młode dziewczątka nie może wiedzieć o zamiarach swego ojca. A jeżeli ona... Nie, nie, chłopcze, ja sam w młodości też brałem udział w spiskach. Nasi jakobici to zatracona zgraja!

- Ależ ty sam, ojcze, byłeś jednym z nich - wytknąłem mu nieco złośliwie.

Ojcu twarz spoważniała.

- Prawda, ale doświadczenie nauczyło mnie rozumu, wierz mi, Bob. Anglia to rzecz ważniejsza niż jakiś tam król czy rodzina. Trzeba mieć na względzie kraj, a nie człowieka. Anglii powodzi się lepiej pod panowaniem Jerzego Hanowerskiego, niż powodziło jej się kiedykolwiek za rządów Karola czy Jakuba Stuarta.

Nie dałem się jednak przekonać.

- Ależ, panie ojcze, nie jest to chyba wcale rzeczą osobliwą, że Hiszpanie wysyłają inżyniera celem obejrzenia swych obwarowań z tej strony Atlantyku?

- Irlandzkiego oficera inżynierii?

Tu ojciec uśmiechnął się znowu.

- Temu właśnie należy się dziwić. Ale co tam! W tak zagmatwanej sprawie nie możemy spodziewać się odkrycia prawdy; ja też nazbyt nie zaprzątam sobie tym głowy. Spiski jakobitów są to przeważnie źle obmyślane porywy ludzi zrozpaczonych i pomylnych. Nie, chłopcze, jeśli chodzi o to, co mnie najwięcej dręczy; to owe wiadomości, jakich udzielił ci żeglarz o jednej nodze - zdaje się, nazwałś go Silverem? Tak, niemiło mi słyszeć, że piraci są tuż za naszą przystanią. Wygląda to na jakieś nadzwyczajne zuchwalstwo.

Jeśli Murray...

W tej chwili drzwi za mną skrzypnęły i ujrzałem, że ojciec otworzył szeroko usta. Piotr, siedzący na prawo ode mnie, zamrugał powiekami, a potem zabrał się do dalszego rozgniatania orzechów.

- Słyszałem, żeś mnie wspomniał, Ormerodzie?

Głos, dochodzący od strony drzwi, brzmiał zimno i jednostajnie, odbijając się echem jak dźwięk dzwonu.

- "Jeżeli Murray"... Zdawało mi się, że słyszałem swoje nazwisko?

Odwrociłem się. W drzwiach stała postać najgodniejsza uwagi ze wszystkich, jakie w życiu widziałem. Był to mężczyzna rostry, prosty jak trzcina, mimo lat, które gęstą siecią zmarszczek okoliły jego oczy. Barczyste plecy zdawały się lepiej uwydatniać przepyszny krój czarnego, aksamitnego surduta, jaki nosił na sobie. Pludry (szerokie, bufiaste spodnie charakterystyczne dla dawnego stroju niemieckiego) miał żółte z pięknego adamaszku, a pończochy jedwabne tejże barwy. Diamenty skrzyły się na sprzączkach jego trzewików, na kieszonce kamizelki, na palcach i na rękojeści szpady. Wielki rubin gorzał w brabanckim (zrobiony z kosztownych koronek, z których wyrobu słynęła belgijska prowincja Brabant) żabocie spływającym mu spod szyi. Z ramienia zwieszał mu się płaszcz, a pod pachą miał kapelusz powyginany według ostatniej mody.

Wszelako w pamięci każdego wyryć się musiało przede wszystkim jego oblicze. Rysy miał wydatne i ostro wyrzeźbione; nos sterczał mu, jak dziób, nad wąsko wyciętymi wargami, a dolna szczeka była kanciasta, co nadawało jego twarzy srogi wyraz; w oczach czarnych i żywych igrały bure światełka. Włosy, srebrzące się niepokalaną siwizną, były zaczesane w tył, splecione i związane czarną wstążką. Policzki i skronie poorane miał mnóstwem bruzd, jednakowoż ciało wyglądało tak jędrnie jak moje. W każdym calu znać w nim było ogładę, zacność rodu i bogactwo, ale łączyło się z tym wrażenie, iż człowiek ten kieruje się w życiu niecną przemocą i samowolą, a charakter jego cechuje bezwzględne samolubstwo, nie liczące się z niczym, jak tylko z własną korzyścią.

Na moje uporczywe spojrzenie odpowiedział lekkim, jakby trochę drwiącym ukłonem.

- To twój syn, Ormerodzie? - mówił dalej. - Mój cioteczny wnuk? Nazwałeś go Robertem, jak mi się zdaje, ze względu na straszliwego imię pana Jugginsa z Londynu, który pomógł ci rozpocząć nowe życie, gdy postanowiłeś rozbić się na rafach sprzysiężenia jakobickiego.

Ojciec powstał z wolna.

- Tak, to mój syn, Murrayu. Nie jest to winą ani jego, ani moją, że jest on również twoim ciotecznym wnukiem. Co się zaś tyczy jego imienia, to Robert Juggins był lepszym człowiekiem od ciebie i ode mnie, więc nie możesz źle usposobić mego syna do mnie, przebąkując o zatajonych kartach mego dawniejszego żywota. On wie, że dałem się zwieść wstępując na służbę Stuartów, a z biegiem lat doszedłem do przekonania, że kraj należy bardziej cenić niż króla; o tym właśnie rozmawialiśmy przed twoim przybyciem.

Człowiek stojący w drzwiach kiwnął głową.

- Zdaje mi się, że przypominam sobie, iż cię to nieco obchodziło... gdy jakobici wyrzucili cię z Francji, a hanowerczycy wygnali cię z Anglii. Tak, tak!

Zatrzasnął drzwi za sobą i przeszedł poza moimi plecami ku lewej stronie

stołu, gdzie znajdowało się puste krzesło.

- Nie chciałbym wydawać się niegrzecznym - nadmienił łaskawie. -
Sporządkiem tu innego jeszcze starego przyjaciela, Ormerodzie... a raczej
winiem powiedzieć nieprzyjaciela. Niechże mi wolno będzie zauważyć,
Corlaerze, że wyglądasz na swe lata... zaiste tak jak i ja.

Piotr strzaskał twardy orzech w palcach i spojrzął w roztargnieniu na
twarz Murraya.

- Ja - odpowiedział.

- Abyś się nie dał uwieść jakim złym zamiarom - mówił dalej Murray -
oznajmiam ci, że z całą słusnością mogę mniemać, iż wszystko, cokolwiek
byś knuł przeciwko mnie, spełźnie na niczym. Wiem doskonale, jak
niebezpieczną przebiegłość ukrywa Piotr pod tą gładką gębą, więc nie
chciałbym widzieć go urażonym...

- Ja, masz aspan być pefny! - zachichotał Holender.

- Zapewniam pana, że tak jest w istocie - odpowiedział Murray. -
Spodziewam się, że to, po co przybyłem w noc dzisiejszą, odbędzie się bez
niczyjej obrazy, a jeżeli waćpanowie zechcą posłuchać mnie spokojnie przez
chwil parę, dufam, że wynik naszej rozmowy nikomu z nas nie przyniesie
szwanku.

Odrzucił płaszcz i kapelusz na krzesło koło kominka i oparł rękę na
pustym krześle pomiędzy ojcem a mną.

- Czy można?

Ojciec, wciąż jeszcze stojąc, nie rzekł ani słowa. Murray zaś, ruszywszy
ramionami i biorąc milczenie za znak zgody, rozsiadł się wdzięcznie w
krześle i wyciągnął z kieszeni złotą tabakierkę wysadzaną brylantami.

- Za pozwoleniem... - odezwał się podnosząc wieczko.

Przenikliwa woń tabaki połaskotała mój węch, gdy przybysz jął częstować
nas kolejno.

- To przedni gatunek! - zauważył. - Prawdziwa rip-rap. Co, żaden z was
nie raczy?... A zatem...

Wziął szczyptę proszku, wciągnął w nozdrza, a potem z gracją wytarł nos
chusteczką, małą i obszywaną koronkami, jaką noszą niewiasty!

- A więc to prawda!

- Prawda... Mój drogi panie, zapewniam cię, że to była rip-rap.

Ojciec zwrócił się do Piotra i do mnie.

- Gdy opowiedziałem ci... Robercie... o tym człowieku... mniemałem, iż
się mylę... że wyrządziłem mu krzywdę. Ale teraz on sam własnymi usty wydał
na siebie wyrok potępiający.

Murray spokojnie położył tabakierkę na stole przed sobą.

- Aha! - mruknął. - Wiem, o co chodzi. Waćpan czynisz przytyk do mego
przezwiśka, a raczej powiedzmy: nom de guerre (Nom de guerre (franc.) -
pseudonim; dawniej imię, które przyjmowano przy wstąpieniu do wojska.)

Ojciec gorzko się roześmiał.

- Nom de guerre! Miano korsarza! Ale mówmy ze sobą jasno i otwarcie,
Andrzej Murray. Czy to waszmość jesteś kapitanem Rip-Rapem?

- Mniemam, że wiele ludzi przyznałoby słusność pańskiemu określeniu -
odparł Murray - chociaż ja osobiście wolę słowo flibustier. Temu słowu
można bowiem nadawać o wiele rozleglejsze znaczenie i łączy się z tym
wrażenie pewnej... Mniejsza o to, nie będziemy tu dziś nocą zagłębiać się
w zawilosci etymologii. Dość, że ja to jestem ową osobą znaną powszechnie

na oceanach jako kapitan Rip-Rap i mógłbym, jak mi się zdaje, dowieść, że jeżeli z tego powodu ciąży na mnie jakaś sromota, to właśnie ty, Ormerodzie, przywiodłeś mnie do rzemiosła, które nazywasz korsarstwem.

- Tylko ty umiesz zdobyć się na taki ton - rzekł mój ojciec. - Ja odwoziliśmy cię od tego rzemiosła, ale ty nie zmieniłeś po dziś dzień sposobu nabywania majątku, Murrayu. Byłeś wyrzutkiem społeczeństwa i dziś nim jesteś.

- Zdaje mi się, że nie potrafisz być względem mnie sprawiedliwy! - westchnął Murray. - Powinieneś być wiedzieć, że służyłem zawsze celom wznioślejszym niż tylko samo brudne zdobywanie grosza, jak zdobywasz go ty i tobie podobni.

Pokiwał smutnie głową.

- Miałem o tobie lepsze mniemanie, Ormerodzie. W tobie, człowiecze, płynie krew zacnego rodu. Czyż, u licha! nigdy nie pomyślisz o tym, ile tracisz odgrywając tu rolę drobnego kupca kolonialnego?

- Wolę myśleć o majątku, który zdobywam bez niczyjej pomocy, gołymi rękoma, dzięki temu, że mam głowę na karku, aniżeli o dworku w Anglii, który utraciłem wskutek młodzieńczego szaleństwa - odciął się mój ojciec. - Atoli nigdy nie spodziewałem się, że korsarz będzie mi tu bąjał o zaletach szlachectwa. Phii!

Murray spaşował na twarzy, a do jego mowy zakradło się szkockie seplenienie.

- Nikt nie ma prawa nic zarzucać memu urodzeniu! - wykrzyknął. - Pochodzę z krwi zacniejszej niż waćpan; węzłami pokrewieństwa złączony jestem z Jakubem V. Jestem spowinowacony z Douglasami, Homeami, Morrayami, Keithami, Hepburnami i najstarszymi rodami z Highlands (wyżyna szkocka)!

- Słyszałem o tym i dawniej - rzekł ojciec oschle.

Murray odetchnął głęboko, czyniąc wysiłek, by zapanować nad sobą.

- Dajmy temu spokój! - zawołał robiąc gest wspaniałomyślny. - Do czegoż to zmierza? Jestem, łaskawy panie, tym, czym jestem... a nadejdzie dzień, gdy stanę na równi z najwyższymi.

I z wielką dumą wyprostował się w krześle, ale ojciec mój odrzekł z tą samą oschłą zgryźliwością:

- I to słyszałem dawniej. Raz, pamiętam, spodziewałeś się, że zostaniesz księciem, ciągnąc nieczne zyski z knowań jakobitów. Tak, za godność para (dostojnik zasiadający w wyższej izbie parlamentu w niektórych państwach monarchicznych) chciałeś zrujnować kraj ojczysty, sprzedać go Francuzom. Teraz, jak przypuszczam, znowu uczyniłbyś to chętnie.

- A ty byś co uczynił? - Murray zażył szczyptę tabaki. - Szczęście mi nie dopisało, choć ty sam i ten niemrawy Piotr wiecie dobrze, jak niewiele mi brakowało do urzeczywistnienia planów.

- Ja - pisał Piotr, wciąż zajęty łupaniem orzechów i powolnym żuciem ich jądra.

- Miałem szczęście iście diabelne! - mówił dalej Murray nie zwracając uwagi na Holendra. - W roku 1745 byłem o pół świata oddalony od placu boju; zanim zdołałem powrócić, królewicz przegrał wojnę i zginął. Hańba! Według mnie...

- Według waszmości powinno się było wydać go rządowi za nagrodą trzydziestu tysięcy funtów, którą ofiarował Cumberland - rzekł mój ojciec.

Murray przybrał minę obrażoną.

- Oskarżano mnie o wiele rzeczy - odpowiedział - ale nigdy o niewierność względem króla Jakuba lub jego synów!

- Prawda! - potwierdził mój ojciec - nic byś waszmość na tym nie zyskał. Wszystkie twoje korzyści płynęły z innej strony.

- Słowa waćpana są niesłuszne - odezwał się Murray, z wyniosłością, jakiej nie okazywał poprzednio. - Zaiste, jeżeli zdarzenia pójdą takim tokiem, jaki przewiduję, dam niebawem dowód, i to nie byle jaki, mojego przywiązania do cnej sprawy. Obmyślam pewien fortel, który...

Nagle obrócił się w moją stronę.

- Ależ zapomniałem o głównym celu mego przybycia! - zawołał. - Wstań no, mój wnuku, niechże ci się przypatrzę.

Chciałem pominąć te słowa, ale ojciec rzekł dobitnie:

- Spełnij jego życzenie, Robercie. Nie chciałbym, by on sobie myślał, że masz nogi wykoślawione.

Co było robić? Powstałem.

- Pięknie zbudowany - zauważył tonem serdecznym. - Jak widzę, wdałeś się w ojca, może tylko z wyjątkiem twarzy: przypominasz zupełnie swoją matkę, moją wychowanicę Marjory. Ach, gdybyż ta droga dziecina żyła jeszcze pośród nas! Bolesna strata... bolesna strata, mój chłopcze!

Twarz ojca przybrała wyraz strasznego uniesienia. Pochylił się w stronę Murraya, zbladł i nozdrza mu się ściągnęły:

- Murray! - odezwał się. - Zamilcz! Jeśli cenisz swe życie, nie wspominaj jej po raz wtóry! Nie wiem, co cię tu przywiodło, ale chociażbyśmy nawet mieli wszyscy zginąć za chwilę, utłukę cię na miejscu, jeżeli będziesz kłał jej pamięć swym niecnym językiem!

Murray wpatrzył się w niego chłodno i zażył niuch tabaki.

- Ach, prawda, waćpan zawsze byłeś przesądny - odpowiedział. - Ja... Ale rozjątrzenie zabliznionych ran do niczego nie prowadzi; w tym zgadzam się z waćpanem. Wszelako odpowiedz mi na jedno pytanie: czy zatruwałeś duszę chłopca jadem nienawiści przeciwko mnie?

Ojciec opadł z powrotem na krzesło i kwaśno się skrzywił.

- Czy zatruwałem jego duszę? - powtórzył. - Wczoraj dopiero po raz pierwszy opowiedziałem mu, kim waszmość jeste i czym się parasz. Sam ściągnąłeś to na siebie uprawiając na tutejszych morzach swe zbójcekie rzemiosło. Aż do tego czasu chłopak nawet nie wiedział, że waszmość istniejesz... i że jesteś jego krewnym.

Mój dziadek - zacząłem z wolna uważać go w myślach za takiego - jął ważyć te słowa przechyliwszy w bok głowę i wodząc bystrymi oczyma to po ojcu, to po mnie.

- Widzę to, widzę! - mruknął. - Hm! Boję się, że umysł jego został już skażony. Ale mnie to nie dziwi. Nie, nie! Byłem na to przygotowany.

- Na co? - zapytał mój ojciec.

Murray nagłym ruchem przechylił się przez stół.

- Będę szczery z tobą, Ormerodzie... i z moim wnukiem Robertem. Mam pewne kłopoty...

- Jeśli chodzi o pieniądze... - rozpoczął ojciec.

Jeden gest mojego dziadka wystarczył, by przerwać to zdanie.

- Nie mam kłopotów pieniężnych, choć może się wydawać, że jestem w sytuacji wymagającej sum niemałych. Mówiąc dokładniej, łaskawy panie, zamierzam uczynić ważne posunięcie, które pociągnie za sobą doniosłe

skutki, a w końcu, jak przewiduję, odbije się echem w salach tronowych i kancelariach królewskich. Tak! królestwa będą...

Przerwał na chwilę, po czym znów podjął:

- Jest rzeczą zbyteczną nad tym się rozwodzić. Na razie wystarczy, gdy powiem, że jestem w położeniu człowieka, który częściowo ugłaskał srogą czeredę dzikich zwierząt. Na moim okręcie mogę w pewnej mierze polegać, ale do sojuszu z sobą wciągnąłem...

- Pewno Flinta?! - wykrzyknął mój ojciec.

- Pochlebia mi znajomość spraw moich, jaką waćpan okazujesz - odparł mój dziadek z właściwą sobie dworską układnością. - Tak, gdy po raz pierwszy wybierałem się na morze, potrzeba mi było wytrawnego kierownika okrętu; Flint służył mi w tym charakterze, póki nie nabrałem samodzielności, wtedy zaś zrobiłem go właścicielem i dowódcą drugiego okrętu. Odtąd krążyliśmy razem po morzach. Nie zdradzę tajemnicy zawodowej, gdy nadmienię, że niewątpliwie wybitne zalety osobiste tego człowieka przyćmiewa pewna burzliwość i szorstkość jego charakteru, które sprawiają, iż trudno nim kierować... bodajże coraz trudniej kierować. Przewiduję, że niebawem będę miał z nim kłopot w związku z przedsięwzięciem, o którym wspomniałem przed chwilą.

- A waszmość pewnie sądzisz - nagabywał go zgryźliwie mój ojciec - że my powinniśmy, gwoli waszmości, wziąć na siebie uprzątnięcie tego człowieka... ot tak sobie, z dobrego serca, ażeby poprzeć rzemiosło korsarskie.

Murray, zgoła nie stropiony, potrząsnął głową.

- Nigdy nie pozbywam się człowieka, który może mi się jeszcze przydać - odpowiedział. - Nie, potrzeba mi młodego człowieka, który by stał przy mym boku i pomagał poskramiać niesforne duchy. Obiecuję mu za to wielką przyszłość.

- Zapewne dowództwo nad własnym statkiem korsarskim? - przypierał go do muru mój ojciec.

- Byłaby to propozycja pociągająca nawet dla najświetniejszych młodzianów! - odciął się dziadek. - Ba, czymże jest korsarstwo, Ormerodzie, że ty i tobie podobni strzępicie sobie na nas języki?

W czymże jest ono gorsze od większości zajęć uprawianych na tym świecie? Czymże jesteś ty i tobie podobni, jak nie ludźmi starającymi się odebrać innym ich pracowite zyski, byleście tylko mogli powiększyć swe mienie? Ja zabieram bogaczom, którzy mogą przeboleć stratę tego, co przeważnie zdobyli nieuczciwym sposobem, a większość z tego, co zdobędę, składam w dani sprawie, której niegdyś i waćpan byłeś wierny.

- Dziwny kodeks moralności! - zauważył ojciec.

- Tyle wart co każdy inny - uznał Murray łagodnie. - Przed chwilą nazwałeś mnie wyrzutkiem społeczeństwa. Nie mogę temu zaprzeczyć. Jestem banitą, ponieważ na swój sposób pracowałem, by przywrócić tron prawowitemu monarsze. Waćpan, który niegdyś służyłeś temu wygnanemu królowi, zwróciłeś się przeciw niemu i podkopałeś mnie, uczyniłeś mnie banitą. No, działałem, jak potrafię, a od czasów Morgana nikt nie prowadzi gry tak szczęśliwie - powie ci to każdy żeglarz.

- Dałbym za to głowę! - odrzekł mój ojciec. - Ale wracajmy do rzeczy! Czego sobie życzysz? Czy abym powierzył tobie Roberta celem wykierowania go na tęgiego, uczciwego, wiernego i zręcznego korsarza?

- Otóż właśnie tak.

Ojciec usiadł głębiej w krześle.

- Ja tego nie uczynię! - rzekł krótko.

Murray zażył tabaki.

- A cóż powiada sam nasz młody kawaler? - zapytał.

- Mówię, że nie nęci mnie to, co mi waszmość ofiarowujesz! - odpowiedziałem jak najdobitniej.

- Do licha! - zaklął ów. - Nie nęci? Mój kochany wnuku, ofiarowuję ci życie hartowne i swobodne, udział w śmiałym przedsięwzięciu, sposobność do rehabilitacji swej rodziny i pozyskanie stanowiska, tytułów i zaszczytów.

- Na okręcie korsarskim? - zadrwiłem.

- Z okrętu korsarskiego - poprawił mnie dziadek z powagą. - Jadę na ostatnią wyprawę. "Król Jakub" ma udowodnić słuszność swego miana. Tak, w najbliższej przyszłości będzie uważany za arkę wierności i poświęcenia, a kto na nim żeglował z Andrzejem Murrayem... O, tak, mości panie, któż dziś pamięta o Robin Hoodzie cokolwiek ponad to, że pozostał on wierny w przeciwnościach królowi Ryszardowi?

Pewność tego człowieka była wprost zdumiewająca.

- To przechodzi wszelkie pojęcie - odezwał się ojciec, znudzony. - Waszmość musisz być szalony.

- Niezupenie! - odciął się Murray. - Jestem najlepszym praktykiem w mym zawodzie. Winter, Davis, Roberts, Bellamy, wszyscy... och... znani korsarze lat dawniejszych, były to tylko małe płotki w porównaniu ze mną. Nielatwo byś mi waćpan uwierzył, gdybym ci zaczął opowiadać o mych zasobach.

- Krwią skalane pieniądze! - huknął mój ojciec. - Złodziejskie pieniądze!

- Ach, znowuż te nieszczęsne poglądy! - sarknął Murray. - Powiadam ci, Ormerodzie, że mieszasz chłopcu szyki.

- Nie jest on chłopcem, lecz już dorosłym mężczyzną - ofuknął go mój ojciec - więc też potrafi sam stanowić o sobie.

- I owszem.

Dziadek zwrócił się znów do mnie.

- Zdaje mi się, że rozstrzygnięcie tej sprawy pozostawiono nam obu, Robercie - przemówił. - Przeto muszę ci oznajmić, że postanowiłem tak czy owak zdobyć twą pomoc; jeżeli nie dasz się namówić do pójścia ze mną, użyję siły...

W tej chwili rozległ się trzask orzecha brazylijskiego pękającego na kawałki w garści Piotra. Murray machnął dłonią w tę stronę.

- Prawda to, Corlaerze, że jesteś najsilniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem - zauważył - wszelako nalegam, byś nie próbował przemocy. Mam w tym domu dość ludzi, by ci obez władnić, a w razie potrzeby nie zawaham się zabić Ormeroda lub ciebie. Spośród was trzech jedynie życie chłopaka ma dla mnie wartość.

- On mówi, co myśli, Piotrze - rzekł ojciec. - Trzymaj ręce przy sobie.

- Ja - pisnął Piotr.

- Zawsze był z ciebie człek mądry, Ormerodzie - podjął znów dziadek. - Winszuję ci zdrowego rozsądku. A teraz z tobą sprawa, Robercie. Pójść ze mną musisz, ale wolałbym, byś szedł chętnie. Przeto wyłożę ci następujące okoliczności: po pierwsze, puszcza się w niebezpieczną wyprawę pod banderą sprawy państwowej, choć surowy legalista uznałby tę wyprawę raczej za korsarską - widzisz, staram się postępować z tobą, na mój sposób, uczciwie; po wtóre, nikt nie zamierza uczynić ci krzywdy; po trzecie, nasze

zamysły będą nagrodzone sowitą zapłatą; po czwarte, wszystkie zyski, jakie mi stąd urosną, postanawiam obracać wyłącznie na twoją korzyść - ty, Robercie, zostaniesz moim spadkobiercą, a jeżeli jesteś mi potrzebny w wykonaniu tego przedsięwzięcia, to na pewno zdołam stokrotnie ci się odplacić, czy to materialnie, czy w inny sposób, za wszystko, co dla mnie uczynisz. Bądź co bądź jestem twoim, po ojcu, najbliższym krewniakiem, a powiem ci skromnie, że moja pomoc nie zasługuje na wzgardę.

Ze sposobu, jakim przemawiał, można było wnosić, że ofiarowuje mi przynajmniej wielkorządztwo jakiejś prowincji, a niezaprzeczone wdzięk tego człowieka nadawał słowom jego jakąś moc czarodziejską, którą potęgowała jeszcze jego wytworna powierzchowność. Odczuwałem to pomimo rosnącej we mnie zawziętej przeciwko niemu nienawiści.

- Nie pojedę dobrowolnie - odpowiedziałem. - Choćby mnie nawet nęciły waszmościne warunki, to i wtedy czułbym w nich groźbę przymusu.

- Przepysznie to powiedziałaś! - przyklasnął mi. - Dalibóg, widzę, że z ciebie chłopak dzielny co się zowie. Takiego właśnie mi potrzeba.

Zerwałem się oburzony do żywego jego beczelnością.

- Takiego właśnie nie zdołasz waszmość pojmać! - wrzasnąłem. - Przywołaj swoich drabów, a ja w pańskich oczach rozplątam im gardziele!

- Powoli, powoli! - zaczął mnie strofować. - Moje draby, jak ich nazwałeś, mój wnuku, nie są barankami, a muszę cię przestrzec, że trupy padłyby nie tylko z jednej strony. Jeżeli cenisz życie swego ojca, nie próbuj nawet ruszać się z miejsca.

I wydobywszy z kieszeni kamizelki srebrny gwizdek przyłożył go do ust. Przenikliwy gwizd rozległ się w całym pokoju; w tejże chwili z sieni i kuchni wpadło kilkunastu wilków morskich, a stukanie do dwóch okien świadczyło, że inni pełnili wartę na dworze.

Małe, prosiące oczki Piotra Corlaera obrzuciły napastników jednym tylko przelotnym spojrzeniem, jednakowoż on sam ani na chwilę nie zaprzestał ustawicznego rozgniatania i zajadania orzechów. Na twarzy mojego ojca malował się jednocześnie wściekły gniew i lęk - nie o siebie, lecz o mnie. Wpatrzył się osłupiałym wzrokiem w dzikie postacie, w obnażone kordelasy, w pistolety gotowe do strzału, prawie nie dowierzając, że widzi to wszystko na jawie. Zaiste było to widowisko wprost niesamowite w tym zacisznym domu, w mieście uważanym przez nas za najbardziej cywilizowane w koloniach angielskich, a jeszcze większa zdjęła mnie zgroza, gdy tuż za drzwiami sieni spostrzegłem złowrogą twarz mahoniowej barwy oraz wisielczy wzrok, przysłonięty pasmem czarnych włosów, za nimi zaś znaną mi rudą czuprynę.

- Hej tam, Darby! - zawołałem. - Cóż ty tu robisz w takim towarzystwie? Czy wiedziałeś, że ci ludzie są piratami, gdy piłeś z nimi "Pod Głową Wieloryba"?

- Pewnie! Przecież przyjęli mnie do swej szajki! - odparł ów głupekowato.

- Więc stałeś się korsarzem, Darby? - przemówił ojciec, dopiero teraz go zobaczywszy.

- A juści! - odparł Darby z przechwałką. - Potrafię być tak srogi jak i drudzy.

- A więc to ty wprowadziłeś ich w mój dom i zdradziłeś swego pana! - rzekł na to mój ojciec markotnie. - Nie spodziewałem się tego po tobie, Darby. Czyż nie byłem dobry dla ciebie?

Darby stropił się.

- O tak, bardzo dobry, panie Ormerod! - potwierdził. - Ale oni dostaliby się do was tak czy inaczej, bo to chłopcy tęgą a cwane. Zresztą, sam pan widzisz, ja urodziłem się na to, by zostać korsarzem. Dalibóg, że tak!

Murray zaśmiał się z zadowoleniem.

- Dzielny to młokos i zajdzie daleko - zauważył. - Ponadto nie mija się on z prawdą mówiąc, że trafilibyśmy do ciebie i bez jego pomocy. Zbieg okoliczności był nam na rękę, ale bynajmniej nie był czymś nieodzownym. A gdzie Silver, panie Bones?

Człowiek o mahoniowej twarzy podniósł rękę do kapelusza.

- John zajął się służbą - odpowiedział. - A otóż i on.

W zastępie, stojącym koło drzwi kuchennych, utworzyła się luka i do pokoju wkroczył, postukując kulą, ów jednonogi marynarz, którego spotkałem rankiem tego dnia nad zatoką - wesoły i pogodny niby jakiś uczciwy gospodarz.

- Czy pan mnie wzywał, kapitanie? - odezwał się. - Właśnie uporaliśmy się z robotą... wszystko pokneblowane i powiązane, po bristolsku, na cały dzień jesteśmy bezpieczni, mosterdzieju! - Po czym zwrócił się do mnie: - Czołem, mości Ormerod; spodziewam się, że niebawem lepiej się poznamy.

Mój ojciec zbladł niepomierne.

- Ty... ty... na miłość Boską, Murrayu, nie zdołasz i tak porwać mego chłopca! Zważ! W twierdzy stoi załoga wojskowa. Gdy powstanie alarm, puszczą się w pościg za tobą, to cię...

- No, no, nikt nie podniesie alarmu! - odrzekł Murray spokojnie. - Bardzo mi przykro, ale jesteśmy zmuszeni związać ciebie i Piotra; będziecie bezwładni aż do czasu, gdy uda się wam rankiem przywołać jakąś życzliwą duszę, ale wówczas będziemy już na morzu.

- Oszalałeś! - krzyknął mój ojciec. - Wszystkie fregaty stojące w naszych portach ruszą w pościg za tobą.

Dziadek z lekka zachichotał.

- Nie nowina mi takie straszki. Znam się na nich od dwudziestu lat z górą.

Pochwyciłem krzesło, na którym siedziałem poprzednio, i wywinąłem nim nad jego głowę.

- Każ waszmość tym hultajom wynieść się za drzwi, bo w przeciwnym razie łby wam porozbijam! - warknąłem.

- John - odezwał się Murray, nie zwracając na mnie uwagi - bądź łaskaw strzelić prosto w starszego pana Ormeroda, jeżeli syn jego choć raz mnie uderzy.

- Według rozkazu, panie - odpowiedział Silver i wymierzył broń w mego ojca. Nawet nie oglądając się za siebie, poznałem, że reszta zgrai dybała na mnie i na Piotra. Piotr pierwszy przemówił rozkazując spokojnie:

- Postaw krzesło, Bob.

Człowiek przewany Czarnym Psem zarzucił mu pętlicę przez głowę i szarpnął jego ramiona w swoją stronę.

- Neen, neen - sprzeciwił się Piotr i nie okazując najmniejszego wysiłku rozerwał konopne powrozy.

Szmer podziwu przeszedł przez pokój i zbójcy poczęli się cofać pośpiesznie.

- Zastrzelcie tego człowieka, jeżeli to konieczne - zawołał Murray - ale, o ile można, posługujcie się raczej kordelasami!

- Neen - rzekł Piotr znowu - nie będziemy walczyć.
- Wypada nam teraz albo umrzeć, albo pozwolić im na porwanie Boba! - rzekł ojciec z żalością w głosie.
- Neen - rzekł Piotr po raz trzeci. - Kto umrze, ten już nie oszyje.
Mosze Bob kiedyś się od nich wydostanie. Lepiej szeby był u Murraya, niż szeby zginął.
- Wcale rozsądnie gada - zauważył Murray. - I tobie to zalecam, Robercie. Małe oczki Piotra łysnęły w jego stronę.
- Ja idę z Bobem - oświadczył.
- Nie, nie - sprzeciwił się Murray żywo. - Ciebie nie zapraszano, kumie Piotrze.
- Jeszeli ja nie pójdę, to i Robert nie pójdzie - odparł Piotr. - I pan nie pójdiesz. Mosze ja cię nie zabiję, ale skoro pofstanie strzelanina, nie ujdziesz stąd waszmość cało. Ja!
Murray ważył jego słowa, po czym rzekł:
- Zatem aśc uparłeś się dzielić los mego wnuka, a w przeciwnym razie zamierzasz ściągnąć niechybną śmierć na wszystkich nas tu obecnych, nie wyłączając jego i siebie?
- Ja - odpowiedział Piotr.
- Możesz iść z nami - oświadczył dziadek. - Twoje mięśnie mogą nam się przydać. Johnie, zdaje mi się, że będzie potrzeba podwójnych więzów na tego brańca.
- A jakże, a jakże, łaskawy panie! - przytakiwał Silver. - Mamy sporo tęgich obrączek. Chłopcy, chybajcie no który i przynieście te liny, które zostawiłem koło pieca. Ale to zuch, ten Darby! Zawsze chętny. Dobijesz się stanowiska nie lada. A jakże mam związać tego pana, który tu pozostaje, kapitanie?
Murray spojrział na ojca, a potem na mnie.
- Czy jużście się pogodzili z tym, co muszę nazwać nieodpartą koniecznością? - zagadnął uprzejmie.
Ojciec z jękiem osunął się na krzesło.
- Bylebyś waćpan nie pozwolił na wyrządzenie chłopcu jakiej krzywdy! - zawołał.
- Daję na to słowo honoru - odparł dziadek z wielką powagą. - O jego wygody i bezpieczeństwo chodzi mi bardziej niż o własną moją osobę, Ormerodzie, gdyż przewiduję, że jemu to przypadną w udziale wszystkie triumfy, jakich los mi odmówił. Wprawdzie tuszę, iż sam też nieco ich zakosztuję, ale... - tu po raz pierwszy cień przesłonił mu oblicze - jak waćpanu wiadomo, mam już lat sześćdziesiąt cztery, a niestała Opatrzność (co do boskości której skłonny jestem podzielać niedowiarstwo filozofów francuskich) nie obdaruje mnie już pono nazbyt długim życiem. Zresztą nawet nie życzyłbym sobie, by miało być inaczej. Nie pociąga mnie bynajmniej zgrzybiałość wieku sędziwego.
Ojciec wpatrywał się weń z nie udawanym zakłopotaniem.
- Dziwny człek z waszmości, panie Murray. Obym też mógł cię rozumieć!
- Nie potrafisz, więc na cóż się kłopotać? No, czas ucieka. Musimy odejść. Czy się poddajesz?
Ojciec pochylił głowę.
- Tak... przez wzgląd na niego... bodaj cię!... Robercie, nie stawiaj oporu. Jesteśmy w matni, z której na razie nie możemy się wyplątać, ale

bądź pewny, iż uczynię wszystko, co w mojej mocy, by cię wyzwolić.

Murray pchnął Silvera naprzód, dając mu rozkaz:

- John, dogodzisz, ile tylko można, panu Ormerodowi. Tak, przywiąż go do krzesła. Przy sposobności, w związku z ostatnim twoim powiedzeniem, Ormerodzie, chcę waćpanu przypomnieć, że każdy strzał do mego okrętu może ugodzić zarówno Roberta, jak i kogokolwiek z nas. Przyjmij ode mnie tę radę i nie mieszaj się do niczego. Za rok, a najdalej za dwa chłopak będzie zapewne zdrow i wyniesiony na wysokie godności, o jakich ci się nigdy nie śniło.

- Niech go odzyskam tylko takim, jakim był dotychczas... niczego więcej nie pragnę! - jęczał mój ojciec.

Murray zażył tabaki.

- Zgoła do rzeczy mówisz - zauważył. - Czy masz jeszcze co do powiedzenia? Doskonale! Johnie, możesz założyć knebel. Nie, nie taką szmatę. Ta jedwabna chusteczka będzie w sam raz. A teraz przejdziemy do ciebie, przyjacielu Piotrze... i do ciebie, wnuku Robercie. Wolałbym, żeby te środki ostrożności były zbyteczne. Niech mi wolno będzie wierzyć, że po bliższej znajomości nasze wzajemne uczucia staną się bardziej przyjazne.

IV

Na tropie spisku

Twarz biednego ojczulka, zalana łzami, była ostatnią rzeczą, jaką jeszcze widziałem w bladym świetle dopalających się świec. W chwilę później napastnicy wynieśli mnie w mrok ogrodu i złożyli na ręcznym wózku, jakiego używa się do przewożenia bardziej kruchych towarów z przystani. Ogromne cielsko Piotra zajmowało już większą część powierzchni wózka, a mnie wtłoczono, jak z laski, pomiędzy niego a boczną ścianę, co widząc Silver dźwignął Piotra, zmuszając go do większego ściśnięcia się w sobie, po czym zarzucił na nas obu wielką płachtę żaglowego płótna.

- No, mam was, mości panowie! - ozwał się wesoło. - Istna żywa waga wołu i schabek wieprzowiny - mógłby ktoś powiedzieć... i miałby rację.

Kapitanie, hola! Jesteśmy już gotowi na każdy rozkaz waszmości.

- A więc dalej w drogę, Johnie - odpowiedział głos mego dziadka. - Czy pamiętasz drogę? Nazwano ją Zielonym Zaułkiem. Czterech ludzi wystarczy ci do eskorty. Ja z resztą drużyny pójde inną ulicą.

- Nie troszcz się o nas, kapitanie - odparł Silver.

Zachrzęściły na żwirze kroki odchodzących i wóz potoczył się naprzód; słyszałem skrzypienie kuli jednonogiego żeglarza, który stąpał przed nami. Widocznie wydostali się chyłkiem na małą drożynkę, gdzie najmniej było prawdopodobieństwa, że ich zauważą; naraz zatrzymaliśmy się, a Silver jął odszukiwać Zielony Zaułek. Wtem odezwał się:

- Nie widać nic przed nami. Do kroćset, ale ci noc! Ciemno jak w bani!... Cieszę się, żeśmy ze sobą nie wzięli zezowatego ślepcy Pewa, bobyśmy musieli przez niego zmitrężyć sporo czasu. Chodź za mną, Czarny Psie. Żwawo, moi drodzy! Jeśli taki wiatr będzie nadal...

Wydostaliśmy się na Zielony Zaułek zmierzając w stronę Rzeki Wschodniej; przeszedł mnie dreszcz radości, gdy usłyszałem śpiewny głos starego

Diggory'ego Leigha, naszego stróża okrętowego.

- Dziesiąta godzina, głucha, ciemna noc, a wiatr od północo-zachodu.

Wszystko w porządku.

- Juści, wszystko! - szepnął Silver. - Ciągnijcie, ciągnijcie, gamonie!

Ale nie rozwierajcie gęby! Już ja z nim pogadam! - to rzekłszy ruszył naprzód, zostawiając wóz za sobą, a żelazne okucie jego szczudła pobrząkiwało o kocie łby bruku.

- Hejże, kamracie! - zawołał tonem serdecznym. - Czy tę powinność odbywasz przez całą noc?

Diggory brzęknął o ziemię drążkiem swojej latarni.

- A jakże, odbywam - odrzekł tonem napuszonym. - Czemu wałęsacie się tak późno? Jesteście marynarzami, jak wnoszę.

- Oto co znaczy mądra głowa! - zawołał Silver z nie tajonym podziwem. - Ledwo dojrzałeś nas w ciemności, a już powiadasz, że marynarze. Widzę, że jesteś czujnym stróżem, kamracie. Rzezimieszki muszą się mieć z pyszną w waszym mieście; nie chciałbym być w ich skórze. Niech mnie kule biją!

W głosie Diggory'ego odbiła się wdzięczność za te hołdy.

- To najważniejsza, by nasi obywatele mieli pewną obronę - odpowiedział.

- A jednak nie brak takich, którzy mnie oczerniają, jakobym sypiał w czasie nocnej służby.

- To szubrawcy... lizusy... nędzni donosiciele - zapewniał go Silver. -

Wiem, jak asana musi to boleć! Myśmy tu pracowali od świtu, przewożąc towary i ładując je na pokład, a założę się z tobą o talara, że kapitan nawet nas za to nie poczęstuje naparstkiem rumu.

Latarnia znów zabrzęczała, widocznie Diggory założył z powrotem drążek na ramię.

- Nie zawsze ci najmądrzejsi, co mają władzę, przyjacielu! - odezwał się.

- Pomyślcie sobie, że według tego, co mówią niektórzy z korporacji, należałoby z ulic miasta usuwać wszystkich nocnych włóczędzów i nicponiów! Ba!

I nagle przeciągłe nawoływanie zaczęło się oddalać w stronę ulicy Perłowej.

- Z czegoż tak śmiejecie się, wy nicponie i nocni włóczędzy? - zapytał Silver swą drużynę. - George Merry, bo zacznę cię okładać moim szczudłem! Przyłóżcie się trochę do tego zatraconego wozu! Czyż nie wstydzicie się wyśmiewać dzielnego, ciężko pracującego nocnego stróża, który nie dopuszcza, by okrutni korsarze zabrali wam wasze mienie?

O kilkaset kroków dalej wóz nasz z wyboistego bruku wyjechał na wyłożony deskami pomost przystani.

- To ty, John? - burknął czyjś głos.

- Tak, tak, Billu. Gdzie kapitan?

- Odjechał szalupą. Ten hiszpański Irlandczyk wzywa go na pokład.

Usłyszałem, jak Silver zaklął pod nosem.

- Co powiadasz, Johnie? - zapytał go tamten.

- Mniejsza o to, co powiedziałem, ale pomyślałem sobie, że w tej sprawie kryje się jakaś tajemnica - odpowiedział Silver półgłosem. - Ale co mi tam do tego! Po cóż miałbym sobie tym głowę zaprzętać będąc jedynie kwatermistrzem na starym "Koniu Morskim"? Ty, Billu, jesteś zastępcą Flinta i jeżeli to nie uchybia twej godności, że narażasz kark nie wiedzieć za co, to czemuż ja mam się skarżyć?

Drugi mężczyzna - w którym obecnie domyślać się począłem tego draba z ogorzałą gębą, co siedział wraz z Darbym w gospodzie "Pod Głową Wieloryba" - odpowiedział stekiem przekleństw.

- ...! - zakończył. - Sam Flint nie wie więcej niż ty i ja.

- On zgodziłby się być nawet połykaczem ognia, choćby mu miano pruć bebechy - przytakiwał Silver. - Jestem... jeślibym się zgodził na takie upokorzenia, jakie są jego chlebem powszednim! Patrzaj, do czegośmy już doszli! Najpierw opuściliśmy bezpieczne siedlisko i pole sutego obłowu koło Madagaskaru. Następnie wytarabaniliśmy się z równie bezpiecznego legowiska na oceanie. A jego jaśniepaństwo, nie dowierzając własnym ludziom, zwołuje naradę załogi "Konia Morskiego" i wzywa ochotników, by z nim jechali do nowego Jorku!

- Nie, nie - wtrącił Bones (mogłem go rozpoznać po głosie; który miał brzmienie dziwnie zawadiackie i szorstkie). - To Flint nakłonił go do zabrania ze sobą załogi "Konia Morskiego", nie dowierzając jego zamierzeniom. Słyszałem, co mówiono, Johnie, bo Flint zawezwał mnie pod koniec do kajuty. "Jeżeli nie chcesz powiedzieć więcej, Murrayu, to nie powiesz" - mówił Flint. - "Aż nadto dobrze znam cię pod tym względem. A co się tyczy twoich kombinacji, to one mnie nie obchodzą, o ile z nich nie płyną pieniądze do mojej kieszeni. Ale powiem ci otwarcie, że w Nowym Jorku, moim zdaniem, nie potrafisz nic zdziałać sam ani też z ludźmi, których sobie dobrałeś. Skądże to wiedzieć mogę, czy mnie nie zaprzędasz, by siebie ocalić?"

Silver ściągnął płótno żaglowe znad naszych głów i rzekł:

- Jeżeli Flint tak mówił, to były to chyba najlepsze słowa, jakie w życiu wypowiedział. Ja wiem tylko tyle, że Murray stanął na pokładzie przed nami wszystkimi i powiada, iż mu wiadomo, że nie ma większych śmiałków jak stare wiarusy z "Konia Morskiego", więc pyta, czy mógłby liczyć na kilkunastu ochotników? "Do czego mamy stawać na ochotnika, jeżeli wolno zapytać, kapitanie?" - pytano go. "Piękne zapytanie zasługuje na piękną odpowiedź, Johnie - on na to. - Przeto powiem wam wszystkim, chłopcy, że zamierzam wyprawę, która każdego z was uczyni szczęśliwym i postawi was w takim położeniu, iż ci, którzy pragną powrócić na ląd i w spokoju zażywać swych dóbr, będą mogli się spodziewać ułaskawienia". "Ach, tak, łaskawy panie - mówię mu na to - ale jakaż to będzie wyprawa i po co wybieramy się do Nowego Jorku, gdzie są żołnierze, a zapewne i okręty królewskie?"

"Żołnierze nic ci nie zrobią, Johnie - on mi odpowiada - a jeśli są tam okręty królewskie, to spróbujemy raz jeszcze. Wybieramy się tam w mojej sprawie, bo chciałbym się spotkać i porozmawiać niepostrzeżenie z jednym człowiekiem, a gdy to nastąpi, porwiemy pewnego dorosłego młodzika, którego dawno mam na oku". Było to, Billu, wszystko, czego się dowiedziałem od niego. Zgłosiłem się ze ślepej ciekawości, spodziewając się, że wykryję, co on tam knowa, i rzec mogę, że za me trudy miałem jeszcze zmartwienie.

- Nie gorzej na tym wyszedłeś niż my, pozostali! - burknął Bones. - Ale dość tej mitręgi! Wytoczcie na pokład te ścierwa. Jeżeli przegapimy odpływ, zapłacimy za to własną skórą. Murray nie jest mi przyjacielem, ale odkąd do niego przystałem, nigdy mi nie zbrakło rumu, tytoniu i grosza.

- Zapisz nieco na karb Flinta, Billu - zauważył Silver.

- Wiele mu zalet przyznaję - warknął Bones. - Wojownik z niego, z Flinta, wyborny. Ale głowy do pomysłu nie ma takiej jak Murray - i on wie o tym,

tak jak ja. Słyszałem przecie, jak mówił: "A bodajże mnie piorun trzasł, Billu, jeżeli mam ochotę skakać i brykać dla tego starego piekielnika, ale on ma diabelską przebiegłość. Przetrwał on dwa razy tyle co ja lub ktokolwiek inny".

- Że ma głowę na karku, to ma! - zgodził się Silver. - Czy pamiętasz, jakeśmy doganiali bryg, a on wtedy przejechał koło "Konia Morskiego" i krzyczał przez tubę: "Hóła, "Kóń Morski"!" Nie ruszajcie sztab ani lin tego okrętu! Dajcie mu ze dwa strzały po pokładzie! Musimy się pozbyć tych ludzi jakimkolwiek sposobem!"

Zaśmiał się złośliwie.

- Ale to wszystko nie prowadzi nas z powrotem na pokład "Konia Morskiego", Billu! - dodał. - Hej! George Merry, czybyś nie mógł przy pomocy swych zuchów przetrulić tego ogromnego draba? Dwaj za głowę, a dwaj za nogi - i kładźcie go powoli, bo inaczej zatopi nam łódkę. No, mopanku - zwrócił się do mnie - ciebie też tu zaniesiemy. Asan musisz być wielce potrzebny kapitanowi, iż się tak troszczy, by cię dostać cało i zdrowo. Zdobędziesz sobie, kamracie, stanowisko i uznanie albo też sposobność popływania w towarzystwie rekinów! Ale gdzież się zawieruszył ten rudowłosy Irlandczyk, powiedz mi, Billu?

- Wyprawiłem go z kapitanem - odparł Bones. - Pakuj się, Johnie. Zaraz odbijamy!

Z miejsca, gdzie obecnie leżałem zgięty w kabłąk i oparłszy głowę na ogromnym brzuszysku Piotra, widziałem pomost przystani, wznoszący się o parę stóp nade mną, a na nim tu i ówdzie widniejące postacie korsarzy, dalej zaś mgliste zarysy składnic towarowych i jakieś przypadkowe, niewyraźne światelka. Silver (poznałem go po wzroście i pewnym pochyleniu ramienia, pod którym trzymał szczudło) odwrócił się na słowa Bonesa.

- A co z wozem? - zapytał.

- To fraszka - odparł Bones i kopnął wóz tak silnie, iż ten potoczył się do krawędzi pomostu i plusnął w wodę.

- Nie będzie ani śladu naszej sprawy, czyli tego, co te ludojady sądowe nazywają corpus delicti ((łac.) - dowód rzeczowy) - zauważył Silver. - Gdybyś mnie pytał, powiem ci, Billu, żeś się sprawił doskonale.

Zsunął się po linie zwieszającej się z pomostu, oparł koniec szczudła na przedniej ławie, wymacał swą jedną nogą grunt pod sobą i usiadł przede mną i Piotrem. Szczudło opuścił na dno łodzi, a zamiast niego wziął w rękę wiosło; Bill Bones znalazł sobie siedzenie na tylnej ławie.

- Wszystko załatwione - mruknął Bill. - W drogę!

Odbito wiosłami od pomostu i łódź wypłynęła na prąd, gdzie spotkała się z potężnymi wodami odpływu, który właśnie się rozpoczął. Dziób łodzi, ledwo ugodziła weń pierwsza fala, podskoczył w górę, a Piotr, leżący tuż obok mnie, wydał, pomimo knebla, jęk zgrozy. Silver, pochylony pilnie nad wiosłem, obejrzał się przez ramię i rzekł:

- Sam chciałeś jechać, kamracie. Niczyja to wina, tylko twoja własna.

Piotr rzucił się konwulsyjnie, tak iż o mało nie wypchnął mnie z łodzi.

- Hej, hej! - upomniał go Silver. - Tak robić nie trzeba. Czy chcesz nas wszystkich zatopić?

Piotr jęknął powtórnie i znów legł spokojnie.

- Patrz uważnie! - zawołał Bones. - Bryg jest już przed nami.

Skroś aksamitnej ciemności zamigotało kędyś wysoko nad nami światelko

wskazując drogę. Posłyszałem ciche chlupotanie wody dokoła kadłuba okrętu stojącego na kotwicy. Ukazały się i inne światła - czworoboczne desenie okien na rufie; na środkowym pokładzie wisiała duża latarnia. Przywitało nas szorstkie wołanie:

- Hola, łódka!

- Bones wraca na okręt!...

- Aha, aha, Bill!

Gdyśmy skręcali w stronę okrętu, spadło na nas z chrzęstem kilka lin; usłyszałem skrzyp windy i rej na maszcie. Przybiliśmy do czarnego, bryzgającego pianą kadłuba okrętu, a jeden z wioślarzy pochwycił szczeble drabinki, która chybotwała się na falach.

- Najpierw przywiąż tego młodzika! - poradził chrapliwym głosem Bones, wspinając się jak małpa po drewnianych szczeblach.

- A jakże, a jakże, Billu - odpowiedział Silver i zaraz też poczułem, że kuternoga wraz z drugim żeglarzem przywiązywał mi pod pachami koniec luźnej liny.

- Już gotowe, hej, wy w górze! - zawołał nagle Silver, a gdy zaczęto kręcić bloki, odezwał się do mnie: - Uważaj na głowę, mopanku. Pojedziesz w górę. Zupelnie takie wrażenie ma biedny, porządny korsarz, którego wieszają w kajdanach na placu Stracenia.

Lina wyprężyla się; niewidzialny blok zawarczał głośniejsz, a ja chcąc nie chcąc, podniosłem się z mego legowiska na brzuchu Piotra. Stopy mi się oderwały od ławy i jałem kopać nogami powietrze. Z pokładu brygu dochodziły sapania ludzi miarowo ciągnących linę, a ponieważ podnosiłem się coraz szybciej, zacząłem bujać w przestworzu jak wahadło zegara.

Teraz zrozumiałem, czemu Silver przestrzegał mnie, bym uważał na głowę, gdyż zacząłem gwałtownie obijać się o kadłub brygu i całe szczęście, że wyszedłem tylko z potłuczonym ramieniem, choć mogłem zgruchotać sobie czaszkę. Byłbym krzyknął, gdyby nie to, że przeszkadzał mi knebel. W chwilę później zadyndałem nad burtą, zapamiętałem szukając nogą jakiegoś stałego oparcia. Jakiś człowiek chwycił mnie za ramię i wciągnął na pokład krzycząc jednocześnie: - Złuznić! - po czym opadłem znowu w dół z takim łomotem, iż mogło mi to doprawdy pogruchotać stawy w kolanach, i złożono mnie, niby jakiś ładunek, na zasmolonym pokładzie.

Ogłuszony takim sposobem obchodzenia się ze mną, jakiego nigdy pierwej nie zaznałem, nie zwracałem nawet uwagi na to, że pod pachami rozluźniono mi powrozy, zdjęto ze mnie więzy i wyjęto mi knebel z obolałych szczęk. Zacząłem już rozeznawać się w otoczeniu, gdy ogromne jak beczka cielsko Corlaera trąciło o burtę, zadyndało z pocieszną niefrasobliwością w powietrzu, jak to zapewne dopiero co było ze mną, potem zaś osunęło się i grzmotnęło o pokład.

Holender miał twarz czerwoną, białe plamy widniały na wypukłej powierzchni jego policzków; rozdziawiał usta chcąc chwycić tchu.

Gdy wyjęto mu knebel, brzuch jał mu się podnosić niespokojnie.

- Co ci dolega, Piotrze? - zapytałem.

- Woda! - jęknął. - Jestem od niej chory.

I chory był porządnie. Odprowadziłem go na stronę, gdy rozległ się gwizd.

- Do windy! - wrzasnął czyjś głos.

- Co powiadasz? - zawołał Bill Bones. - Kto kazał podnosić kotwicę?

Szalupa jeszcze została.

- Rozkaz kapitana! - huknął głos z ciemności. - Kazano podnieść kotwicę, Billu, i rozwinąć żagle. Ruszymy zaraz, gdy Hiszpan odjedzie; jego łódź stoi pod prawym zejściem.

Bones zionął ulewą najplugawszych złorzeczeń.

- Można by mi było o tym powiedzieć - sarknął. - Chybajcie po szalupe, jeden z drugim! Czy małą łódkę już wyciągnięto? Nuże, masztownicy! Rozwinąć brasy (liny służące do obracania rei w płaszczyźnie poziomej w celu odpowiedniego nastawienia żagli do wiatru)! Johnie, najlepiej ty weź się do steru. Przypuszczam, że jaśnie pan, gdy znajdzie wszystko w porządku, raczy nam służyć za pilota, zważywszy, iż jest on jedynym wśród nas człowiekiem, który zna drogę w tej przeklętej przystani!

- A jakże, a jakże, Billu! - odparł Silver i wysunawszy się z cienia stanął w świetle wielkiej latarni, zwieszającej się z dolnej rei głównego masztu nad pokładem środkowym. - Ale co będzie z jeńcami?

Bones obrzucił nas niechętnym spojrzeniem.

- Nie chciałbym, by ten pulchny olbrzym, co zanieczyszcza nam pokład, miał przebywać w kabinie lub na forkasztelu (kasztel przedni - kwatery marynarzy na przodzie okrętu). Zostaw ich, Johnie, w spokoju. Oni nie mogą uczynić nic złego, a kto by dziś nocą chciał rzucić się w wodę, taki szczególnie, zanim dotrze do brzegu.

- Arcytrafne powiedzenie - przytwierdził Silver wesoło.

Łotr miał ten zwyczaj, że wiodąc z kimś byle jaką rozmowę, zawsze musiał nieznacznie napomknąć, jakoby ów rozmówca był najświetniejszą osobą, jaką mu się spotkać zdarzyło, i jakoby chlubą dlań było służyć i być posłusznym człokowi tak dostojnemu.

Zaraz potem znikł, a Bones wraz z nim. Słyszałem, że drugi z nich w dalszym ciągu wykrzykiwał rozkazy; na pokładach zaś tętniła ustawiczna krzątanina ludzi biegających tam i z powrotem, furczenie lin oraz skrzypienie klubków i wielokrzązków. Nagle rozległo się jednorodne przytupywanie nogami, a chór chrypliwych głosów ryknął dziką pieśń marynarską, którą już słyszałem w gospodzie "Pod Głową Wieloryba":

Piętnastu chłopów na Umrzyka Skrzyni -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Piją za zdrowie, resztę czart uczyni -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Corlaer runął na stos nie wyprawionych skór w ciemnym kątku koło burty.

- Neen, neen - odpowiedział, gdym chciał go podźwignąć. - To fraszka, Bob. Robi mi się już coraz lepiej. Ta słona woda... zawsze mi tak szkoci...

- Przyniosę ci rumu - powiedziałem silnym głosem.

I powstawszy miałem właśnie poszukać kogo i zapytać, gdzie można dostać ów trunek, gdy na pokładzie tuż za mną zadzwoniły kroki.

- To niebezpieczna kompania - odezwał się głos, w którym niewątpliwie brzmiał akcent irlandzki.

- Czego waćpan sobie życzysz? - odpowiedział na to głos mojego dziadka. Potrafiłem sobie wyobrazić wdzięczne poruszenie ramionami, które towarzyszyło tym słowom.

- Nie możemy używać poddanych króla jegomości do takiej sprawy. Zresztą, zważywszy wszystko, moi kamraci umieją załatwić to o wiele lepiej i zręczniejsze.

Przeszli przez krąg światła, który padał od latarni wiszącej na głównym

maszcie. Tak! Pierwszym z rozmawiających był pułkownik O'Donnell. Jego to córką było młode dziewczę irlandzkie! Mój ojciec nie mylił się w podejrzeniach. Ale cóż mogło ze sobą łączyć pułkownika królewskiej armii hiszpańskiej z banitą? Czyżby spisek jakobicki? Wydawało się to wprost niedorzecznością.

- Myślałem o mojej córce - wyjaśnił O'Donnell, gdy obaj doszli do korytarzyka z prawej strony statku, tuż obok miejsca, gdzie stałem ponad rozwalonym cielskiem Piotra.

- Ach!

Dziadek uciekł się znów do dworskiego obyczaju zażywania tabaki, a jam patrzył w niego jak w tęczę.

- Twoje uczucia zaszczyt ci przynoszą, caballero (hiszp. - kawaler, rycerz). Ale nie masz powodu do niepokoju. Z przyczyn, w które nie chcę się zagłębiać, masz tu z sobą ludzi z załogi mego sprzymierzeńca. Na pokładzie "Króla Jakuba" mogę, jak mniemam, przyobiecować tobie i twej córce wszystkie względy, jakich byś doznawał na okręcie królewskim. Ponadto dodam, że nie omieszkam ci zapewnić jeszcze jednej podpory. Jedź tu ze mną wnuk po kądzieli - i dziedzic - o którym często waćpanu mówiłem; gracki młodzian, który jeszcze odznaczy się w świecie.

- Ale kobieta... na statku korsarskim? - sarknął znowu O'Donnell.

- Mój drogi panie, paragraf czwarty kodeksu, któremu podlega nasza drużyna... Waćpana to dziwi, że mamy własne ustawy?... Zabrania przyjmowania i trzymania kobiet na naszych okrętach. Dawnośmy się już przekonali, ile to nieszczęść wynika ze współzawodnictwa o łaski niewieście.

- Czyż więc waszmość nie naruszy własnej ustawy, jeżeli córka moja znajdzie się na okręcie? - pytał natarczywie Irlandczyk.

- Ona tu przyjdzie nie jako branka, lecz w charakterze gościa - odparł Murray głosem pochlebnym. - Ostatecznie, pułkowniku, "Król Jakub" jest moim okrętem... a w tym względzie różni się od statków zgoła wyjętych spod prawa, które stanowią wspólną własność całej załogi. Nie, nie, waćpan nie potrzebujesz się kłopotać.

- Nie podoba mi się to, powtarzam raz jeszcze! - upierał się O'Donnell. - Czemu waszmość kazałeś mi ją sprowadzić? Ledwo dowiedziałeś się, że mam córkę, już z całą gorącością zacząłeś się domagać jej przybycia.

- Czybyś wolał zostawić ją samą w obcej krainie? - zapytał niecierpliwie mój dziadek. - Człowiecze, bądźże rozsądniejszy! Któż by podejrzewał człowieka mającego przy sobie córkę? Prawda, że to przedsięwzięcie pełne jest niebezpieczeństwa, ale żadna dziewczyna nie przejdzie przez życie nie zakosztowawszy odrobiny wrażeń. Będziemy jej strzegli jak skarbu.

- Biorę pana za słowo! - burknął O'Donnell przełaząc przez burtę i wymacując drabinę. - Nie jest to czcza przechwałka, gdy mówię o jej niewinności. Wszyscy święci! Co za harmider! Dobrze, dobrze, mniejsza o to. Muszę odejść; noc już upływa.

- Tak - potwierdził Murray. - I popędzaj tam kapitana swej fregaty do szybkiej jazdy!

Irlandczyk skinął głową.

- W razie potrzeby popłyniemy koło Hawany. Na szczęście główną troską intendenta jest Porto Bello. Zatem waszmość będziesz lawirować koło cieśniny Mona?

- Tak, od południowego cypla Hispanioli (Haiti, jedna z wysp w archipelagu Wielkich Antyli, nazwana została przez Kolumba "Wyspą Hiszpańską", co później utarło się jako Hispaniola) do północnego krańca Porto Rico, chyba że zaskoczy nas burza, wtedy schronimy się w zatoce Samana, gdzie zwykli niegdyś zapuszczać kotwicę starzy korsarze. Diego pewno nas znajdzie; już mu się to wprawdzie udało.

Daj mu waćpan sporo czasu po temu.

- Skoro tylko "Najświętsza Trójca" otrzyma rozkazy, Diego będzie powiadomiony.

Zaczął schodzić w dół; naraz zawrócił znów na górę.

- Ten okręt ma, ciężki ładunek kruszcu, Murray. Czy jesteś pewny...

Dziadek roześmiał się.

- Nie frasuj sobie tym głowy, caballero. Możemy kupić stu Hiszpanów za kruszec z "Najświętszej Trójcy". Wszelakoż zdaje mi się, że muszę waćpanu powiedzieć dobranoc. Słuchaj!

Dzwon na fregacie hiszpańskiej wybił osiem uderzeń.

- Północ! - wykrzyknął O'Donnell. - Czy waćpan zdołasz czmychnąć o świecie?

- Mój drogi panie - odparł pogodnie mój dziadek - tego brygu nie zobaczy nikt... nigdzie i nigdy...

O'Donnell drgnął.

- Dobranoc! - rzekł krótko i głowa jego znikła za burtą.

Posłyszałem chrzęst wiosł, cichy rozkaz, rzucony po hiszpańsku, a następnie jednorodne pluskanie i chlupotanie oddalającej się łodzi. Mój dziadek przyglądał się jej przez chwilę, po czym zawrócił w stronę, gdzie stałem.

- Hola, mój Robercie, jakiego jesteś o nas zdania? - zagadnął.

Postanowiłem zachować spokojny ton głosu; nie chciałem bowiem, by miał się radować mniemaniem, iż mnie zaskoczył.

- Myślę, że jesteście wplątani w gorsze nawet łajdactwa, niż przypuszczał mój ojciec.

- Asan masz ciasne pojęcie o świecie - rzekł ów na to - dopiero doświadczenie wyleczy cię z tego błędu. Na razie nie bądź pochopny do wyciągania jakichkolwiek wniosków z tego, co podsłuchałeś. Wkrótce dowiesz się całej historii, lecz zanim wtajemniczę cię dokładnie w nasze położenie, lepiej czyn tak, jakbyś o niczym nie wiedział.

- W każdym razie korsarzem nie jestem ani nim nie zostanę.

- Dlaczego zawczasu się wyrzekasz, Robercie?

W tej chwili rozległo się wołanie Bonesa.

- Kotwica spuszczone, kapitanie!

- Dobrze, panie Bones - odpowiedział mój dziadek. - Możecie ją wyciągnąć i każ, jeśli łaska, rozwinąć wszystkie żagle.

- Według rozkazu, kapitanie.

Piotr jęknął żałośnie na te złowieszcze słowa; Murray przystąpił bliżej.

- Któż to leży przy tobie, Robercie? - zapytał żywo. - Czy naszemu poczciwemu Piotrowi przytrafiło się coś złego?

- Kołysanie wody przyprawia go o chorobę.

- Ach! Dziwne to, jak i najtężsi ludzie podlegają tej przypadłości. Każę go zanieść na dół. Powinienem był ci to z góry powiedzieć, że pragnę was obu urządzić jak najwygodniej. Asan będziesz spał ze mną. Na brygu nie mogę

przyjąć cię z należytą gościnnością, ale na "Królu Jakubie" będziesz miał isticie admirałskie wygody.

- Nie potrzeba mi wygód - odpowiedziałem chłodno. - Wszelkie wygody, jakie byś mi waszmość dawał, byłyby dla mnie szyderstwem. Sam mój pobyt tutaj jest najcięższą niewygoda.

- Bodaj cię, mosterdzieju! Pamiętaj, że jestem od ciebie starszy wiekiem i zasługuję na szacunek ze względu na nasze pokrewieństwo.

- Dla mnie waćpan jesteś krwiożerczym zbójcą, i kwita!

- Młodzieńcze niedowarzenie - wycedził mój krewniak przez zęby. -

Robercie, jam był wujem i czułym opiekunem twej matki, której nie znałeś.

- W tym względzie podzielał uczucia mego ojca - zawołałem i groźnym ruchem podniosłem rękę.

On ani drgnął.

- Nawrócenie asana będzie, jak przewidywałem, rzeczą wielce trudną - odezwał się. - Nie, nic tu nie wskórasz tym, że mnie uderzysz. Mogę ci bezstronnie doradzić, byś nauczył się takiego zachowania, które zapewni ci jak największą swobodę i poważanie.

- Łaskawy panie - odpowiedziałem na to - bądź o tym przekonany, że w dniu, kiedy napadniecie bezbronny okręt, zabiję tylu z was, ilu dostanę w swe ręce, i umrę z całą ochotą.

Teraz brzmi to trochę teatralnie, lecz wówczas myślałem tak zupełnie serio.

- Nie mam względem ciebie bynajmniej takich zamiarów - odpowiedział mój dziadek. - A choć czuję pokusę, by się z tobą posprzeczać co do stanowiska opartego na fałszywym założeniu moralnym, zadowolę się jednak uwagą, że dobrze byś zrobił trzymając na wodzy swą porywczosć, póki nie zajdzie potrzeba jej użycia.

Rzucił w bok bystre spojrzenie.

- Widzę, że ruszamy w drogę. Muszę na razie cię pożegnać, mości Robercie. Moją powinnością jest tutaj służyć za pilota.

Podniósł do ust mały, srebrny gwizdek, na którego przenikliwy dźwięk nadbiegło kilku z załogi.

- Idziemy, idziemy, kapitanie! - pierwszy odezwał się Bones. - Co jaśnie pan przykaże?

- Weźcie tego biedaka - mówiąc to Murray wskazał na bezwładne cielsko Corlaera - i zanieście go do jednej z kajut. Obchodźcie się z nim uprzejmie. Rozkażcie temu małemu Irlandczykowi... Jakże mu na imię?... Aha, Darby!... Rozkażcie Darby'emu, by go pielęgnował i przynosił mu, co potrzeba. Ten oto panicz - tu wskazał na mnie - jest, panie Bonesie, moim wnukiem. Być może, kiedyś będzie on po mnie dowodził "Królem Jakubem", jakkolwiek dotychczas przebywa wśród nas nie z własnej woli. Winien on tu mieć zupełną swobodę, chyba że będzie przedsiębrał cokolwiek na naszą niekorzyść. Bądź waćpan łaskaw powtórzyć to podwładnym.

- Cudaczna to jakaś śpiewka! - burknął Bones. - Czy to przyjaciel, czy wróg, kapitanie?

- Rozumne pytanie! - odpowiedział mój dziadek. - Moglibyście uważać go za wroga, z którym obchodzić się należy jak z przyjacielem.

- Bodajem pękł, jeżeli potrafię się w tym doszukać choć szczypty rozsądku - stwierdził Bones. - Ale to pańskie słowa, kapitanie.

- Jota w jotę - rzekł dziadek, po czym zwrócił się do mnie: - Nie krępuj

się, Robercie; już tam czeka łóżko na ciebie. A może wolisz zostać na pokładzie i zaznajomić się nieco z żeglarstwem?

Rzuciłem spojrzenie w stronę rufy, gdzie widać było światła Nowego Jorku, tak nikłe, tak rozproszone, tak już odległe...

- Pójdę na dół i zaopiekuję się Piotrem - zdecydowałem.

- Jak wolisz - odpowiedział mój sławetny krewniak i oddalił się.

- Ruszcie kikutami, wszawie gamonie! - huknął Bones na swoich ludzi. - Podźwignijcie tego wieloryba lądowego... bodajem szeszł, jeżeli kiedy widział tak potworną kupę ludzkiego mięsa! Powinniśmy go zawieźć na morze południowe i sprzedać kanibalom - taki byłby tylko z niego pożytek. Chodź no, młody paniczku; możesz być sobie siostrzeńcem kapitana czy bękartem, czy jak on cię tam nazwał, lecz na statku każdy musi pracować. Pomóż nam przenieść tę baryłę.

Usłuchałem go w milczeniu, inni tymczasem klęli i złorzeczyli z nieopisaną wprost potocznością. To było towarzystwo! Gdy nie czuli obecności Murraya, nie poczuli się do żadnej karności, nie przyjmowali żadnego karcenia. Widocznie zarówno nienawidzili, jak obawiali się tego człowieka; nie mogłem się nadziwić, z jaką pewnością siebie panował on nad ich namiętnościami. Gdyby tylko raz udało im się otrząsnąć z magnetycznego uroku jego osoby i wpływu jego szatańskiej przewagi, staliby się, każdy na własną rękę, roznosicielami podłości i przewrotności. Zadrzałem. Ucieszyłem się przyćmionym blaskiem lampy kajutowej, gdyśmy przytargali bezwładne cielsko Piotra na dość wąski drewniany tapczan; jeszcze bardziej się ucieszyłem, gdy wszyscy wyszli zostawiając mnie sam na sam z Holendrem.

Przez okienko kajuty widać było światelka Nowego Jorku mrugające do mnie na pożegnanie. Byłem tak strwożony jak dziecko po raz pierwszy pozostawione samo sobie w ciemności.

V

Na brygu

Obudziłem się z uczuciem dziwnego ukojenia, gdy po mej twarzy prześliznął się promień słoneczny wdzierający się poprzez grubą, zieloną szybę okna kajuty. Za obiciem, tuż przy mym boku, piskały myszki: belki i deski kadłuba okrętowego trzeszczały i skrzypiały jęklawie, słychać było łagodne syczenie wody prutej żelazem - bryg swobodnie kołysał się na goniących za nim falach.

Corlaer, śmiertelnie wyczerpany, spał jeszcze, bardzo mi więc na sercu leżało, by go nie obudzić, gdy zsunąłem się na podłogę. Po chwili otwarłem drzwi i wszedłem do głównej kajuty. Zastałem w niej jedynie Darby'ego, który siedział w kucki na stołku pod oknem rufy, przyglądając się białej smudze piany sunącej za brygiem. Usłyszawszy, jak za sobą zamykałem drzwi, natychmiast się obrócił i stanął zwinnie na nogach, jak gdyby już od dawna bywał na morzu.

- O, panie Bob - odezwał się - myślałem, że się pan nigdy nie obudzi. Hej, mamy dzień cudowny, wspaniały! Czuje pan zapach soli w powietrzu? Aż człowiekowi same nogi podskakują, lekko, na palcach... słowo daję, że tak jest!

Niepodobna było żywić niechęci względem tego chłopca, pomimo że to on nas zdradził. Był z natury nieobyczajny i niesforny jak młody wilczek;

natomiast nie mogłem powstrzymać się od żartu z jego świeżej przemiany.

- Ach, jaki przepiękny dzień! Zawsze wiedziałem, że nie dla mnie to zajęcie być sługusem, co biega z posyłkami i dźwiga pakunki. Ach, jakie tu pyszne życie, panie Robercie! Opowiadano mi, że to on - tu chłopak wskazał wielkim palcem na drzwi sypialni, leżącej naprzeciw kabiny, gdzie spałem razem z Piotrem - jest rodzonym wujem pańskim, a kiedyś, gdy się paniczowi spodoba, możesz panicz być równie tak wielki. Dalibóg, ja bym się nie wahał, co mam zrobić!

- Czy może myślisz, że piraci nigdy nie pracują? - zagadnąłem.

Na to mina mu nieco zrzędała.

- Och, pracy tu wszędzie dość, gdzie tylko się ruszyć, bodaj ją licho wzięło! Wciąż ino: "Darby, mógłbyś nam pomóc!" albo: "Darby, trzymaj tę linę!", albo też: "Darby, przynieś mi kubek rumu!" Wciąż tylko Darby i Darby, jak noc długa!

Znów mu się twarz rozjaśniła:

- Ale będę miał własny kordelas i dwa pistolety za pasem, a mówią mi, że mam nie lada szczęście.

- Nie lada szczęście? Czemuż to?

- Podobno przez te włosy. Flint - ten, co to zwykle żegluję z tą załogą - ma upodobanie do rudowłosych chłopaków. Tacy jak ja przynoszą mu szczęście... Tak mi zaręczano... a Długi John...

- Kto taki?

- Długi John... oczywiście pan Silver - ten kuternoga, z którym gadaliśmy wczoraj na brzegu - powiada, że zdobędę sobie łaski u Flinta.

Obraz wywołany w mej pamięci przelotną wzmianką Darby'ego spowodował, że mimo woli roześmiałem się z własnej głupoty. Wczoraj rano, o tej godzinie, pracowałem gorliwie w kantorze przy ulicy Perłowej. Od tego czasu ileż zdarzyło się wypadków! Odtwarzałem sobie w myśli całą wyprawę na pocztowy statek bristolski, przygodną rozmowę z jednonogim marynarzem... jakże zręcznie ów mnie nabrał i - co więcej - wciągnął Darby'ego do swoich knozań!... A to spotkanie z młodą Irlandką...

Na tym przerwałem wątek swych rozważań. Myśl o Moirze O'Donnell była mi niemiła, gdyż nie mogłem z duszy usunąć podejrzenia, że i ona musiała być w pewnej mierze wplątana w intrygi, jakie knuł jej ojciec w porozumieniu z moim ciotecznym dziadkiem.

Masz tu! To właśnie przypuszczenie przyniosło mi ulgę. Jej ojciec chyba nie mógł być człowiekiem gorszym od mego krewniaka; a przecież choć ja sam w niczym nie byłem współwinny zdrotnym przedsięwzięciom Murraya, mimo to jednak wciągnięto mnie w tryby jego machinacji. Czyż więc nie można przypuścić, że i ona była również niewinna? Tak, z rozmowy pomiędzy dwoma spiskowcami, jaką podsłuchałem ubiegłej nocy, wychodziło na jaw, że ona była w istocie niewinna, a o planach swojego ojca podobno wiedziała mniej ode mnie, bo jakże inaczej wytłumaczyć zakłopotanie O'Donnella, gdy chodziło o ujawnienie charakteru ludzi, z którymi jego córka miała się zetknąć? To wywołało we mnie nowe rozważania. Jak to ona powiedziała do mnie, gdyśmy się rozstawali? "Tu nasze drogi się rozchodzą..."

Niepodobna, by wiedziała o wszystkim, gdyż nie było potrzeby kłamać. Ani chybi, ona nie wiedziała nic a nic o niecznych zamysłach, jakie knuli ci dwaj ludzie! Wielka radość, jaka zerwała się we mnie, musiała się odzwierciedlić na mej twarzy, bo Darby zawołał:

- Jakowaś dobra wróżka musiała nad tobą roztoczyć swe skrzydła, panie Bob! Chwała Bogu, zrodziła się w panu myśl szczęśliwa! Więc chcesz przystać do nas i zostać wodzem zbójników? Dalipan, nie może być nic lepszego!

- Wcale nie chcę, Darby! Za to mam wielką ochotę przegryźć nieco jadła, jeżeli takowe można dostać na statku korsarskim.

- Żarcie każdemu jest przyrodzone - podchwycił Darby wesoło. - Siądźcie, paniczu, tam, za stołem, a ja przyniosę wam coś z kuchni.

Stół był już zastawiony - nie lichymi misami glinianymi, żelaznymi widelcami, nożami i łyżkami, ale delikatną porcelaną, ciężkimi srebrami, a ponadto i zasłany piękną serwetą. Napomknąłem o tym Darby'emu, gdy wrócił niosąc na tacy dymiące półmiski oraz imbryk z gorącą czekoladą.

- Tak to sobie on żyć będzie - tu wskazał kciukiem na sypialnię z prawej strony. - Będzie miał wszystko, czego dusza zapagnie. Na swym okręcie ma na usługi zastęp czarnych niewolników poubieranych w liberię, jak na dworze wielkich panów. Pst!

Tu głos jego przeszedł w szept:

- To człek straszny, okrutny, tak, panie Bob! Nie chciałbym mieć go wujem nawet za wszystkie uncje złota, o którym Długi John ciągiem mi opowiada! Nie, nie!... Wolę żeglować z Flintem. Jakie on ma oko... i ten głos pieszczony, i spokojne obejście! A tak samo jest skory podciąć komuś gardło lub wrzucić kogoś do morza jak Flint - ba, nawet i bardziej skory! Aż mnie ciarki przechodzą, gdy na niego patrzę. Flint zasię, jak powiada Długi John, jest całkiem inny. Będzie on chlał rum z pierwszym z brzegu, ale jeżeli dybie na czyje życie, to człek nie ma co do tego żadnych wątpliwości; kłąć przy tym potrafi lepiej od Billa Bonesa.

- Zdaje się, że nie doświadczyłeś żadnych trudności w tym, by się spoufalić z nowymi kamratami - zauważyłem.

- Zawdzięczam to swojej głowie - odparł Darby nie zbity z tropu. - Jak panu mówiłem, ona przynosi szczęście.

- Nie mnie - wtrąciłem z przekąsem.

- Nie bądź waszmość zanadto hardy - rozjątrzył się chłopak. - Zapewne odbędziemy razem dalekie podróże, ja zaś jestem waszym przyjacielem, panie Robercie, bo pan nie należałeś do tych, którzy znęcali się nade mną w kantorze.

- Hm... - rzekłem. - Jeszcze zobaczymy. Ale gdzie jest on, jak ty się wyrażasz?

- Śpi jeszcze w łóżku. Bo też doprawdy czuwał aż do świtu, lawirując brygiem między mieliznami zatoki.

- Czyśmy już wydostali się na pełne morze?

- A jakże! Jużeśmy minęli tę, jak tu ją przezwali, Mierzeję Piaskową. Przed sobą mamy ino rozległy ocean.

- W takim razie wychodzę na pokład - odpowiedziałem. - Nasłuchuj tam, Darby, od czasu do czasu, co się dzieje u pana Corlaera. Jeśli mu się będzie chciało jeść, zanieś mu tej czekolady.

- Zostaw go pan mojej opiece - rzekł Darby poufale. - On jest drugą osobą, którą naprawdę lubię. Któż, jak nie on, przyniósł mi skalp indiański? Ach, musimy obaj zostać piratami! We trzech utworzymy wspaniałą szajkę!

Korytarz koło kajuty oficerskiej był pusty i nie spotkałem nikogo, aż wygramoliłem się na pokład. Bryg mknął swobodnie, z chryżym podmuchem

północno-zachodniej bryzy (lekki a stały wiatr wiejący prostopadle do ogólnej linii brzegowej; w nocy - od lądu ku morzu, w dzień - od morza ku lądowi), a morze było tak rozkołysane, że niekiedy ponad dziobem okrętu wzbijały się wytryski słonych kropel. Wiatr huczał w zakłęśnościach żagli, a liny grały jak wielka harfa. Ptactwo morskie krążyło dokoła głowic masztowych lub muskało w przelocie czuby fal pokrzykując raz wraz chrapliwie.

A ponad wszystkim słońce rozwiewało złocistą promiennność, tchnącą urokiem niewymownym.

Teraz dopiero zrozumiałem zadowolenie, z jakim się obudziłem, choć naprawdę było to rzeczą wielce dziwną, że tak łatwo oswoiłem się z morzem i jego warunkami, jakkolwiek nigdy poprzednio nie wydałem się poza wody śródlądowej zatoki. Bądź co bądź prawdą było, że nie czułem żadnych słabości ani obaw i nawet nabyłem instynktownej wprawy w chodzeniu i staniu na sposób marynarski, co potwierdził taki znawca jak sam John Silver.

Pokład na przodzie był pusty. Na marsie (bocianie gniazdo) masztu głównego siedział czatownik przewiązany liną i patrząc przez lunetę badał cały obwód widnokregu. Na rufie znajdował się tylko Silver i drugi jeszcze majtek, kierujący sterem. Kuternoga, siedząc u okna kajuty, jał kiwać na mnie szcudłem.

- Chodź no pogwarzyć z Długim Johnem, panie Ormerod! - zawołał. - Skąd waćpan wzięłeś takie marynarskie nogi? Kroczysz co najmniej jak admirał.

- Znalazłem je pod sobą - odpowiedziałem, nie umiając się oprzeć schlebającym przymówkom tego szubrawca. - Gdzie jest reszta drużyny?

Roześmiał się i skinął głową w stronę człowieka siedzącego za sterem. Był to drab o potwornym wyglądzie, tak rozrosły w barach, że wydawał się garbaty; ponad głęboko zapadniętymi oczyma, dokoła których gęsto były usiane niewielkie, błękitnawe żyłki, miał zielony daszek.

- Cha! cha! cha! Nasz panicz powiada sobie w duchu: "Jest tu ino dwóch na pokładzie, i to jeden bez nogi, a drugi zupełnie ślepy. Ja zaś jestem jeszcze młody i silny". Waszmość sobie myślisz, panie Ormerod, że tu pole otwarte, ale zapomniałeś o szcudle Johna, które w razie potrzeby może być okropną bronią, a o ile Pew nie umie daleko sięgać wzrokiem, o tyle słuch ma tak bystry, iż potrafi strzelać celnie, niczym inny mający dwoje oczu.

Potrząsnąłem głową.

- Tak szubrawe łotry jak wy, Silverze, nigdy by nie chybiły podobnej sposobności. Prawda, że nie odbywałem służby morskiej, ale walczyłem już z dzikusami na północnej granicy. Nie ruszę się, aż będę widział wolną drogę przed sobą.

On na to roześmiał się hucznie, z całego gardła.

- A to ci pyszny żart! Powiniennem był wiedzieć, że nie jesteś tak prostoduszny, jak ci z twarzy patrzy, panie Ormerod. O, nauka w las nie pójdzie! Założę się o cztery gwinee (złota moneta angielska wartości 21 szylingów)! Ezdrasz, skreć no, brachu, jeszcze ociupinę! O tak!

- Czy foktopsel (górný żagiel przedniego masztu) bierze wiatr, Johnie? - zapytał człowiek z daszkiem nad oczyma, a głos miał dziwnie łagodny.

Silver zerknął w górę.

- Zaraz weźmie - stwierdził.

- Powiedzcież mi, jak ślepiec może sterować? - zagadnąłem.

Człowiek z daszkiem nad oczyma parsknął śmiechem, który mógł ściąć krew w

żyłach - tak jadowita, tak niezmiernie złośliwa była wesołość, której miał ten śmiech być wyrazem.

- Biedny, ślepy człowiek powinien sobie jakoś zarobić na chleb i tytoń, młody panie - odpowiedział z namaszczeniem.

- Nie myśl sobie, panie Ormerod, jakoby Pew nie potrafił niczego dostrzec - rzekł Silver przekładając szczudło. - Nie chciałbym, by mu przyszła ochota strzelić do mnie. A sterować? Czegoż to potrzeba do sterowania? Wystarczy silne ramię, a przy tym trzeba nasłuchiwać, jak szemrzą żagle. Dopiero na końcu - i to najmniej - potrzebne jest oko, by rozpoznawać drogę przed sobą. Każdy człowiek potrafi odczytać kompas, mój młody panie, ale nie każdy żeglarz potrafi wyczuć, jak jego okręt bierze wiatr, i tknąć się rudla wtedy, gdy potrzeba. Pew to potrafi. Gdy mu tylko dodać kogoś takiego jak ja, kto by mu zastąpił oczy, będzie on sterował prościuteńko w należytych kierunkach, jak statek pocztowy jadący z pilną przesyłką.

- Czy wiele kalek znajduje się w waszej załodze? - zapytałem z ciekawością.

- Kalek? - powtórzył Silver. - Wszystko to zależy od tego, co asan masz na myśli. Są różnego rodzaju kaleki. Na przykład Pew i ja wzięliśmy za swoje (traf zrządził) w tej samej kanonadzie. Spotkaliśmy się z okrętem jadącym z Indii, pod komendą wojowniczego kapitana... stanęliśmy bokiem jeden do drugiego.

Poklepał kikuta swego uda.

- To od osiemnastofuntówki!... Tarrach! I już po niej! Pew nabił właśnie działo i wychylił się ze strzelnicy, aż tu huknął koło niego strzał z kartacznicy! Juści nie wyszło to na dobre jego ślepiom, lecz jak już powiedziałem, nikt by nie uwierzył, że Pew niedowidzi. On jest zadziwiający. Ale waćpan mówiłeś o kalekach. Tak, różni bywają kalecy. Niektórzy z nich dostają forszę...

- Co takiego?

- Forszę... taki, jakby pan nazwał, zasilek pieniężny. Ze zdobyczy okrętowej dostajemy tyle pieniędzy, że można odżałować kalectwa. Pew dostał tysiąc funtów, ale wszystko to puścił w St. Pierre w ciągu trzech nocy. Pamiętasz, Ezdraszu? Ja za swoją girę dostałem osiemset funtów... co mi całkiem wystarcza, gdyby się ktoś pytał.

- Założę się, Johnnie, że te osiemset funtów ukryłeś w bezpiecznym schowku - rzekł Pew tonem łaskawym, który słowem jego nadawał dziwnie przewrotne znaczenie.

Silver kiwnął głową jakby z ukontentowaniem.

- Com dostał, to chowam. Nie jestem marnotrawcą takim jak wy, coście dziś bogaci, a jutro nędzarze. Kiedyś zaniecham zbójnictwa, a wtedy chciałbym jeździć własnym powozem i zasiadać w parlamencie.

- Przedtem powinienes, Johnnie, żeglować własnym okrętem - odezwał się Pew, a ta uwaga zawierała w sobie tyle tajemniczych wniosków, że mnie mróz obleciał. Wyczułem w tym jakieś planowane morderstwo, jakąś namowę, by Silver starał się opanować ten okręt i użył go do swych celów.

- Czemuż by nie? - odparł Silver z ożywieniem. - Nie chcę wymieniać niczyjego nazwiska, Ezdraszu, ale kapitanowie nie mogą żyć wiecznie. Niektórzy są już za starzy, a inni zalewają sobie pałę rumem. Nigdy nie można wiedzieć!

- Bill Bones ma co do tego pewne zamiary - napomknął Pew, a ja odczułem w

tych słowach zgrzyt zadawnionej waśni i współzawodnictwa.

- Tak, Bill - powiedział Silver żując słowa. - Bill jest prawą ręką i zastępcą Flinta, najlepszym kamratem Flinta, jego powiernikiem, jak mówią niektórzy... Niech tam! Niech tam! Ale mówiliśmy o kalekach i o tym, jak człowiek ślepy może sterować, a to nie odnosi się wcale do Billa, który nie jest ani kulawy, ani ślepy, a zapewne wiele się jeszcze w życiu spodziewa... tak, spodziewa się niechybnie, gdy tylko sobie o nas przypomni.

Pew zaśmiał się tak chłodno, z taką szatańską nieludzkością, iż nagle odczułem współczucie dla pana Bonesa, mimo całej ku niemu odrazy, a przy tym miałem szczerą chęć zmienić przedmiot rozmowy. To bezpośrednie zetknięcie z tak bezgranicznym, bezlitosnym okrucieństwem było dla mnie niemalą udręką.

- Czy waszeć, panie Silver, często uczestniczysz w takich sprawkach jak wczorajsza? - zagadnąłem.

On przekrzywił głowę w bok.

- Sprawkach? Takich jak wczorajsza? Waćpan masz na myśli swoją przeprowadzkę? No, nie tak znowu, łaskawy panie; nie zawsze, chciałem powiedzieć, Ezdraszu.

- Nawet choćby dawano pełną czapkę złota - potwierdził Pew.

- Ja nie lubię czynić przykrości - ciągnął dalej Silver - ale nie brak takich, którzy pewnie mówią, że kapitan był nieco nierozważny.

- Czemu nie nazywacie go po imieniu?

Silver rzucił na mnie dziwne spojrzenie i rzekł:

- Są pewne nazwiska, których lepiej nie wymieniać w rozmowie. Za łaskawym pańskim zezwoleniem będziemy nazywali go po prostu kapitanem.

- Nazywajcie go sobie, jak się wam podoba - odrzekłem - ale zdaje mi się, że ze strony ludzi tak osławionych jak wy było szaleństwem zapuszczać się do Nowego Jorku. Co więcej, sztorman statku pocztowego, który przybył z Bristolu, widział niegdyś kapitana Murraya i mógłby go poznać.

- Aha! - rzekł Silver szczerząc zęby. - Ale nie widział kapitana, o którego tu przede wszystkim chodzi, to jest mojego komendanta; ba, nawet nie miałby nigdy sposobności, by mu zajrzeć w oczy... Zapytasz czemu? Dlatego że kapitan wychodzi z całą ostrożnością o zmroku, zasłaniając płaszczem oblicze i mając przy boku trzech rosłych śmiałków, by ogrodzić się od natarczywych cudzoziemców.

- Ale inni spośród was...

- E, panie Ormerod, jakież porządny żeglarz, drżący o własne życie, będzie sobie przypominał twarze gromady piratów, których widzi wysoko na pokładzie? Myśli sobie tyle, że jest to hałastra opryszków, którzy zabili jego zwierzchników, złupili jego okręt i basta. Ba, w Kingstonie podejmował mnie gościnnie pewien szyper, którego złupiłem na dwa miesiące przedtem... ale było to jeszcze, zanim straciłem nogę, a ponieważ ów wypadek stał się na innych morzach, przeto w tych stronach nie poznawano mnie jeszcze po jej braku.

- A czy umyślnie wzięliście ten okręt, by zawiózł was do Nowego Jorku?

- Prawdę powiedziawszy, spomiędzy kilku ten był najlepszy do tego celu - przyznał Silver. - Utnijcie mi drugą girę, jeżeli ten okręt przydać się może na co innego.

- Nie ma na nim czterdziestofuntówek - mamlął Pew obracając z wolna

szprychy koła.

- Jego załoga...

Silver podniósł brwi i skinął na mnie z lekka.

- Biedni nieszczęśliwcy!...

Śmiech, ścinający krew w żyłach, wybiegł spod daszka, który przysłaniał oczy sternika i rzucał zieloną plamę na dolną część jego twarzy.

- Przypuszczam, że to, co się tu działo, było istnym piekłem - przemówiłem siląc się na spokojny ton głosu.

- Niektórzy mówią, że tak, inni, że nie - odpowiedział Silver tonem pouczającym. - Moim zdaniem nie ma się czym trapić.

Byłem tak wzburzony, iż pewno doszłoby do bójki, gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności. Z luki (prostokątny otwór, przez który wychodzi się na pokład) forkasztełu wynurzył się Bones wraz z kilkoma ludźmi; ziewali i przeciągali się, widocznie dopiero co wstali ze snu. W tejże chwili z kajuty oficerskiej wygramolił się Piotr Corlaer, chwiał się przez chwilę na nogach, po czym powłókł się niepewnym krokiem ku burcie. Skoczyłem mu z pomocą, a Bones pobiegł za nim z głośnym krzykiem.

- Nie walaj mi pokładu, ty tuczna krowo holenderska!

Biedny Piotr, nie zważając na żadnego z nas obu, uchwycił się jakiejś zapory i przylgnął do niej nieruchomo, zgoła bezradny. Bones pierwszy doń doskoczył i dał mu takiego szturchańca, że biedak chlusnął głową na dół do ścieku.

- Wstawaj! - charknął Bones i kopnął go boleśnie ciężkim butem marynarskim.

Piotr jęknął, ja zaś chwyciłem Bonesa za ramię.

- Waszmość postępujesz jak ostatni nikczemnik! - wrzasnąłem. - Kapitan Murray kazał obchodzić się z nim łagodnie. Czy tak go słuchacie?

Wyrwał mi się z ręki i dobył noża.

- Co, słuchać? Ty parszywy chłystku! - zawył. - Jestem pierwszym majtkiem Flinta i pokażę ci, kto może nakazywać mi posłuszeństwo! Wynocha stąd, bo ci wypruję serce i rozszarpię je w twoich oczach!

Rozejrzałem się wokoło, szukając jakiegoś oręża, którym bym mu sprawił tęgą naukę, ale nie było nic pod ręką, więc wycofałem się przezornie przed grożącym mi nożem. Ponieważ Bones pił przez całą noc, urządzając poprawiny po obfitej pijatyce dnia wczorajszego, przeto teraz, gdy go złość poniosła, nie dał się niczym pohamować. Silver krzyknął na niego, by nas zostawił w spokoju, co też za nim uczyniło kilku innych; ale Bones odpowiedział jednym stekiem przekleństw, do których był tak pochopny, i nie przestawał krążyć za mną.

Ja ze swej strony nie odczuwałem wielkiej trwogi, bo byłem nieco zaprawiony do walki na noże dzięki wskazówkom, jakie otrzymałem od Indian, przyjaciół mego ojca; bałem się tylko, by łotr nie doskoczył do Piotra i nie zabił bezwładnie leżącego Holendra. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy Piotr podniósł się na nogi, trzymając się burty, by stać prosto. Pobladał na twarzy, ale bez wahania oderwał się od swojego oparcia i słaniając się na nogach, ruszył przez pokład w naszą stronę.

- Biorę go na siebie, Bob - odezwał się.

Skoczyłem pomiędzy niego i Bonesa, tak iż w samą porę zdołałem powstrzymać natarcie korsarza, odparowując cios noża nadstawionym na płask rękawem.

- Oddał się, Piotrze - jęknąłem. - Ja potrafię dać sobie z nim radę. Ty nie potrafisz. Ty...

- Ja go biorę na siebie... ja! - powtórzył Corlaer.

Wyciągnął rękę, pochwycił mnie za ramię i usunął z drogi tak łatwo, jak gdybym był dzieckiem. Nie próbowałem już stawać z powrotem u jego boku, gdyż poczułem siłę jego ramienia i przekonałem się, że nie ma powodu powątpiewać, iż potrafi się obronić przed każdym człowiekiem, choćby nawet uzbrojonym.

Bones spoglądał nań przez chwilę to ze zdziwieniem, to z wściekłością.

- Czy chcesz, abym ci gardło poderznął? - zaszydził. - Nic to trudnego zabić taką krowę jak ty!

Piotr nic nie odrzekł, tylko stał przed nim bezbronny, z lekka pochyliwszy ramiona i zgiąwszy nogi w kolanach. Małe ślepki Holendra, prawie schowane w twarzy, skrzyły się groźnie.

- Daj mu spokój, Billu - zawołał znowu Silver. Czyż myliłem się wyczuwając w jego głosie jak gdyby jakąś nieszczerą usłużność?

- Jestem... jeżeli to uczynię! - sarknął Bones. - Jeżeli sobie tego życzy, to dostanie.

I podniósłszy nóż w górę, skoczył do Piotra spodziewając się, że rozplata mu grdykę, lecz Piotr z błyskawiczną szybkością zabiegł mu drogę. Olbrzymie ramię, grube jak konar drzewny, wysunęło się w jednej chwili naprzód i schwytało w przegubie rękę nożowca. Wystarczył jeden skręt, a nóż wypadł z brzękiem na pokład. Drugie ramię pochwyciło napastnika za udo - i Bones zadyndał nad głową Piotra. Piotr wstrząsnął nim lekko, jak gdyby chcąc pokazać, jak mocno trzyma go w garści, i zawrócił do burty nawietrznej (wystawiona na wiatr). Bones darł się wniebogłosy jak potępieniec, mniemając, iż Piotr zamierza go wrzucić w morze. Ale olbrzym, przebywszy połowę pokładu, doszedł tylko do luźno wiszącej liny; tu ostrożnie opuścił Bonesa w dół, wpakował go sobie pod pachę i zaczął wiązać pętlicę. Patrzyliśmy na niego w najwyższym osłupieniu, a że takie postęпки uświęca w podobnych wypadkach zwyczajowe prawo korsarskie, przeto nikt się do tego nie wtrącał. Lecz nie danym było Piotrowi powiesić Bonesa.

- Sprawa twoja na pewno jest słuszna, Piotrze - odezwał się mój dziadek z kajuty oficerskiej poza nami - ale jestem zmuszony prosić cię, byś puścił tego człowieka. Cieszy się on poważaniem jednego z moich przyjaciół.

Piotr spojrział z zaciekawieniem na Murraya.

- On napadł z noszem na Roberta i na mnie, ja! - odpowiedział.

- On już tego nie uczyni drugi raz - zaręczył Murray. - Panie Bones!

Piotr z żalem zdjął pętlicę z szyi Bonesa i dał mu takiego kuksa, iż ów zatoczył się po pokładzie od armaty aż do nasady tylnego masztu, odbił się, wybiwszy sobie jeden ząb, i na koniec zwałił się u stóp Murraya jak bezwładna, potłuczona masa. Dziadek mój przyglądał się pijakowi z widoczną odrazą i niezadowoleniem.

- Wstań aść, panie Bones! - nakazał.

Bones wygramolił się jakoś na nogi, okrwawiony od kilku uderzeń i zadrapań. Był bardzo strwożony tym, co groziło mu przed chwilą.

- Panie Bones - podjął mój dziadek - jesteś waćpan w tej chwili pod moim dowództwem, a ja mam właśnie nieco staroświeckie poglądy co do karności i wypełniania moich nakazów. Waćpan przed chwilą złamałeś mój rozkaz.

- Ależ, ja nie...

- Panie Bones - mówił dziadek nie podnosząc głosu - czy znałeś człowieka nazwiskiem Fotherill... zdaje się, że na imię mu było Jim?

Bones kiwnął głową nie mogąc wydusić ni słowa.

- A co kazałem z nim zrobić, panie Bones?

Bones oblizał wargi.

- Przytłukli go.

- Wybornie! - potwierdził mój dziadek. - Przytłukli... Jest to bardzo zwięzłe wyrażenie, Robercie - zwrócił się do mnie - które, winienem ci to wyjaśnić, oznacza wrzucenie kogoś pod stępkę (stępa, kil, tram - belka wiązania okrętowego biegnąca przez całą długość spodu statku) okrętu; a więc, chyba nie ma dwóch zdań, pociąga to przykre następstwa.

I zwrócił się znów do Bonesa.

- Nikomu nie uchodzi płazem nieposłuszeństwo więcej jak tylko raz, panie Bones. To wszystko. Możesz odejść.

Majtek odszedł chwiejnym krokiem, obcierając rękawem surduta krew z policzka, lecz zastąpił mu drogę Piotr. Ten wyjął dębowy szczebel ze sznurowej drabiny okręconej dokoła masztu tylnego, wyciągnął go w stronę Bonesa i jego kamratów, z całym spokojem złamał drewno gołymi rękami i rzucił ułamki w dwie strony.

- Wspaniale! - zawołał dziadek. - Jakież słowa potrafią opisać choćby ten jeden czyn? Zaczynam się przekonywać, że Corlaer ma wyraźną skłonność do dramatu. Mniemam, że już przyszedłeś do siebie po morskiej chorobie, przyjacielu Piotrze?

- Już mi lepiej, ja - odpowiedział Piotr.

- Może więc zejdziesz na dół i zjesz ze mną śniadanie?

Piotr miał minę nieszczęśliwą; biedak lubił sobie dobrze podjeść.

- Neen - rzekł prostodusznie. - Jeszeli będę jadł, to zachoruję.

- Współczuję ci - odpowiedział mój dziadek z nieodstępną uprzejmością. - Zalecam ci małą dietę przez parę dni i od czasu do czasu odrobinę trunku, aby rozgrzać żołądek, a wróżę ci, że staniesz się takim żeglarzem jak każdy z nas. Ty zaś, Robercie, widzę, żeś się już w domu zaprawiał do tego złowrogiego żywiołu. Wyśmienicie! Powinieneś tylko nabrać do mnie zaufania. Czy pod wrażeniem nowych swych przygód nie poczułeś chęci przekąsić coś na drugie śniadanie?

- Właśnie usłyszałem, co się stało z prawowitą załogą tego okrętu - odpowiedziałem - to zaś odebrało mi ochotę do jedzenia.

- Szkoda - odparł smutno dziadek. - Życie jest pełne uciążliwości, Robercie, jak będziesz miał sposobność jeszcze się przekonać. Litość jest często mylnym sędzią, a przestępstwo niekiedy bywa cnotą... Silverze, czy czatownik widział jaki statek?

- Nie widział ani żagla, odkąd minęliśmy Piaszczystą Mierzeję, łaskawy panie - odparł skwapliwie kuternoga.

- Doskonale. Trzymajcie się tego kierunku i przywołajcie mnie natychmiast, skoro pojawi się jaki żagiel.

To rzekłszy, z właściwą sobie wytwornością zszedł do kajuty, gdzie go czekało śniadanie.

Ludzie wyjęci spod prawa

Po naganie udzielonej Bonesowi przez mojego dziadka zapanowała na okręcie znaczna karność, tak iż Piotr i ja byliśmy pozostawieni sami sobie; zadawał się z nami jedynie Silver, który jak mi się zdaje, znajdował w tym szczególną przyjemność, by dokuczać sztormanowi wylewami swojej względem nas serdeczności. Na bocianie gniazdo masztu przedniego wysłano drugiego czatownika, a wachta na pokładzie miała się wciąż na ostrożności. Jednak w tym dniu nie przydarzyło się nic niepokojącego. Bryg zmierzał trwale ku północo-wschodowi, a morze opasywało nas bezmiarem swych wód. Przez chwilę widać było w oddali bledziuchny, mglisty skrawek lądu, który niebawem znów się schował za widnokręgiem.

Dziadek przez całe popołudnie przechadzał się miarowym krokiem po pokładzie, zwiesiwszy głowę na piersi i nie odzywając się do nikogo ani słowem. Nie zważał ani na mnie, ani też na żadnego z majtków, którzy do Silvera odnosili się z niewymuszoną poufałością, za to jemu, gdy przechodził koło nich, usuwali się czym prędzej z drogi, kiwali głowami i skubali sobie czupryny. Z nadejściem nocy czuwał nad tym, by na głównym maszcie wywieszono dwie latarnie: czerwoną i zieloną, jedną ponad drugą; ledwo że tknął pysznej wieczerzy, którą ugotował Silver, a Darby przyniósł nam do kajuty. Nawet i podczas jedzenia nie miał ochoty gawędzić, co jak zdołałem wywnioskować, było sprzeczne ze zwykłym jego usposobieniem.

Zaraz po wieczerzy powrócił na pokład pozostawiając Piotra i mnie z młodocianym Irlandczykiem, z którym pogwarzyliśmy sobie o tym i owym, aż zmorzeni ciężkim powietrzem morskim, udaliśmy się wreszcie na spoczynek. Piotr przyszedł już prawie do siebie, choć ledwo się odważył cokolwiek przekąsić i miewał nudności za każdym razem, gdy bryg zanadto się rozkołysał. Ledwośmy się ułożyli, on zasnął od razu, natomiast ja przez parę godzin jedynie drzemałem, słysząc przez cały czas nad głową jednomierny stuk kroków - to dziadek przechadzał się od balustrady na rufie do kajuty oficerskiej i znów z powrotem.

Gdy rankiem wyszedłem na pokład, już zastałem tam Murraya; ubrany był, jak zwykle, schludnie i wytwornie, a twarz miał rześką i wypoczętą. Stał rozkraczony tuż koło steru, z rękoma założonymi na plecach i wzrokiem utkwionym w burzliwej toni. Wiatr zmienił się kilkakrotnie w ciągu nocy, tak iż pogodę mieliśmy mniej pomyślną, łagodne zaś kołysanie roztoczy wodnej, jakie niosło nas wczoraj, przeszło w nagłe, łamiące się przewały.

Piotr stał się dziś nieprzystępny, a że nie nęciła mnie ani obłudna układność Silvera, ani też bezładna gadanina Darby'ego, więc podszedłem do dziadka.

- Zdaje się, żeś waszmość czegoś zakłopotany.
- Tak - odparł skwapliwie. - Rozważam dwa zagadnienia.
- Niestety, nie domyślałem się ich treści - odpowiedziałem.

Uśmiechnął się.

- Nawet nie zdołałbyś jej pojąć, gdyż moje zagadnienia związane są z trudnym zadaniem, by znaleźć jakiś urojony punkt w tej bezdrożnej pustce i niepewności, czy należycie sprawdziłem równanie wartości ludzkich. Asan może parasz się matematyką? A szkoda! Nie ma ćwiczenia umysłowego, które by dawało tyle ukojenia i rozrywki co algebra, choć jej figury nie budzą tyle ciepłego zainteresowania co równania ludzkie.

- Żagiel! - krzyknął czatownik na głównym marsie.
Spokojna twarz Murraya zapałała nagłym wzruszeniem.
- Gdzie go widać? - krzyknął osłaniając dłońmi usta i postępując krok naprzód.
- O jakie dwa stopnie na lewo, jaśnie panie.
- Czy możesz rozpoznać okręt?
- Tylko topżagle, jaśnie panie; są znacznej wielkości.
- Oznajmij mi, skoro go rozpoznasz - rzekł Murray i odwrócił się ku mnie.
Lecz prawie jednocześnie drugi czatownik na przednim maszcie zawołał przeciągle:
- Drugi żagiel na lewo, posuwa się za pierwszym!
Murray zatarł ręce, okazując po sobie wielkie zadowolenie.
- Aha! - zawołał. - Widać z tego, że rachuby moje co do zaufania okazały się w danym przypadku zupełnie ściśle.
- Nic z tego nie rozumiem.
- Nic? Powiedzmy więc zwykłą angielszczyzną, że mój własny okręt i okręt sprzymierzeńczy wychodzą na moje spotkanie, tak jakeśmy się umówili.
- Morze jest rozległe. Skądże u waszmości pewność, że to właśnie one?
- Nie twierdzę! Jednakowoż rachunek prawdopodobieństwa wypada na mą korzyść.
- Czemu waszmość mówisz o zaufaniu? Czyżbyś nie dowierzał własnym ludziom?
- Nikomu nie ufam więcej, niż trzeba - odpowiedział wykrętnie, po czym, nie mówiąc już nic więcej, wydobyl z kieszeni lunetę i przyłożył ją do oka. Silver, który ze swego siedliska na szczycie kajuty przyglądał się ciekawie całej scenie, przebiegł w podskokach przez pokład i stanął przy boku mego dziadka.
- Przepraszam, kapitanie - odezwał się - ale gotów jestem przysiąc, że są to te żagle, które waszmość zabrałeś z okrętu zdobytego koło Pondichery. Czy jaśnie pan sobie przypomina? Były z płótna szczególnie blichowanego i o wiele bielsze od naszych.
Murray podał mu lunetę.
- Niech mnie kule biją, Silverze! Ale weź lunetę, ciekawym, czy przez nią zobaczysz.
Długi John oparł szczudło o nasadę masztu tylnego i spojrział przez lunetę.
- Tak, to...
- "Król Jakub" od nawietrznej strony! - zawołano z przedniego masztu. A maszt główny, nie dając się ubiec, odpowiedział echem:
- "Koł Morski" z tyłu za nim!
- To one, nie ulega wątpliwości - potwierdził Silver opuszczając lunetę.
- Pędzą rażno, mają na sobie okazałe żagle. Gdybyś mnie waszmość teraz zapytał, panie kapitanie, powiedziałbym, że Flint nie ma ochoty płynąć torem pańskiego okrętu.
Jeżeli w tym powiedzeniu była ukryta świadoma pogróżka, to Murray nie zwrócił na nią uwagi.
- Pan Marcin zna mój okręt - odpowiedział - tak jak kapitan Flint zna swój. Wy, chłopcy, zawsze nad tym się głowicie, czemu niektórzy ludzie dostają zwierzchnictwo nad drugimi. Oto, co ci na to odpowiem, Silverze: potrzebna jest tu umiejętność kierowania statkiem, staczania walki, no i -

w razie potrzeby - obmyślenia sposobów, by jej uniknąć.

Silver potarł czoło oddając lunetę.

- Pewnie, mości panie, zawsze to powiadają, że dobrym kapitanem można być z urodzenia, a nie przez naukę, a my jesteśmy wielce szczęśliwi, że mamy dwóch, którzy nie dadzą się pobić ani pojmać, ani zawrócić z drogi.

Dziadek zażył niuch tabaki, a na jego przystojnym obliczu zjawił się uśmiech z lekka zjadliwy.

- Dziękuję waszeci - odrzekł. - A teraz pragnąłbym, by ludzie zakasali rękawy i nogawice i narządzili łodzie. Na twojej głowie, Silverze, zostawiam załadowanie prochu. Ile go macie?

- Trzy beczki, mości panie.

- Wyśmienicie! Ale zostaw nam trochę swobodnego czasu.

- Czemu waszmość wydajesz rozkazy Silverowi, a nie Bonesowi? - zagadnąłem ciekawie, gdy kulawiec już się oddalił.

Dziadek opuścił lunetę uśmiechając się życzliwie.

- Cieszę się, że jesteś spostrzegawczy - zauważył. - Czemu wyróżniam Silvera w wydawaniu rozkazów? No! Powody są całkiem jasne. Przede wszystkim jest on obdarzony takim usposobieniem, które zdolne jest mu zapewnić spełnienie wszelkich zamierzeń; lecz zapewne również ważną dla mnie pobudką jest i ta okoliczność, iż w mym interesie leży siać ziarno niezgody na "Koniu Morskim". Przyszłość zawiera mnóstwo możliwości. Kto wie, jak błahe czynniki mogą wpłynąć na wyroki losu...

- Straszna to musi być hałastra, co przebywa na "Koniu Morskim"!

- A jakże - przystał mój dziadek. - W korsarstwie, jak w polityce i handlu, mój Robercie, ten górą, kto podżega przeciw sobie dwa zwaśnione stronnictwa. Jestem, można powiedzieć, sam jeden przeciwko kilku setkom zuchwałych, drapieźnych i niesfornych drabów. Wszyscy pospołu, w jedność, przyparliby mnie do muru i zdusili jak pchłę. Rozdwojeni i trzymani w tym rozdwojeniu, stają się narzędziami, z których każde dopomaga mi spełniać moje pragnienia.

- A cóż, gdybym im wyjawiał owe sposoby, jakie waszmość wobec nich stosujesz? - zadrwiłem.

- Nie uwierzyliby aści; sprzeciwiłaby się temu ich niezgodność co do kwestii wysuniętej przez ciebie.

Niebywała pomysłowość i przebiegłość tego bezlitosnego łotra, który był mi krewnym, zaczęła we mnie budzić wielki dlań podziw. Jakiś ślad tego uwydatnił się zapewne na mym obliczu, bo jemu załśniły oczy, a jedna dłoń spoczęła nieznacznie na rękawie mego surduta.

- Dojdziemy jeszcze do porozumienia, Robercie. Nie taki to czarny diabeł, jak go malują. Lecz moim zamiarem jest wprowadzić cię od razu w samą istotę mych zamysłów, gdyż tym sposobem będę mógł łatwiej wyłuszczyć ci powody, dla których potrzebna mi jest twoja tu przytomność, oraz unaocznić ci doniosłość sprawy, której się poświęciłem.

- Nie wiem, jako ten diabeł czarny - odrzekłem - ale nie pragnę dokładniejszych wyjaśnień. Tu, na tym pokładzie, dopuszczano się morderstw i grabieży, a w waszych szeregach, o ile się nie mylę, wylęła się nienawiść i zdrada. Smutne to dzieje; rad bym od nich być jak najdalej.

Jemu mina nieco zrzędła.

- Phi! - ozwał się. - Jużemy o tym pomyśleli. Poczekaj, Robercie, aż znajdziemy się na pokładzie "Króla Jakuba". Wtedy przekonasz się, co ci

ofiaruję.

- Jużem o tym słyszał - rzekłem oschle.

- Niebawem usłyszysz o wszystkim - odpowiedział dziadek. - Niech tylko znajdziemy się w oficerskiej kajucie "Króla Jakuba", za stołem, z którego drugiej strony siedzieć będzie Flint, mając przed sobą szklanicę rumu!

Wtedy posłuchasz, co powiem.

W tej chwili nadszedł Bones i wdał się z nim w rozmowę; korzystając z tego przystąpiłem do Piotra, który posepnie przyglądał się odwiązywaniu łódek i nastawianiu lin, którymi miano opuszczać je na wodę.

- Znowu czuję się goszej... ja! - zajęczał.

- Pociesz się - oznajmiłem. - Wkrótce będziesz miał pod sobą pewniejszy statek.

I wskazałem mu dwa okręty, które wyłoniły się nad krawędzią widnokregu, tak iż piętrzące się banie ich wydętych żagli stały się już całkiem widoczne. Szły one, jak i my, nieco na ukos wiatrowi, lecz były o wiele cięższej budowy; zdawały się roztrącać i kruszyć przestwór wodny, który nami miotał na wszystkie strony. W miarę, jakeśmy się przyglądali, ukazywały się górne szczegóły ich budowy, a ja wyróżniłem nawet rząd strzelnic na sztymborcie (sterbort - prawy bok statku) pierwszego okrętu.

- Ma on co najmniej ze trzysta sześćdziesiąt ton! - zawołałem. - Czy może to być okręt Murraya?

- Mniejsza o to, czyj to okręt, ale ja się czuję niedopsze - odparł Piotr.

W tej chwili do miejsca, gdzieśmy stali wsparci o burtę bakbortu (lewy bok statku), przykuszykał John Silver.

- Co, widać je? - zagadnął. - Prawda, że nie masz to jak piękny okręt z żaglami, niczym malowanie!

Twarz mu jaśniała wzruszeniem - ręczyć mogę - zupełnie szczerem.

- Są wielkie jak fregaty - odrzekłem. - Gdzież to wasza drużyna nabyła te okręty?

Silver parsknął śmiechem.

- Słyszałem, że kapitan dostał "Jakuba" jakowymś fortelem od Francuzów. Pochodził on z Indii, i zwał się "Esperance". Ale "Konia Morskiego" zdobył własnymi rękoma Flint z garścią naszych zuchów w czasie wyprawy na Smyrnę. Nie jest to już okręt tak sprawny jak niegdyś, lecz jeszcze potrafi iść w zawody z "Jakubem".

- Czy jest tak ciężko uzbrojony jak "Jakub"? - zapytałem, bo okręt jadący na przedzie zasłaniał częściowo swego towarzysza przed naszym wzrokiem.

- Zupełnie tak samo, panie Ormerod, i oba mają w dole osiemnastofuntowe kartaczownice, ale gdy "Konia Morski" ma na głównym pokładzie długie dwudziestki, to "Jakub" ma same osiemnastki.

Ponieważ Murray skinął na pożegnanie Bonesowi, Silver rozstał się z nami i przyskoczył do dowódcy.

- Wszystko gotowe i w porządku, kapitanie! - oznajmił.

Dziadek rzucił okiem na zbliżające się okręty, które były już tak blisko, że mogliśmy dokładnie rozpoznać zarysy żółto malowanych kadłubów, na których zwyczajem okrętów wojennych szereg strzelnic znaczył się na białym pasie. "Jakub" zaczął właśnie zwijać niektóre ze swych topzagli.

- Doskonale, mości Silver - rzekł Murray. - Panie Bones, waćpan przycumujesz okręt i spuścisz łodzie.

Bryg jął kołować z wielkim łomotem i pluskiem, po czym wśród ciągłych nawoływań: "Jo-ho-ho! Hej-ho!" - spuszczo łodzi na wodę.

- Waćpan pójdziesz pierwszy, panie Bones - rozkazał Murray. - Bądź łaskaw wyrazić kapitanowi Flintowi mój szacunek i powiedzieć mu, że chciałbym przy pierwszej sposobności porozmawiać z nim na pokładzie "Jakuba".

Bones markotnie przyłożył rękę do kapelusza i wprowadził przeszło połowę załogi do jednej z dwu szalup, które wieziono na brygu. Gdy odbijali, Murray skinął na Silvera.

- Pakuj swój ładunek - rzekł krótko. - Robercie, chciałbym, żebyście ty i Piotr wsiedli do drugiej łodzi... Prędej, proszę!

- Jeszcze mamy dość czasu, kapitanie - rzekł Silver szczerząc zęby. - Waszmość możesz być pewny, że potrafię w razie czego uskoczyć.

Zeszliśmy wraz z Piotrem wielce niezgrabnie po drewnianych szczeblach przybitych do kadłuba brygu i spoczeliśmy w kołyszącej się szalupie. Piotr znów zaczął stękać, gdyśmy gramolili się po burtnicach.

- Mój pszuch jest jak ti bałwany... to do góry, to w dół. Znów mi słabo, ja!

Zaraz potem zszedł z okrętu Murray, i to z taką zręcznością, że ja, młody, mógłbym się wstydić, i usiadł na jednej z tylnych ławek. Darby sturlał się w dół zwinnie jak małpa i usadowił się koło nas na przodku łodzi. Silvera spuszczo na linie, a za nim zbiegła reszta załogi, cisnąc się jeden za drugim. Uderzono wiosłami i pomknęliśmy chyżo w stronę "Króla Jakuba", który lawirował na pełnym morzu o jakie ćwierć mili. "Koń Morski", osłonięty chmurą żagli i dumnie rozbryzgujący toń, znajdował się niemal w tej samej odległości, od strony wiatru.

Darby, zapatrzony w to widowisko wsparł się na moich kolanach.

- Ach, panie Bob, wielkie okręty! Spójrz no, jak woda ocieka im z bukszprytów (pochylony ku przodowi maszt na dziobie statku) i jak dumnie wznoszą się niby wieżycy kościelne albo gród jakiś warowny. Czy panicz widział kiedy coś podobnego!!! A te harmaty zupełnie wyglądają jak wyszczerzone zębiska w paszczy olbrzyma-ludożercy!

Naraz... trrach! Poza nami rozległ się odgłos wybuchu, niby kłaśnięcie w otwartą dłoń. Odwróciłem głowę - podobnie uczynili inni. Również Murray obejrzał się, a wioślarze zaprzestali wiosłować. Z luk brygu wydobywały się kłęby dymu, a po chwili zobaczyliśmy, że statek pochylił się na prawy bok, drgnął, zakołysał się i począł się gwałtownie pogrążyć. Słysząc było plaśnięcia żagli uderzających o wodę. W dwie minuty później bryg już zniknął pod wodą.

- Dobrze to było obmyślane, Silverze - zauważył mój dziadek. - Niech mnie kule biją, ale z asana człek sprawny. W drogę, chłopcy!

Skinął na mnie przez całą długość łodzi.

- Sądzę, że rozumiesz, co to oznacza, Robercie. Z Nowego Jorku - zwaźmy to - zniknął pewien młodzian; jednocześnie zaginął pewien bryg. Niejednemu przyjdzie na myśl, by skojarzyć ze sobą oba zniknięcia. Po morzach jeździć będą fregaty szukając pewnego brygu, ale brygu już nie będzie.

Wioślarze zaśmiali się głośno. Ja nic nie odpowiedziałem. Czułem się zgoła bezradny.

Gdy dojechaliśmy do "Jakuba" i przymocowaliśmy łódkę, nad burtą pojawił się cały rząd spoglądających na nas twarzy ludzkich; pomimo odległości można było rozpoznać skład okrętowej załogi. Widziałem tu Portugalczyków,

Finów, Skandynawów, Francuzów i Anglików tuż bok Murzynów, Maurów, Indian i skośnookich, żółtych ludzi. Co jednak sprawiło na mnie największe wrażenie, to panująca tu niezmierna cisza, tym szczególniejsza, że wiatr doniósł do naszych uszu zgiełk nawoływań, radosnych okrzyków, przekleństw i złorzeczeń, jakimi o kilkaset sążni od nas załoga "Konia Morskiego" przyjmowała łódź Bonesa.

Murray, stanąwszy na pierwszym szczeblu drabiny, skinął na mnie.

- Na górę, siostrzeńcze! Piotr też niech idzie za mną. Reszta wróci na pokład "Konia Morskiego".

Darby uchwycił mnie za rękę, gdym powstał.

- Hej, hej! Serce mnie boli, że się z waszmością rozstaję, panie Bob - zawołał. - A zdawało się, że gdy zostaniemy korsarzami, to już pozostaniemy na tym samym okręcie!

Chciał iść za mną, ale Silver go powstrzymał.

- Zostaniesz z nami, Darby - burknął kuternoga. - Bodaj cię, chłopcze! Przyniosłeś nam szczęście. Flint zaleje cały okręt rumem, skoro tylko cię zobaczy.

- Spotkamy się jeszcze, Darby - odezwałem się. - Nie bój się niczego.

On obtarł sobie łzę z oka.

- Pewnie, że się niczego nie boję - zaprotestował. - Ale serce mi się kraje, że muszę się rozstać z paniczem. Niech cię Bóg ma w swojej opiece, a święci Pańscy roztoczą skrzydła nad twą głową! Zdaje mi się, że tobie więcej tego potrzeba niż mnie. Tak, tak, Johnie, ja wsiądę... ale...

Coś tam jeszcze bełkotał na przemian to radośnie, to smutno, gdy ja, przelazszy przez burty, wszedłem wraz z moim dziadkiem w zgoła nowe środowisko.

Od rufy do forkasztelu rozciągał się szeroki pokład, z którego strzelały wyniosłe maszty, podobne sńiat (pień drzewa bez konarów) puszczy leśnych. Potężne nadburcia sięgały wzwyż aż do ramion, a wewnątrz wszystko malowane było na czerwono, zupełnie jak na okrętach królewskich. Pokład był nadzwyczaj czysty i wyporzadzony, liny pozwijane, zapasowe drągi poskładane i powiązane, łodzie zawieszane na hakach, kosze i inne przybory pochowane. Kilka armat było umocowanych na wsporach masztowych, ale większość działobitni ustawiono pod osłoną na dolnym pokładzie. Ludzie, przyglądający się nam znad burty, teraz rozproszyli się na wszystkie strony. Staliśmy pośrodku wolnej przestrzeni; obok nas znajdowało się tylko trzech członków załogi.

Jednym z nich był maleńki starowina o nastroszonych siwych włosach i ciemnobrązowym obliczu, z którego wyzierały oczy błękitne, prostoduszne jak u dziecka. W uszach miał złote kolczyki - zresztą odzież nosił skromną, choć schludną.

- Czołem, mości kapitanie - powitał on Murraya. - Na okręcie wszystko w porządku. Bodajby mnie... jeżeliśmy mieli choćby... odrobinę pomyślnego wiatru, odkąd ten... okręt wymknął się nam koło Mierzei.

Wrażenie tych nie dających się powtórzyć plugastw, które wraz z łagodnym tonem głosu płynęły z jego ust, gęsto przetykając słowa raportu, było wielce śmieszne, lecz tu jakoś nikt na to nie zwracał uwagi; później przekonałem się, że zwyczaj przeklinania, naruszający nieraz osoby apostołów i świętych, był najdziwniejszym z wielu dziwactw tej niezwykłej osobistości.

- Nie ma co się użalać z tego powodu, panie Marcinie - odparł mój dziadek. - Sprowadziłem tu swego ciotecznego wnuka, żeby był podporą mej starości. Oto on, Marcinie - imię pan Ormerod. To zaś jest jego przyjaciel, a dawny mój wróg, Piotr Corlaer (Piotr właśnie przetoczył się był przez burzę); więcej on potrafi, niżby można przypuszczać... Pan Marcin, Robercie, jest moim sztormanem, czyli moją prawą ręką.

Marcin odszedł, a drugi z trzech ludzi, którzy nas witali, przyłożył rękę do czapki. Był to drab kanciasty a krępy, patrzący spode łba, odziany w piękny błękitny kaftan i krótką spódniczkę.

- A oto Saunders, pomocnik pana Marcina - mówił dalej mój dziadek. - Szkot, jakom i ja. Mój wnuk przedzierzgnie się jeszcze w Szkota jak się patrzy! Co myślisz, Saundersie?

- Wygląda mi na czupurnego chłopaka - odrzekł Saunders wymijająco.

- Zatem radzisz go wypróbować? - zapytał Murray. - Całkiem słusznie. Tak postąpimy. Hola, Coupeau!

I jął szwargotać po francusku tak prędko, że nie mogłem słów jego zrozumieć. Coupeau - był to trzeci ze wspomnianych ludzi - powitał go ukłonem i szurnięciem nogi. Był on z wyglądu i obejścia tak niemiły jak Czarny Pies lub Bill Bones, lecz w jego mowie i w gestach nie było tych złowrogich domyślników, które przejmowały mnie dreszczem. Coupeau był piętnowany na policzku, a próba zatarcia tego piętna (może to zresztą była blizna od później otrzymanej rany) zeszpeciła powtórnie tę część jego twarzy. W przegubie i na przedramieniu widać było wyżłobione pręgi, które wiły się w górę jak węże i kazały się domyślać, jakie jeszcze inne ślady katuszy kryły się pod jego przesadnie wytworną odzieżą.

- Coupeau - napomknął dziadek zwracając się znów do mnie - jest naszym puszkarzem... Wybawiłem go z galer francuskich, więc żywi do mnie wielkie przywiązanie; przywiązanie to u niego kojarzy się z dbałością o własną sprawę, którą zawsze trzeba stawiać nade wszystko. A teraz chodźmy przygotować się na przyjęcie kapitana Flinta. Panie Marcinie, zapewne pozostaniemy tu przez kilka godzin. Osadź ludźmi wszystkie maszty i przykaż, by pilnie czuwano. Przypuszczam, że nie potrzebujemy obawiać się natrętów, ale możemy się natknąć na krążące okręty królewskie, a nie chcę ryzykować.

- A jakże, a jakże, mości panie - potakiwał Marcin. - Od dwudziestu czterech godzin nie widzieliśmy ani żagla.

- A przedtem?

- Statek pocztowy z Filadelfii. Kapitan Flint dał hasło, by go ścigać, lecz ja jechałem tak, jak pan zalecił, więc i on zawrócił z drogi.

- Dobrześ uczynił, Marcinie. Nie zapomnę ci tego. Przyprowadź do nas kapitana Flinta, gdy przyjdzie na nasz okręt.

VII

Plan Murraya

Murray zaprowadził nas do drzwi na tyle okrętu; za naszym przybyciem otworzył je rosły Murzyn w czerwonej liberii, który przeprowadził nas przez korytarz, otoczony szeregiem bocznych pomieszczeń, aż do obszernej kajuty

zajmującej całą szerokość rufy. W ścianach wykładanych mahoniem umocowane były w pewnych odstępach srebrne świeczniki, a z powały zwieszał się precudny pająk, który już sam przez się nazbyt był kosztowny dla zwykłego okrętu; po bokach wisiało nieco malowideł szkoły francuskiej oraz ryszunki osobliwych zbroic i orężów. Na podłodze leżały wschodnie kobierce, grubo usłane i delikatne w deseniach. Sprzęty były mahoniowe, a zastawa z masywnego srebra zalegała stół, ustawiony przed rzędem okien będących tylną ścianą kajuty. Dziadek z pobłażliwą dumą przyjrzał się tej wspaniałości. Było widać, że lubi się nią popisywać.

- Diomedesie - zwrócił się do Murzyna - gdzie jest Ben Gunn?

Cienki, piskliwy głos odezwał się z korytarza:

- Idę, czcigodny panie. Ben Gunn już idzie. Właśnie zatrzymałem się koło kuchni, by przynieść panu czekoladę, bo powiadam sobie: Pan kapitan muszą być tego zmachani tak wczesną robotą od samego rana.

W ślad za tym głosem wszedł do izby jakiś człowiek niosąc srebrny imbryk dymiącej czekolady, będącej ulubionym napojem Murraya, oraz przekąski. Był to smukły młodzian o twarzy prostodusznej i szczerzej, ubrany w czarną odzież wyższej służby. Ujrawszy nas stanął jak wryty.

- Postaw tacę na stole, Gunn - polecił dziadek. - Oto mój cioteczny wnuk, pan Ormerod, a to jego przyjaciel, pan Corlaer. Będą naszymi towarzyszami podróży.

Gunn potarł czuprynę i ukłonił się nisko.

- Uniżony sługa waszmościów - odezwał się. - Ben Gunn rad jest waszmościów powitać i wyrazić wam swe uszanowanie. Proszę powiedzieć, jakich trunków panowie sobie życzą, a przyniosę je zaraz z winiarni.

- Pamiętaj o jedzeniu, Gunn - rzekł Murray. - Kapitan Flint też będzie na okręcie.

Ben Gunn przechylił głowę w bok.

- No to trzeba rumu! - napomknął. - I to dużo rumu. Zdaj to waszmość na Bena, panie kapitanie.

Znów się skłonił, poskrobał w głowę i wyskoczył na korytarz szczebiocząc coś do siebie jak głupiutkie dzieciątko.

- To mój podstoli - objaśnił dziadek. - Będzie on na wasze usługi, gdyby było czego potrzeba tobie, Robercie, lub tobie, przyjacielu Piotrze.

Możecie też wyręczać się Murzynami, kiedy chcecie.

- Ten człowiek jest chyba niespełna zmysłów? - zapytałem.

- A jakże! - odpowiedział Murray próbując czekolady.

- Zdaje mi się, że nie jest bezpiecznie trzymać takiego prostaczka blisko siebie.

Dziadek uśmiechnął się.

- Bardzo się mylisz, mój chłopcze. Właśnie dlatego wzięłem go sobie za sługę, że nie potrafi szpiegować. Do mych celów bardziej mi się on przydaje aniżeli najmędrsi z naszej załogi.

Tu przerwał.

- Ta czekolada nie jest tak pyszna w smaku jak ta, którą przyrządzał Silver. To człek niezwykły, łepok co się zowie... takiemu, Robercie, nie pozwalam nigdy na bliższe przestawanie ze mną. Doprawdy, jeśli masz cierpliwość i ochotę badać charakter mych oficerów i załogi, z którą wejdiesz w styczność, jestem przekonany, że pomiędzy nimi nie znajdziesz ani jednego człowieka do rzeczy. No, a jeśli na pokładzie "Króla Jakuba"

znajdziesz choć jednego rozumnego - wyłączysz, oczywiście, ciebie i przyjaciela Piotra - to będę ci wdzięczny za jego wskazanie i natychmiast podaruję tego człowieka Flintowi. Ten znów powinien pomiędzy załogą "Konia Morskiego" mieć z pół tuzina takich mędrków, którzy sądzą, iż są po równi z nim zdolni dowodzić okrętem.

- Ale przecież "Jakub" potrafił przez kilka dni płynąć bez kierownictwa waszmości - zauważyłem.

- No! Bystre to spostrzeżenie! Muszę ci się przyznać, mój kochany Robercie, że świeżo odbytą wyprawę uważałem za ryzykowne przedsięwzięcie. Wszystko za tym przemawiało, że mogę polegać na swoich ludziach, ale nie zdziwiłbym się zbyt, gdyby mnie opuścili. Moi zwolennicy - smutna to konieczność - nie darzą mnie prawdziwym szacunkiem. Jednak koniec końców zdaje mi się, że postrachem i grozą działałem więcej, niżbym wskórał serdecznością. Strach jest żywiołem właściwym doli korsarza. Gdzież on w swym życiu znajdzie miejsce na uczucia? Ale odbiegamy zanadto od rzeczy, Robercie, wkraczając w dziedzinę filozofii, która nie ma nic wspólnego z naszymi zagadnieniami bieżącej chwili. Sza! Czy mi się zdaje, że coś tam słyszę?

Istotnie słyhać było wrzawę, przekleństwa i wymyślania na pokładzie.

- Może załoga postanowiła wznieść bunt po przybyciu waszmości, a nie pod jego nieobecność? - zagadywałem.

Potrząsnął głową z uśmiechem.

- Nie, nie! To tylko kapitan Flint wszedł na mój okręt. Usiądźcie, proszę. Obiecuję wam, że się ubawicie.

Drzwi wychodzące na pokład rozwarły się z trzaskiem na oścież, a w korytarzu rozległ się głos szorstki i rozkazujący:

- A żeby... Marcinie! Cóż ty sobie myślisz, że jesteś...? Do... ty parszywy... wszawy durniu, przez ciebie...

- A przestaniesz już, ty... awanturować się... - przerwał Marcin łagodnym głosem z pokładu. - Doprawdy, pierwszy z brzegu... miałby więcej rozumu od ciebie!

- Taki...! Ja jestem pan na własnych śmieciach! Ja...

- Możesz sobie nim być na pokładzie "Konia Morskiego", ale tu jesteś tylko zwykłym... który nie potrafi nic lepszego, jak tylko...

- Dość już tego... służysie, ty kanciasta gębo, gnijące ścierwo morskiej foki! Chcę pomówić z twoim panem!

Drzwi z hukiem się zawarły, a z korytarza dolatywał jeszcze pomruk przekleństw. Niebawem ukazał się człek wysoki, o sinych policzkach, odziany w płomiennie czerwony surdut, na którym połyskiwały złote wyszycia. Zatrzymał się u wniścia do kajuty, trzymając ręce na biodrach i szeroko rozstawiwszy nogi, a zezujące zielonkawe oczka skrzyły mu się złowrogo po obu stronach długiego nosa, który zdawał się wyskakiwać wprost z gęstych, czarnych, niechlujnie utrzymanych włosów.

- Już z powrotem, Murrayu? He? - warknął. - Za swoje trudy wzbogaciłeś się o dwóch ludzi. Bodajem skisł, nie opłaciła się skórka za wyprawę.

- Za pozwoleniem - zachnął się Murray - ale dzięki mej wyprawie zyskałem coś więcej ponad "wzbogacenie się o dwóch ludzi"... choć nie chcę bynajmniej poddawać w wątpliwość doniosłości zdarzenia, jakim jest pozyskanie mego wnuka oraz pana Corlaera. Pozwól, kapitanie Flint, że przedstawię ci mego wnuka, pana Ormeroda, i Piotra Corlaera.

Flint rozwalił się na krześle za stołem, naprzeciwko mego dziadka, i spojrzał na nas z ukosa.

- Młodzik i grubas! - wybuchnął głośno. - I do tego niechętni, jak mówił mi Bones.

- Pan Bones prawdę mówił waćpanu - przystał wesoło dziadek - ale, zdaje się, zapomniał nadmienić, że ten "grubas" wytrącił mu nóż z ręki i byłby go niechybnie powiesił, gdybym się nie wdał w tę sprawę.

W oczach Flinta zaświeciło coś jakby uznanie i szacunek.

- Nie jest to jeno faska masła, jeżeli pokonał Billa - zgodził się kapitan "Konia Morskiego". - Ale niech mnie diabli wezmą, jeżeli potrafię odgadnąć, czemu waszmość wzięłaś sobie na okręt takiego szczeniaka.

- Hola, hola, kapitanie! - oburzył się Murray. - Szczeniaka! Opamiętaj się asani. Chłopiec jest moim spadkobiercą.

- Weźmie on w spadku chyba powróż, na którym was powieszą - odparł Flint.

- Ale przyznam się, że m pobłądził winiąc asana, iż z całej tej wyprawy zdobył sobie tylko dwóch ludzi. Zapomniałem o tym rudowłosym skrzacie, którego John Silver zabrał ze sobą na pokład. Jest to pierwsza zapowiedź szczęścia, jakie nas czeka! Nigdy bym nie wypuścił z rąk owego stateczku filadelfijskiego, gdyby ten chłopak znajdował się podówczas na moim okręcie!

- Zdaje mi się, że podsłuchałem urywek rozmowy z Marcinem na ten temat - zauważył mój dziadek oziębłe. - On wypełniał mój rozkaz hamując waćpana, natomiast waszmość złamała naszą umowę zamierzając puszczać się w pościg.

- A czemuż bym nie miał ścigać? - huknął Flint. - Była to... głupia umowa, jeżeli waszmość znów z nią na plac wyjeżdżasz! Była to... istna... głupota! Nazwijcie mnie skończonym durniem, jeżeli było rzeczą rozsądną wypuścić z rąk tak tłusty kasek. Tak też powiedziałem Marcinowi. Niech no on tylko wstąpi na mój okręt, a obwieszę go jak psa!

Dziadek z wielką wytwornością zażył tabaki i uderzył w srebrny dzwonek stojący przed nim.

- Gunn coś marudzi z napitkiem. Proszę mi wybaczyć, kapitanie, że byłeś zmuszony gwarzyć ze mną na sucho. Ale wracając do Marcina i zdobyczy okrętowej, waćpan krzywdzisz tego poczciwego człowieka; jak już powiedziałem, on nie uczynił nic innego, tylko spełniał moje rozkazy, i aczkolwiek waszeci trudno zrozumieć powody, dla których poleciłem, by pod moją niebytność nie łupiono napotkanych okrętów, to jednak tuszę, iż niedługa rozmowa rozwieje aścine wątpliwości.

W ciągu tego przemówienia wszedł do kajuty Ben Gunn i postawił przed nami całą tacę gaśiorków, butelek i dzbanów. Kapitan Flint, nie czekając zaproszenia, chwycił glinianą flaszczynę z napisem "Rum Jamajka", odkorkował ją końcem noża, przytknął do ust i pociągnął potężny łyk. Potem postawił ją koło siebie, obtarł usta rękawem i odchrząknął.

- Hm! - mruknął. - Słucham.

Dziadek wyglądał jakby czymś zmartwiony.

- Gunn - rzekł - ileż to razy ci mówiłem, żebyś podawał kapitanowi Flintowi kielich, kubek lub inne naczynie do picia?

Podczaszy zaśmiał się durnowato i poskrobał w głowę.

- Często, bardzo często waszmość mi o tym mówiłaś, panie kapitanie, ale to na nic się nie przyda, przynajmniej nie od razu.

Kapitan Flint powiada, że rad by każdą nową butelkę napoczynać od szyjki.

- Tak też robię - potwierdził Flint. - Rum traci na smaku, gdy go wlejesz do kubka. Kawę lub herbatę pije się w filiżance, ale rum! Bodajbym... jeżeli widziałem gdzie tyle skweresu o jedzenie i picie, co u was! Dzięki Bogu, że nie co dzień jadam z wami!

Gunn wydobyl z kredensu wielki srebrny puchar, a Flint natychmiast napelnił go po brzegi. Podsunalem mu karafkę z rznietego szkła, napelnioną wodą, przypuszczając, że pragnie nieco rozcienczyć napój, lecz on roześmiał się zgryźliwie.

- Wiele jeszcze trzeba ci się uczyć, mój chłopcze - zaszydził. - My tam, na pokładzie "Konia Morskiego", nie psujemy porządnego rumu wodą. Przed chwilą właśnie odszpuntowano beczkę, wiara na wypródkę napelnia sobie czarki i pije ile wlezie, a rudy Darby siedzi okrakiem na beczce - żeby się szczęściło.

- Znaczy to, że przez parę godzin nie będziecie mogli wyruszyć w drogę - utyskiwał dziadek kiwając głową. - Niemądrze to z twojej strony, Flincie. To zalewanie pały rumem może jeszcze wyjść na zgubę tobie i całej twojej załodze. Jak wiesz, nie jestem bynajmniej obrońcą urojonych cnót, ale niepomierna pobłażliwość musi w końcu doprowadzić do klęski.

- Troszcz się asan o swój okręt, a ja będę się troszczył o swój! - sarknął Flint wychyliwszy duszkiem zawartość pucharu.

Dziadek spojrzal mu w oczy bystrym wzrokiem, pełnym niezachwianej, szczerej ufności w moc własną, która mimo woli przejęła mnie podziwem.

- Komu zawdzięczasz swe dzisiejsze stanowisko? - rzekł chłodno.

Flint czynił wyraźny wysiłek, by przemóc jego spojrzenie, lecz poniechał tego i zwrócił oczy w inną stronę.

- Jeden mógłby powiedzieć to, a drugi tamto! - mruknął.

- Komu zawdzięczasz swe obecne stanowisko, Flincie? - powtórzył Murray.

- Ależ waszmości, chyba że tak - przystał Flint. - Bodajby to!

- Czy wtrąciłem cię kiedy w jakie kłopoty? - ciągnął mój dziadek.

- No, nie tak...

- Czy wtrąciłem cię kiedy w kłopoty?

- Nie.

- Czy opuściłem cię w jakiegokolwiek potrzebie, odkąd rozpoczął się nasz sojusz?

- Nigdy.

- Doskonale. Teraz cię zapytam: czy jeżeli obiecuję coś spełnić, można na mnie wtedy polegać?

- Masz waszmość głowę na karku - przyznał Flint.

- Ale ty jej nie masz - dociał Murray. - Nie, nie powiem nic nadto.

Jesteś, Flincie, doskonały na dowódcę okrętu, a odwagą nie przejdzie cię żaden z naszych opryszków; natomiast nie masz ani za grosz przezorności; gdy trzeba coś obmyślić na parę tygodni naprzód, wtedy nie okazujesz się wiele pojętniejszy od Bena Gunna.

- Od ciebie wiele przyjąć mogę, Murrayu - warknął Flint zrywając się - ale nie myśl sobie, że unizę się przed...

- Usiądź - rozkazał Murray. - Przyjmiesz to, na coś zasłużył, mianowicie w tym wypadku szczere zapewnienie, że postąpiłeś jak ostatni dureń, ścigając pocztowy statek filadelfijski. Wątpię, czybyś go dogonił, bo dno twego okrętu jest zmurszałe, ale gdybyś tego dokazał, zniknięcie statku niechybnie wywołałoby rozgłos, a ponieważ w Nowym Jorku już się przekonano,

że znajdujemy się na tych morzach, przeto wszystkie fregaty w przystaniach Ameryki Północnej i Zachodnich Indii urządziłyby na nas obławę. I cóż wtedy?

- Schowalibyśmy się bezpiecznie na Rendeyvoo.

- Na Wyspie Lunety? I owszem! Chociaż pewnego pięknego dnia natkną się na nią ludzie, a może i odkryją. Ale proszę sobie przypomnieć, że w czasie wykonywania forteli nie plądrujemy okrętów. To gra niebezpieczna.

- Dobrze, więc cóż waszmość zamierzasz? - jął nalegać Flint tonem niedowierzania, na który Murray nie zwracał uwagi.

- Dokonać największego dzieła, na jakie zdobyliśmy się kiedykolwiek.

- Tak samo waćpan powiedziałeś wybierając się do Nowego Jorku, lecz nie przywiozłeś stamtąd żadnych skarbów.

Dziadek spojrział nań wzrokiem, w którym w innych okolicznościach wyczytałbym szlachetne oburzenie.

- Szaleńcze! - odezwał się głosem tak złowrogim, iż nie dziw, że Flint uchylił się na bok w krzesło, jak gdyby chciał uniknąć ciosu. - Zali mniemasz, że na to udałem się do tej lichej miejsciny, zasobnej jeno w futra i towary kolonialne, by przywozić stamtąd bogactwa?

- W jakimże więc celu? - zapytał Flint śliniąc wargi.

Dziadek pochylił się przez stół i zacisnął silnie usta. Z oczu sypały mu się skry.

- Rzecz znana, durniu! Można by wreszcie zrozumieć! To, co mądrzy ludzie przez całe życie starają się sobie zabezpieczyć, a głupcy porzucają w rynsztoku.

- Może to dla waszmości jest rzecz zrozumiała - obruszył się Flint tonem nadaśanego chłopca - lecz jakże ja mam to zrozumieć, skorom nigdy o tym nie słyszał?

Murray wstał od stołu i zaczął przechadzać się wzdłuż kajuty, założywszy ręce pod poły surduta; tak chodząc prowadził rozmowę. Flint z pewną ociężałością śledził każdy jego ruch, od czasu do czasu pociągając łyk rumu. Piotr i ja przyglądaliśmy się im obu, mocno przejęci tym starciem dwu wybitnych indywidualności, które miały wywierać doniosły wpływ na nasze, ba, na losy setek innych ludzi.

- Widzę, że winienem mówić prostymi słowy, Flincie - zaczął mój dziadek. Głos jego utracił poprzednią namiętność i cedził z wolna zdanie za zdaniem, jak gdyby w roztargnieniu. - A ponieważ muszę wyrażać się po prostu i omówić ważną sprawę, przeto raczysz mi aśc wybaczyć nieco przydługie przemówienie.

Flint, widząc, że trzeba coś odpowiedzieć, kiwnął głową.

- Częstośmy roztrząsali możliwość zdobycia jednego z hiszpańskich okrętów wiozących skarby - ciągnął dalej Murray. - Jednakowoż nigdy nie próbowaliśmy wykonania tego zamysłu, ponieważ nie umieliśmy dociec dat żeglugi ani też nie wiedzieliśmy, w jakim porcie ładowano skarby. Obyczajem Hiszpanów w ciągu lat ostatnich - mówiąc dokładniej, od czasu rabunków Morgana i jego bractwa - było wybierać dowolnie z roku na rok port ładunkowy, jako też zmieniać datę żeglugi. Jednego roku portem tym była Cartagena, następnie Chagres, trzeciego Porto Bello, a kiedy indziej nawet Vera Cruz. Wiadomo było, że ładowali całoroczny dorobek z kopalń koło Cape Horn. Ponadto, o ile dawniej okręty ze skarbami jeździły stale z końcem roku, o tyle teraz wyjeżdżają wtedy, gdy Naczelnej Radzie przyjdzie

zachcianka wyznaczyć datę odjazdu.

Tu przerwał, a Flint sarknął:

- Toć tyle wiemy wszyscy.

- Aż dotąd zgoda - odparł Murray uprzejmie. - Ale co dalej następuje, tego aś nie wiesz. Gdyśmy wracali z Madagaskaru...

- Było to wbrew mej radzie - mruknął Flint. - Waszmość za wiele bawisz się w politykę!

- W politykę? A jakże! - przystał dziadek. - No tak, może się w nią bawię. Prawda, że dotychczas z tej zabawy ciągnąłem niewielkie zyski, wyłączwszy jeden ważny nabytek, mianowicie okręt, na którym się znajdujemy, oraz wiadomość, która daje mi w tym roku możliwość zawładnięcia okrętem ze skarbami.

Flint wyprostował się w krześle. We mnie dech zamarł. Również i Piotr okazywał iskierkę podniecenia w małych oczkach, które błyskały spoza mięsistych policzków tających istotny wyraz jego uroczystej twarzy.

- Bodajby mnie... Murrayu! - zaklął Flint. - Czy mówisz to przytomnie i poważnie?

- Tak jest. Czy pamiętasz, że na wiosnę i pod koniec ubiegłego roku krążyliśmy koło wybrzeży hiszpańskich, a w dwa miesiące później wysłałem zaufanego do Hawany? W czasie naszych wypraw hiszpańskich nawiązałem stosunki ze znajomymi jakobitami i wyluszczyłem im w głównych zarysach plan, o którego przyjęciu donieśli w tajnych listach, jakie ów człek zaufany przywiózł na Wyspę Lunety. W listach tych donoszono mi, że tego a tego dnia mam się spotkać w Nowym Jorku z głównym mym sojusznikiem. Otóż i spotkałem się z nim. Niezbędne zarządzenia już poczyniono, tak iż pozostaje nam jedynie urzeczywistnić nasze zamysły.

Flint oblał kielich rumu i wychylił go duszkiem, przy czym ręka mu drżała.

- Ile... ile tego? - zapytał głosem roztrzęsionym.

- Milion pięćset tysięcy funtów.

Nastała chwila ciszy. Przez okno od strony rufy napływała jasna, złocista światłość słoneczna zdobiąc mieniącymi się cętkami i smugami gładką powierzchnię stołu. Flint przechylił głowę na piersi, a w zielonkawych oczach gorzał mu dziwny blask. Piotr i ja byliśmy po społu z nim odurzeni. Jedynie dziadek pozostał chłodny jak wpierrw i przechadzał się tam i z powrotem po kobiercami zasłanej podłodze, zapatrzywszy się w jakowąś wizję przyszłości.

- Czy to... wszystko? - wyjąkał Flint. - Do kroćset! Byłaby to najwspanialsza gratka w naszym życiu, Murrayu.

- Wszystko to do nas należy - zapewnił Murray - ale pod pewnym warunkiem.

- Warunkiem? - powtórzył Flint. - Jakież warunki? Któż to śmie stawiać nam warunki?

Dziadek zatrzymał się tuż przed nim.

- To moje warunki, za pozwoleniem - odpowiedział.

- Ach, tak! - wymamlał Flint. - Lecz jeżeli to można zabrać...

- Będzie można zabrać, ale na pewnych warunkach, jakie postawię - upierał się mój dziadek.

- Ale jeżeli waszmość wiesz, skąd można skarb ten zabrać, to na cóż bawić się w warunki? - rozżarł się Flint. - Cóż z takiego bogactwa, z którego ledwie ociupinka nam się okroi przy podziale?

Dziadek roześmiał się urągliwie na całe gardło.

- Przypatrz się, Robercie - zawołał do mnie - ten oto człowiek pół godziny temu nie wiedział nic o skarbie, o którym teraz rozprawiamy; nigdy nie myślał, nigdy nie marzył o jego zdobyciu, a teraz, skoro pozyskał możliwość otrzymania zeń pewnej części, dąsa się, czy przypadkiem nie dostanie za mało!

Flint znów nappełnił kubek rumem. Rozmowa zdawała się zwiększać niesamowitą siność jego twarzy, a źrenice zmalały i stały się jak główki od szpilek - nie wiem, czy od przebrania miarki w napoju, czy od silnego podniecenia. Wszakże czuł się pewniejszy niż przedtem.

- A czemuż by nie? - rozjątrzył się na drwiny mego dziadka. - Jeżeli bierzemy, to czemuż nie brać wszystkiego?

- Dlatego - odparł Murray wybuchając wielką zawziętością - że dałem słowo co do warunków, na jakich będzie można skarb zabrać.

- I cóż znaczy słowo waszmości? - sarknął Flint.

Przez chwilę myślałem, że dziadek go uderzy; ten istotnie już brał się machnąć na odlew, a pot perlisty wystąpił mu na czoło. Flint też się tego zląkł, ale urzeczony siłą utkwionego weń wzroku Murraya nie śmiał ani ruszyć ręką, by się obronić.

- Jest to moje słowo - rzekł na koniec Murray już łagodnym głosem - nic więcej, Flincie. Chudopacholskie, lecz moje własne, jak mówi poeta. Ponadto, żeby utrafić w nutę zgodną z pojęciami asana, tak się składa, że z dotrzymaniem tych warunków związane są moje sprawy osobiste.

- Tak właśnie przypuszczałem - zarechotał Flint.

- Ach, przypuszczałeś? - rzucił dziadek słodko i w takimże tonie mówił dalej. - W tej sprawie już nie będziemy bawić się w dalsze roztrząsanie, gdyż to nie twoja głowa. Powiem aści tylko, że warunki są już postanowione, a waćpan będziesz musiał albo je przyjąć...

- Jakież to warunki?

- Co do podziału łupów. Sto tysięcy funtów dostanie się mnie, jako temu, który obmyślił cały plan, a siedemset tysięcy otrzymają moi przyjaciele, którzy współdziałali ze mną celem umożliwienia tej zdobyczy.

Flint trzasnął w stół pięścią i krzyknął:

- Byłbym... gdybym to przyjął! Co?... Nasza drużyna miałaby otrzymać mniej niż połowę? Waszmość czmychniesz sobie ze stu tysiącami funtów w kieszeni, a pańscy przyjaciele może się w kułak śmiać z nas będą po kryjomu!

Dziadek zażył tabaki na pokrzepienie, starając się nadać tej czynności wrażenie niesmaku, co mi się wydało zabawne.

- Niech mnie diabli wezmą, ale asan masz łeb zakuty! - rzekł z przejęciem. - Pozwól asan, bym zwrócił ci uwagę na tę okoliczność, że przyjaciele moi i ja podjęliśmy się dobrowolnie przypuścić waćpana do uczestnictwa w podziale siedemset tysięcy funtów, w zamian za co nie będziesz miał nic do roboty, jak tylko przystać na kilka zobowiązań, jakie ci narzucę.

- Słucham.

Dziadek zaczął kolejno wyliczać na palcach:

- Po pierwsze, byłoby rzeczą wielce pożądaną, abyście mogli siedzieć cicho w ciągu najbliższych miesięcy. Działania takie, jakie zazwyczaj odbywamy, przyczyniłyby się do zaniepokojenia Naczelnej Rady Indyjskiej i

wywołałyby zmianę planu co do żeglugi okrętów ze skarbami.

- Cóż więc mamy czynić?

- Radzę schronić się na Wyspę Lunety i tam wyciągnąć nasze okręty na ląd; oba są w kiepskim stanie, więc byłaby to doskonała sposobność, by je oczyścić i wyporządzić.

Flint kiwnął głową.

- Będziemy musieli ruszyć naprzeciw Hiszpanom - zauważył.

- Do mnie to należy - odparł dziadek z pewną emfazą. - To mnie naprowadza na drugi punkt. Jest rzeczą wskazaną, żebyśmy po ten skarb nie wyprawiali się razem we dwójkę. Pragnę zająć "Najświętszą Trójcę", zanim ten okręt przedostanie się z Morza Karaibów na Atlantyk, w tym zaś celu muszę zacząć się na pewnym południku, oczekując na sekretne poselstwo, donoszące mi, kiedy nasza zwierzyna ruszy z legowiska.

Flintowi twarz jeszcze bardziej posiniała.

- Więc waszmość chcesz "Konia Morskiego" zostawić za sobą? - zagadnął.

- Muszę to uczynić - uparł się mój krewniak. - Wyobraź sobie waćpan, jakie miałyby to następstwa, gdyby dwa wielkie okręty jeździły sobie przez cieśniny morskie koło Jamajki, Hawany i Martyniki! W te pędy puściłyby się za nami fregaty. Ja myślę udawać okręt królewskiej floty, która unika wszelkich niepożądanych natrętów.

- Tak - odrzekł Flint. - A skoro waszmość zdobędziesz skarb i załadujesz jego cały zasób do swojej komory, to czy dasz nam co na pokład "Konia Morskiego", he? Czmychniesz sobie w świat, a my będziemy mogli szukać wiatru w polu.

- Źle o mnie sądzisz, kapitanie Flincie - odparł mój dziadek dobrodusznie.

Ale Flint roześmiał się ohydnie. Może wynikało to z nadmiernej ilości wypitego rumu, może z podniecenia wywołanego rozmową, może ze wzmocnienia się dufności w sobie: w każdym razie już niepodobna go było utrzymać w korbach wpływem moralnym.

W tym przekonaniu utwierdzała mnie łagodna oględność, z jaką odnosił się doń mój dziadek.

- Jeżeli źle sądzę o waszmości, panie Murray, to zdarza się to chyba po raz pierwszy i nie bez poważnej przyczyny - podchwycił Flint. - Dalej, dalej! Waszmość winieneś nabrać lepszego o mnie mniemania.

- Obmyśliłem najlepsze, jak można, warunki - odparł Murray. - Zważ, że było najzupełniej w mojej mocy zrobić w jakąś noc ciemną fugas chrustas (dać drapaka) przed asanem, zdobyć w pojedynkę "Najświętszą Trójcę" i nie dać waćpanu ani szeląga. Nie uczyniłem tego z dwóch przyczyn: po pierwsze, poczuwam się do obowiązku dotrzymania sojuszu z tobą i twymi ludźmi; pracowaliśmy i walczyliśmy dotychczas ręka w rękę, więc chciałem was dopuścić do udziału w tym łupie. Po wtóre, za podstawę swych działań pragnę obrać wyspę Rendez-vous, więc jeśli waćpanu tak się podoba, możesz uważać swój udział w zyskach za wynagrodzenie z powyższego względu oraz za rekompensatę z powodu ofiary, jaką ponosisz wstrzymując się od okazji do innych łupów.

- Nie ma czemu przeczyć - zachnął się Flint. - To, co waszmość powiadasz, brzmi obiecująco. Może to i prawda! Ja jednak nie mogę po powrocie oznajmić tego na naradzie załogi "Konia Morskiego", boby mi nie uwierzono. Jestem w kłopotcie, gdy o tym pomyślę!... - zaklął gniewnie. - Wiem, co bym uczynił

na pańskim miejscu.

- Jakąż zatem dajesz mi odpowiedź? - zapytał mój dziadek.

- Nie bawię się w takie warunki - odrzekł Flint stanowczo. - Niech mi będzie wolno jechać z waszmością, brać udział w zdobywaniu okrętu, a inaczej pogadamy ze sobą.

Murray potrząsnął głową.

- Zniweczyłoby to moje zamysły. Znam ja ciebie, Flincie. Nie umiesz ty tak żeglować, by nie zaczepić po drodze bogatych kupców, którzy przemykają ci się pod nosem, że tylko ich chapnąć. Za dowód może służyć statek pocztowy z Filadelfii, o który tak się dąsałeś, gdyś tu przybył.

Człowiecze, toż pewno mielibyśmy ze dwanaście takich wypadków, że w czasie, gdy dybiemy na okręt hiszpański, ty puszczasz się w pościg za jednym ze statków kupieckich. Nie, nie mogę ryzykować! Gdy będę sam, potrafię tego dokazać, że nie ściągnę na siebie niczyjej uwagi; gdy będziemy razem, rozdrażnimy przeciwko sobie całe gniazdo szerszeni.

- Niech mnie więc diabli wezmą, jeśli się na to zgodzę! - warknął Flint.

- Nie będę ufał waszmości, panie Murray, i basta!

- A gdybym ci dał zakładnika? - zapytał, jakby próbując, Murray.

- Zakładnika? Czyż możesz dać zakładnika, którego życie miałoby dla ciebie jakąkolwiek wartość? Nie, nie! Gdybyś widział, że podryniają gardło Marcinowi lub komuś z twych ludzi, nawet nie mrugnąłbyś okiem!

Mój krewniak ruszył ramionami na znak pogardy, największej, jaką można sobie wyobrazić. Na ten widok owładnęły mną różne uczucia, gdyż zacząłem miarkować, co się święci.

- Nie Marcina miałem na myśli - odpowiedział Murray. - Myślę o moim wnuku i dziedzicu. Będę na tyle otwarty i wyznam, że jedynym powodem, iż przedsięwzięłem wykonanie tego wspaniałego dzieła, jest chęć zapewnienia stanowiska i poważania temu chłopcu.

Flint wpatrzył się weń chytrze, powiódł wzrokiem po mnie i znów z powrotem spojrzął na niego.

- Pański wnuk, powiadasz waszmość? Hm! Długi John powiada, że waćpan za nim przepadasz. Jednak... Nie, nie podobają mi się te warunki, panie Murray. Za mało przynoszą mi one korzyści.

- To są najlepsze warunki, jakie mogę ci ofiarować - odpowiedział Murray nieustępliwie. - Żeby nie było żadnego nieporozumienia, dodam, Flincie, że drugie siedemset tysięcy funtów będzie obrócone na poparcie interesów pewnej sprawy, a nie na posmarowanie kieszeni urzędnikom hiszpańskim; a jest też rzeczą wielce możliwą, że pójdzie na to i znaczna część mojego osobistego zysku.

Kapitan "Konia Morskiego" wytarł kałużę rumu rozlanego na stole i odwróciwszy glinianą flaszkę dnem do góry, wysączył do kubka resztę jej zawartości.

- Twarda to umowa - odezwał się. - Na półtora miliona jedynie siedemset tysięcy.

- Tyle albo nic - oświadczył Murray.

- A przez ileż to miesięcy mam się wstrzymać od krążenia po morzu, gdy waszmość będziesz czatował na okręt ze skarbem?

- Sześć albo i więcej.

- Bodajby mnie! Ale waszmość, panie Murray, targujesz się niemożliwie!

- Ale też zapłacę suto i pewnie, dając przy tym dobrą porękę.

- Wcale tego nie widzę! - sarknął Flint i wychylił resztę rumu.
- Daję siedemset tysięcy funtów do sprawiedliwego podziału między dwie załogi okrętowe, z których wasza nie będzie narażała swej skóry dla tego zarobku.

Flint powstał i poprawił pas na sobie.

- Przyjmuję, bo nie pozostaje mi nic lepszego - odezwał się. - Ale muszę mieć zakładnika. Niewielka wprawdzie z niego pociecha, ale muszę się jakoś zabezpieczyć... bodajem marnie zginął, jeżeli gra cała nie opłaci się siedmiuset tysiącami funtów!

I skinął na mnie, trzasnąwszy w palce.

- Chodź no, chłopysiu! Pokażemy ci, jak to żyją prawdziwi zbójnicy na pokładzie "Konia Morskiego"!

- Nie jestem niewolnikiem, ażeby miano mną handlować i żebym przechodził z rąk do rąk coraz to innego właściciela! - krzyknąłem w uniesieniu. - Waćpan możesz zmusić mnie do pójścia, ale sam nie ruszę się ani krokiem z dobrej woli!

Flint miał już odpowiedzieć stekiem przekleństw, ale Murray mu przerwał:

- Asan uprzedzasz wypadki - zgromił swego sprzymierzeńca. - Na razie jednak nie ma potrzeby dawać zakładnika. Teraz popłyniemy na Rendez-vous; całe tygodnie, ba, nawet miesiące przeminą, zanim będę mógł wyruszyć na zachód w kierunku Hispanioli. Mamy więc dość czasu, by mówić o wydaniu ci zakładnika.

Przez chwilę zanosilo się na to, że Flint ostro sprzeciwi się temu zamiarowi, ale w końcu widocznie uznał, że nie warto wszczynać nowego sporu na ten temat.

- Niechże tak będzie - burknął. - Na wyspie omówimy tę rzecz szczegółowo. A, niechże mnie!... - odezwał się nagle z radością - wiedziałem, że nie darmo zdobyliśmy sobie tego rudowłosego chłystka! Jest on nam nieomylną zapowiedzią szczęścia!

I chwiejnym krokiem wytoczył się z kajuty tupiąc, trzaskając drzwiami i szafując hojnie przekleństwami, aż dostał się na pokład i krzyknął na swych wioślarzy, by odwieźli go z powrotem na pokład "Konia Morskiego".

VIII

Rojenia starego nieszczęśnika

Dziadek, okazując niesmak, opadł na krzesło i wlał nieco gorzałki do szklanki.

- Phi! - zawołał. - Czasami bierze mnie obrzydzenie do tej kompanii, z którą chcąc nie chcąc trzymać się muszę.

Uderzył w srebrny dzwonek; do kajuty wbiegł służący.

- Gunn - ozwał się mój dziadek - czekamy na jadlo, jakie zamówiłem. Ale zatrzymaj się jeszcze. Otwórz okno, zanim wyjdiesz. To miejsce czuć stęchlizną upadłego honoru.

Zaśmiałem się, on zaś odjął szklankę od ust, spoglądając na mnie sponad jej krawędzi, jak gdyby zdziwiony.

- Czy to moje powiedzenie daje ci powód do wesołości, Robercie?

- W tym wypadku jestem z waszmością najzupełniej zgodny - odparłem. -

Waćpan masz rację. To miejsce czuć istotnie skalaniem honoru.

- Aha!

Wychylił resztę napitku, otarł starannie usta i odstawił szklanke.

- Zdaje mi się, że aśc starasz się być uszczypliwy - odezwał się po chwili. - Jest to rozrywka zazwyczaj ulubiona młokosom.

- Nie - odpowiedziałem. - Chciałem jedynie powiedzieć waszmości, że masz takie prawo mówić o swoim honorze jak ten człowiek, co tu był przed chwilą.

Gunn odemknął jedno z okien wychodzących na rufę; wionął nam w twarz rzeźwiący podmuch słonego powietrza. Murray odetchnął nim głęboko, a Piotr, którego twarz w dusznej atmosferze kajuty nabrała barwy ołowiu, zaczął odzyskiwać rumieńce i pochylił się w krześle. Dziadek zwrócił się ku niemu uprzejmie:

- Mam skrupuły, żeście musieli nieco cierpieć z powodu mego roztargnienia, przyjacielu Piotrze. Zalecam ci parę łyków tej oto aqua vitae (łac. - dosłownie: woda życia). Wyborny to środek na uśmierzanie dolegliwości żołądkowych.

- Ja - zgodził się Piotr.

- Zaraz dostaniemy kurczę pieczone na wolnym ogniu - ciągnął dalej Murray. - Parę kęsów łatwo będzie waćpanu strawić i dopomoże mu zapełnić tę pustkę, której nie mogła zaspokoić nasza przykra przeprawa na brygu. Ale Robert rozprawiał ze mną na temat honoru. Pozwolisz waćpan, że wrócę do tej kwestii.

Jego pociągła twarz o rysach energicznych i wydatnych wyrażała niezmierną stanowczość i przekonanie o słuszności swego zdania.

- Czymże jest honor? Czym niesława? Pewnie, rzecz tę należałoby ściślej rozważyć. Żadne nazbyt skwapliwe ogólniki nie zdołają rozwikłać tak zagmatwanego zagadnienia, które zaprzętało umysły ludzkie, odkąd tylko ustanowiono pojęcie uczciwości.

- Moim zdaniem jest to postępek niehonorowy zapewniać wnuka, żeś go waszmość porwał celem zyskania jego pomocy i zgotowania mu lepszego losu, jeżeli w istocie chciałeś go tylko użyć jako zakładnika do swych osobistych zamierzeń - rzekłem, zastanawiając się nad każdym słowem; a jeżeli mówiłem oględnie, to zadawałem sobie specjalny wysiłek, gdyż w duszy kipiałem wzburzeniem.

- Zbieg okoliczności nadaje pozory prawdopodobieństwa twoim mniemaniom - przyznał dziadek spokojnie. - Jednakowoż człek rozsądny musi się z tym zgodzić, że było dla mnie rzeczą konieczną dać spełnieniu mych zamysłów pierwszeństwo przed względami krwi. I chociaż aśc nie jesteś skłonny uznawać mych słów za prawdę, to jednak powiem ci raz na zawsze, że żywię ku tobie szczerze i serdeczne przywiązanie, i to pomimo zniewag, jakimi mnie obrzucasz, nie zważając na różnicę wieku pomiędzy nami.

Zostałem zapędzony w kozi róg, wszakże nie dałem się tym pokonać.

- Gdyby to był jedyny zarzut przeciwko honorowi waszmości... o ile, doprawdy, można mówić o honorze rozbójnika...

- A czemuż by nie? - zapytał ów ostro. - Honor pojmuję jako wierność samemu sobie i hasłom etycznym, jakie człowiek stawia sobie jako drogowskaz w życiu, przez które przechodzimy tak niepewną stopą.

- Zatem jeśli kto postępuje nieuczciwie względem wszystkich z wyjątkiem siebie samego, tedy broni swojego honoru?! - obruszyłem się.

- Przekręcasz moje myśli - odparł dziadek. - I za jednym tchem poruszasz

drugie jeszcze zagadnienie: co jest nieuczciwe, a co uczciwe? Jakem ci wpiersz mówił, biorę od tych, którzy mają dużo, od tych, którzy łupią innych. Nie jestem bardziej nieuczciwy niż ów Wilhelm Normandzki, który podbił Anglię i wydzierżawił ją swym baronom w nagrodę za pomoc.

- Wasza miłość jesteście zręczny w słowach - zadrwiłem - ale i ja nie dam się zjeść w kaszy. Co waćpan powiesz o swoich sztuczkiach, którymi skusiłeś O'Donnella, by wystawiał na szwank własną córkę zabierając ją na ów okręt ze skarbami? Czy, wedle twego zdania, jest rzeczą uczciwą namówić głupowatego, narwanego kamrata, by zabrał niewinne dziewczętko z klasztoru, włóczył je po całym świecie, a następnie celem osłonięcia nędznego spisku wtrącał ją w towarzystwo takich łotrów jak Flint i jak waszmość sam?

Dziadek zamiast, jakom się spodziewał, unieść się gniewem, wpatrywał się we mnie z wielką powagą przez cały czas tej perory, a w oczach miał wyraz dziwnej przenikliwości.

- Asan, jak mi się zdaje, widziałeś już tę dziewczynę - zagadnął.

- Spotkałem ją przypadkowo. Ja to nie dopuściłem, by ona miała wejść do oberży "Pod Głową Wieloryba", szukając swego ojca.

- Dobrześ postąpił! - pochwalił mnie dziadek gorąco. - A czyś z nią rozmawiał? Powiedźże mi, Robercie, co to za dziewczyna?

- Niczego sobie, ładna - odpowiedziałem zachodząc w głowę, do czego zmierza to pytanie.

- A czy panna w dobrym tonie? - nalegał dziadek. - Nigdy jej jeszcze nie spotkał.

- W mowie zatraća akcentem irlandzkim.

- A czy jest miła w obejściu? Wytworna dama?

- Tak jest.

Ben Gunn wniósł kurczę na salaterce, a dziadek wziął się do krajania. To ci była ucztą patrzeć, jak rozjaśnia się nalana twarz Piotra! Murray, krajając pieczone, mówił dalej:

- Ma to być podobno urocza panienka, Robercie. Zaczyna krew płynić w jej żyłach. Jej matka była młodszą siostrą księcia Leitrim, a jej dziadek po mieczu był młodszym synem lorda Donegala. Będzie ona w wielkich łaskach, gdy król Jakub powróci do Białego Dworu.

- O ile powróci! - zadrwiłem. - Dziwię się, że waszmość możecie obchodzić się tak srogo z panną tak szlachetnie urodzoną.

- Srogo? - powtórzył dziadek odrywając wzrok od krajanego kurczęcia. - Skądże aści to przyszło do głowy?

- Ech, zaprzestań już waszmość tych bezecnych oszukaństw i matactw! - krzyknąłem na cały głos. - Mówiłem już waszmości, że wiem, iż macie ją wciągnąć na pokład swego okrętu, skoro zdobędziecie "Najświętszą Tróję". Cóż jej wtedy pomoże księżę Leitrim i lord Donegal, i Jakub Stuart, i cała koligacja katolickiej szlachty? Ba! Mogę się gniewać za wasze ze mną postępowanie, panie Murray. Ale przymuszać to dziewczę, nieledwie dziecko, by żyła w tym nawodnym piekle i była narażona na hołdy ze strony Flinta i jego baranków!...

Dziadek zacisnął wargi.

- Ależ to krewki młodzieniaszek! Przyjacielu Piotrze, sądzę, że to kurczę będzie ci smakowało?

- Ja - mruknął Piotr pobrzękując sztućcami, które trzymał w pogotowiu.

- Czy zadowolisz się udkiem, Robercie? Na tym półmisku są ziemniaki,

które były świeże, gdyśmy wyruszyli w drogę, a jeszcze i teraz nie stracili smaku. Gunn, usłuż no panu Ormerodowi! Tak! A teraz podejmujemy znów wątek przerwanej rozmowy. Co się tyczy uczestnictwa tej panny w naszych zamiarach, najważniejszą rolę grał tu oczywiście wzgląd, żeby nie domyślano się związku pułkownika O'Donnella z moją osobą. Najlepszym sposobem zatajenia całej sprawy była obecność przy nim jego córki. Nawet żaden z oficerów hiszpańskich - a nad nich nie masz narodu bardziej podejrzliwego - nie może nic zarzucić działalności O'Donnella, dopóki bawi przy nim jego córka.

- Czemuż to? - pytałem natarczywie. - Na cóż całe to nieczne oszustwo? Na cóż mieszać młodą dziewczynę do takich nieczystych sprawek? Czemu podżegać jej ojca do niewierności względem jego zwierzchnika?

Murray spałowiał.

- Nie jest on niewierny swemu panu - odparł, po raz pierwszy z przebłyskiem gniewu. - Zwierzchnikiem O'Donnella, moim zwierzchnikiem, ba, twoim zwierzchnikiem jest król Jakub! Co tam O'Donnellowi zależy na mizernym Hiszpanie, który siedzi w pałacu madryckim? I cóż tam komukolwiek z nas zależy na Hiszpanach, którzy nie okazali na tyle męskości, by dotrzymać szumnych obietnic, że poprą Stuartów? Co więcej, ta dziewczyna, o której tak gębujesz, zniosłaby z radością śmierć, niesławę, wszelkie męczarnie, byleby zdobyć dla swego króla środki do odzyskania utraconej potęgi. Zasię ów skarb, który Hiszpanie wywożą ze swych prowincji, został przez nich zrabowany nieszczęsnym Indianom; natomiast my możemy go im odebrać z tym czystym sumieniem, że przeznaczamy go na cel o wiele wznioślejszy niż utrzymanie królewskich dworaków i frejlin, co stałoby się z tymi pieniędzmi po przywiezieniu ich do Madrytu. To ma być nieczysta sprawka? Chłopcze, czyś ty oszalał?

W jego uniesieniu było coś, co mnie obezwładniało, budząc znów mimowolny podziw, który wprawiał mnie w kłopot i zmieszanie. Cóż to mój ojciec powiedział o tym człowieku? "Jest to człek prawy, ale ta prawość ujawnia się w sposób dziwny i powikłany..."

Niewątpliwie był on taki. Odczułem w nim wypaczoną szlachetność umysłu, która budziła we mnie życzliwość i litość. Wydało mi się naraz, iż zmieniły się nasze stanowiska; jak gdyby jego siwe włosy należały do mnie, a moje gładkie lica do niego.

- Może jestem szalony - odrzekłem. - Nie będąc jednak wtajemniczony w wasze zamysły, jestem skłonny opacznie je rozumieć; czyjaż więc w tym wina?

On upuścił z rąk nóż i widelec i utkwiał we mnie oczy dziwnie żywe i jasne w oprawie zmarszczek, żarzące się młodością.

- Są to pierwsze słowa nieco przychylniejsze, jakie wyszły z twych ust - odpowiedział.

- Nie jestem przychylny - zaprzeczyłem - tylko zaciekawiony. Waszmość wyrwał mi z naturalnego trybu życia i wtrącił w sieć intryg, których zgoła nie rozumiem. Waszmość chcesz, bym dobrze myślał o tobie i współpracował z tobą, ale nie zadałeś sobie najmniejszego trudu, by zaznajomić mnie ze swymi zamiarami i rolą, jaką mi wyznaczyłeś.

Piotr, wymiółszy do czysta talerz, rozparł się w krzesło, z westchnieniem ukontentowania.

- Ja, panie Murray, pan nie mówisz wiele - ozwał się piskliwym głosem. - Nawet temu drabowi Flintowi nie powieciałeś i tyle, by mógł mieć

jakiegokolwiek poszlaki.

Nie przyszło mi to do głowy, więc czułem się w duchu zawstydzony. Dziadek się uśmiechnął.

- Niech mnie kule biją, alem przewidywał, że nie ujdzie to twej baczości, Piotrze! - wykrzyknął. - A teraz powiedzże mi jedną jeszcze rzecz: czemu to Flint nie pytał mnie o drogę okrętu skarbowego ani o port, z którego ten wypłynął? Czy tak sobie zalał pałę rumem, że nie chciał po próżnicy słów tracić?

- On zna waćpana, ja - odpowiedział Piotr.

Murray skinął głową.

- Tak, to było przyczyną i dlategoś to spostrzegł, Piotrze; nie nadaremnie żyłeś wśród czerwonoskórych. Ale nie jest to odpowiedź na zapytanie mego wnuka. Moja to wina, że jesteś tak mało uświadomiony, Robercie, przeto postaram się błąd ten naprawić. Nie myślałem bynajmniej cię zwodzić, gdym ci opowiadał, że porwałem cię z Nowego Jorku dlatego, że potrzeba mi było twej pomocy; jest to tak dalece prawdą, że zawahałem się wyznać tobie, iż muszę zyskać twe poparcie, zanim zdołam wykonać którykolwiek z mych późniejszych zamysłów zmierzających do polepszenia twego stanowiska w świecie. Koniec końców, Robercie, w chwili obecnej potrzebuję ciebie więcej, niżbyś ty mógł mnie potrzebować, a oddanie ciebie w zakład Flintowi jest najmniejszą usługą, jakiej po tobie się spodziewam.

- Szczerze waszmość mówisz - odparłem - przeto nie będę ci dłużny w odpowiedzi. Powiedziałem już waszmości, że nie przyłożę ręki do korsarskiego rzemiosła; tego też dotrzymam. Zabieranie okrętu ze skarbem jest...

- Zatrzymaj się, zatrzymaj się - przerwał dziadek. - Zanim pofolgujesz znów językowi, pozwól, niech ja ci opowiem swoje dzieje. Proszę was tylko, byście utrzymali to w tajemnicy przed wszystkimi ludźmi znajdującymi się na obu naszych okrętach.

- Obiecuję dochować tajemnicy - odezwałem się.

- Ja - przywodził mi Piotr.

- Niech tak będzie!

Wstał od stołu i podszedł do kredensu w ścianie, wyjął zeń zwiniętą mapę, którą rozpostarł na stole przed nami, odsuwając na bok talerze i szklanki. Na pierwszy rzut oka poznałem, że była to mapa obejmująca Morze Karaibów, wielkie Morze Hiszpańskie oraz wieniec wysp od cypla Florydy aż do Brazylii.

- To celem lepszego zrozumienia - napomknął. - Moje dzieje rozpoczynają się w Europie, toteż na razie obejdziemy się bez mapy. Twój ojciec, Robercie, mając twoje lata, był zawziętym jakobitą. Zmienił on od tego czasu swoje przekonania, ale o tym lepiej nie mówić. Ja natomiast, jak urodziłem się jakobitą, tak jestem nim po dziś dzień sercem i duszą. Póki życia, nie spocznę, aż hanowerski przywłaszczyciel zostanie wygnany z mego kraju... Byłem na drugim końcu Afryki, gdym otrzymał wieść, że królewicz Karol (było to w roku 1745) poruszył w Szkocji Białą Kokardę (zewnątrzną odznaką stronników wygnanego króla Jakuba Stuarta, tzw. jakobitów, była biała kokarda). Pożeglowałem ku ojczyntym pieleszom - o czym jużście słyszeli - atoli przybyłem o parę miesięcy za późno, bym wziął udział w potrzebie. Jednakowoż nawiązałem łączność z przyjaciółmi we Francji, którzy pracują dla sprawy, i w ten sposób dowiedziałem się, że zbożne dzieło

rozwija się pomyślnie. Wszystkim nam teraz wiadomo, że królewicz Karol mógłby zagoić swe rany, zadane pod Culloden, gdyby tylko miał więcej szczęścia w wyborze doradców. Powiem nawet waćpanu, że nakazy rozbrojenia Szkocji nie dopięły celu i jedynie rozgoryczyły klany (rody szkockie i irlandzkie) przez ucisk, jaki względem nich stosowano. Jedyna rzecz, jakiej nam potrzeba do drugiego powstania, to pieniądze - złoto!

Jego połyskujące, czarne oczy spoczywały to na jednym z nas, to na drugim, a wydawało mi się, że żółtawe plamki w źrenicach spotęgowały swój blask, gdy Murray wykrzyknął ostatnie słowo głosem podniesionym, który przejął mnie dreszczem i niepokojem.

- Złoto! - powtórzył raz jeszcze. - No, jest mały fundusik, który pozostawił po sobie królewicz Karol... nazywają ten zapas skarbem z Loch Arkaig. Mieli nad nim pieczę Cluny Macpherson i brat Locheila, a nie macie pojęcia, ile kłopotów przyczyniały te pieniądze Anglikom! Było tam z początku nie więcej jak czterdzieści tysięcy ludwików (złota moneta używana we Francji w latach 1640-1803. Zastąpiona została monetą dwudziestofrankową), a to się prędko rozpląnęło... Pomyśl tylko, co można by zdziałać prawdziwym skarbem! Pomyśl, co... Ale ja uprzedzam wypadki.

Zatrzymał się; po chwili znów rzecz podjął, wodząc palcem po mapie leżącej na stole, a nieznaczny, dziwny uśmiech pojawiał się na jego obliczu.

- Mówiłem, że opowiem ci swoje dzieje... Jednakowoż, koniec końców, to są tylko rojenia... rojenia nieszczęśliwego starca, Robercie. Wiem, że tak o mnie myślisz... i ty... i ojciec twój... i Piotr... i zachodzę w głowę, co sobie pomyśli to młode dziewczątko, z którym rozmawiałeś! Albo biedny, tronu pozbawiony, stary król, co aby się ogrzać, kuli się nad piecykiem w posepnym pałacu rzymskim, który mu jedynie pozostał z całej dawnej świetności! Albo księżę Karol, który uwija się to po Francji, to po Niderlandach, głowiąc się i bijąc z myślami, a zawsze gnębiony niedostatkiem pieniędzy! Pieniądzy! Kulejemy na ich brak w każdym przedsięwzięciu. Gdybyśmy mieli ich pod dostatkiem, można by obalać królestwa, kupować ułaskawienia, otrzymywać tytuły, godności i stanowiska. To ci jest substancja mająca określoną wartość, uchwytna, twarda, błyszcząca i ważka, nie taka mglista i wiotka jak ta, z której utkane są rojenia; pamiętajże o tym... Ale zaletą rojeń, Robercie - ciągnął dalej, zwracając się wyłącznie do mnie, jak gdyby zapomniał o obecności Piotra - jest to, że dadzą się one zamienić w rzecz namacalną i określoną, ba, nawet w złoto. A rojenia starego nieszczęśnika potrafią może naprawić zło, obalać możnych, pomóc wybawiać słabych i uciemieźzonych, w równej mierze jak złoto, które wykopują niewolnicy indiańscy pod biczem hiszpańskich nadzorców. Albowiem rojenia mogą doprowadzić do złota. Jak to mawiali starożytni?... Najpierw myśl, potem czyn!... Kiedy się we mnie ta myśl zrodziła? Tego nie umiem ci powiedzieć. Flint i ja częstośmy tropili okręt, corocznie wywożący skarby, ale nigdy nie udało nam się go zdybać. Dopiero któregoś dnia przyszło mi do głowy, by użyć do tego moich przyjaciół jakobitów we Francji i Hiszpanii. Z radością przystali na ten pomysł, gdyż prawdę powiedziawszy, Robercie, zarówno Hiszpanie, jak Francuzi bardzo niecnie sobie postępowali z naszym stronnictwem. Za pośrednictwem pewnego kardynała, który stoi po stronie króla Jakuba, poprowadziliśmy tajne układy, iż dopuszczono nas do Naczelnej Rady Indyjskiej. Dzięki dostarczonej przeze mnie łapówce

O'Donnell, który już był oficerem w stałej służbie wojsk hiszpańskich, został mianowany oficerem w portach na oceanie. Opierając się na powadze tego stanowiska i na pomocy naszego przyjaciela kardynała, łatwo było O'Donnellowi zdobyć dokładne wiadomości o planach Rady co do wysłania tegorocznego poboru złota.

To mówiąc błędził palcem po mapie rozłożonej przed nami, aż doszedł do plamki na boku międzymorza łączącego obie Ameryki.

- Tutaj znajduje się Porto Bello; była to dawniej przystań galeonów (galeona - hiszpański lub portugalski okręt wojenny używany w XV-XVIII w. Galeony służyły nadto do przewozu złota i srebra z kolonii) wiozących skarby, atoli Hiszpanie poniechali tego portu, odkąd został złupiony przez Morgana. Jednakże później odbudowali go i umocnili sztańcami, chociaż w czasie ostatniej wojny nasz admirał Vernon zdobył je wpadłszy zniemacka. W owym czasie kryjówką skarbów była Cartagena, a gdy Vernon próbował do niej szturmować, został odparty i poniósł straty. W dwa lata później Rada Indyjska postanowiła wznowić wyprawy z Porto Bello, który ze wszystkich portów na Morzu Hiszpańskim jest najdogodniejszy do zbiórki skarbów. Przypatrz no się! Znajduje się w pobliżu drogi z Meksyku do Peru, a poza sobą ma kopalnie Veraguy. Skarby z Morza Południowego można przywozić drogą wodną do Panamy, stamtąd zaś łądem na wozach zaprzężonych w muły, kursujących stale między Panamą i wybrzeżem zachodnim a miastami Atlantyku. Skarby peruwiańskie przybywają tą drogą; natomiast meksykańskie bywają przewożone z La Vera Cruz na okręcie pod eskortą straży pobrzeżnej i dobijają do Porto Bello, gdzie czeka okręt odjeżdżający do Hiszpanii z początkiem lub w połowie sierpnia. Jest to korab (okręt, statek) potężny i silnie obsadzony, ale Hiszpanie, nauczeni doświadczeniem wieków, nie chcą narażać go bez potrzeby. O jego przeznaczeniu nie wie nikt zawczasu, nawet sam kapitan; ten płynie z Kadyksu na Morze Hiszpańskie wioząc zapieczętowane rozkazy, których nie otwiera, aż minie połowę Atlantyku, a te rozkazy prowadzą go do Porto Bello. Tutaj jego załogę poddają ścisłemu nadzorowi, a port jest zamknięty i strzeżony przez cały czas ładowania skarbu. Skoro czynność ta zostanie ukończona, każą kapitanowi wsiadać i wyjeżdżają nocą, o godzinie wiadomej jedynie gubernatorowi i wyższym oficerom, ale dla większej pewności port jest później zamknięty jeszcze przez całe dwa tygodnie.

- Jakże więc waszmość możesz mieć wiadomość o żegludze tego okrętu? - przerwałem.

- W tym już głowa O'Donnella. W ciągu lata dotrze on do Porto Bello i tak gorliwie zajmie się stanem obwarowań, że nie odejdzie, zanim nie uczyni ich zdawnymi do obrony.

Tu dziadek uśmiechnął się do mnie pobłaźliwie.

- Okazałeś wielką dbałość o dobro jego panny córki, Robercie, a winienem ci wyznać, że bardzo dobrze świadczy o tobie to uczucie; ale lepiej, byś się troszczył o jej zdrowie w porze roku, gdy najczęściej grasują zaraźliwe choroby. Spodziewam się, że wyprawią ją wraz z żonami oficerów do jednego z górskich letnisk, jakie pobudowali Hiszpanie dla swoich rodzin.

- Lepsze jest Porto Bello i zaraza niż okręt korsarski! - mruknąłem gniewnie.

- Będziesz wciąż szermował tym słowem - odrzekł dziadek smutno. - Widzę, że niełatwo mi będzie ciebie nawrócić. Niech tam! A teraz wracam do

opowieści. W czasie swego pobytu tamże O'Donnell otrzyma listy wzywające go w nagłej sprawie do Hiszpanii. Będzie się starał, by mu pozwolono jechać na okręcie wiozącym skarby, ponieważ jest to statek wygodny, a jednocześnie bezpieczny. Tak więc, dzięki swemu stanowisku, będzie wiedział dokładnie o dacie wyjazdu na parę dni przed terminem. Skoro uzyska tę wiadomość, natychmiast prześle ją potajemnie do niejakiego Diega Salveza, mojego pomocnika w tym porcie; takich ludzi zaufanych mam ja we wszystkich ważniejszych miejscowościach na wybrzeżu oceanu i na wyspach. Diego, przy pomocy O'Donnella, wydostanie się z miasta i ruszy na morze w pośpiesznym szlupie (statek jednomasztowy o ukośnych żaglach), który stoi na małej rzeczulce, koło zwałisk dawnego miasta Nombre de Dios, tak iż dostaniemy pewny meldunek o wyjeździe "Najświętszej Trójcy" i będziemy mogli być gotowi na jej przybycie.

- A skąd będziecie wiedzieli o kierunku jej drogi? - zapytałem przyglądając się mapie. - Z Morza Karaibskiego na Atlantyk wiodą trzy różne wyjścia.

I wskazałem kolejno Cieśninę Florydzką na północ od Kuby, Wietrzną Odnogę pomiędzy Kubą i Hiszpanią, od której na zachód znajduje się wielka wyspa Jamajka; a na koniec cieśninę Mona pomiędzy Hiszpanią i Porto Rico.

- Nie zechce im się przeciskać przez małe wyrwy pomiędzy drobnymi wysepkami na południu - dodałem.

Dziadek zachichotał z zadowoleniem, jakiego dotąd nie zdarzyło mi się w nim dostrzec, i rzekł:

- Jak na szczonego ładowego jesteś dobrze obeznany z mapą. Cóż ty na to, Piotrze? Można go jeszcze wykierować na dzielnego marynarza.

- Neen - odrzekł Piotr z powagą. - Ciebie ciągnie na ląd, Robercie.

Biedak był tak pocieszony w swym uprzedzeniu do morza i marynarzy, że (co zdarzyło się po raz pierwszy) i dziadek, i ja wybuchnęliśmy jednocześnie śmiechem.

- Ugodziłeś w sedno naszej sprawy - rzekł Murray. - Był to szczegół, co do którego najtrudniej mi było zasięgnąć wiadomości. "Najświętsza Trójca" skieruje się na cieśninę Mona; zaraz ci tego dowiodę. Pierwszym zadaniem Hiszpanów będzie ukryć przed oczyma ludzkimi wyjazd okrętu, który popłynie, o ile to możliwe, po otwartym morzu. Do tego celu najlepszym wyjściem jest luka pomiędzy Hiszpanią i Porto Rico. Na tej linii nie ma żadnych wysp od strony Morza Karaibów; przebywszy cieśninę wymija się Wyspy Bahama od południowego wschodu i można jechać prosto, jak strzelił, do Zielonego Przylądka. Moim zamiarem jest, aby "Król Jakub" pod koniec sierpnia znajdował się koło zachodniego wylotu cieśniny, unikając zetknięcia się z okrętami i trzymając się jak najdalej na pełnym morzu. Gdy się zjawi Diego, określimy miejsce uderzenia, a niepodobna, by okręt ze skarbami miał ujść nam cało. Jeżeli będzie uciekał, potrafimy go dogonić, a w walce orężnej nie ostoi się przede mną żaden Hiszpan z floty wojennej.

- To, co dotąd powiedziano, słyszałem już z ust waszmości, gdy rozmawiałeś na brygu z pułkownikiem O'Donnellem - odezwałem się. - Ale co potem nastąpi? Waćpan zdobędziesz "Najświętszą Trójcę"... a później?

Mój krewniak posuwał palcem po powierzchni mapy, aż zatrzymał się przed maleńkim znaczkiem nakreślonym atramentem na obszarze morza na wschód od Kuby i nieco ku północy od Hiszpanii. Na północ od tego gryzmołu rozpościerał się szeroki wianuszek Wysp Bahama.

- O tym właśnie, jak aś słyszałaś, wspominaliśmy obaj z Flintem, mówiąc o Rendez-vous i Wyspie Lunety - wyjaśnił. - Zdaje mi się, że nosi ona jeszcze inne nazwy. Niektórzy przezwali ją Wyspą Skarbów, choć wiem, że na niej nie ma wcale skarbów. Prawdę mówiąc jedyną zaletą wyspy jest to, że nie widać jej na żadnej mapie, a dogodne odosobnienie i zasłonięte porty dają doskonały przytułek takim jak my wyrzutkom społeczeństwa. Powiadają, iż odkrył ją Kidd, i nie ulega wątpliwości, że niektórzy z dawnych flibustierów mieli zwyczaj tu się osiedlać. Flint dowiedział się o tajemnicy jej istnienia od starego wygi morskiego, który szczycił się, że jeździł na galerze "Awantura". Teraz tam się wybieramy, by odświeżyć i wyporzadzić okręt, a gdy już będziemy mieli skarb bezpiecznie schowany pod pokładem, powrócimy na wyspę, aby się podzielić zdobyczą i zarządzić, co potrzeba, celem przesłania należytą część przyjacielom pułkownika.

Głęboka zmarszczka wyryła się na czole mojego dziadka.

- Nie będzie mu się to podobało, Robercie - stwierdził. - Wziąłem od O'Donnella słowo honoru, że nie zdradzi żadnego z naszych sekretów, i zaprawdę leży to w jego własnym interesie, by zataić współudział w tym przedsięwzięciu. Ale Flint może nam tu jeszcze zadać bobu. Jest to zażarty pies i chciwiec. Słuchaj no, chłopcze, czy poprzeczysz mi w tym zamierzeniu? Dla tej dziewczki albo też z jakiej innej przyczyny?

- Czemuż nie pozostawić jej na okręcie wiozącym skarby?

Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Może będziemy musieli zatopić...

Porwałem się z miejsca.

- W takim razie nie chcę mieć nic wspólnego z całą tą sprawą!

Powiedziałem, że stanę przeciwko wam, jeżeli będziecie mordować bezbronnych!

Powstrzymał mnie skinieniem ręki.

- Spokojnie, spokojnie! W każdym razie nie możemy wlec za sobą całej załogi Hiszpanów, a...

Zawahał się.

- Trzeba zabezpieczyć O'Donnella - zakończył.

- Przeciwno czemu?

- Przeciw przydługim językom. Powiedziałem ci, że o jego współudziale nigdy nie powinno być wiadomo. "Najświętsza Trójca" zginie, a wraz z nią zginie skarb i cała załoga. Nie ma innego sposobu.

- Ale jeżeli O'Donnell i jego córka ocala się i dotrą do Europy, wówczas niezawodnie zaczną się szerzyć plotki - zwróciłem uwagę.

- To prawda - zgodził się - ale oni będą mieli już w zapasie jaką bajdę, za pomocą której zdołają się wyłgać... Na przykład powiedzą, że rozbił się okręt, a oni samowtór zdołali dostać się na ląd.

- Któż temu da wiarę? - wtrącił Piotr z pogardą.

- Cóż możemy ponadto uczynić - zachnął się Murray.

- Bierzcie skarb, jeśli to konieczne - odpowiedziałem wymijająco - ale nie kalajcie rąk swoich krwią ludzi, którzy wam w niczym nie zawinili.

- I tak, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zniewolony będę paru z nich zabić - odparł mój dziadek. - Jakaż różnica między tym postępkami a wycięciem ich co do nogi?

Przypomniałem sobie dreszcz zgrozy, z jakim nawet najzagorzalsi zwolennicy króla Jerzego słuchali opowiadania o wymordowaniu Szkotów

ranych pod Culloden.

- Nie waszmość jeden będziesz musiał ponosić pokładane następstwa takiego uczynku - próbowałem znów z innej beczki. - Rzuci on niezatarte piętno na waszą sprawę. Żaden uczciwy jakobita nie będzie mógł odtąd nazywać Cumberlanda mężobójcą. Dalibóg, o ile znam pannę O'Donnell, to i ona wzdragałaby się przyłożyć ręki do tak potwornej zbrodni. Bądź waszmość przekonany, że czyn ten pociągnie za sobą ogrom nieszczęść, które przytłoczą pretendenta i jego zastępy.

Dziadek ze zwykłą wyniosłością zażył tabaki.

- Winienem przyznać, że aścine argumenty są nader poważne - odezwał się wkładając tabakierkę z powrotem do kieszeni. - Ale jakąż dasz mi asan inną radę?

- Uszkodzić okręt, żebyś waszmość miał czas uciekać.

- Niezwykły pomysł - rzekł z przekąsem dziadek - ale nie myślisz o tym, co czeka pułkownika O'Donnella. Co będą o nim mówić, gdy zabierzemy go na pokład "Jakuba".

Przyszła mi do głowy myśl, którą zrazu odrzuciłem ze wstrętem, ale choćbym nie wiem jak suszył sobie mózgownicę, nie mogłem wymyślić nad nią nic lepszego.

- Pozostaje jeden tylko środek - odezwałem się. - Waszmość udasz, że porywasz jego córkę, przy czym możesz również pojmać jej ojca, ażeby stłumić jego sprzeciwy.

- Rola w sam raz dla kapitana korsarzy! - zakpił dziadek. - El capitan Rrrip-Rrrap ma być pożeraczem dziewic! Chciałbym posłuchać anegdota, jakie będą opowiadać bibosze w hawańskich winiarniach... Ale ja muszę wziąć należny mi łup, Robercie. Jeżeli pozwolę tym Hiszpanom zbiec przed naszymi ciężkimi działami i naszymi kordelasami marynarskimi, to czy raczysz stać za mną, kiedy przyjdzie do podziału zdobyczy z Flintem?

- Nie będę wam pomocnikiem w rozbojach; jeżeli waćpan to miałeś na myśli - odciąłem się.

- Nie, to co myślę, jest całkiem jasne, mój chłopcze. Chcę przy pomocy twojej i Piotra móc wydrzeć ze szponów Flinta samego siebie, oboje O'Donnellów i nalezną mi część skarbów.

- Ale czemuż w ogóle macie powracać na Rendez-vous? Wywieźć O'Donnellów w miejsce bezpieczne i wysadzić ich na ląd wraz ze skarbem, zanim wręczysz Flintowi to, co nań przypada.

Dziadek potrząsnął głową.

- Nie jest to rzecz tak prosta, jak by się zdawać mogło. W utarczce z "Najświętszą Trójcą" przyjdzie niechybnie do strzelania z dział, tak iż nas posłyszają. Być może, że nas dostrzegą, gdy puścimy się w dalszą drogę; kto wie, czy nie będą nas ścigali. Pozostali przy życiu Hiszpanie, których każesz mi oszczędzać, sprowadzą na nas co rychlej swe fregaty. Musimy przez czas pewien przycupnąć gdzieś w cichości. Wreszcie z różnych powodów - nazbyt zawiłych, by się nad nimi rozwodzić - nie mogę przesłać skarbu moim przyjaciołom we Francji wcześniej jak na wiosnę. Siedemset tysięcy funtów w bryłach złotych i srebrnych jest to zasób, z którym nie tak łatwo się uporać. Należy poczynić przygotowania do wyładowania i przewozu.

Nie, Robercie, wyspa Rendez-vous jest mi nieodzownie potrzebna do wykonania mych zamysłów. Co więcej, jestem zdziwiony, że asan, który tak wiele rozprawiałeś o honorze, starasz się mnie zachęcić do niehonorowego

postępuku względem moich sojuszników, doradzając mi, bym pozbawił ich, chociażby na krótki czas, należnej im części łupów. Przypuszczam, że nie odmówisz mi przynajmniej tego zaszczytu, że jestem uczciwym korsarzem.

Ostatnie słowa wypowiedział tonem jakby z lekka namaszczonym, co brzmiało niezmiernie pocieszenie, tak iż Piotr i ja zaczęliśmy się śmiać. Wolno temu, kto chce, nazwać mnie durniem lub niedowarzoną młokosą, niemniej muszę zaświadczyć, że odczuwałem coraz to wzrastającą przychylność względem mego krewniaka. Ten tak osobliwy opryszek nie był zupełnie pozbawiony dodatnich cech charakteru, a to pewna, że jego dzielność i ostrożność, i pomysłowość same przez się wystarczyły, by odróżnić go od przeciętnych ludzi.

- Dobrze - rzekłem - dla dobra tej dziewczyny uczynię to, Czego waszmość sobie życzysz... o ile Piotr się zgadza.

- Ja - zgodził się Piotr.

Murray pochwyił moją dłoń i uściśnął ją pośpiesznie a mocno.

- Dobrze! - krzyknął. - Pierwszy to raz staniemy koło siebie ramię przy ramieniu. Ach, Robercie, roilem sny urocze, a kto pomoże mi je ziścić, nie będzie żył nadaremnie. Weźmiemy to złoto i wybudujemy aleję zwycięstwa na wjazd prawowitego króla do Białego Dworu. Czegóż nie dokonamy? Porwiemy do boju oręż szkockich górali! Poprowadzimy brygadę irlandzką na miasto Londyn! Tułaczy z obczyzny wprowadzimy do domu. Rozpalimy wici ogniste - od końca do końca - przez całą długość i szerokość Trzech Królestw! A wtedy górą Biała Kokarda!... Wówczas nikt już ani nie piśnie o piratach! Będą wtedy mówić o księciu Jedburgh, markizie Cobbielaw, o hrabi i baronie Broomfield, tak! I parostwo angielskie przypadnie nam w zdobyczy! Wysoko zajdziemy, Robercie, tak, na same szczyty!

Naraz urwał, a w oczach wygasł mu żar podniecenia.

- Piękne to majaki roi sobie nieszczęśliwy starowina... co, chłopcze, he! Wspomnij sobie me słowa, gdy posłyszysz, jak tłumy witają nas na ojcystym wybrzeżu.

Jużem prawie był skłonny wierzyć mamidłom morskiego banity, ale Piotr rozwiązał ten urok.

- Ja osobiście nie wieszę w senne wiciadła - ziewnął Holender. - Neen.

Murray wlepił w niego wzrok roziskrzony.

- Mniejsza o to, w co ty wierzysz, Corlaerze! - rzekł krótko i wyszedł z kajuty.

Piotr łyknął okowity i zapiszczał:

- Ten Murray to niepoprawny maszyciel. Ja, przez całe szycie on tylko maszy i maszy. Maszył i przedtem, gdy bił się ze mną i z twoim ojcem, Bobie. Niedopsze to śnić za wiele, neen.

I westchnął:

- Jusz mi się szołądek poprawił. Mosze dokończymy kurczęcia, ja?

IX

Wyspa

Dni, które upływały mi na pokładzie "Króla Jakuba", były kubek w kubek podobne jeden do drugiego, chociaż u takiego szczura lądowego, jak ja, cały tryb codziennych zajęć i obowiązków oraz każda zmiana pogody budzi coraz to

nową i niepomiarłą ciekawość. Dziadek umiał trzymać na smyczy całą tę sforę zajadłych wilków i uzyskać taką sprawność, jaka cechuje karną drużynę marynarki wojennej. Boć też on wyobrażał sobie, że jest jak gdyby admirałem udzielnego autoramentu, a niekiedy w marzeniach widywał "Jakuba" włączonego w poczet floty królewskiej oraz siebie samego jadącego pod szeroką banderą na czele eskadry.

- Jego Królewska Mość zapewne nie zamianuje mnie Lordem Admirałem, Robercie - mawiał przechadzając się po rufie, przy czym zawsze zakładał ręce poza siebie, a lunetę ścisnął pod prawą pachą. - Jestem zwolennikiem zachowania tradycji, a do wspomnianego stanowiska niezaprzeczone prawa mają Howardowie. Ale niższego stanowiska może się dochrapię - na przykład zostanę admirałem Białych albo, jeżeli to miejsce już zajęte, admirałem Czerwonych (Flota angielska składała się dawniej z trzech eskadr, czyli dywizji: Białej, Czerwonej i Błękitnej - przyp. tłum.). Rozumiem, że wśród starych wilków morskich będzie wielka zawiść o godność na Białej Eskadrze, ale ja też nie od parady noszę głowę na karku. Dla celów politycznych nie należy nigdy poświęcać niczych zdolności wojskowych lub żeglarskich. Protekcja jest to rak, który z czasem stoczy nawet najpotężniejsze państwo.

Co rano w towarzystwie oficerów odbywał przegląd całego okrętu i nie żałował łajaja za opieszałość lub niedbalstwo. Przed samym południem ćwiczone było w obchodzeniu z bronią palną, a po południu odbywała się szermierka na piki i kordelasy. Straże pełniono ze ścisłą skrupulatnością. Dniem i nocą wystawiano czatowników na wszystkich trzech bocianich gniazdach, na rufie i groźcu przednim, a każdy z nich zaopatrzone był w lunetę. Manipulacja żaglami wydawała mi się rzeczą przedziwnie dowcipną, jako że nigdy przedtem nie miałem z tym do czynienia. Czystość pokładów i komór mieszkalnych była wprost bez zarzutu. Nawet sami majtkowie - choć była to istna zbieranina obwiesiów, zbiegów z więzień, włóczykiów, opryszków, morderców i warchołów, jakich tylko można było zgromadzić na jednym pokładzie - wyglądali schludnie, ubrani wszyscy jednakowo w szerokie hajdawery z twardego płótna żaglowego, w cycowe pstre koszule i kubraki z irlandzkiej białej.

Jadła było w bród, i to, jakem się później przekonał, o wiele lepszego, niż podawano na okrętach królewskich; rumu dawano tyle, że wszyscy marynarze byli stale podochoceni, nie wpadając jednak w opilstwo. Nie odszpuntowywano beczki na pokładzie, podług zwyczaju Flinta, lecz każdemu wydzielano pełny kubek trzy razy dziennie. Zasię na wodach podzwrotnikowych, jak opowiadał mi pan Marcin, Murray bardzo dbał o to, by zaopatrzyć okręt w świeże owoce, dla ochrony przed skorbutem i zgubną febrą grasującą w strefie gorącej.

Oficerowie mieszkali przed kajutą, w której, jak przypuszczam, była zbrojownia. Murray zajmował sam kwatery na rufie, mając jedynie Piotra i mnie za towarzyszy, a do posługi Bena Gunna i dwóch lokajów-Murzynków, którzy byli raczej tylko do parady, bo naprawdę to kuchta sam wykonywał całą robotę.

Na wygodę nie było się co skarżyć. Dziadek obiecał mi, że będę się tu miał dobrze jak sam admirał i naprawdę dogadzano mi, jak bym był admirałem lub książątkiem. I Piotr, i ja mieliśmy oddzielne sypialnie, które choć bardzo ścieśnione belkami wsporowymi, były i tak obszerne w porównaniu z norą, w jakiej gnietliśmy się pospołu, przebywając na brygu.

Główną kabinę już opisałem; dodam jeszcze, że oprócz artystycznych upiększeń znajdowała się w niej wyborowa biblioteka pisarzy łacińskich, francuskich, włoskich, hiszpańskich i angielskich, a w niej nie brak było dzieł tak świeżych, jak "Historia narodu Irokezów" naszego Cadwalladera Coldena, którą mój ojciec uważał za arcydzieło gruntowności historycznej; były tu opowieści Smolletta, kilka pamfletów i skromnych tomików opowiadających przygody dzielnych rycerzy, którzy uczestniczyli w walkach roku 1745; było też sporo studiów filozoficznych i rozpraw z zakresu ekonomii politycznej. Widząc, że się nieco interesuję książkami, dziadek polecił mej uwadze dzieło pana de Montesquieu "Duch praw", Cervantesa "Don Kichota", Petroniusza "Satyricon", wspaniały "Życiorys księcia Ormond", napisany przez Carte'a, oraz "Historię rokoszu" pióra Clarendona. Co do tej nadmieniał:

- Oto, Robercie, prawdziwy i naoczny przykład, do jakich to sukcesów dojść można dzięki pilności, zręczności i wrodzonemu geniuszowi. Imć pan Clarendon był rodem z gminu, jednakowoż doszedł do tego, iż widział swą córkę poślubioną bratu króla angielskiego i jedynie ciemnota i omyślność nie pozwoliły na to, by miał obaczyć jej potomstwo zasiadające na wyniosłościach tronu. Wiele ukonienia znajdowałem w rozmyślaniach o jego fortunie, i to w chwilach, gdy już omal ulegałem zwątpieniu co do rezultatów mających uwieńczyć moje wysiłki.

Bardzo mu na tym zależało, ażebym był pięknie przyodziany, więc wymógł na mnie przyjęcie kilku ubrań ze swej zasobnej szatni; koniecznych przeróbek w kroju dokonał marynarz, były krawiec, który zbiegł był z więzienia. Pragnął on tak przystroić i Piotra, ale Holender nie chciał się rozstawać ze swym kaftanem z kozłej skóry, przeżartym od soli morskiej, i takimiż szarawarami. Dziwnie doprawdy wyglądał Corlaer przechadzając się po pokładzie "Króla Jakuba" w stroju leśnego tropiciela; bo nawet nóż myśliwski i siekierka dyndały mu u boku.

Pogodę mieliśmy pomyślną, póki nie dotarliśmy na szerokość geograficzną Florydy, gdzie wichura ciągnąca z północnego zachodu odegnała nas na kilkaset mil od właściwego kierunku i oddzieliła na kilka tygodni od naszego towarzysza. Wskutek tego byliśmy zniewoleni cofać się na północ, aby można było przybić do wyspy od północnego wschodu, co jak zaznaczył mój dziadek, było rzeczą konieczną, gdyż w przeciwnym razie musielibyśmy niechybnie przemykać się przez niebezpieczny labirynt Wysp Bahama lub żeglować zanadto blisko wschodnich wybrzeży Kuby.

Na zachód od Bermudów - do których nie podchodziliśmy na tyle, by nas miano zobaczyć - spotkaliśmy znowu "Konia Morskiego", gdyż Flint widocznie doznał takiej samej przygody co i my; odtąd jechaliśmy dalej samowtór. Od czasu do czasu z bocianich gniazd dostrzegano inne okręty, lecz ponieważ Murray wielce się troszczył, by nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi, przeto na krzyk: Żagiel - hej!" zbaczaliśmy natychmiast w innym kierunku, byleby okrężną drogą wyminąć okręty. Ta okoliczność, łącznie ze stratą czasu wywołaną przez burzę, przeciągnęła naszą jazdę prawie o miesiąc dłużej, niżesmy się spodziewali, tak iż od wyjazdu z Nowego Jorku upłynęło jedenaście tygodni, zanim na widnokręgu, ponad błękitnym oparem rozgrzanego morza, zamajaczyła gromadka skalistych wierchów o szczytach gołych i martwych.

Dziadek, raz tylko rzuciwszy okiem przez obiektyw, podał mnie szkła i

rzekł:

- To jest owa wyspa. Te wierchy poznałbym na końcu świata.

Podwójna soczewka pozwalała dokładnie rozróżnić pofałdowany spłacheć lądu, który wznosił się jak gdyby piętrami znad morza, przechodząc kolejno od wydm piaszczystych do łańcucha małych wzgórz, które na zachodnim brzegu dochodziły do poważnej wysokości, biegnąc prawie przez długość od północy na południe. Część środkowa wydawała się gęsto zalesiona; drzewa pięły się po stokach aż na odległość jakich kilkuset stóp od szczytów górskich, które były nagie i skaliste; środkowy i najwyższy z nich, mgłami obwisły olbrzym panujący nad wyspą, miał zbocza strome, skrzesane.

- To Góra Lunety - ozwał się dziadek zauważywszy, z jaką ciekawością przyglądałam się temu wierchowi. - Tam to wystawiamy czaty, gdy stoimy w przystani, a imię tej góry niektórzy nadają całej wyspie, jako że ta miejscowość nie ma ustalonej nazwy, tak iż każdy ją przeżywa wedle swego widzimisie. Lepiej to jeszcze zrozumiesz, gdy ci nadmienię, że Góra Lunety znana jest również jako Maszt Główny. Czy widzisz dwa inne wysokie wierchy w jednej z nich linii, jeden na południu, drugi na północy?... Ten północny nazywają Fokmasztem, a jego bliźniak na południu nosi miano Bezanmasztu.

Mieliśmy wiatr od bakbortu, kierując się na wschód od zrębu wyspy, a gdy dziadek mój domawiał słów powyższych, zataczaliśmy już wielkie koło. Skaliste granie zniżyły się przechodząc w lesiste wiszary (miejsce gęsto zarosłe krzewami i zielskiem), spostrzegłem też migotliwy blask strumienia, który wpadał do zatoczki.

- Czy to wasza przystań? - zapytałem.

- Nie, ona nie jest wcale tak wygodna jak ta, do której zawijamy zazwyczaj - odparł Murray - chociaż w czasie burzy bywa wcale bezpieczna; nazywają ją Zatoką Północną. Główna przystań, znana pod nazwą Zatoki Kapitana Kidda, wrzyna się w południowo-wschodni cypel wyspy.

Podmuch wiatru ustawał, co było dla nas okolicznością pomyślną, jako że trzeba nam było szerokiego morskiego przestworu, by móc bezpiecznie opłynąć wyspę; wybrzeże wschodnie, choć gładkie i piaszczyste, nie miało ani dogodnych ostoi, ani spławnego gładu (spokojna toń). Podpluski wodne raz wraz zalewały płaskość (płaskie wybrzeże, plaża) odzywając się ustawicznym hukiem, zagłuszającym skrzypienie lin naszego statku i wrzawę morskiego ptactwa, którego nieprzeliczone chmary jeły kołować nam nad głowami, w miarę jakieśmy podjeżdżali bliżej. O pół mili w tyle za nami chygotał się "Koł Morski", jadąc śladem naszego nurtu. Gdy spojrzeć w stronę morza, wszędy kres widnokregu zlewał się z nieobjętym obszarem oceanu.

Dla mnie, przyzwyczajonego do zabiegliwego życia małej, ruchliwej miłośnicy lub do rozchwianych wierchołków drzewnych w leśnym ostępie, co pod swymi konary daje schron wszelakim dzikim ludziom i zwierzętom, było coś przerażającego w tym osamotnieniu skrawka lądu, który widniał przed nami.

Był tu niejako w pomniejszych rozmiarach cały kontynent, posiadający przylądki, zalewy, rzeki, góry, lasy i pola, a jednak jakimże wydawał się pustkowiem na tle zielono-modrej wody! Jak mniemam, miała ta wyspa najwyżej trzy mile wzdłuż, licząc od północy na południe, a zapewne niewiele więcej nad milę w miejscu, gdzie była najszerza (mowa tu zapewne o małej wyspie zwanej Wyspą Szkieletów, leżącej u południowego krańca większej wyspy, tj. Wyspy Skarbów lub inaczej Lunety - przyp. tłum.). Lecz gdym na nią

spoglądał z rufy "Króla Jakuba", wydawało mi się, że jest ona mniejsza od zielonej plamki zwanej Wyspą Gubernatora, która znajduje się przy ujściu Rzeki Wschodniej naprzeciw Nowego Jorku. A jakich, serce rozdierających, okropności widownią był ten mały szmat łądu! Ileż tu się dokonało aktów bezlitosnego wiarołomstwa!

Gdyśmy zbliżyli się do brzegów wyspy, zauważyłem kępy zwiłanych z sobą drzew, które porastały przeważną część jej powierzchni. Nieco iglastych kłódzin dochodziło do wcale potężnych rozmiarów, lecz większą część leśnego zadrzewienia stanowiły sękate, wichrem połamane karły i niekształtne chojaki. Całe to miejsce, gdy mu się było przyglądać z daleka od łądu, czyniło wrażenie przykre i odpychające - budziło taką zgrozę jak milczące okrucieństwo bijące z postaci ślepego Pewa. Załoga "Króla Jakuba", wpatrzona w wyłaniający się zarys brzegu, zastygła niejako w cichości zaciekawienia, które niepomału mnie zdziwiło. Ludzie zaprzestali rozmów, nie słysząc było niczych żartów, brasowanie lin i przekręcanie rej wywoływało jedynie parę zwykłych okrzyków i przyśpiewów "hej-ho!", bez których żeglarz nie potrafi nic wykonywać - ani źle, ani dobrze.

Zwróciłem na to głośno uwagę, a dziadek, stojąc koło mnie i patrząc przed siebie w zamyśleniu, uśmiechnął się.

- Gdyby najbliższe tygodnie miały nam przynieść wczasy i hulankę, musielibyśmy dołożyć niemało wysiłków, by utrzymać karność - odezwał się. - Ale w obecnej chwili powinnością naszej załogi jest trud i cierpliwość, o czym oni wiedzą i czego już zakosztowali. Dlatego to, Robercie, oni teraz milczą... a nie pod wrażeniem klątwy złych czynów, którą jak ci się zdaje, wyczytać można w całej okolicy. Wyspa ta niemało widziała złego, w to nie wątpię. Ale ludzie, a zwłaszcza żeglarze, mało się troszczą o zło, które było, jeżeli tylko sam kraj może dogodzić ich potrzebom. Nie, mój chłopcze, pomimo wszystkich upiornych wspomnień, jakie wiążą się z Zatoką Kapitana Kidda, będziesz mógł smacznie jeść, nie bojąc się choroby, gdyż "Jakub" będzie tak cicho spoczywał pod osłoną przystani, jak gdybyśmy się znajdowali na suchym lądzie.

- Upolujemy tu nieco ciczyzny, ja - odezwał się Piotr, a w głosie jego była radość.

I wskazał na zbocza jednego ze wzgórz z tej strony Lunety. Spojrzawszy tam, widziałem przez chwilę sznur białych kropek skaczących z urwiska na urwisko.

Murray roześmiał się.

- Masz bystry wzrok, przyjacielu Piotrze - zauważył. - Lecz gdybyś wziął sobie do pomocy moją lunetę, przekonałbyś się, że to, co widziałeś, były kozły. Jak powiadają, ma to być potomstwo trzody pozostawionej tutaj niegdyś przez dawnych flibustierów, którym jesteśmy za to niezmiernie wdzięczni. Kozłina ani się umywa do dziczyzny, ale można jej oddać pierwszeństwo nad soloną wołowiną i wieprzowiną, a wyborne kąski młodego kozłęcia, gotowanego w mleku jego matki, mogą przemówić do podniebienia tak niezaprzeczonego smakosza jak waćpan. Dzikie ptactwo i młode kaczki też nie są do pogardzenia, a będziemy również mieli wielkie zapasy ryb i ostryg. Ba, mogę waćpanu zapewnić różne przyprawy do naszego pożywienia, które cię wnet pogodzą z losem.

Piotrowi twarz się rozjaśniła.

- To dopsze - powiedział. - Ja, teraz będę mógł spokojnie nabijać

szoładek, nie naruszając go na buszliwość fal morskich.

Kilka mil na południe od tej góry widać było białą opokę wystającą z morskiej mierzei; nie opodal znajdował się mały ostrówek, a za tymże druga, nieco większa wyspa. Murray dał rozkaz sternikowi, by skręcił na wschód, i niebawem po pewnych kołowaniach skierowaliśmy się na południowy wschód, by ominąć szereg rew (ławica) podwodnych. Na przód okrętu wysłano człowieka z ołowianką, a kilku innych sprawdzało jego sondowania wzdłuż całego pokładu aż do rufy. Głębokość snadzizny (mielizna) wahała się od dziesięciu sążni aż nieco poniżej pięciu, lecz Murray spokojnie kierował wciąż naprzód swój okręt, a "Koń Morski" szedł dokładnie naszym śladem - aż nagle skręciwszy na sztymbort znaleźliśmy się w przystani rozleglejszej i głębszej od Zatoki Północnej, mając po prawicy brzegi mniejszej wysepki, a po lewicy samą wielką wyspę.

Dziadek porucił Marcinowi kierownictwo okrętu i podążył w stronę, gdzie staliśmy obaj z Piotrem, rozglądając się wokoło. Mieliśmy już wiatr od strony drugiej wyspy, a ponieważ dął z mniejszą siłą, więc i statek posuwał się wolniej. Woda wydawała się przedziwnie spokojna; zamiast kołysać nas to w tę, to w tamtą stronę, jedynie marszczyła się i z cicha pomrukiwała, gdy pruka ją ostroga naszego statku. Skwar słoneczny, którego nie chłodził swobodny napływ odmorskich podmuchów, stał się wprost niepomierne. W kilka chwil pokłady były już tak gorące, iż niepodobna było się ich dotknąć i nie mogliśmy oprzeć się dłońmi o burtę.

Nie było tu płaskoci ani gładziny, a tylko iłowe trzęsawiska porośnięte aż do zasięgu wody pokręconymi, rozłożystymi drzewami, których połyskujące, bładozielone listowie tworzyło szeleszczącą zaporę, nieprzeniknącą dla ludzkiego oka. Cieśnina zaginała się idąc za krawędzią mniejszej wysepki, a opodal zobaczyliśmy ujście małej rzeki, przypominającej tę, która wpadała do Zatoki Północnej.

- Na sztymbort, panie Marcinie! - zawołał dziadek przyłączywszy się do mnie i do Piotra. - Steruj na prawo, uprzejmie proszę. Tak, na tę rewę. Zatrzymamy się na głębokości poniżej trzech sążni. Przykaż, by spuszczały kotwicę.

Marcin rzucił rozkaz. Rozległ się gwizd; następnie doszedł nas szcęk i zgrzyt opadającej liny, a wreszcie doniosły plusk, który spłoszył ptactwo, iż z wrzawą wzbilo się w powietrze, i "Król Jakub" zabujał się na kotwicy tuż pod samym spychem mniejszej wyspy. Dziadek wyciągnął rękę nad balaski.

- Tę wyspę, Robercie, nazywają Wyspą Szkieletów - odezwał się. - Mówię ci to, ponieważ taką zgrozą i ciekawością przejmują cię szczegóły z naszej przeszłości. Niestety, muszę otwarcie powiedzieć, że nie znam wiarygodnych podań objaśniających tę nazwę. Piraci mają zwyczaj nazywać miejscowości, jak im się podoba, ni przypiął, ni przyłatał, kierując się tylko fantazją.

- Czy możemy wyjść na ląd? - zagadnąłem pomimo jego szyderstwa.

- Róbcie, co chcecie - odrzekł wzruszając ramionami. - W każdym razie muszę wszystkich swoich ludzi zaprząć do roboty i nie mogę żadnego zwalniać po to, by miał was pilnować.

- Ja, ja - nalegał Piotr. - Zapolujemy sobie na kozły, hę?

- I owszem, jeśli macie ochotę - zgodził się Murray. - Ben Gunn wynajdzie wam parę lekkich muszkietów, lepszych niż wasze króćce. Każę spuścić łódkę i będziecie mogli sobie w niej płynąć.

- A nie boisz się waszmość, że uciekniemy? - zapytałem z ciekawości.

- Jakimże sposobem? - zachnął się. - Rozejrzyjcie się dokoła.
- Możemy zbudować statek - oświadczyłem - a co najmniej tratwę.
- A dokądże to pojedziecie? - przyparł mnie dziadek do muru. - Morza tutejsze są burzliwe i rzadko odwiedzane przez żeglarzy. Zresztą sędzę, że nie potrafisz zbudować okrętu w ciągu tego czasu, przez jaki pozostawię cię w spokoju. Na koniec zaś, mój kochany wnuku, muszę ci przypomnieć, że obiecałeś mi dopomóc w pewnej sprawie.

- Nie potrzebuję zważać na to zobowiązanie, w razie gdy mi się trafi sposobność ucieczki - oświadczyłem przekornie.

- Może nie potrzebujesz - odrzekł dziadek - jednakże będziesz do tego zmuszony.

To rzekłszy oddalił się, polecając Saundersowi, by kazał spuścić czółno na wodę. Nie odzywał się już do nas ani słówkiem, aż do chwili, gdyśmy zaopatrzyli się u Beniamina Gunna w broń i węzełek z żywnością i powrócili na pokład. Wtedy przestał doglądać opatrywania głównej rei i dogonił nas w korytarzu.

- Pragnę nade wszystko, Robercie - rzekł do mnie - postępować z tobą łagodnie. Dlatego proszę cię, byś mi wierzył, że myślę jedynie o waszym bezpieczeństwie, gdy wymagam od was przyrzeczenia, iż wrócić na pokład najpóźniej w godzinę po zachodzie słońca.

- Czemuż to? Cóż to szkodzi... że...

W tej chwili tuż za nami przybił "Koń Morski". Żagle miał bezładnie powykręcane to w dół, to w górę, a z rufy, pokładu środkowego i forkaasztelu rozbrzmiewały rozkazy i odpowiedzi płynące z ust kilkunastu znajdujących się tam ludzi. Flint w czerwonym kapeluszu uwijał się na rufie, wtrącając swój tubalny głos do zgiełku, ilekroć zamieszanie przechodziło już w rozprzężenie. Pew zgarbił się nad hamulcem, a zielony daszek przysłaniał mu prochem wypalone oczy; John Silver stał koło niego wspierając się na rzeźbionej kuli mahoniowej, a jego spokojny, miły głos był jedynym dźwiękiem, jaki można było rozpoznać w rozgardiaszu panującym na pokładzie tego niesfornego statku.

- Hej, do licha! ale ci to była... podróż, Murrayu! - wrzasnął Flint.

- Jesteśmy już na miejscu - odrzekł dziadek grzecznie.

- A co tu z sobą pocniemy? - odrzyknął mu Flint. - A bodajby mnie... jeżeli wiem, co pięciuset... myśli robić przez tyle miesięcy. Chyba tylko chlać rum i kłócić się dla rozmaitości!

- Należy oporządzić wasz okręt, człowiecze - odparł Murray. - On się tego domaga.

Flint w odpowiedzi rzucił przekleństwo. "Koń Morski" stał nazbyt daleko, by można było rozróżnić wszystkie słowa kapitana, wszakże usłyszałem urywek pierwszego zdania:

- ...oporządzić okręt? Tylko... kiep... oficer marynarki miałby ochotę... swój...

Dziadek, jak to miał we zwyczaju, ruszył parę razy ramionami i zażył tabaki.

- Podobno kapitan Flint chce iść ze mną na udry. Dziwne on ma usposobienie, a jednocześnie człek to tęgi, Robercie, pomimo całej swej głupoty. Ale wróćmy do twego zapytania. Chciałeś się dowiedzieć ode mnie, co ci się złego przydarzyć może na lądzie. Odpowiem ci, że dokładnie nie wiem, lecz mówiąc bez ogródek, że posłużę się językiem naszego sojusznika,

może ci się tu przydarzyć "kroćset"... i innych przypadłości. Dlatego radzę, ażebyś wracał na okręt najpóźniej w godzinę po zachodzie. Żal mi cię bardzo, Robercie, ale nie będę mógł ci pozwolić na opuszczenie okrętu, jeśli mi nie dasz słowa, że dotrzymasz tego warunku.

- Daję na to słowo waszmości - odpowiedziałem krótko i zacząłem zstępować za Piotrem po drabinie ku narządzonej już łódce. Wzieliśmy się do wiosł i pomknęliśmy poprzez liman w kierunku ujścia rzeczki, którą widzieliśmy z pokładu "Jakuba"; droga wypadła nam tuż koło żółtego kadłuba "Konia Morskiego". Ze strzelnicy odezwał się przeraźliwy krzyk i koło czarnego wylotu wystającej armaty ukazała się ruda łepetyna Darby'ego Mc Grawa.

- Chwała Bogu, panie Bob, a więc pozwalają paniczowi chodzić, gdzie mu się żywnie podoba? Musi tam pan chyba być w wielkich łaskach. Czy już zrobili panicza oficerem?

Miałem już coś odpowiedzieć, gdy z wyniosłej rufy spadło na nas chmurne spojrzenie Flinta.

- Bodajem skis! - odezwał się z przekąsem. - Toć to bękart Murraya! Nikt inny! Cóż ty na to, Billy?

Nad burta ukazała się zwierzęca twarz Bonesa.

- To jeniec! - zadrwił Bones. - A hula sobie po swobodzie, widzisz, Flincie? Murray jeździł aż do Nowego Jorku, aby go porwać, a teraz... do... pozwala mu jechać na ląd!

- Chodź no tu na okręt, kochasiu! - zawołał na mnie Flint.

- Jedziemy na ląd - odpowiedziałem.

Flint popatrzył na nas wilkiem.

- Dobrze, przyjdiesz tu jeszcze niedługo. A kiedy dostanę cię w swe ręce, to cię nauczę moresu! Na "Jakubie" za wiele jest polityki i faworyzowania! Nazywajże go sobie ciotecznym dziadkiem czy wujeczną babką, a ja, John Flint, powiem mu, że jest...

Darby, cały zadyszany, przypędził na rufę i stanął obok niego.

- Ach, czy pozwolisz mi pojechać z panem Bobem, kapitanie? - zawołał. - Nie odmawiaj mi! Doprawdy, nie widziałem się z nim już przez całe trzy miesiące.

- Nie pozwolę - warknął Flint odwracając się do nas plecami. - Czy już ci się sprzykrzył ten okręt, Darby? Czy nie jesteś naszym szczęściem? Czyż mam cię puścić i zniweczyć to szczęście pozwalając ci na włóczęgę z bękartem Murraya?

- Prawdę mówiąc, jest on prawym synem mego starego pana, u którego służyłem w Nowym Jorku, drogi kapitanie, ale okazywał mi zawsze tyle dobroci, że byłem do niego bardzo przywiązany, naprawdę, byłem bardzo przywiązany! Poza tym mam ogromną chęć wyjść na brzeg po tylu tygodniach i miesiącach, któreśmy...

Flint poklepał go po ramieniu, jakby żartobliwie, i rzekł:

- E, jeżeli o to idzie, że chciałbyś wyprawić się na ląd, to całkiem inna sprawa. Ja sam też mam ochotę iść na brzeg. Bill, skrzyknij no całą wiarę do łodzi; urządzimy sobie wspaniałe polowanie na kozły koło Lunety. John Silver upitrasz je dla nas. A wytoczcie ze dwie baryłki rumu! Dalej, chłopcy, żywo! Zabawimy się, jak przystało na prawdziwych korsarzy!

Odpowiedział mu zgiełk radosnych wrzasków i wiwatów, ja zaś odbiłem wiosłami wstecz.

- Słyszysz, Piotrze? - rzuciłem przez ramię.

- Ja, to śle!
- Nie możemy jechać tam, gdzie oni.
- Neen.

Zadumałem się, uważnie badając wzrokiem ukształtowanie większej wyspy, wznoszącej się przed nami po przeciwległej stronie zalewu. O jakie pół mili na wschód od rzeki, do której zmierzaliśmy przed chwilą, drugi jeszcze ponik (strumyczek), mniej ponętnie wyglądający, przesączał się do zatoki poprzez łągi mokradeł. Poza nim, w kierunku wschodniej krawędzi wyspy, ciągnęły się odsłonięte zdziary i piaskowiska. Luneta i występujące przed nią wyniosłości rysowały się w dali, o jakie parę mil na zachód, w sam raz w przedłużeniu wyspy i obu strumieni.

- Tu będziemy bezpieczni, Piotrze - odezwałem się. - Oni nie wybierają się w tę stronę, a jeżeliby przypadkiem chcieli zejść nam tyły, wtedy zdołamy dostrzec ich zawczasu.

- Mosze będzie lepiej, jeżeli wrócimy na okręt - odpowiedział Piotr z wahaniem.

- Ani myślę - odparłem nadąsany. - Nie będziemy szukali niebezpieczeństwa, ale jeżeli ono znajdzie nam drogę, to stawimy mu czoło.

- Ja - rzekł Piotr i pochylił się nad wiosłem.

Nie wjeżdżaliśmy w łozysko drugiej rzeki, gdyż trzęsawiska, które ciągnęły się wzdłuż jej biegu, nie pozwalały nigdzie wylądować, tylko przytwierdziliśmy łódkę do ławicy piaskowej po drugiej stronie cypla, który zasłaniał nas przed oczyma załogi "Konia Morskiego". Następnie wzięliśmy rusznice i przedzierając się pomiędzy drzewami poszliśmy w głąb łądu; po tarasowatym, piaszczystym zboczu dostaliśmy się na szczyt małego wzgórka, skąd poprzez prześwitle między sosnami roztaczał się dalszy widok. Widać było "Konia Morskiego" - od którego boków raz wraz odbijały łodzie i dążyły ku ujściu pierwszej z dwu rzek - a ponad grzbietem Wyspy Szkieletów widniały marsy "Króla Jakuba".

- Dobre by tu miejsce było na warownię - zauważyłem.

- Ja - rzekł Piotr. - Można tu nawet znaleźć wodę.

I wskazał na pasmo zarośli ciągnące się wzdłuż piaszczystego stoku wzgórka, które jakeśmy się domyślali, musiało zawdzięczać swą zieloność źródelku bijącemu na szczycie.

- Skorośmy już znaleźli wodę, najlepiej będzie coś przekąsić - dorzucił.

- Lecz jakże będzie z kozłami? - zawołałem. - Przecież mieliśmy...

- Nie - uparł się Holender - nie będziemy strzelać. Jeżeli będziemy strzelać, korsasze usłyszą i przyjdą tutaj. Poczekamy tu, aż oni fszyscy wyjdą na pszeg. Ftedy wrócimy do Murraya.

- Nie chcę być pozbawiony pierwszej przyjemności, jakiej zaznać możemy po tylu miesiącach - upierałem się jak dziecko.

- Uczynimy to za drugim razem - odpowiedział Piotr spokojnie. - Na pszyszły raz sam Murray też pójcie z nami, ja.

- Tak, ale...

- Bącsze teraz rozsądny, Bob. Indianie są barankami wobec tych łotrów, ja. Wróćmy na "Jakuba". Niezadługo oni fszyscy dostaną się na łąd i zaczną chłać w najlepsze. Gdy się upiją, będą chcieli nas pozabijać, ale nie będą mogli wiosłować, neen.

I o zmroku odpłynęliśmy, jak niepyszni, z powrotem do "Króla Jakuba", a w uszach brzmiała nam wrzawa majtków z "Konia Morskiego", ucztujących na

wybrzeżu.

X

Zakładnicy

Z pokładu "Jakuba" zakrzyknęły na nas strażę, gdyśmy przywiązywali łądz do drabiny na bakborcie, a gdy przeleźliśmy przez burtę na pokład, pan Marcin zaświecił nam w oczy latarnią i sypnął stekiem przekleństw, wypowiedzianych, jak zwykle, w dziecięco łagodnym brzmieniu.

- Do... ależ ja myślałem, że to ten... Flint przyszedł szukać tu guza! - jął się usprawiedliwiać.

- Gdzie jest kapitan Murray? - zapytałem.

- W kajucie.

I tym samym łagodnym tonem mówił dalej do swych ludzi:

- Na stanowiska! Pamiętajcie o rozkazach kapitana. Od tej chwili, skoro ci dwaj są już na pokładzie, macie strzelać do każdej łodzi, która się zbliża.

Doszedłszy do wnijscia kajuty na rufie zastaliśmy czarnych lokajczyków stojących po bokach; drzwi były otwarte. Przez ciemną kiszkę korytarza, przeciętego dokoła drzwiami kajut mieszkalnych, zobaczyliśmy dziadka siedzącego za stołem w kabinie kapitańskiej; z boku stała szklanka wina, a przed nim leżała rozpostarta mapa.

Podniósł głowę, gdyśmy weszli.

- Widzę, że nie udały się wam łowy - powitał nas. - Pół godziny temu meldował mi wartownik, że nie było słychać strzałów na łądzie.

Opowiedziałem mu pokrótce o naszej rozmowie z Flintem i postanowieniu, jakie powzięliśmy pod jej wrażeniem. Skinął głową z uznaniem.

- Dobrzeście postąpili, Robercie. Piotr nie oceniał przesadnie niebezpieczeństw, jakie wyniknąć mogły z takiego położenia.

- Zdaje się, że i waszmość nie czujesz się sam bezpieczny - odpowiedziałem zgryźliwie - bo strażom, ustawionym na pokładzie, dano rozkaz, by strzelały do każdej nadjeżdżającej łodzi.

- Istotnie, nie czuję się bezpiecznie - potwierdził z niewzruszonym spokojem me słowa. - Prawda, że byłbym zdziwiony, gdyby nasi kamraci z "Konia Morskiego" próbowali nas teraz napadać, ale nadto wiele miałem do czynienia z ludźmi narwanymi, zwłaszcza gdy są w stanie nietrzeźwym, bym nie liczył na tę możliwość, że oni gotowi ważyć się na wszelkie zuchwalstwo, jakie im strzeli do głowy.

- Czy waszmość to chciałeś powiedzieć, że żyjesz w ciągłym strachu przed zdradą ze strony drużyny Flinta?

Zadumał się nad tym pytaniem, popijając wino.

- Słowo "ciągły" jest w tym wypadku za silne - oświadczył na koniec. - Powiedzmy raczej, że doświadczenie, o którym wspomniałem poprzednio, nauczyło mnie, iż w pewnych okolicznościach - jak na przykład podczas pijatyki spowodowanej markotnością długiej podróży - hałastra ludzka, nie uznająca żadnej powagi oprócz silnej pięści, może dać się namówić do wybryków, jakich nie dopuściliby się kiedy indziej.

- A więc nie będziemy strzelali do kozłów? - zapytał Piotr strapiony.

- I owszem, przyjacielu Piotrze. Z pewnością będziemy. Chodzi tylko o zapewnienie dogodnej sposobności do tych łowów, które wam przyrzekłem. Jutro rano obejmę nadzór nad oczyszczeniem dna okrętu, ale po południu weźmiemy sobie do pomocy gromadę szczwaczy i urządzimy polowanie z nagonką, jak to bywa na lądzie; przypuszczam, że przez ten czas Flint powróci do zmysłów... inaczej mówiąc, wytrzeźwieje ze swego opilstwa. Jeżeli on nie ma... - wzruszył ramionami, a ja stąd wniosłem, że świeciło się coś niedobrego dla Flinta.

- Wybacz mi asan - podjął po chwili - że powrócę do swego zajęcia. Mam jeszcze tyle rzeczy obmyślić.

Życzyliśmy mu dobrej nocy i odeszliśmy do pokojów sypialnych, znużeni po trosze wiosłowaniem, do którego nie byliśmy przyzwyczajeni. Gdy domykałem drzwi, dostrzegłem, że dziadek cyrklem odmierzał odległość na Morzu Karaibskim i kreślił jakieś znaki na marginesie mapy.

Rankiem, zgodnie z zapowiedzią, wszyscy marynarze zabrali się do oporządzania okrętu. Najpierw trzeba go było przeważać na sztymbort, aby odsłonić dno od stron bakhortu przeto wielką armatę, wszelkie ruchome sprzęty i ciężkie przybory przeniesiono na sztymbort, ażeby ten bok miał przewagę ciężaru. Następnie złożono wszystkie reje, ażeby nie nurzały się w wodzie; od masztów rzucono na ład ciężkie liny, okręciono je wokoło drzew i przeciągnięto znowu na pokład, a załoga, ciągnąc wspólnymi siłami o parę cali lub na stopę, od razu przechyliła okręt na bok.

Odplyw morza dopomógł im w pracy, osadzając stępę w grząskim namule zalewu, tak iż niebawem "Jakub" przewrócił się jeszcze bardziej.

Gdy się już z tym uporano i robota szła w najlepsze, dziadek kazał Marcinowi wybrać kilkunastu marynarzy, którzy byli dobrymi strzelcami, i ściągnąć łódź na wodę.

- Dziwię się, że waszmość ważysz się zostawić "Jakuba" w tym bezbronnym położeniu - rzekłem, gdy nasza łódź,; prując toń zatoki, mijała kadłub ścichłego "Konia Morskiego" . - Jeżeli zeszłej nocy zachodziło niebezpieczeństwo...

- ...to dziś przed południem nie ma się czego obawiać - przerwał dziadek.

- Na brzegu panuje zupełny spokój, a wątpię, czy który z załogi "Konia Morskiego" jest na tyle trzeźwy, by mógł wynieść ze składu choć rozek prochu.

- Ale do wieczora chyba się wyśpią i wytrzeźwieją - nie dawałem za wygraną.

- Prawda, ale zarazem otrzeźwieją i z żądy rozlewu krwi... przynajmniej na razie. Naszym zadaniem będzie tedy zaprzątnąć Flinta jakąś czynnością, która rozproszy jego uwagę i unieszkodliwi go na czas tak długi, dopokąd nie będziemy zgoła potrzebowali liczyć się z jego fochami.

Wylądowaliśmy na południe od pierwszej rzeki, nad którą niedawno uctowała drużyna Flinta, i weszliśmy w głąb ładu przez lesistą dolinę, mając po prawicy i lewicy wznoszące się wzgórza, a przed sobą wierch Lunety, hardo sterczący z oddali. Dzień był jasny i słoneczny, a garb górski rysował się niby szary stożek na tle błękitnego nieba. Wśród drzew szeleścił łagodny wietrzyk; łomot morskiej kipieli dochodził do nas przytłumionym echem; leśne cienie studziły słoneczną spiekotę; szyszki sosen chrupotały i podskakiwały pod naszymi stopami. Nawet posępni, spode łba patrzący marynarze, idący w naszym orszaku, pod wrażeniem zmienionego

otoczenia stali się niemal weseli, a na widok pierwszego kozła zaczęli się nawoływać i krzyczeć jak uczniaki. Murray, pomimo podeszłego wieku, odzyskał taką rzeškość, jak gdyby był jednym z najmłodszych pomiędzy nami, a nie spudłował ani razu.

Za jego radą skręciliśmy na północ wzdłuż niższych boków Lunety, obeszlśmy pośrednie wzgórza - można by je nazwać pogórzem - przekroczyliśmy źródłiska pierwszej z rzek, przecięliśmy na przełaj skrawek lasu i przebrnęliśmy drugą rzekę w miejscu, gdzie przejrzyste jej wody płyną płytkim korytem między dwoma żuławami stanowiącymi wskaźnik jej kierunku. Droga ta doprowadziła nas na wschodnią połąć wyspy, nieco na północ od wzgórka, który zwiedzaliśmy z Piotrem ubiegłego wieczora; gdy o tym napomknąłem, dziadek tak się zaciekawił, iż zażądał, byśmy poszli obejrzeć owo miejsce. Zabiliśmy tyle kozłów, iż wszyscy nasi ludzie zostali nimi objuczeni; Piotr zaś niósł kilka wiązek ptaków, które jak oświadczył Murray, miały być wyśmienite w smaku.

Szliśmy przez cały czas różnym krokiem, tak iż jeszcze na dobrą godzinę przed zachodem słońca dotarliśmy do miejsca, gdzie znajdowało się źródło. Dziadek baczynym okiem rozpatrzył się w okolicy, ocenił na domysł drzewostan zboczy wzgórza i zawołał, że w sąsiedztwie nie było wyniosłości, z której nieprzyjaciel zdołałby wzgórek ten opanować.

- Trafnie to asan obmyśliłeś - rzekł do mnie. - Co więcej, przyszło mi teraz na myśl, jak mam zużytkować energię kapitana Flinta i jego baranków w ciągu kilku tygodni naszego postoj.

Zapytałem go, z jakim by się nosił zamiarem, lecz on nic nie odpowiedział, jeno przechadzał się, pochyliwszy głowę na piersi, jak to miał we zwyczaju, gdy był głęboko zamyślony. Okrętnicy, którzy oczekiwali nas u stóp wzgórza, podeszli ku nam i ruszyliśmy z powrotem dawnymi śladami przez bagnistą rzekę i skrawek lasu w stronę pierwszego, większego strumienia. Gdyśmy tenże przeskoczyli, Murray, zamiast prowadzić nas w dalszym ciągu drogą, którąśmy przyszli, nakazał iść z biegiem rzeki w stronę południowo-wschodnią. Koło ujścia, w gęstwinie okalającej zalewiska, wytrysnęła smuga dymu; wskazałem ją dziadkowi mówiąc:

- To Flint tam się znajduje.

- Tak - odpowiedział w roztargnieniu i szedł dalej.

Wydłużały się i gęstniały cienie, kiedyśmy wyszli z lasu na polanę ponadrzeczną. Gorzało tam kilka ognisk, a dokoła każdego tłoczyły się gromady korsarzy, do cna zamoczonych całonocną pijatyką. Jedynym człowiekiem, który wyglądał nieco przytomniej, był John Silver. Skakał on na szczudle od watry (ognisko obozowe) do watry, doglądając udźców koźlęcych, które skwarzyły się na wolnym ogniu; podłożono pod nie kawały okrętowych sucharów celem chwytania tłustości kapiącej z pieczeni. On to nas pierwszy zobaczył i widać było, że oznajmił o tym Flintowi, który siedział z Bonesem i kilku jeszcze drabami przy najmniejszym ognisku. Kucharz ruszył w naszą stronę, a za nim dźwignął się Flint i jął się posuwać niepewnym krokiem.

- Wasza miłość przybyłeś w odwiedziny, panie kapitanie? - zagadnął Silver wesoło. - Wielka to łaskawość z pańskiej strony, zważywszy, że tylu chłopaków czuje się kiepsko od przebrania miarki w napoju i od upustu krwi. Moje uszanowanie, panie Ormerod. Mam nadzieję, że waćpana i pańskiego przyjaciela oglądam w dobrym zdrowiu?

- Od upustu krwi? - powtórzył Murray nie zważając na inne jego powiedzenia. - Co, znów stara historia? No, no! Nigdy nie nabierzecie rozumu! Wielu ubito?

- Trzech, kapitanie. A i tak wielkie szczęście, że...

Flint, zataczając się, stanął koło niego.

- Daj spokój, Johnie - burknął. - Ja się już sam rozmówię. Czego tu chcesz, Murrayu?

Dziadek zażył tabaki ukrywając wstęś z tak niepospolitą zręcznością, iż nie drgnął mu ani jeden mięsień w twarzy.

- Byłem na polowaniu - odpowiedział. - Zabiłem nieco zwierzyny. Wracając do łodzi zbczyliśmy z drogi, aby resztę dnia spędzić z tobą, Flincie.

Flint chrząknął.

- Resztę dnia! Nie zdaje mi się, by ci na tym zależało.

- Jestem człowiekiem o niezmiennych upodobaniach - odparł dziadek. - Słyszałem od Silvera, że wczorajsza hulanka pociągnęła za sobą zwykłe następstwa.

- Trzech - potwierdził Flint. - Dwóch z nich można sobie darować... parszywe szczeniaki. Trzecim był Tobiasz Welsh, chłop na schwał, jeden z najlepszych, jakich mieliśmy.

- Nieźle, jak na jedną noc - zauważył Murray.

Flint, jak się wydawało, był w usposobieniu nie bardzo wojowniczym, gdyż ledwie trzymał się na nogach. Jednakowoż na ostatnią uwagę znowu się rozindyczył.

- No, a czego waćpan się spodziewasz? Ileż to miesięcy, jak mi powiadałeś, mam spędzić tutaj z tą zgrają, która nic nie potrafi, jak tylko warzyć diabelską polewkę? Ileż tu ludzi, jak waćpan sądzisz, dożyje dnia odjazdu? Bodajbym pękł, ale będzie tu całkiem jak w tej pieśni, którą tak często śpiewamy o Skrzyni Umrzyka!

- Boję się, że do tego dojdzie! - przyznał mu słuszność mój dziadek. - Chyba że waćpan postarasz się temu zapobiec.

- Zapobiec?

Tu Flint zaklął ze sprawnością człowieka rozmiłowanego w swym dziele.

- Trudna to będzie sprawa utrzymać w zgodzie kilkaset ludzi na tym ochłapie ziemi i opoki!

- Należałoby oporzędzić wasz okręt - rzekł dziadek na próbę.

- Zaraz by wybuchł rokosz, ledwo bym tego zażądał!... Wszyscy chcą uciekać na brzeg; nic ich nie skłoni do pracy na okręcie, dopóki im się nie znudzą lasy i góry.

- Ach! - ozwał się dziadek. - Tak jest w istocie. Dobrze, jeżeli oni muszą przez czas jakiś pozostać na lądzie, to czyż nie leży to w ich własnym interesie, by zbudować sobie jakieś schronisko przed napastliwością żywiołów?

Flint wpatrzył się weń z zaciekawieniem.

- Myśl jakąś chowasz w swej głowie, Murrayu. Wyjawże mi ją!

- Mówiliśmy często, iż z czasem będziemy musieli zbudować sobie warownię na wyspie - odpowiedział dziadek.

- A jakże, mówiliśmy!...

- Dzisiaj po południu znalazłem wspaniałe miejsce po temu. Pagórek, zarośnięty piękną sośniną i dębiną, na wschód od trzęsawisk. Dochodzą tam wiatry z oceanu, roztacza się wspaniały widok na przystań i przyległe wody,

a na samym szczycie bije źródło.

- A ja mam nad tym pracować! - sarknął Flint.

- Twoi ludzie będą pracowali - poprawił go Murray. - Rad bym z całej duszy im dopomóc, gdyby nie okoliczność, że moja drużyna będzie miała dość roboty na okręcie przez cały czas naszego tu pobytu. My, załoga "Króla Jakuba" - rzec to mogę szczerze - pracujemy tyleż dla wspólnego dobra, ile pracować będzie wasza drużyna, jeśli przystąpi do budowy twierdzy.

- Niechże będę skończonym... jeżeli dbam choćby... o dobro ogółu! - krzyknął Flint. - Ale to prawda, że warownia jest potrzebna, a zresztą, gdy ludziska zechcą się zatrzymać dłużej na łądzie, zawsze tam znajdą dach nad głową i lepsze obozowisko niż tu, wśród rzecznych wyziewów. Zobaczę jeszcze, co należy zrobić, Murrayu. Ale nie dzisiaj... nie tej nocy, bo nie masz tu w tej chwili takiego człowieka - z wyjątkiem Johna Silvera, bodajże go! - który by mógł zebrać myśl do kupy. Ale rankiem - to co innego! Przynieszczy tu całą łódź pełną siekier i łopat, a ja ich zaprzęgnę do roboty. Myślę, że można to wykonać; niechże mię... to należy wykonać! Nie mogę przecież tracić po trzech ludzi dziennie przez całe następne sześć miesięcy!

- Nie pożałujesz tego - odpowiedział mój dziadek. - Byłoby mi bardzo miło, gdybym mógł ci się przysłużyć radą lub narzędziami, jakie posiadam.

- Do... z twoją radą! - fuknął Flint. - Narzędzia przyjmę z ochotą. Nie jestże to przy tobie mój zakładnik?

- Tak, to mój wnuk po kądzieli.

- Możesz więc go waszmość z nami zostawić. Przyda się nam przy budowie warowni. Chyba nie jest on zbyt hardy, by pracować jak prosty wyrobnik, he?

Murray podszedł doń tak blisko, że pomimo zapadającego zmroku mogli sobie wzajemnie czytać z twarzy.

- Gdy nadejdzie właściwa pora, Flincie, wydam swego wnuka w wasze ręce - odezwał się spokojnie. - A wy ponosić będziecie surową odpowiedzialność za obchodzenie się z tym chłopcem. - Tu przybrał władczy wygląd. - Słyszysz, człowieku? Surową odpowiedzialność, powiedziałem. Gdyby się znalazł jakiś drab bezczelny, co by śmiał choćby palcem tknąć tego, który ma w żyłach moją krew, taki będzie żywcem odarty ze skóry i powieszony na bukszprycie "Jakuba".

- A jakże - wybełkotał Flint i zniknął w ciemności.

Długi John Silver, który podczas tej rozmowy krzątał się nie opodal, wykulał się znów naprzód.

- Rychło tu ciemność zapada w tej strefie geograficznej, kapitanie! - odezwał się. - Czy waszmość nie raczysz przyjąć jednej z naszych łodzi, by pana dowiozła do miejsca?

- Dziękuję waszeci - odrzekł mój dziadek. - Nietrudno nam będzie odszukać własne czółno.

I już nie odezwał się ani słowem aż do czasu, gdyśmy już przebywali usianą gwiazdami toń zatoki.

- Zdaje mi się - zauważył mimochodem - że nie potrzebujemy się trapić z powodu chwilowej bezbronności "Jakuba".

- Dwanaście strzałów pod wodę... - zacząłem mówić, ale przerwał mi Piotr:

- On ich wszystkich wyciągnie na pszeg, Robercie. Ja, tak jest! Będą pracowali cały czas, więc nie będą myśleli o "Jakubie".

- Piotr ma umysł niepospolicie bystry - zauważył mój dziadek.

Plan udał się w zupełności. Budowanie warowni na wzgórzu przemawiało do dzieciennego usposobienia Flintowych opryszków, które kryło się pod powłoką zewnętrznej rubasznosci. Z prawdziwym zapałem wzięli się do roboty ogoławając wzgórze z zadrzewienia, piłując i obrabiając pnie; tak wznieśli silne domostwo, wybierając na nie co potężniejsze kłody, a następnie wbili częstokół z młodej żywiny, wysoki na sześć stóp. Ściany domu opatrzone strzelnicami na muszkiety, a Flint zaczął napomykać o zbudowaniu dwóch bastionów celem pomieszczenia sześciofuntówek; ale tymczasem na tej robocie zbiegły już całe dwa miesiące i jego ludzie znużyli się rąbaniem i piłowaniem.

Gdy koniec naszego pobytu na wyspie był już bliski, załoga "Konia Morskiego" wzięła się nie na żarty do tępienia kozłów; a ponieważ to zajęcie lepsze było z pewnością od wzajemnego wyrzynania się (co stanowiło ulubioną zabawę tej zgrai, jeżeli nie miała nic innego do roboty), przeto nikt nie miał ochoty im tego zabraniać, a najmniej chyba mój dziadek.

On sam uporał się już z własną robotą. "Król Jakub" znów stał we właściwej pozycji, boki miał wyczyszczone, kadłub świeżo pomalowany od wewnątrz i zewnątrz, poprzeciągano nowe liny, naprawiono żagle, sprawdzono reje, nadwątłony maszt zastąpiono nowym, działa wypolerowano, przeliczono i uporządkowano zapasy, a zbrojmistrz przygotował tak wielką ilość kartaczy, że mogła wystarczyć na trzy walne bitwy; wreszcie ułożono balast odpowiednio do warunków żeglugi.

- Cacko, nie okręt; tak pięknie wyporządzony, jak gdyby dopiero wyszedł ze stoczni Portsmouth - zauważył Murray w pewien wieczór z początkiem sierpnia. Siedzieliśmy za stołem w wielkiej kajucie, a Piotr jeszcze pałaszował ostatki dzikiego gołębia. Przez otwarte okna dolatywał wtór pieśni, którą śpiewano na "Koniu Morskim", stojącym na kotwicy nie opodal w głębi zatoki:

Nóż dostał w grdykę Francuz i padł trupem -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Grosz zaśniedziały był ich całym łupem -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

- To głos Flinta - mówił mój dziadek. - Cieszę się, że kapitan znajduje się na okręcie. Oszczędzi nam to zachodów wyprawy na ląd.

A widząc, że podniosłem brwi pytająco w górę, dodał:

- Mam zamiar wyruszyć przed świtem, gdyż wtedy zacznie się przyptyw morza.

- A przedtem waszmość musisz wydać swego zakładnika - odpowiedziałem tonem najbardziej szorstkim, na jaki mnie stać było.

- Nie inaczej - potwierdził dziadek. - Żał mi cię bardzo, Robercie, ale mogę ci to na pewno przepowiedzieć, że przyjdzie czas, gdy z dumą będziesz wspominał utrapienia, jakie wycierpiałeś.

- Mniejsza o utrapienia, bylebym tylko żyw uszedł z rąk tych łotrów - odpowiedziałem wymijająco.

- Co do tego nie powinienes mieć żadnych wątpliwości - rzekł dziadek z powagą. - Ja pójdę z tobą, więc będziesz mógł posłuchać zleceń, jakie na odchodnym zostawię Flintowi. Przyjacielu Piotrze, czy nie pogniewasz się, że odejdę stąd wraz z wnukiem na pół godziny, by odwiedzić pokład "Konia Morskiego"?

- Neen - odpowiedział Piotr i odskoczył od stołu. - Ja też idę.

- Nie, nie...
- Ja też idę.
- Ależ nie było mowy o dwóch zakładnikach.
- Jeżeli Bob icie, to i ja idę - uparł się Holender. - Ja.

Murray potrząsnął głową.

- Za ciebie, Piotrze, nie mogę ponosić odpowiedzialności.
- Ja odpowiadam sam za siebie - rzekł Piotr. - Pójdę na pokład "Konia Morskiego" albo też waszmość pójdiesz za okno.

Dziadek popatrzył nań przez chwilę i nagle wybuchnął śmiechem.

- Dalibóg, zdobyłbyś się na to! A potem zapewne zostałbyś zamiast mnie kapitanem. Z tobą nie można się spierać, Piotrze. Cóż ty na to, mój wnuku?

- Nie chciałbym, by Piotr miał narażać dla mnie swe gardło - odpowiedziałem markotnie, gdyż w myśli brzmiały mi jeszcze słowa pieśni Flinta.

- Idę z tobą, Bob - powtórzył Holender.

- Widzicie go! - krzyknął Murray. - Daremno tu się sprzeciwiać. On zawział się, że pójdzie z tobą. Dobrze, przynajmniej będziesz miał towarzystwo; ja natomiast stracę towarzysza, którego obecność, pomimo jego małomówności, zawsze była mi miła. Piotr jest dobrym przyjacielem, Robertcie, chciałbym, żeby i mnie darzył przyjaźnią.

Piotr powstał.

- Iciemy - mruknął. - Ja.

Murray, wyszedłszy na pokład, kazał spuścić łódź na wodę; wsiedliśmy w milczeniu. Noc była ciepła, powietrze ledwo że zakłócone lekkim powiewem, więc przekleństwa i zwady na "Koniu Morskim" słychać było do podziwu wyraźnie. Natomiast "Jakub" był cichy jak grób; nie dochodził odeń głos najmniejszy, a światło paliło się jedynie w przedziale środkowym i w wielkiej kajucie. "Konia Morski" był od rufy do forkasztelu rzęsiście oświetlony latarniami, lecz Murray musiał dwukrotnie zakrzyknąć, zanim otrzymał odzew z pokładu.

- Hola, łódź! - zawołał ktoś głosem ochrypłym. - Czemu do... nie wejdziecie na pokład?

- Kapitan Murray chce się zobaczyć z kapitanem Flintem - odparł spokojnie dziadek.

- Słucham, słucham, łaskawy panie - odpowiedział zachrypnięty głos drżący lękiem. - Zaraz go przywołam. Czy wasza miłość raczysz wnijsć na pokład?

Dziadek, postawiwszy nogę na drabince, zwrócił się do Piotra.

- Czy jesteś przekonany, że musisz iść z Robertem? - zapytał. - Ręczę waćpanu, że jemu tu nawet włos z głowy nie spadnie.

- Ja, idę!

Dziadek za całą odpowiedź wzruszył tylko obojętnie ramionami i zaczął się wspinać na pokład; Piotr i ja poszliśmy za nim. Za jego pojawieniem pijacka wrzawa ucichła,.. jakby makiem siał, lecz widoczne wszędy ślady hulanki od razu wpadły mi w oczy. Pod grotmasztem stała beczka rumu, której górne dno było wybite. Koło kajuty forkasztelu deski splamione były krwią, a jakiś bladolicy chłystek brudną płachtą zawiązywał sobie ramię i półgłosem miotał przekleństwa na swego kamrata, który po kryjomu obcierał nóż w zwój strzępiastej liny. Przed chwilą jeszcze wszędzie tu zabawiano się grą i pijatyką, swarzano się i śpiewano, a teraz nagle wszyscy oderwali się od swego zajęcia wlepiając w nas wytrzeszczone oczy.

Murray na ten ich wzrok, przerażenia pełny, odpowiedział nie skrywaną wzgardą, która jak się przekonałem, udzieliła się i mnie samemu. Po karności i ładzie, jakie panowały na "Królu Jakubie", "Koń Morski" czynił wrażenie wprost niesamowite; mówiąc po prostu, panował tu brud i niechlujstwo. Pokład był zawałony najprzeróżniejszymi rupieciami: takielunek wisiał niedbale i powiązany był niezdarnie, jak mi się wydawało, acz byłem sam jeszcze partaczem w sztuce żeglarskiej; żagle były poszarpane, nędznie połatane i byle jak nawinięte na reje; łodzie, beczułki, rozklekotane sprzęty, zapasowe liny i drażki leżały dokoła w zupełnym nieładzie. Deski, po których stąpaliśmy, były oślizłe od tłustości. Z poręczy odpadała farba, a na lufie działa, ustawionego w niewłaściwym miejscu, widać było plamy rdzy.

Flint, zataczając się, zeszedł ku nam z rufy; wygląd kapitana okrętu był w najzupełniejszej zgodzie z całym otoczeniem. Podobnie jak większość jego ludzi zdjął z siebie surdut, koszulę, pończochy i obuwie, by móc łatwiej znosić spiekotę lata podzwrotnikowego. Obszerne jego szarawary z żaglowego płótna, takusieńkie, jakie nosili prości okrętnicy, były zapługawione brudem i smołą. Na obnażonych łydkach i ramionach pełno było śladów zastygłej krwi, pochodzących od zadraśnień kolcami ostrej tygrysy, przedziwnie wytatuowaną barwami: żółtą i czarną. Szczeciniasta czupryna okalała posępne, zbójckie oblicze, jeżące się nie golonym przez wiele tygodni zarostem.

Oczywiście, pomiędzy nim a moim dziadkiem, przystrojonym w zgrabnie dopasowaną odzież z czarnego jedwabiu i starannie ufryzowanym, zachodziła taka różnica, takie przeciwieństwo jak pomiędzy dwoma okrętami. Widocznie Flint sam to odczuł, bo mruknął gniewnie:

- Czego tu szukasz, Murrayu? Czy chcesz być naszym nadzorcą?

- Przyszedłem dopełnić warunków naszego układu - odparł mój dziadek. - Jutro rano, gdy nastanie przypływ, wyruszę w drogę... więc przyprowadzam ci nie jednego zakładnika, lecz dwóch.

Flint przystąpił bliżej, przyglądając się bacznie mnie i Piotrowi.

- Dwóch?... He? Na cóż mi dwóch? Cóż mi przyjdzie z tego tłuściocha? On tobie ani brat, ani swat.

- Owszem - sprzeciwił się mój dziadek. - Pan Corlaer jest dawnym, i to poważnym, moim wrogiem, którego jednak spodziewam się z czasem przekabacić na swoją stronę.

- No, ale mnie z niego nic nie przyjdzie; bodajbym szczęśliwy, jeśli mi on się tu na co przyda.

- Wezmiesz ich obu albo żadnego - rzekł dziadek głosem zamrażającym krew w żyłach, jakim tak dobrze umiał się posługiwać.

- Tak się waszmość zawzięłeś? - zachnął się Flint. - Bodajby cię...

W burych oczach Murraya zamigotał jakiś błysk, niby zapalony odbłaskiem latarń wiszących na niższych linach.

- Jest ich dwóch - dokończył Flint pośpiesznie. - Ale nie zobaczysz już nigdy jednego z nich, jeśli nie dotrzymasz umowy. Wiele znosiłem od waszmości, panie Murray, lecz...

- Zniesiesz jeszcze więcej za odpowiednią zapłatę w złocie - strofował go mój dziadek. - Daj spokój, człowiecze, ja czytam w twojej duszy jak w otwartej księdze. Gdyśmy się spotkali po raz pierwszy, szczyliłeś się, że

jestes starszym majtkiem na kupieckim brygu. Gdybyś tylko umiał korzystać ze sposobności, wprowadziłbym cię na drogę do zaszczytów i dostatków.

- Zaszczyty! Korzyści! - zaszydził Flint śmiejąc się poczwarnie. - Tak, waszmość zabrałeś mnie, gdym był uczciwym młodzieńcem, i uczyniłeś ze mnie korsarza. Jedyłą zaś korzyścią, jaką uzyskam przez obcowanie z waćpanem, będzie to, że kiedyś zadyndam na placu Stracenia.

Dziadek uciekł się znów do zażywania tabaki, pobrzękując w tabakierkę podczas słów Flinta.

- Słuchaj no - przerwał widząc, że kapitan "Konia Morskiego" zagalopował się tak daleko - czas nagli. Mam ci powiedzieć tylko dwie rzeczy. Pilnuj dobrze i otaczaj opieką te dwie osoby, które ci powierzam, a za dwa miesiące wręcę ci trzysta pięćdziesiąt tysięcy funtów.

- Waszmość mówiłeś o siedmuset tysiącach - obruszył się Flint.

- Powiedziałem, że siedemset tysięcy ma być rozdzielone pomiędzy dwa okręty.

- Oho! A waszmość weźmiesz częśćkę kapitańską z połowy przypadającej na "Króla Jakuba"? I to oprócz stu tysięcy, które weźmiesz w łupie?

- Moje warunki są całkiem jasne - odparł Murray. - Teraz przechodzę do drugiego punktu. Gdy powrócę, może się zdarzyć, że będziemy musieli okazać się rączymi w biegu. Polecam waćpanu utrzymywać swój okręt w należywym porządku. W takim stanie, w jakim on się obecnie znajduje, nie zdoła uciec nawet przed portugalskim handlarzem niewolników.

Chytry wyraz zaświtał na obliczu Flinta.

- A gdzie to waszmość myślisz zdybać owe półtora miliona? - zagadnął watażka. - Wiele już o tym mówiłeś, ale mało dałeś mi wyjaśnień. Którędyż to jedzie okręt ze skarbami? Gdzie będziesz nań czatował? Pomiedzy hiszpańskimi posiadłościami a Oceanem Atlantyckim są rozległe morza, a waszmość, panie Murray, nie potrafisz obsadzić wszystkich beltów i cieśnin.

- W tej części mego dzieła musisz już waćpan na mnie polegać - odrzekł mój dziadek oschle.

To mówiąc podał mi rękę, którą - prawie ku memu zdziwieniu - uściskałem szczerze i bez przymusu.

- Robercie - przemówił - bardzo tego żałuję, że konieczność zmusza mnie ściągać na ciebie tę przykrość. Będzie moim usilnym staraniem, by kiedyś ci to należycie powetować. Tobie też, przyjacielu Piotrze. Pamiętajcie, że pracujemy dla sprawy donioślejszej niż nasze wzbogacenie.

Zwinnie przeskoczył parapet burty i zniknął po drugiej stronie. Zaraz potem zaskrzypiały jego trzewiki na szczeblach drabiny, a niebawem postłyszeliśmy plusk wiosel odpływającej łodzi.

- Bodajbym pękł, ale bywają chwile, iż wierzę wszystkiemu, co on mówi! - zaklął Flint.

XI

Piotr igra z losem

W świetle latarni zabłysła ruda głowa Darby'ego Mc Grawa.

- Dalibóg, pan Bob znów do nas powrócił! Czyż nie jest to wielkie szczęście, że mamy pana pomiędzy sobą! Czy panicz już porzucił na zawsze tego starego diabła?

I skinął płomienną głową w stronę olbrzymiego pudła "Króla Jakuba". Flint wybuchnął ochryplym śmiechem.

- Tego starego diabła! - powtórzył. - Niechże mnie... ale Darby umie czasem nadać komuś właściwy przydomek. Nie jest on doprawdy niczym innym, choćby uważał się za Bóg wie kogo!

Darby podał mu potężny srebrny roztruchan z rumem.

- Przyniosłem to panu z kajuty, kapitanie - rzekł schlebiająco, posługując się narzeczem irlandzkim. - Doprawdy, powiadam, jeżeli kapitanowi przyjdzie rozmawiać z Murrayem, zostaje mu zawsze przykry smak w gębie, który należy spłukać, więc najlepiej mieć zawsze w pogotowiu napitek.

Flint pochwycił podany mu puchar, przechylił w tył głowę i duszkiem łyknął pałący trunku, jak gdyby to było wino.

- Słusznie mówisz, chłopcze - odpowiedział kwaśno. - Ja zaś myślę, że potrzeba mi teraz całego szczęścia, jakie może mi przynieść twoja ruda głowa. Gdzie jest Billy Bones?

- Urznął się i leży pod stołem w kajucie - odrzekł skwapliwie Darby.

- A bodajże tego niedołągę! A Długi John?

- Chyba to waćpan sam, kapitanie drogi, wysłałeś go na ląd, nie chcąc dopuścić, by ludzie, znajdujący się w twierdzy, mieli się wzajemnie wyrznąć.

- Tak uczyniłem. Wobec tego sam zajmę się jeńcami.

- Jeńcami! - zachnął się Darby otwierając szeroko oczy. - Ależ on jest siostrzeńcem czy też wnukiem tego starego czarta! Za co chcesz go aśc uczynić więźniem? Co więcej, był on moim przyjacielem w Nowym Jorku, a Piotr także. Będą z nich jeszcze świetni piraci, bylebyś dał im tylko trochę czasu.

- Powiedziałem, że są jeńcami, więc też tak będzie! - rozsierdził się Flint. - Wiesz no ty, Darby, co to jest zakładnik?

- Czy to taki, co ma być nieszczęśliwy? - zapytał Darby.

- Więcej niż kto inny - odparł Flint śmiejąc się pobłaźliwie. - A więc oni są zakładnikami, Darby. To zupełnie tak, jakby byli w więzieniu.

- Ach, kapitanie, nie obchodź się źle z panem Bobem! Jest to najmilsze paniątko, z jakim spotkałem się w mym życiu, a Piotr jest świetnym wojownikiem. Warto, żebyś posłuchał ich opowiadań o walkach i bijatykach z czerwonoskórzymi.

- Będę względem nich tak surowy, jak na to zasługują - odrzekł Flint. - Ale w noc dzisiejszą muszę mieć ich żywymi.

Darby szarpnął go za rękaw:

- Nie powiem nic, jeżeli musisz zgładzić Piotra... chociaż był on mi dobrym przyjacielem. Ale bądź łaskaw dla pana Roberta. Nie ma on żadnych złych zamiarów, a jeżeli będzie miał sposobność odpowiednio się wykształcić, możemy go urobić na dobrego korsarza, który podoła dwom ludziom uzbrojonym w noże i siekiery!

- Ho, ho! - zawołał. - Taki to z ciebie czupurny kogucik, panie Ormerod, czy jak cię tam zwa? Bardzo ci jestem wdzięczny za tę wiadomość, Darby. Wiedziałem, że ten Koźli Kaftan to niebezpieczna sztuka, ale nigdy nie miałbym się na bacności przed tym młokosem, gdyby nie twoje ostrzeżenie. A niech mnie kule biją, gdybym miał do czynienia z takimi dwoma zapaśnikami!

Zobaczyłem, że Darby swym orędownictwem wyrzucił mi iście niedźwiedzią

przysługę, więc odezwałem się w imieniu własnym:

- Waćpan nie powinienes za prawdę uznawać wszystkiego, co mówi ten chłopak. On mówi to w dobrej myśli, ale...

- A niechże mnie okrzyczą za ostatniego ciemieję, jeżeli nie widziałem, jak panicz Tomaszowi Tumbullowi wytrącił z ręki siekierkę, odbijając jednocześnie nóż Dicka Varje... a mógł cię on łatwo przebić, bo bojownik to nie lada, jak mówił sam Piotr! - obruszył się głośno Darby.

- Dość mi tego - warknął Flint. - Nie kłamać, za pozwoleniem, moi złoci panowie! Przyjdzie czas, że wasze przechwałki...

- Wcale się nie przechwalałem.

- Schowaj asan język za zębami! Uciszcie się obaj, bo inaczej zadam wam tęgiego bobu!

I skinął na kilkunastu drabów, którzy stali nie opodal, przyglądając się nam zarazem nieprzyjaźnie i z zaciekawieniem.

- Zamknąć tych nożowców na noc do lazaretu! - rzucił rozkaz. - Jest to para szaleńców, więc trzeba ich dobrze przypilnować do czasu, gdy pójda pod topór.

- Och, biadaż mi, biada! - zaszlochał Darby. - Cóżem to ja najlepszego narobił swoim jęzorem! Ależ, kapitanie drogi, waćpan nie potrzebujesz wierzyć temu, co opowiedziałem o panu Bobie. Jego jedynym pragnieniem jest zostać dzielnym, bitnym korsarzem. Dalibóg, o niczym innym nie mówiliśmy w dawnych czasach!

- Nie plećże głupstw, Darby - odezwałem się, po czym zwróciłem się do Flinta i gromady, która nas otaczała: - Kapitan Murray kazał...

- Wiem, wiem! - przerwał Flint niecierpliwie. - Obchodzić się z wami tu będą tak jak na to zasłużycie. Jestem dobrym szyprem... może to wam poświadczyć każdy z załogi "Konia Morskiego", mój chłopcze. Ale jesteście mi rękojmią bogatego zysku, więc byłbym... gdybym pozwolił uciec tobie albo też twemu opasłemu przyjacielowi, który tu przyszedł z tobą. Więc przestańcie już gderać i chodźcie ze mną z dobrej woli, a nikt was nie uderzy ani w niczym nie urazi. Jutro "Jakub" odjedzie, a wtedy wprowadzimy tu wszędzie nowy porządek.

Jego wąskie, zielone oczy, zezujące z obu stron spiczastego nosa, przyglądały mi się z niejakim uznaniem.

- Myślę, że jeszcze dojdziemy ze sobą do porozumienia - dokończył. - Ale to się później zobaczy.

Piotr, stojąc tuż koło mnie, przemówił po raz pierwszy:

- Ja, ja. Pójdziemy. Chce mi się spać.

- Spać? - zadrwił Flint. - Wyśpisz się, serdeńko!! Chodź no ze mną.

I pociągnął nas za sobą; inni ruszyli w ślad za nami, a na samym ostatku szedł Darby omal płacząc. Weszliśmy do kwater na rufie, potykając się na pustych butelkach, potłuczonych talerzach, porozrzucanych łachmanach, obuwiu, przyborach okrętowych i leżącej broni. Gdyśmy doszli do końca korytarza, Flint zdjął ze ściany latarnię, a jeden z marynarzy podniósł kwadratową wrótnię; rozwierała się pod nią czeluść pełna mrocznych cieni, które rozbiegały się i chwiały, jak gdyby chcąc uciec przed słabiotkim światłem. Przy tym zionęło stamtąd zapachem wcale nieprzyjemnym. Cofnąłem się.

- Chyba możecie nas umieścić bezpiecznie gdzie indziej, a nie w tej norze! - wybuchnąłem.

- Nie, nie! - sprzeciwił się Flint. - Na całym okręcie nie ma drzwi, które by miały taki zamek, iżby można was było obu zostawić sam na sam. Przykro mi, mój chłopcze, że będziesz tu siedział niewinnie, ale dzisiejszą noc musisz przespać w lazarecie. Chodź no, chodź; nie doprowadzaj mnie do tego, bym miał użyć przemocy. Dam wam tę oto latarnię, żebyście mogli uchronić się od szczurów, a jutro rano urządzimy to jakoś inaczej.

Piotr precyzyjnie się koło mnie i wyjął mi z rąk latarnię.

- Iciemy, ja - zapiszczał. - Choć no, Bob.

Poszedłem za nim, nie mówiąc ani słowa, dziwiąc się niepomiarnie jego niezwyklej uległości.

- Czy widzicie drogę przed sobą, mości panowie? - zawołał za nami Flint przedrzeźniając służalczy ton właściciela gospody, co pobudziło do wielkiej wesołości jego drużynę. - Obdarzcie swymi względami nasz niski dach, a niech pod nim dobrze będzie waszmościom! Pościeli nie przewietrzono, ale nie spodziewano się waszej gościny.

Ozwał się gwar rubasnych śmiechów i natrzasań, skroś którego wydzierał się piskliwy lament irlandzkiej mowy Darby'ego; wraz też z głuchym łoskotem zapadła się wrótnia. Szczęknęły zasuwane rygle i zawory, zadudniły stąpania oddalających się korsarzy. Usiadłem na najniższym szczeblu drabiny i obejrzałem się z rozpaczą wokoło; tymczasem Piotr obchodził na czworakach szczupłą powierzchnię naszego więzienia.

Czarny szczur wielkości kota przebiegł mi pod nogami; piski i szurgania rozlegały się po kątach. Słysząc było chlupotanie wody o kadłub okrętu, skrzyp rudła i dziwne, jęklive szmery, jakie wydaje statek w drodze czy na kotwicy.

Piotr powrócił do podnóżka drabiny, postawił latarnię na podłodze i zwałił się jak kłoda nie opodal.

- Co myślisz, Bob? - zapytał głosem pieściotliwym. - Czy zostaniemy tu, czy też się wydostaniemy?

Spojrzałem nań chmurnie.

- To nie żarty - burknąłem. - Mam powody...

- Ja - potwierdził. - Ta młoda panienka...

Holender mówił tak mało i okazywał tak niewiele przejęcia się tym, co działo się wokół niego, że często dziwiło to nawet tych, którzy znali go lepiej. Aż do tego wieczora nie mówił ani razu ze mną o planie Murraya, że mam być użyty jako zakładnik celem pozyskania Flinta. Nigdy też o tym nie napomykał, że chce mi towarzyszyć. Nigdy też ani słówkiem nie zdradził przypuszczenia, że być może wolałbym zostać na pokładzie "Króla Jakuba" w czasie wyprawy na okręt ze skarbami. Ale jak się teraz okazało, poczciwiec przemyślał rozważnie każdą z rzeczy powyżej wspomnianych.

- Skądże wiesz? - zawołałem.

- Wiem - odparł, niby to śmiejąc się głupkowato. - Ty myślisz, że młoda ciefczyna jest dobrą ciefczyną. Myślisz, że to niedopsze, żeby miała się dostać na pokład "Jakuba". Chcesz być tam i wiecieć na pewno, że jej nic nie zagrasza.

- Wszystko to święta prawda, Piotrze - jęknąłem. - Spodziewałem się aż do samego końca, że ten nieszczęsny plan Murraya jakimkolwiek sposobem obróci się wniwecz, ale ten człowiek jest uparty jak sam diabeł.

- Ja - przyznał mi słusność Piotr. - Myślę, Bob, że on zdobędzie okręt ze skarbami. To szecz łatwa.

- Łatwa? Nie widzę czemu!

- Ja, łatwo go zdobyć. Ale później będzie miał kłopot. Zbyt wielki skarb nie przynosi szczęścia korsarzom. Znajdziemy się później w opałach.

- My!... Nas już tam nie będzie. Zapewne do tego czasu nie będziemy już żyli, Piotrze; zginiemy w jednej z walk na noże, jakie często się zdarzają na pokładzie "Konia Morskiego".

- A przypuścimy, że drapniemy cisją w nocy? - odpowiedział Piotr kusząco. - Przypuścimy, że wydostaniemy się stąd i wrócimy na pokład "Jakuba". Ja?

Rozejrzałem się z niedowierzaniem po grubych deskach, po tęgich belkach ścian bocznych i fasady przedniej.

- To rzecz niemożliwa. Wyłamanie się stąd zajęłoby nam tydzień czasu... a "Jakub" odjeżdża za pięć-sześć godzin.

- Neen - odrzekł Piotr. - Wyjciemy... o kasztej posze moszemy stąd się wydostać...

- Jakimże sposobem? - zapytałem.

On podniósł latarnię i poprowadził mnie do ściany szczytowej. Przy świetle zobaczyłem, że jedna z desek z lekka odskoczyła pozostawiając nieznaczną rysę pomiędzy swoją krawędzią i innymi deskami na niej spoczywającymi.

- Czy masz zamiar odrywać ją paznokciami? - zakpiłem sobie z niego.

- Neen - odpowiedział i zaprowadził mnie do kąta, skąd za naszym nadejściem szurnęła gromadka szczurów. Pogmerał nogą wśród jakiegoś żelaziwa i wyciągnął kilka długich, żelaznych bretnali, jakich używają do zbijania co grubszych belek okrętowych.

- Tego tu duszo - odezwał się.

Ledwie zdołałem zapanować nad wybuchem radosnej ulgi, która wezbrała w mej duszy.

- Wierzę, że tak jest - szepnąłem. - Ale, Piotrze, mamy tak mało czasu!

- Wystarczy nam! - mruknął Piotr. - Dalej, zaczynamy!

Przyłożyliśmy ucho do ściany szczytowej, nasłuchując, czy nie posłyszemy jakiego ruchu lub gwaru z tamtej strony, lecz nie doszedł nas najlżejszy szmer, aczkolwiek nad naszymi głowami rozbrzmiewała wrzawa, hucząca na górnym pokładzie w tylnej kajucie. W powietrzu było duszno i skwarnie, więc Piotr najpierw o tym pomyślał, by zdjąć z siebie skórzany kaftan i spodnie.

- Bęciami musieli pływać - rzekł patrząc z żalem na porzuconą odzież. - Nie będzie ci potszeba ubrania w noc cisiejszą, Robercie.

Poszedłem więc za jego przykładem i zaczęliśmy manipulować bretnalami koło naderwanej deski; pot lał się strugami z naszych pónagich ciał, wielce pierwotne narzędzia wrzynały się nam w brudne palce, gdyśmy nadrywali, szarpali i obłamywali deskę walcząc o każdy cal przestrzeni pomiędzy nią a węgarem, do którego była przybita. Całą robotę wykonywał Piotr. Dzięki swym przepotężnym mięśniom zdołał końcem bretnala powiększyć małą zrazu szczelinę, krusząc i wyłamując po kawałku twarde drzewo. Ja jedynie mogłem podtrzymywać to, co jemu się udało podważyć, czym dawałem mu możliwość do silniejszego naporu, aż na koniec miażdżące pchnięcie jego ogromnych barów oderwało deskę z jednego końca.

Zatrzymaliśmy się, dysząc ze zmęczenia i ocierając pot zalewający nam oczy, przejęci lękiem, czy aby trzask odbitej deski nie zwrócił uwagi którego z korsarzy. Lecz nikt się nie pojawił, a gwar na pokładzie znacznie

już przycichł. Nawet załoga "Konia Morskiego" udawała się czasami na spoczynek...

Teraz czekało nas najtrudniejsze zadanie. Musieliśmy oderwać deskę przybitą gwoździami do węgarów, a bojąc się wywołania hałasu, nie wazyliśmy się użyć czegokolwiek, co by mogło zastąpić młotek. Toteż Piotr musiał przemocą wbijać koniec bretnała pomiędzy deskę a futrynę i powoli, rozluźniwszy, rozdzielić je od siebie. Tak też uczynił, posługując się gołą dłonią jak młotkiem, i jedynie stłumione chrapania były oznaką jego mordegi.

Ale zabrało nam to parę godzin, gdyż ja niewiele już mogłem być pomocny. Nie miałem w garści tyle siły, by zmagać się z krzepką dębiną i hartowanym żelazem.

Gdy ostatni gwóźdź ustąpił pod naciskiem barków Piotra, wśród ciszy nocnej doszedł do naszych uszu przeraźliwy głos dzwonka rozbrzmiewający na pokładzie "Króla Jakuba". Cztery razy zadzwonił... godzina druga! Z naszego pokładu nie odbrzmiały podobne uderzenia; porządek okrętowy na "Koniu Morskim" zależał od widzimisię załogi.

- Wychoć, Bob - szepnął Piotr.

Przebiłem się przez otwór, a on postawił za mną latarnię. Świeciła niezbyt jasno, ale i to światło wystarczyło mi do stwierdzenia, że znajduję się w składnicy zawałonej beczkami rumu, solonego mięsa i sucharów. W przeciwległej ścianie były drzwi wiodące do drugiego przedziału, gdzie widać było wrótnię i drabinę wychodzącą na pokład działowy. Podkradłem się do samego podnóża drabiny i usłyszałem chrapanie kilkudziesięciu ludzi, którzy spali w hamakach zawieszonych pośród wielkich dział baterii. Była to jedyna droga, którą mogliśmy się wymknąć.

Powróciłem do Piotra bynajmniej nie w wesołym usposobieniu, lecz on już majstrował bretnalem dźgając w deskę stępionym jego końcem i sapiąc przy tym jak kocioł gotującej się wody. Mogłem mu teraz więcej pomagać, bo od wewnątrz łatwo było podważać deskę, skoro już raz odskoczyła. Jednakowoż na "Królu Jakubie" wybiło siedem uderzeń, zanim uporaliśmy się z robotą. Piotr chrząknął z zadowolenia.

- W samą porę! - odezwał się. - Uff! Tyle się napociłem, żeby się przedostać przez tę ciurę.

Płomień latarni w mrokach komory okrętowej był niewiele co większy od małej isierki, lecz ja zapaliłem od niego strzęp swego rękawa i wznosząc go w górę przyświecałem Piotrowi, by mógł widzieć drogę. Piotr był rozebrany do naga, a jego różowe, bezwłose ciało lśniło od potu, gdy wtłaczał się przez otwór. Z głową i ramionami poszło mu jako tako, lecz z przerażeniem ujrzałem, że potężne brzuszysko stanowiło nie byle jaką przeszkodę. Biedak przepychał się, rzucał i wił zapamiętale - na nic się to nie zdało; nie mógł przejść przez tę szczelinę nie usunąwszy drugiej deski, na to zaś nie było czasu. Lada chwila na pokładzie "Jakuba" mogło się ozwać osiem uderzeń dzwonka, po czym okręt Murraya miał niezwłocznie wyruszyć w drogę...

Te przewidywania zakończył Piotr wtórem posepnych pomruków, a ja poszedłem w jego ślady, nie mogąc w żalości zdobyć się na słowa. Dopiero co ucieczka wydawała się tak łatwa, a oto teraz byliśmy skazani na dwumiesięczny pobyt na "Koniu Morskim"... Może nawet na okrutną śmierć!... Albowiem wyobrażałem sobie, że skoro Flint straci z oczu tamten statek,

pozbędzie się tego dziwnego szacunku i lęku zarazem, jaki żywił względem mego dziadka.

- Potszymaj no tu światło, Bob - rzekł Piotr, przycupnąwszy na podłodze zasypanej rumowiskiem, i zaczął wyciągać sobie drzazgę z nogi.

- Tak, to lepsze - przemówił po chwili. - No, tą drogą nie wyjdziemy.

- Czy jesteś przekonany, że nie potrafimy oderwać drugiej deski? - zapytałem. - Może znajdę młotek lub dłuto...

- A hałas sprowadzi wartę. Neen, spróbujemy czegoś lepszego.

- Co takiego, Piotrze?

- Czy ficisz?

I po omacku doszukał się drogi ku drabinie prowadzącej do wrótni kajuty.

- Bąć co bąć, zafszę tu mamy jeszcze jedną drogę, Robercie. Jeszeli jedna droga niedobra, może druga będzie lepsza. Ja. Patszaj no!

Wyszedł bosymi nogami na drabinę, aż jego potężne bary znalazły się pod kwadratem wrótni; za chwilę postyszałem słaby zgrzyt prężącego się żelazniwa i trzask kruszonego drzewa.

- Ja - odsapnął przerywając tę robotę. - To się da zrobić. No, bąć teraz gotów, Robercie. Skocz no tu na górę co szywo! Może się zdaszyc, sze będziemy musieli zabić paru drabów, a w kasztym rasie nie powinniśmy dać się złapać.

Czułem, jak drżały mu nogi tuż ponad moją głową; drabina trzęsła się, rozległ się skowyt, potem nagły trzask i wrótnia wyskoczyła w górę. Piotr podtrzymał ją podstawionymi na płask dłońmi, zanim zdołała opaść z powrotem, i rozwarł ją ostrożnie. W mig był już na zewnątrz, a ja szedłem tuż za nim.

Przycupnęliśmy na podłodze kajuty oficerskiej, rozglądając się wokoło, czy nie zobaczymy gdzie śladu korsarzy. Wszystkie latarnie już pogasły, więc upłynęło dobre parę chwil, zanim oczy nasze przystosowały się do światła gwiazd, wlewającego się przez okno.

Naraz na ławie stojącej pod oknami odezwało się chrapanie; zerwaliśmy się obaj na nogi; a ja pochyliłem się nad stołem, zagiąwszy palce, by chwycić za gardło leżącego tam człowieka. Lecz omal że nie roześmiałem się w głos, zobaczywszy zaczerwienioną twarz i rozdziawioną gębę Darby'ego Mc Grawa. Biedny Darby! Odrobina rumu wystarczyła, by zalać mu pałę, a chłopak lubił małpować obyczaj starszyny.

- Pili... a resztę czart uczyni... - zaczął przez sen.

- Nieszkodliwy - mruknąłem.

- Ja - szepnął Piotr i zajął się zamykaniem wrótni oraz przywracaniem skobli i zawiasów do takiego stanu, by można było zataić jej wyłamanie.

Wymknęliśmy się na palcach do korytarza, gdzie przywitała nas istna kanonada chrapań dochodzących z sąsiednich kajut. Drzwi wszędzie były otwarte, więc widać było pryszczatą twarz Flinta, pokiereszowane policzki Bonesa oraz dwu jeszcze innych pijanych marynarzy. Flint w prawej ręce, która mu zwisała na piersi, trzymał na sztorc króciwą. Jak to się stało, że nie wypalił do siebie? Bóg jeden raczy wiedzieć.

U wnijscia na pokład zatrzymaliśmy się, by rozpatrzeć położenie - i całe szczęście, żeśmy tak uczynili. Od strony "Króla Jakuba" odezwało się osiem uderzeń dzwonka, a tuż koło nas samych czyjś głos mruknął obelżywe przekleństwo.

- Pewno sobie wyobrażasz, jakiego to oni mają piekielnego kapitana -

odpowiedział drugi głos.

- Złożę się, że tam przez całą noc czuwały wszystkie wachty - rzekł pierwszy.

Rozległ się przeraźliwy gwizd, a zaraz potem doszedł całkiem wyraźnie do naszych uszu głos Saundersa, nakazujący czatownikom, by weszli na bocianie gniazda.

- Oni już odjeżdżają, Jenny - odrzekł drugi mężczyzna. - Za godzinę pozbędziemy się tych draniów.

- Szczęśliwej podróży, niech sobie jada! - oświadczył Jenny plując do ścieku.

Zobaczyłem ich teraz; stali oparci o drabinę, wiodącą ze sztymbortu na rufę, i wpatrywali się w potężny kadłub "Króla Jakuba". Piotr też dostrzegł ich swymi małymi ślepkami i wpił się palcami w moje ramię, dając mi znać, żebym pozostał na miejscu; następnie prześliznął się koło mnie na pokład i za chwilę jego cielsko ledwie że zamajaczyło w mroku.

- Jestem... jeżeli potrafię odgadnąć, po kiego licha nam tu stać i wytrzeszczać ślepie! - zrzędził drugi z rozmawiających.

- Już niedaleko do rana - odparł Jenny. - Co byś powiedział, gdybyśmy tak kropnęli kusztyczek rumu, kamracie?

Odwrócił się połową ciała i spostrzegł Piotra - ni to jakąś ogromną białą bryłę - skradającego się ku niemu... Korsarz mimo woli otworzył usta do krzyku, aż mu zabłyśły zęby.

- Nie dbam, czy... - zaczął mówić drugi marynarz.

W tej chwili Holender jednym susem znalazł się przy nich, wyrzucając w górę oba ramiona. Jenny'emu okrzyk zamarł na ustach, przechodząc w gardłowy charkot. Piotr pochwyił obu na raz za grdyki, przez chwilę ważył ich w powietrzu, a potem grzmotnął wzajem głowami, aż wydały dziwny, głuchy trzask jak rozbite skorupy od jajek. Runęli bez przytomności na pokład.

Skoczyłem ku burcie, ale Piotr mnie powstrzymał.

- Neen, neen - sprzeciwił się. - Najpierw wezmę na siebie jaki taki pszyocziewek, Robercie, a potem fszucimy tych drabów do mosza.

To mówiąc ściągnął z roślejszego korsarza proste odzienie, jakie miał na sobie, przemagając uczucie odrazy poszedłem i ja, chcąc nie chcąc, za jego przykładem.

- Tak lepiej, ja - oświadczył Piotr z zadowoleniem. - Trochę za ciasne, ale ja nie lubię być goły, Bob, neen!

Podniósł się, luźno zapinając na sobie pas zabitego człowieka.

- Będzie słyhać plusk wody - przestrzegłem go, gdy podnosił jednego z umrzyków.

- Ech! Nikt nie usłyszy! - odpowiedział i przelożywszy zwłoki poza burtę opuścił je nogami w dół; plusk istotnie był mniejszy, niż się spodziewałem. Z ciałem drugiego postąpiliśmy w podobny sposób, a Piotr pochwyił jedną z wielu lin, które zwisały bezładnie po bokach "Konia Morskiego".

- A teraz ruszajmy w drogę, Bob! - rzekł do mnie.

Prawie jednocześnie rzuciliśmy się w wodę i jęliśmy płynąć pospołu w stronę "Jakuba". Od razu poznałem, że odpływ zaczął się zmieniać, gdyż nurt wody niósł nas z szybkością o wiele znaczniejszą, niżbyśmy zdołali to osiągnąć własnym wysiłkiem, aczkolwiek Piotr, pomimo wstępu do morza, był świetnym pływakiem dzięki doświadczeniu nabytemu w puszczach pogranicza.

- Przyptyw zabierze z sobą obu zabitych - wykrztusiłem starając się, ile

mi siły pozwalały, dotrzymać kroku Holendrowi.

Na pokładzie "Jakuba" rozległ się znów przenikliwy głos gwizdka.

- Ja - rzekł Piotr. - Już podnoszą kotwicę. Spieszmy się, Bob!

W końcu wyprzedził mnie o kilkanaście piędzi. Zdybałem go dopiero u rudła, gdzie uwiesiwszy się, spokojnie przebierał nogami w wodzie. Przed nami słychać było warkot kotwicznego kołowrotu przy wtórze jednostajnego przyśpiewu oraz dudnienie stóp ludzkich. Z łoskotem chygotały się, reje, klaskały żagle, ludzie nawoływali się i swarzyli pomiędzy sobą.

- Kotwica idzie w górę, miłościwy panie! - zawołał Saunders.

Odpowiedział mu głos mego dziadka:

- Doskonale! Jeszcze chwilę zaczekamy. Panie Marcinie, jesteś waszmość pewny, że z "Konia Morskiego" nie ma do nas łodzi? Przysiągłbym, że słyszałem chlupnięcie, jak gdyby coś rzucono w wodę.

- Tak jest, tak jest, łaskawy panie - odrzekł Marcin. - Niechże mnie... jako ostatniego... jeżeli tam choć jeden człowiek czuwa na tym... okręcie.

Podniosłem oczy ku oknom tylnej kajuty, widocznym tak wysoko nad naszymi głowami. Zrąb "Króla Jakuba" wznosił się stromo nad naszym siedziskiem na rudlu - dotykalny, ale niedosiężny! Niewiele brakowało, a przywołałbym dziadka i zawezwał go, by wziął nas na pokład. Ale ostrzegł mnie głos rozsądku, że dziadek bez wątpienia skorzysta ze sposobności i odeśle nas z powrotem na pokład "Konia Morskiego", by dać namacalny dowód swej słowności. Ja zaś nie miałem ochoty stawać przed obliczem Flinta mając na sumieniu zabicie dwóch jego ludzi.

- Co tu począć? - szepnąłem do Piotra, który błędził oczyma po wyniosłej rufie. - Przecież nie możemy tu pozostać. Skoro tylko okręt ruszy, zostaniemy odrzuceni precz od niego.

- Ja - przyznał mi słusność Piotr. - Czy ty ficisz to błyszczące malowidło w górze?

I wskazał pozłacaną płaskorzeźbę umieszczoną poniżej okien na rufie, przedstawiającą wschód słońca. Było to utrapienie mego dziadka, że nie posiadał złotej farby, by i tę część swego okrętu uczynić tak nieskalanie chędogą jak inne. Ciągłe uderzanie fal morskich połupało i starło pozłotę, ale grzbiety i wgłębienia rzeźby były jeszcze widoczne.

- Tak - odpowiedziałem, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Stanę na rudlu i będę się tzymał tej wypukliny pośrodku. Ty zaś wlesiesz mi na barki, a stamtąd na okno kajuty, ja.

- Nie utrzymasz mnie w tym położeniu, Piotrze! - zawołałem. - Zaledwie potrafisz sam ustać na nogach.

- Podołam temu - uparł się Piotr.

- A co będzie z tobą?

- Spuścisz mi linę.

Wygramolił się na rudel i rozpostarłszy ręce kierował się z wolna w stronę rzeźby pokrywającej rufę. Szukając po omacku nad głową, znalazł głębokie wyżłobienie w promieniach poniżej tarczy słonecznej; uchwyciwszy się tego wgłębienia wspiął się o jakie dwie stopy wzwyż na wąskiej listwie biegnącej wzdłuż rufy; była ona zaledwie na tyle szeroka, iż mógł stanąć na palcach. Wówczas z błyskawiczną szybkością i niesłychaną sprawnością przerzucił ręce i splótł palce dokoła rzeźbionego kręgu słonecznego, wystającego znacznie w przód.

- A teraz wylaś, Bob! - mruknął.

Posłuchałem go bez sprzeciwu, gdyż każda chwila była droga; "Jakub" już się poddawał prądowi, a kotwica bujała się przed nami wahadłowym ruchem.

Na rudel wdrapałem się z łatwością, podpierając się ręką na jednej ze stóp Piotra, by się utrzymać w równowadze. Bez większej trudności, trzymając się skózanego pasa Holendra, stanąłem na listwie, gdzie on się znajdował. Następnie złapałem za brzeżek płaskorzeźby i uniosłem się do góry, pakując, za radą Piotra, palce jednej z nóg w obwisłość jego nieco luźnego pasa. Piotr stęknął i na tym się skończyło.

Natrafiałem na nową antabę, do której mogłem się przyczepić dłonią, więc wyciągnąłem drugą nogę na barki Piotra i stanąłem na nich wyprostowany. Siegnąłem w górę (było to od powierzchni wody wyżej niż na wzrost dwu słusznych chłopów), ale palce moje, obmacawszy całą przestrzeń, jeszcze nie dostawały do wysokości okien kajuty. Piotr zrozumiał moją trudność.

- Wleś mi na głowę - mruknął.

Podniosłem ostrożnie jedną nogę, wybrałem sobie znów jakąś antabę i stanąłem na zwichrzonej Piotrowej czuprynie. Zacząłem znowu badać przestrzeń nad głową, wyciągnąwszy jedno ramię w stronę granicy bezpieczeństwa, lecz brakło jeszcze paru cali, by uchwycić parapet okna.

- Skacz! - jęknął Piotr.

- Ale co z tobą będzie?

- Skacz!

Szczęknął poruszony rudel, a "Jakub" pochylił się lekko pod tchnieniem bryzy i jął z szelestem pruć wodę.

Skoczyłem. Piotr zwałił się od pchnięcia, ale mnie już się udało palcami prawej ręki objąć futrynę okienną. Posłyszałem plusk, więc czym prędzej uczepiłem się okna lewą ręką.

- Do góry! - wybełkotał Piotr szamocący się z wodą.

Reszta była już dziecinną zabawką w porównaniu z tym, co było dotychczas. Miałem już teraz na czym oprzeć nogę, więc w mig przelazłem okrakiem przez parapet i spojrzałem w dół. Piotr płynął za "Jakubem" trzymając się kurczowo listwy, która szła w poprzek rufy o jaką stopę nad wodą. Nie śmiał już trzymać się rudla. Twarz miał tak bladą, że mnie wzięła trwoga, więc nie zwlekając wtoczyłem się do kajuty, nie bacząc, czy się w niej kto znajduje; jednakowoż szczęście mi sprzyjało, bo nie zastałem nikogo.

Zacząłem krzątać się wokoło szukając jakowejś liny. Niewielka była nadzieja, bym miał ją znaleźć w tym zbytkownym pokoju, więc wybiegłem na korytarz, gdzie w końcu, tuż koło drzwi wychodzących na pokład, nadybałem sondę zwiniętą i zawieszoną na haku.

Dla ścisłości nadmienię, iż wszystkie te czynności zajęły mi mniej czasu, niż potrzeba na ich opisanie; niemniej, gdy powróciłem do okna, Piotra już nie było. Wychyliłem się i wlepiłem wzrok w pienistą smugę ciągnącą się za okrętem. O jakie dwadzieścia stóp od rufy zabłysło białe ramię dając mi porozumiewawcze znaki. Był to Piotr. Rzuciłem mu ołowiankę; on pochwycił linę, gdy zatrzymała się w wodzie, następnie nożem zabitego korsarza, który miał za pasem, odciął ołów, zadzierzgnął sobie pętlę pod pachami i dzięki mojemu gorączkowemu wysiłkom przywłókł się znowu do przyburcicy nad wodą.

Nie miałem siły wyciągnąć go w górę, przymocowałem więc koniec liny do stołu jadalnego, który był przybity do podłogi, po czym już sam Piotr mozolnie windował się w górę. W końcu tak osłabł, że musiałem wciągać go przez okno; jak bezwładna bryła zwałił się na stół obryzgując gładką jego

powierzchnię strugami ociekającej zeń wody morskiej i krwią, która sączyła się z jego poranionych rąk.

Szcześnie w pobliżu stała butelka okowity, do której lubił zaglądać mój dziadek; porwałem ją i wlałem spory łyk w usta Piotra. Olbrzym chwiejnym ruchem wstał na nogi, łypiąc oczyma i rumieniąc się jak panienka.

- Już wszystko w poszranku, Bob - zapiszczał. - Już mi dopsze się zrobiło, ja.

Wzrok jego spoczął na sondzie, jeszcze przymocowanej do stołowej nogi. Piotr był przezorny, więc schylił się, odwiązał linę i cisnął ją za okno.

- Lepiej byłoby nie zostawać tutaj - mruknął. - Neen! Jeszeli Murray nas zobaczy...

- Ach, mój Boże! - posłyszeliśmy krzyk. To Benjamin Gunn stał w korytarzu spoglądając na nas wybałuszonymi oczyma.

- To topielcy! - westchnął sam do siebie. - To Flint ich tak urządził.

Przeraziłem się, że on może wybiec na pokład i krzykiem swym ściągnąć nam na kark całą załogę, więc przystąpiłem doń, by zapobiec czemuś podobnemu. Ale biedak był jakby urzeczony zabobonnym strachem.

- Rany Boskie! - wymamlał. - Już na mnie przyszła kreska! O Boże łaskawy, nie daj, by upiory zabrały Beniamina Gunna! O, nie daj! Byłem dobrym, bogobożnym młodzieńcem, chodziłem do kościoła w każdą niedzielę i nauczyłem się katechizmu na pamięć... a gdyby moja stara matka mogła...

- Uspokój się, Ben - rzekłem do niego. - Nie chcemy cię skrzywdzić.

Na te słowa chłopiec stał się nieco śmielszy.

- Nie wypada wam tak mówić - sprzeciwił się. - Nigdy nie słyszałem, żeby duchy...

- Nie jesteśmy duchami - odpowiedziałem. - Jesteśmy żywi jako i ty. Oto możesz się namacalnie przekonać, że mówię prawdę.

Wzdrygnął się, gdy mu położył na karku chłodną, wilgotną rękę; jednakowoż to dotknięcie przekonało go zupełnie.

- Powiadacie, że nie jesteście duchami - powtórzył ze zdumieniem. - I naprawdę nie jesteście widmami, więc też nie jesteście umarli. A widząc was tutaj, zachodzę w głowę, jak to się stało, że nie jesteście na pokładzie "Konia Morskiego", gdzieście się znajdowali i gdzie powinniście znajdować się w tej chwili.

Potrząsnął głową.

- To coś niewłaściwego, panie Ormerod, i nijak nie zgadza się to z naturą.

- Lecz to rzecz całkiem naturalna - odciąłem się prosto z mostu. - Pan Corlaer uciekł wraz ze mną z "Konia Morskiego".

Ben poszedł parę kroków w głąb kajuty i z całą siłą swego wzroku wpatrzył się w Piotra. Następnie ze zgorzaniem jął się przyglądać kałużom wody rozchłapanym przez nas na stole i po bogatym kobiercu.

- Tak, wyglądacie na to obaj - mruknął niechętnie. - Ale zapaskudziliście mi okropnie całą kajutę, a kapitan pewno za to każe dwunastu co najtęższym chłopu przywiązać mnie do masztu i oćwiczyć kańczugiem.

- Nie dojdzie do tego, jeżeli weźmiesz się żwawo do wiadra i ścierki, Beniaminie - odezwałem się do niego, gdyż i mnie samemu zależało na tym, by ukryć przed Murrayem ślady naszego przybycia.

- Być może - odpowiedział. - Ale nie w smak mu będzie, żeście taką drogą przybyli na jego okręt.

Bez skrupułu zamknąłem mu usta podchwytnując jego własną myśl:

- Tak, i to niezawodnie skrupi się na tobie. Wstyd i hańba!

Zadrżał na całym ciele, z czego wniosłem, jak straszny musiał być gniew mego dziadka.

- Panowie do tego nie dopuszczają! Panie Ormerod! Niech pan powie, że nie dopuści do tego. Nie chcecie chyba, żeby biedny Ben Gunn miał się wic i pisać u słupka.

- Nie pragnę tego - przemówiłem serdecznie. - Musisz nas ukryć, Ben. Schowaj nas i wyczyść kajutę, a nikt nie będzie wiedział, że znajdujemy się na okręcie.

- No tak, ale potem? - zapytał chytrze.

- Ech, mniejsza o to, co będzie potem. Nikt się nie dowie, że miałeś coś wspólnego z naszym przybyciem na okręt; sądzę, że nawet kapitana Murraya nie będzie to obchodzić. Nie z własnej woli oddał on nas Flintowi.

- Jeżeli tak, to czemuż nie pójdziecie na pokład i nie pomówicie teraz z kapitanem?

- Kazałby on nas obu odesłać z powrotem do kapitana Flinta. Chybabyś sobie tego nie życzył, Beniaminie, by cię odesłano na stały pobyt na pokład "Konia Morskiego"?

Ben Gunn przechylił na bok głowę.

- Nie wiem na pewno - odpowiedział. - Może Flint pozwoliłby mi chodzić w odzieży marynarskiej i napuszczać sobie dziegiem włosy?

Mimo że położenie nasze nagliło do pośpiechu, jednakże pociągnęła mnie zabawność pragnień lokajczyka.

- Czy nie jesteś zadowolony ze swego losu? - zagadnąłem.

- O, wcale nie, panie Ormerod! - odpowiedział z nieoczekiwaną stanowczością. - Zważ no, waszmość, udałem się ja na morze, ażeby zostać korsarzem, co klnie i rąbie za czterech, aż tu mi każą chodzić w liberii! Przez całe życie nosiłem liberię - to taką, to inną. Otóż gdyby waszmość albo, dajmy na to, kapitan Flint raczył przywołać do siebie Beniamina Gunna i oznajmić, że zdejmuję z niego liberię i nigdy już mu jej nie włoży... i zrobi zeń porządnego marynarza, jednego z tych, co napinają liny, wspinają się na maszty, obracają sterowe koło i szczotkują pokłady... gdyby który z was raczył uczynić to wszystko, to i owszem; Ben Gunn może by się na coś przydał... panu albo Flintowi - o ile by Flint odezwał się z tym pierwszy.

- A więc ja pierwaj przemówię - odrzekłem. - Jeżeli będę kiedy dowódcą okrętu, będziesz u mnie smoluchem, Beniaminie.

Jeżeli zaś nie będę miał własnego okrętu, wystaram ci się o stanowisko, jakiego tylko zapragniesz, na innym okręcie.

Podszedł bliżej, utkwivszy we mnie oczy z powagą i przejęciem.

- Waszmość zobowiązujesz się uroczyście, słowem marynarskim, nieprawdaż, panie Ormerod? Pan nie chce Bena Gunna wystrychnąć na dudka? Czy pan ma ten zamiar?

- Nie, nie - zaprzeczyłem. - Ale jeżeli nas co prędzej nie ukryjesz, Beniaminie, nie zdołam nigdy wypełnić swego przyrzeczenia.

On ujął mnie za rękę.

- Chodź no pan za mną w te pędy... Ben Gunn ma jeszcze kapkę oleju w głowie. Pokażę waszmości dogodny schowek, paniczu mój! Chodź no pan w te pędy!

Przeszliśmy za nim korytarz, aż stanęliśmy u drzwi położonych tuż za

sypialniami przez nas zajmowanymi; minawszy je szło się przez stromą klatkę schodową do kuchni i do izb czeladnych - była to połać wydzielona z rozległego obszaru pokładu działowego. Ben zdjął ze ściany latarnię, otworzył zapadnię w podłodze i dał nam znak, byśmy szli za nim. Doszedłszy do podnóża drugiej drabiny znaleźliśmy się w lazarecie, takim samym jak ów, co służył nam za więzienie na "Koniu Morskim". Jednakowoż otoczenie było tu zgoła odmienne i wszędzie panowała wzorowa schludność. Ściany były czysto wybielone, a wzdłuż nich piętrzyły się beczułki z winem, piwem i rumem tudzież przegrody nabite butelkami wszelakich napitków.

- To winiarnia Murraya - zauważyłem głośno.

Ben Gunn postawił latarnię na środku podłogi i przytknął usta do mego ucha.

- Tak, a chowa on też tu skarby... gdy je miewa.

- Czy on tu nigdy nie przychodzi?

- Nigdy... ani on sam, ani jego Murzyny. Tylko Ben Gunn.

- A jakże będzie z jedzeniem?

Ben podrapał się w głowę z zakłopotaniem.

- Już to zostawcie Benowi Gunnowi. On was będzie dobrze żywił, mój panie, żeście mówili do niego łaskawie i obiecaliście zdjąć z niego liberię. Tak, Ben o to się już postara. I przyniesie wam ubranie z kajuty. Ale pan nie zapomni przyrzeczenia? Niech pan powie, że nie zapomni!

- Nie zapomnę - uspokoiłem go. - Ale teraz musisz pobiec do kajuty i przywrócić do porządku wszystko, cośmy tam zanieczyścili. Spiesz się, człeku!

Ben skoczył raźnie na drabinę, jak gdyby ujrzał raj przed sobą albo jak gdyby diabeł nastawał mu na pięty.

Przez dwa dni naszego pobytu w winiarni "Króla Jakuba" chłopak wiernie dotrzymywał słowa. Żywił nas doskonale; przyniósł mi też dostateczną ilość przyodziewku, a dla Piotra wystarał się o zapas płótna i barchanu oraz o igły i nici, za pomocą których Holender uszył sobie odzienie, by okryć niepomierne mięszce swego ciała.

Wieczorem drugiego dnia, dowiedziawszy się od Bena, że "Jakub" przebył już kilka węzłów morskich od czasu opuszczenia Rendez-vous, doszliśmy do przekonania, że teraz już będzie można bezpiecznie pokazać się na oczy Murrayowi. Skorzystawszy więc ze sposobności, gdy Ben podawał wieczerzę, wymknęliśmy się przez kuchnię i wskoczyliśmy do kapitańskiej kajuty.

Dziadek właśnie uważnie studiował mapę Morza Karaibskiego, które tak często zaprzętało jego uwagę; wszakoż posłyszawszy szelest naszych kroków na kobiercu, rzucił spojrzenie w górę. Pomiędzy brwiami wyryła mu się zmarszczka zakłopotania, ale poza tym nie okazał żadnego zdziwienia.

- Ach, to tak? Więc postąpiliście na własną rękę? Czy przypadkiem nie zabiliście Flinta?

- Mogliśmy to uczynić - odrzekłem - aleśmy tego zaniechali.

- Szkoda tych ceregieli! - mruknął. - U licha! To ci kłopot nie lada!

Piotrze, załóżę się, że tobie to zawdzięczam!

- Ja - rzekł Piotr i siadł sobie po staremu za stołem.

- Prawda to - przyznałem - że gdyby nie Piotr, nie zdołalibyśmy uciec, ale winę w równym stopniu ponoszę i ja.

- Jakżeście to zmajstrowali?

Opowiedziałem mu rzecz całą, on zaś spoglądał z zaciekawieniem na Piotra,

który siedząc naprzeciw, z całym spokojem pałaszował dary boże.

- Powinienem być przypuszczać, że tak się stanie. Ciebie, Piotrze, nikt nie potrafi okiełznać wbrew twojej woli. Co za paskudztwo! Wszystkie me zamysły i przedsięwzięcia zostały pokrzyżowane! Piotrze, zaigrałeś sobie z losem! Pół godziny temu widziałem jasno swą drogę; teraz muszę zaczynać na nowo. A niechże cię! Jaki galimatias!

Wstał i zaczął się przechadzać po kajucie, założywszy w tył ręce i zwiesiwszy głowę na piersi. Naraz zatrzymał się tuż przede mną.

- Cóż cię to pchnęło do tak desperackiego kroku, Robercie?

Jego piwne oczy patrzyły przenikliwym blaskiem.

- Czy chciałeś być ze mną? Czy też szło ci o dziewczynę O'Donnella?

Zawahałem się, bom szczerze nie chciałem go obrazić.

- Tak, niepokoiłem się o nią - wyznałem na koniec. - Ten okręt nie jest właściwym miejscem pobytu dla dziewczęcia, jakieś to waszmość sam przedtem powiedział.

- Lepszy on od niejednego! - burknął dziadek. Jednakowoż wydawało mi się, że ta odpowiedź nie była mu niemiła. Przez kilka chwil wpatrywał się uważnie w moje oblicze.

- Dobrze, dobrze - odezwał się i rozpoczął znów przechadzkę po kobiercu.

- Musimy to jakoś załatwić, mój chłopcze.

XII

Okręt ze skarbami

Gdy szlup już nadjechał i zatrzymał się, dziadek nie okazał po sobie najmniejszej radości; nie znać po nim było podniecenia również i wtedy, gdy z owego statku spuszczone małą łódkę, przytroczoną do rufy, i kilku czarniawych drabów jęło wiosłować w naszą stronę. Zażył tabaki i zajął stanowisko za poręczą sztymbortu przy załomie rufy. Piotr i ja ruszyliśmy za nim. W pobliżu nas był tylko Marcin, który nadzorował sternika. Ze zjawieniem się Murraya ludzie stojący na półpokładzie odstępili od prawej burty. Strzelnice wszystkie pozamykano ze względu na bujowisko (silnie rozkołysane morze), które miało "Królem Jakubem", tak iż się zdawało, jakby okręt miał po reje zanurzyć się w wodzie. Toteż - jak mniemam - oprócz czatowników, usadowionych na marsach wszystkich trzech masztów, jedynie my, którzyśmy stali na rufie, mogliśmy się przyglądać małej łódce prześlizgującej się po wielkich, spiętrzonych górach wodnych, które wypadały z zamglonych przestworów Morza Karaibskiego, jak gdyby chciały zalać brzegi Hispanioli, jarzące się purpurowo na północy, w odległości paru mil morskich, na tle ciemnobłękitnej roztoczy.

Wśród tych bezmiarów rozhukanego żywiołu łódka wydała się maciupka niby żuczek; lecz sterujący rudlem człowiek prowadził ją z zadziwiającą zręcznością, to wdzierając się na czuby wzdętych bałwanów, które groziły jej zmiążdżeniem, to ześlizgując się po zawrotnych spadzinach, które zdawały się strącać ową nędzną łupinę aż na mętne dno oceanu. Na koniec zatrzymał się niespełna o pięćdziesiąt stóp od kadłuba "Jakuba", obracając i zastawiając się długim wiosłem, by zachować równowagę. Był to mężczyzna mocno opalony a chudy; muskularne ramiona i łydki miał obnażone, a żyłasty

tułów pokryty był strzępami bawełnianej koszuli i hajdawerów. Włosy miał kłaczaste i czarne. Na hasło, dane mu przez mego dziadka, odpowiedział głosem brzmiącym chrapliwie, lecz z jego przemówienia nie zrozumiałem ani słowa, gdyż zarówno on, jak i Murray gadali do siebie językiem hiszpańskim.

Dziadek zadał dwa pytania, oba związane, a otrzymał na nie równie związłą odpowiedź. Dziadek znów machnął ręką; przybysz wbił wiosło w grzbiet jednego z olbrzymich bałwanów i łódka pomknęła w dal - chyżo jak armatnia kula. W parę chwil później zobaczyliśmy, że przybili do szlupu i jeden po drugim wskakiwali na pokład. Szlup poddał się wiatrowi i zataczając z ukosa wielkie kręgi odpłynął na zachód; "Jakub" zaś pozostał znowu sam u zachodniego wylotu cieśniny Mona. Hispaniola majaczyła siną plamą na północy, natomiast Porto Rico kryło się przed naszym wzrokiem kędyś daleko od nas na południe.

Murray zażył znowu niuch tabaki i odwrócił się od poręczy.

- Nie na próżno czekaliśmy przez trzy tygodnie - odezwał się.

"Najświętsza Trójca" miała opuścić Porto Bello w czterdzieści osiem godzin po odjeździe Diega, więc powinna spotkać się z nami za jakie pięć dni, a najpóźniej z końcem bieżącego tygodnia.

Doznałem rozterki uczuć.

- Jeszcze się ten okręt może wam wymknąć. Przecie szeroka tu miedza wodna... a cóż, jeśli statek jechać będzie nocą?

- Ej, nie wymknie się! - odparł mój dziadek. - Choćby nie wiem ile mil wynosiła szerokość cieśniny i choćby noce były Bóg wie jak ciemne, to ptaszek nam z garści nie umknie, Robercie. Durnie! Sami oddali mi w ręce swój statek. Według wydanych rozporządzeń - jak doniósł mi Diego - mają płynąć tuż przy samym południowym brzegu Hispanioli, ażeby w razie czego można się było łatwo przemknąć koło San Domingo. Nocą zaś okręt będzie specjalnie oświetlony.

- Ja, fszystko to prawda, jeszeli tylko ten Anglik, któregośmy ficieli tycień temu, nie dostszegł fregaty - rzekł Piotr.

Murrayowi zrzędła trochę mina.

- Tak, z tym zawsze musimy się liczyć - zgodził się. - A bodajbym szczeł, nie wiem, co ten drab mógł podejrzewać. Wszelakoż niech się dzieje, co chce; on nie rzuci się na fregatę po tej stronie Jamajki, więc czasu nam jeszcze starczy.

- Czemużby miał podejrzewać "Jakuba", a nie jakiś inny okręt, który mijał nas po drodze? - wtrąciłem pytanie. - Wszak było ich wiele.

Dziadek wskazał białą banderę powiewającą z tylnego masztu.

- Tu bywają jeno Hiszpanie albo Francuzi - odpowiedział. - Nasz okręt wzięto za należący do floty angielskiej. Nie, nie będzie się tu nikt do nas wtrącał. A jeżeli kto się odważy - tu zacisnął szczęki - to będę gonił "Najświętszą Trójcę" aż do portu w Kadyksie.

Tu przerwał odzywając się dobitnie:

- Panie Marcinie!

- Jestem, jestem, łaskawy panie - odpowiedział sztorman odchodząc od steru i przystępując ku nam.

- Niech wszyscy czatownicy pamiętają o tym, że dam dziesięć uncji temu, kto pierwszy oznajmi majtkom na pokładzie ukazanie się wielkiego statku hiszpańskiego o czterdziestu działach, nadjeżdżającego od zachodu. Na wierzchołku przedniego masztu mieć będzie ów statek w nocy czerwoną i żółtą

latarnię.

Marcin przyłożył rękę do czoła.

- Według rozkazu, panie kapitanie! Będzie się miał z pyszna ów... który przegapi Hiszpana! Bodajbym nędznie sparcią! Wiem ja, że po tak czarownych wywczasach musi nam przypaść tęga gratka!

- Będzie to najobfitszy łup, jaki kiedykolwiek wpadł nam w ręce - odrzekł Murray. - Powiedz o tym wszystkim marynarzom.

Nikt tam nie naganiał załogi "Jakuba" do wytężonej pracy ani nie odbywano zbiórki dla wydania zleceń, ale Marcin widać na swój sposób umiał puścić w obieg każdą wiadomość, gdyż w godzinę po odjeździe szlupu różnojęzyczna rzesza marynarzy otrząsnęła się z uśpienia i posępnej mrukliwości. Na wszystkich pokładach naoliwiano króćce, ostrzono kordelasy i szeptano pokątnie. Coupeau gorliwiej niż zwykle zajął się swą działobitnią, opatrując lonty, umacniając koła lawet, szorując kupę kul samopałowych, które miały być użyte w ostatecznym razie do boju na śmierć i życie.

Ale ani tego dnia, ani następnego nic się nie wydarzyło. Tak upłynęły jeszcze trzy dni wśród wzmagającego się naprężenia. Czatownicy na bocianich gniazdach zmieniali się co dwie godziny, ażeby ich wzrok mógł być rzeźwy i nie przemęczony. Gdy gdziekolwiek na widnokręgu zoczono żagiel, cała załoga biegła co żywo ku działom, a okręt zaraz ruszał w owym kierunku. W ciągu tych pięciu dni "Jakub" aż czterokrotnie uganiał to za rybackim statkiem hiszpańskim, to za brygiem z Martino, to za szkunerem jankeskim, to za śnieżnoskrzydłym korabiem plymouckim, kołując z powrotem, ilekroć przekonano się, że jeszcze nie natrafiono na właściwą zdobycz.

Szósty dzień był podobny do poprzednich; skwar buchał jak z piekarni, aż smoła, topniejąc, wylewała się ze szczelin pomiędzy deskami; łagodna bryza południowo-wschodnia ledwie zdołała wzdąć żagle. Burzliwość wód, która od kilku tygodni dawała się nam we znaki, prawie uspokoiła się, tak iż Morze Karaibskie mogło się wydawać śródlądowym jeziorem. Z brzaskiem znaleźliśmy się nieco dalej na południe od miejsca zwykłego naszego pobytu, gdyż Murray obawiał się, że Hiszpanie mylili jego rachuby zmieniając wyznaczony kierunek żeglugi.

Po raz pierwszy mogliśmy wyróżnić majaczące wzgórza Porto Rico, któreśmy opłynęli, zawracając następnie znów w stronę północną. Gdy słońce wzbilo się wyżej, na krańcach horyzontu jęła wić się mgła. Porto Rico rozplynęło się w błękitnej dali; strzeliste wierchy Hispanioli schowały się, zanim zdołaliśmy należycie je rozeznać.

W czasie czaty południowej znajdowaliśmy się już z powrotem na miejscu zwykłego naszego postoju; ażeby zaś zabezpieczyć się przed przypuszczalną możliwością wymknięcia się "Najświętszej Trójcy" podówczas, gdyśmy wracali z południa, dziadek kazał przez parę godzin płynąć z wiatrem w głąb cieśniny. Napotkaliśmy rybackie czółno, a jadący w nim Indianie na zapytanie Murraya odpowiedzieli, że w tym dniu nie widziano w cieśninie żadnego dużego statku. Toteż przez całą resztę dnia, walcząc przeciwko wiatrowi, płynęliśmy na powrót tą samą drogą.

Noc nie przyniosła nikomu spoczynku. Nawet dziadek całymi godzinami przechadzał się po pokładzie, od czasu do czasu tylko zażywając drzemki na rogózce, którą Ben Gunn rozesał dla niego w miejscu, gdzie dochodził chłodzący powiew wietrzyka. Piotr i ja chrapaliśmy na pokładzie, pospołu z załogą.

W półmrocznej godzinie, poprzedzającej brzask, z bocianiego gniazda rozległ się okrzyk:

- Światła... heej!

Murray porwał się na nogi żywo, jak i my wszyscy.

- Jakie barwy rozpoznajesz? - zapytał przez tubę.

- Czerwoną i żółtą... w górze i na dole... - odpowiedziano z głównego marsu.

- Doskonale - stwierdził dziadek. - Panie Marcinie, proszę szczególnie wyróżniać tego człowieka i wręczyć mu tę oto kieskę - i podał ją Marciniowi. Zwołaj wszystkich wiarusów na śniadanie i wydaj im podwójną porcję rumu.

- Według rozkazu, panie kapitanie - westchnął Marcin. - Otóż i zaczęło się nam szczęście, a bodaj...

Świt pojawił się nagle, jak gdyby za skinieniem różdżki czarodziejkiej. Na wschodzie rozgorzała szkarłatna luna, zrazu nieznaczna, następnie coraz bardziej rozszerzająca się i nabierająca mocy; aż naraz blask olśniewający, niby wybuch racy, rozerwał nocną pomrokę. Rumiany krąg słoneczny wzniosł się ponad widnokregiem. Dniało...

Na zachód, o jakie pół mili morskiej od nas, kołysał się wielki okręt zdążający z wiatrem w naszą stronę. Malowane popiersie na przodzie statku połyskiwało od poziomo kładących się promieni słonecznych, które muskały żagle zamieniając ich płótno w istną powłokę złocistą. Jaskrawa bandera hiszpańska z wyniosłą butą łopotiała w rozłożonym przestworzu. Bryzgi wodne, rozsiane nad bukszprytem, ilekroć okręt przesywał swym radłem niezbyt rozhukane przelewy, zamieniały się w sznurki ametystów, turkusów, szmaragdów!

- Ciężko naładowany ten okręt! - wykrzyknął dziadek przyglądając mu się przez perspektywę.

- I ciężko uzbrojony! - dodałem wskazując na rząd armat po jego bokach.

- Zaraz im ulżemy! - odpowiedział dziadek. - Ale będę musiał jakoś spełnić daną ci przeze mnie donkiszotowską obietnicę, że będę oszczędzał załogę okrętu. Hej, Coupeau! - zawołał na puszkarza, który przechodził po środkowym pokładzie.

Były galernik zwrócił swą potworną twarz ku rufie i zasalutował.

- Zapowiedz, Coupeau, że okrętu nie wolno dziurawić na wylot. Rad bym zwalić ze dwa maszty na początku bitwy, ale ogień należy skupić na pokładach.

- Oui, m'sieur (niedbale wymówione słowo monsieur - po francusku: Tak, proszę pana).

- A co będzie z O'Donnellem i jego córką? - zawołałem. - Na pokładzie, gdzie będą gęsto padały pociski!

Dziadek spojrział na mnie z zaciekawieniem.

- Gra, którą rozpoczynamy, nie będzie zabawą w krokieta, mój Robercie - odpowiedział. - Proszę cię, miej to w pamięci, że Hiszpanie posiadają czterdziestoczworfuntowe działa, które skierują przeciwko nam, przy czym zdarzyć się może, że zabiją kilku naszych... może nawet nas samych.

- Ale panienska!

Dziadek zażył tabaki.

- Spokojniej, spokojniej, synku! Niepotrzebnie się asan tak frasujesz.

Wielki to hazard, ale inaczej być nie może. W każdym razie ona z pewnością wyjdzie z tego cało. Jakaż rolę zamierzasz wraz z Piotrem spełnić w tej

bitwie?

Już mnie język świerzbiał, by odpowiedzieć z oburzeniem, że nie chcemy mieć nic wspólnego z korsarstwem, gdy Piotr się odezwał:

- Mosze najlepiej będzie, jeżeli pójdziemy na ten okręt hiszpański i porwiemy młodą ciefczynę, ja!

- Wspaniały pomysł - odpowiedział dziadek spoglądając na mnie wyczekująco. - Ja sam będę osobiście dowodził moją załogą, a w zamęcie bitwy może mi będzie trudno się odłączyć od oddziału, by ratować O'Donnella od zniewagi. Jeżeli wy obaj...

- Zrobimy to - rzekłem opryskliwie. - Mimo całej swej przebiegłości waszmość nie potrafisz sam, bez niczyjej pomocy ocalić swego sojusznika.

- Masz zupełną rację - przytaknął łaskawie mój dziadek. - Przyznam ci się szczerze, Robercie, że obecność twoja zrzuca brzemień z mego serca, aczkolwiek twoja ucieczka od Flinta naraziła mnie na inne kłopoty. Bądź co bądź, będę ci wielce wdzięczny, jeżeli mi dopomożesz.

Wskazałem mu białe godło na maszcie głównym.

- Czy waszmość będziesz walczył pod fałszywymi barwami?

- Nie są one fałszywe - odciął się zacisnąwszy wargi. - Dziś walczymy za Anglię.

- Za Anglię, Flinta, Johna Silvera, Billa Bonesa, Marcina, Coupeau i...

- I za mnie? Być może! Lecz jeżeli ci, których wymieniłeś, zostaną przypuszczeni do udziału w nagrodzie zwycięstwa, to tylko w tym celu, by na tym mogła zyskać Anglia i triumfować dobra sprawa. Cóż to ma za znaczenie, jeżeli tylko król Jakub powróci do Londynu?

- Doprawdy, cóż to ma za znaczenie? - powtórzyłem z przekąsem, jakkolwiek mimo woli byłem pod wrażeniem jego kamiennej powagi.

- Nie jest moim zwyczajem, Robercie, walczyć pod cudzymi barwami - ciągnął dalej, jak gdyby uwziął się przekabacić mnie na swoją stronę. - Powie ci to każdy żeglarz, choćby nie wiem jakie oszczerstwa miotał na kapitana Rip-Rapa. A co się tyczy kaperskiej bandery... phi! Jest to obyczaj przestrzegany przez każdą drużynę korsarską. Mnie się wydaje rzeczą nieco śmieszną napędzać strachu tym, którzy i tak duszę mają w piętach. Pod korsarską banderą walczyłem bez wstydu, dopóki była tylko sztandarem morskiego banity. Dziś jednak sprawa całkiem inna. Walczymy już nie jako korsarze, lecz jako słudzy króla Jakuba.

Z naszego forkasztelu wytrysnął biały kłęb dymu i łoskot wybuchu targnął naszym słuchem. To Coupeau oddał pierwszy strzał z osiemnastocalówki, jednego z tych długich, pięknych dział spiżowych, odznaczających się daleką nośnością. Wszyscy bezwiednie zogniskowaliśmy nasze spojrzenia na okręcie wiozącym skarby, a puszkarze radosnym okrzykiem powitali nastrzępioną dziurę, jaka ukazała się w wydętym żaglu masztu przedniego.

- Wspaniale! - mruknął dziadek.

"Najświętsza Trójca" zawahała się przez chwilę, jak człowiek ugodzony zniecka przez osobę uważaną za przyjaciela. Następnie skrzyła w bok, aby w całej pełni odsłonić nam swe barwy; przez ten zwrot nadarzył się lepszy cel do strzału, z czego korzystając, Coupeau znowu wypalił. Strzał poszedł za nisko, gdyż był oddany w chwili, gdy "Jakub" opadł w zakłęśninę pomiędzy dwiema falami; dostrzegliśmy, że pocisk najwidoczniej ugodził w sam środek okrętu.

Hiszpan wypalił z armaty w stronę wiatru i przekreślił ster, zamierzając

przeciąć w poprzek naszą drogę i dopaść do San Domingo.

Z całego wyglądu "Król Jakub" wydawał się okrętem angielskim; nosił przecie godła floty angielskiej, a w każdym razie w oczach Hiszpanów mógł wydawać się wielce buńczuczny i zawadiacki, co było zwykłą cechą fregaty angielskiej. Dowódca tamtego statku widocznie osądził, że pomiędzy Hiszpanią i Anglią doszło do jakichś nieporozumień, przeto stosując się do danych mu rozkazów usiłował uniknąć walki i dostać się do najbliższej warownej przystani hiszpańskiej.

Atoli "Jakub" pędził dwa razy prędzej od okrętu objuczonego skarbami, a dzięki świetnemu kierownictwu dogoniliśmy "Najświętszą Trójcę" już w godzinę po pierwszym wystrzale. Przez cały ten czas Coupeau tłukł zawzięcie w ścigany okręt; gdy zbliżyliśmy się doń na odległość strzałów naszej ciężkiej baterii, z hukiem zwała się nastawa masztu przedniego, zasypując forkaasztel płataniną olinowania.

Załodze hiszpańskiej przebrała się już miarka cierpliwości. Przekręciwszy ster okręt nastawił całą swą baterię i plunął w nas ze wszystkich dział, jakie były na bakborcie. Salwa była nędznie wymierzona, wszakże i tak parę kul przeleciało ze świstem przez nasz pokład, a jedna z nich, wagi osiemnastu funtów, rozbiła na miazgę kilku ludzi tuż przed samą rufą.

Murray podszedł do poręczy rufy, ażeby zbadać szkodę, i krzyknął do Coupeau:

- Wstrzymaj się od kanonady, panie ogniomistrzu! Trzeba im wyprzątnąć pokład!

Po czym zwrócił się do Marcina, który prowadził okręt wprost na statek nieprzyjacielski:

- Skręcaj w bok! Skręcaj w bok! Oni jeszcze mają nad nami przewagę!

Coupeau, uwijając się jak opętany koło dział pościgowych, dawał na raz po dwa strzały wymierzone w jeden cel. Właśnie mu się udało zrąbać maszt przedni na wysokości około dwudziestu stóp od pokładu; ciężka reja i wzdęty żagiel runęły z łoskotem w ślad za strzaskaną stengą. Brzemień zwałonej kłody osunęło się w morze, przechylając "Najświętszą Trójcę" jednym końcem w dół i tworząc jak gdyby kotwicę unieruchamiającą statek.

Dziadek uśmiechnął się ze złośliwym zadowoleniem.

- Hej, Saunders! - zawołał na drugiego sztormana, który miał wyznaczone stanowisko pośrodku okrętu. - Przygotuj harpuny i osęki (rodzaj kopii z grotem do klucia i hakiem do przyciągania) koło parapetu na bakborcie. Napadniemy Hiszpana tam, gdzie się zatrzymał.

"Król Jakub" ruszył co sił naprzeciw okrętu wiozącego skarby, podchodząc pod kątem prostym, co osłabiło skuteczność drugiej salwy danej przez Hiszpanów, a gdy wjechaliśmy w półprzejrzystą chmurę dymu armatniego, Murray dał rozkaz do strzału:

- A teraz salwa, Coupeau! - zawołał.

Ogniomistrz podbiegł do otwartej luki i grzmiącym głosem rzucił rozkaz puszkarzom. Zdawało się, że deski zadygotały pod naszymi stopami. Piorunowe łoskoty następujących po sobie wystrzałów wstrząsnęły całym wnętrzem "Jakuba". Chmury dymu zrazu się rozproszyły, potem zgęstniały w nieprzenikloną mgłę, a ostra woń saletry i siarki wwiercała się nam w nozdrza. Ujrzałem w przelocie ogromną, złoconą figurę, następnie zwał rozdartych żagli i olinowania.

- Ster na sztymbort, panie Marcinie! - krzyknął Murray.

Wśród głośniego skrzypienia rej i łopotania żagli obróciliśmy się przeciwko wiatrowi; zza przegrody dymu osłaniającego "Najświęszą Trójcę" doszły mnie czyjeś niewyraźne krzyki i zawrozczenia. Prawie jednocześnie z naszej strony huknęła znów salwa, a z luf armatnich, niby z krwiożerczych paszcz, wysunęły się jężory płomieni. Jeszcze raz dostrzegłem mglisty zarys pogruchootanych parapetów i spiętrzonych żagli, po czym szary mrok zgęstniał jeszcze bardziej niż wprzódy. Nie można było odróżnić nawet postaci ludzi stojących na naszym pokładzie.

Hiszpan na chybił trafił odpowiadał na nasz ogień, w miarę jak "Jakub" po omacku zbliżał się ku niemu; a grzmoty dwóch działobitni zagłuszały i obezwładniały wszystko, jak ryk dwóch bestii walczących w nocy. Poczulem rękę dziadka na moim ramieniu.

- Niebawem zrównamy się z tym okrętem - mówił głosem cichym, lecz wyraźnym. - O'Donnell z córką są na rufie. Najlepiej będzie, Robercie, jeżeli pójdziesz na przód. Jeżeli dostaniemy się na ich okręt spoza masztu przedniego, będzie ci poręczniej wpaść na nich. Gdzie jest Piotr?

Holender wychylił się z kłębow dymu.

- Czy nie lepiej będzie dostać się na pokład okrętu hiszpańskiego? - zapytał spokojnie. - Ja, Murrayu?

Dziadek roześmiał się zażywając tabaki.

- A jakże, przyjacielu Piotrze. A dla ciebie i Roberta byłoby najlepiej zaopatrzyć się w broń. Boję się, że Hiszpanie nie będą starali się odróżniać was od mej mizernej osoby.

- Ja - zgodził się Piotr. - Iciemy.

W połowie statku spotkaliśmy Saundersa i zgraję ludzi wychodzących rojnie spod pokładu celem zasilenia szturmujących oddziałów. Piotr i ja pociągnęliśmy za nimi, by wybrać oręż ze stojaków koło masztu głównego. On wziął osękę, a ja poprzestałem na kordelasie.

Murray, obejrzawszy harpuny i upewniwszy się, że na naszych rejach poprzywiązywano haki celem przytroczenia lin hiszpańskiego okrętu, przyłączył się do nas. Ubrany był, jak zwykle, z wyszukaną elegancją: w szary surdut i pludry z nakrapianego jedwabiu, w białe pończochy jedwabne i w szare trzewiki o sprzączkach wysadzanych brylantami. Na głowie nie miał kapelusza, a jego białe włosy były ufryzowane i związane w harcap. Jedyłą broń, szpadę, trzymał obnażoną.

- Zbliża się już koniec najgorszych kłopotów, Robercie - oznajmił radośnie. - Bitwa wypadła pomyślnie. Nie marzyłem nawet, że wszystko pójdzie tak gładko. Nie straciliśmy nawet dwunastu ludzi.

Ostatnia salwa naszych dział rozdarła na strzępy tumany dymu, a przybłąkany dech wiatru zniósł je na stronę. Było to jakby podniesienie kurtyny przed rozpoczęciem przedstawienia. Okręt wiozący skarby kołysał się bezradnie o kilkanaście sążni opodal; liny miał poszarpane, maszty i belki potrzaskane i połupane, forkasztel i pokład przedni były jedną krwawą rzeźnią, parapety w kawałkach, strzelnice zapadnięte, działa zdemontowane. Garstka ludzi trudziła się, aby oderwać złamany czub przedniego masztu, a kilku innych zuchów wciąż jeszcze obsługiwało parę dział, które jeły nas prażyć ogniem, gdy "Jakub" trącił bukszprytem o poręcz ich okrętu.

Oba okręty stuknęły silnie o siebie, a "Jakub", kierując się wiatrem i sterem, otarł się bokiem o bok Hiszpana, przy czym nasz bukszpryt uwiązał w sieci linowej masztu tylnego. Kilkanaście łańcuchów szczękęło w powietrzu

i wpiło się hakami w parapety. Rozległo się gromkie trzaskanie króćcie, groźby, pomstowania i krzyki rozpaczny.

Dziadek, nie zważając na strzelaninę, stanął na lawecie działa, tak iż wznosił się ponad parapety, natomiast ja z Piotrem wspiałem się na kantary masztu przedniego, skąd mieliśmy doskonały widok na oba okręty. Cały bakiort "Króla Jakuba" roił się od ludzi. Byli obnażeni do pasa, ich oblicza były szerniałe od prochu, włochate piersi pokrywało wzorzyste tatuowanie, plecy rzadko tylko nie miały na sobie blizn wyniesionych z krwawych burd; bijąc się o pierwsze miejsca, wdzierali się bosymi nogami, gdzie tylko był jaki sprzęt ruchomy lub choćby piędź wolnej przestrzeni; kordelasy trzymali w zębach, chcąc ręce mieć swobodne do strzelania z pistoletów lub do znalezienia oparcia, gdyż tylko czekali dogodnej sposobności, by przeskoczyć zwiężającą się szczelinę między dwoma okrętami.

Powiodłem oczyma po pokładzie hiszpańskiego okrętu. Wszędzie biegały tam w nieładzie małe gromadki ludzi. Jakiś głupowaty drab zmierzył się do mnie z pistoletu, a wraz też jakaś lina nad mą głowę oderwała się i zawisła luźno. Oficerowie popędzali marynarzy, by szli stawić nam czoło. Jakiś mężczyzna, w ugalonowanym surducie i w peruce, donośnym głosem wydawał rozkazy stojąc na rufie; krew żywiej uderzyła w moich tętnach, gdyż tuż za jego ramieniem ujrzałem świecące jak latarnia oblicze O'Donnella... ach... a za nimi, pośrodku gromadki czarno odzianych księży i zakonnic, migotała biała sukienka kobieca.

- Skacz! - pisnął mi w ucho Piotr.

Skoczyliśmy jednocześnie, lecz dziadek już nas wyprzedził. Trzymając szpadę w ręce wybiegł na dziesięć stóp przed innymi, wdarł się na parapet okrętu hiszpańskiego i przez chwilę zawisł w powietrzu, by na koniec rzucić się w sam środek pierścienia nieprzyjaciół. Zanim odzyskał równowagę, zdążył już odparować cios zagrażającego mu kordelasa i pchnął napastnika szpadą w grdykę. W chwili, gdy dostał się na pokład hiszpańskiego okrętu, on jednemu wytrącił wymierzony w siebie pistolet, uchylił głowę przed ciosem grożącym mu z drugiej strony, przejechał i tego przeciwnika pod żebra i prawie jednocześnie postąpił krok w prawo, by zająć drogę czwartemu wrogowi. Wszystko to wykonał ze spokojem i zręcznością biegłego fechtmistrza, nie poniosłszy najmniejszego uszkodzenia, a jego poźółkłe policzki pokryły się rumieńcem nie tajonej radości.

Więcej już nie widziałem. Moim zadaniem było dostać się przebojem na rufę i bronić O'Donnellów; przeto obaj z Piotrem odwróciliśmy się plecami do walki toczącej się pośrodku okrętu. Jedna fala korsarzy poszła hurmem w ślady Murraya, reszta biegła za mną i Piotrem. Byli oni w równej mierze mężni, jak niegodziwi, przeto posuwaliśmy się rączo naprzód i doszliśmy prawie do podnóża drabiny wiodącej na rufę, gdy wtem poza nami odezwał się przeraźliwy gwizdek Murraya. Zarazem posłyszałem, że O'Donnell i oficer w wyszywanym surducie mówią coś żywo - jeden po angielsku, a drugi po hiszpańsku - starając się przekrzyczeć wrzawę bitwy.

- ...prosi o rozmowę - doszły do mnie urywki słów O'Donnella. - ...nie może zrozumieć... przykre nieporozumienie... omyłka...

- Hiszpan chce się poddać - mruknął Piotr.

Istotnie, ci z załogi "Najświętszej Trójcy", którzy mogli stawiać nam opór, skwapliwie porzucali broń, radzi sposobności, że mogą zaniechać walki; ale wilki z załogi "Jakuba" nie byli zwyczajni do dawania pardonu,

przeto zanim Piotr i ja zdążyliśmy wytrącić im kordelasy z rąk, oni już zgładzili trzech Bogu ducha winnych ludzi.

Swistawka Murraya odezwała się po raz drugi. Nastąpiła nagła cisza, przerywana stukaniem zderzających się ze sobą okrętów, dudnieniem nie obutych stóp (jako że coraz więcej korsarzy wdzierało się na pokład hiszpańskiego okrętu), stłumionymi jękami ranionych i nosowym półśpiewem księdza wyciągającego łacińskie pacierze.

Skorzystałem z dogodnej chwili, by rozejrzeć się wokoło. Staliśmy za blisko podnóża rufy, by dojrzeć, co się działo za barierą, tuż ponad naszymi głowami; za to pokład główny, zarówno w części przedniej, jak i tylnej, przedstawiał pożalowania godne widowisko; cały był zawalony odłamkami desek i sprzętów oraz mnóstwem ludzi ranionych, a wyściełający go piaskowej barwy kobierzec plamiły krwawe kałuże i smugi.

Dziadek, tak starannie odziany jak wówczas, gdy wstępował na parapety "Jakuba", stał przez chwilę na czele tłuszczy swych podwładnych, a jego pogodne oblicze i bogaty strój tworzyły rażące przeciwieństwo z ich nagością i dzikim zezwierzęceniem. Z końca jego cienkiej szpady sączyła się strużka krwi. Miał postawę zacnego człowieka, który pragnie okazać się rozsądnym w trudnej sytuacji.

- Zdaje mi się, że słyszałem, jakoby ktoś żądał pardonu - odezwał się spokojnie.

- Tak jest, miłościwy panie - zabrał głos O'Donnell. - Przemawiałem w imieniu szlachcica cnej krwi, stojącego koło mnie, imię don Ascania de Hurtado y Custa, który jest kapitanem tego okrętu.

- Bardzo mi przyjemnie, mości panie - odpowiedział mój dziadek. - A waszmość?

O'Donnell nie był bynajmniej zadowolony z odgrywanej roli. Zagryzł wargę i zawahał się przez chwilę, zanim zdobył się na odpowiedź:

- Jestem pułkownik O'Donnell, oficer w służbie Jego Mości Katolickiego Króla.

- Aha! I czymże wam mogę służyć, cni panowie? - zapytał dziadek.

O'Donnell znów się zawahał i jął się naradzać z oficerem hiszpańskim.

- Miłościwy panie - odezwał się po chwili. - Don Ascanio pyta was przez moje usta: odkąd to wasz kraj i Hiszpania prowadzą ze sobą wojnę?

- O ile mi wiadomo, obecnie jej nie prowadzą... - odpowiedział uprzejmie mój dziadek.

- Czemuż zatem mamy przypisać tę... tę... ach... niesłychaną napaść?

- Bardzo mi przykro - odparł dziadek niemal ze smutkiem - że nie mogę w tym względzie zaspokoić ciekawości waćpana.

Hiszpan wybuchnął niepohamowanym gniewem i jął wygłaszać jakoweś przemówienia, lecz Murray przerwał je mówiąc:

- Mam szczęście rozumieć szlachetną mowę Hiszpanów. Nie byłbyś łaskaw, mości pułkowniku O'Donnell, zawiadomić o tym swego przyjaciela i przekonać go, iż ku mojemu zmartwieniu musi pogodzić się z losem? Pragnę ze szczerego serca ocalić pozostałych przy życiu jego podwładnych, ale w razie czego gotów jestem pozabijać wszystkich, byle doprowadzić do skutku swój zamiar.

- Jakiż to zamiar? - zapytał O'Donnell.

- Chcę uwolnić don Ascania od brzemienia skarbów, jakie wiezie ze sobą - odpowiedział dziadek. - Gdy będę już je miał na swoim okręcie, obdarzę go wolnością i pozwolę mu odbywać dalszą drogę!

O'Donnell zaczął z wolna tłumaczyć te warunki. Hiszpan sypnął gradem nowych złorzeczeń, złamał szpadę na kolanie i rzucił ułamki w morze. Dziadek ze współczuciem pokiwał głową.

- Niemiła to powinność, wiem o tym dobrze - przemówił. - Gdyby don Ascanio nie strzaskał swej szpady, rad byłbym służyć mu taką satysfakcją, jaką dać może szlachcic szlachcicowi... W każdym razie, mości pułkowniku O'Donnell, winienem postawić jeszcze jeden warunek, a mianowicie, że załoga "Najświętszej Trójcy" ma pozostać w niewoli przez czas tak długi, jakiego potrzebuję do wykonania mych celów. Wszelki opór wywołałby ponowny rozlew krwi, co jak waszmość zapewne mi przyznasz, jest zgoła niepotrzebne.

- Don Ascanio nic już nie powie - odparł O'Donnell - i umywa ręce od wszystkiego. Opuuszczony przez swą załogę...

- Wystarczy - przerwał mój dziadek.

Rzucił parę słów po hiszpańsku: odpowiedział mu na to brzęk oręża rzucanego na pokład. Znow coś przemówił; na to cała załoga "Najświętszej Trójcy" przeniosła się na sztymbort i pomaszerowała do forkasztelu, popędzana najeżonymi kordelasami piratów.

Murray podszedł ku tyłowi okrętu, gdzie staliśmy obaj z Piotrem, nie wiedząc, jak się zachowywać.

- Widziałeś ją? - zapytał.

- Zdaje mi się, że ona się znajduje wśród gromadki księży i zakonnicy pod latarnią na rufe - odpowiedziałem.

On zacisnął wargi, jak to miał we zwyczaju, ilekroć musiał zająć się sprawą, która niezbyt go obchodziła.

- Ta cała kabała będzie mi tak przykra, jak niedawno O'Donnellowi przykra była rozmowa z nami - rzekł krótko. - Ale musimy to załatwić niezwłocznie. Naszą kanonadę słyszano niewątpliwie przy tym wietrze aż na Hiszpanioli. Musimy zabierać zdobycze i w nogi.

XIII

Pierwsze kłopoty na pokładzie "Króla Jakuba"

Gdy wchodziliśmy na rufę, panowało tam przygnębiające milczenie. Ostatnie słowa łacińskich pacierzy wypowiedziane zostały z nutą pełną żalości, kiedy zaś dziadek wydobyl haftowaną chusteczkę z kieszeni surduta i zaczął nią obcierać zakrwawiony brzeszczot, don Ascaniowi przebrała się już miarka cierpliwości; odszedł w najdalszy kąt pokładu, miotając przekleństwa, i utkwil spojrzenie w zarumienionych wzgórzach Hiszpanioli. Za sterem, pod wielką złożoną latarnią, która zdobiła wysoki, o skośnym daszku schron sternika, zebrała się czarna gromadka duchowieństwa, a pośród zakapturzonych i zakutanych, bezkształtnych postaci mniszych uwydatniała się zarówno wdzięczna uroda Moiry O'Donnell i jej słoneczne, modre oczęta, jak też rosnąca trwoga, z jaką przywitał nas jej ojciec.

Dziadek skinieniem głowy wyraził zadowolenie, które było dla nas niezrozumiałe.

- Piękna panienka, Robercie! - zawołał. - No, dobrze, dobrze! To mi się podoba. Nie mógłbym marzyć o czymś lepszym. Winszuję waćpanu, chevalier (franc. - kawaler, rycerz) - zwrócił się do O'Donnella. - W ciągu mego

długiego żywota nie widziałem tak pięknej panny jak córka waszmości.

O'Donnell tyle zrozumiał co i ja z jego żartów.

- Wolałbym, żeby jej tu nie było - burknął z zalem. - Don Ascanio zdał na mnie dalszy bieg wypadków. Co teraz będzie? Czy waćpan musisz?... - tu wskazał wymownie na okręt u naszych stóp. - ...Zdaje się, że... ja... ja znajduję się... Wstrętne położenie... Kilkaset ludzi... i księża, i zakonnice, Murrayu... Tak, to ciężki grzech i nigdy zań nie otrzymam rozgrzeszenia, cokolwiek by się przydarzyło.

- Waćpan niepotrzebnie się frasujesz - odezwał się Murray tonem uspokajającym. - Przeinaczyliśmy nasze plany, ażeby zaś je wykonać, musimy wobec pańskiej córki odegrać komedię, w czym i waszmość musisz wziąć udział; będzie to nawet udane porwanie.

A teraz powiedz mi, gdzie znajdują się skarby?

- W lazarecie.

- Panie Saunders! - zawołał mój dziadek.

Podsternik, roztrąciwszy otaczających, wysunął się na czoło korsarzy stojących na głównym pokładzie.

- Weź pięćdziesięciu ludzi i wydostańcie cały zapas złota, jaki znajduje się w lazarecie zdobytego okrętu.

- Według rozkazu, panie kapitanie - odrzekł Saunders, a korsarze jęli się ubiegać z zapalczywością o przyjęcie ich do tej roboty.

Dziadek skończył czyścić szpadę, podszedł do poręczy borku i cisnął w morze skrwawioną chustkę.

- Hej, panie Marcinie! - zawołał na sztormana stojącego na rufie "Króla Jakuba".

- Słucham, słucham, łaskawy panie - odpowiedział Marcin. - Bodaj... ale mieliśmy dziś ładną robotę.

- Podzielam twoje uczucia, Marcinie - odparł mój dziadek. - Bądź tak dobry, spuść nam linę z rei masztu przedniego, aby wciągnąć na pokład cały ten skarb, który Saunders właśnie wydobywa ze schowka. Skrzyknij no też kilkudziesięciu ludzi, żeby na poczekaniu naprawili co najcięższe uszkodzenia. Chciałbym, żeby okręt nasz był zdatny do dalszej żeglugi, skoro tylko przeładujemy zdobycz.

- Według rozkazu, panie kapitanie, ja sam osobiście będę czuwał nad tym wszystkim - zapewniał go Marcin. - A bodaj...

- Cięty chłop z tego Marcina! - zauważył mój dziadek przechodząc z powrotem przez pokład. - Ale my tu musimy odegrać małą komedię. Waćpan, chevalier, odegrasz rolę "Strapionego rodzica". Ja będę "Starym rozpustnikiem". Piotr będzie "Niemą osobą"... nie dąsaj się, Piotrze. Robert... hm!... Nie wiem doprawdy, jak określić twoją rolę, Robercie. Czy chcesz być, dajmy na to, "Młokosem"? Ach, tak! "Młokosem", wiecznie żywym, samolubnym, popędlivym, zachłannym, kłamliwym...

Pułkownik O'Donnell spoglądał nań jak na kogoś, co postradał zdrowe zmysły.

- Cóż to za błazeństwa? - przerwał.

- Zobaczysz waćpan - odpowiedział Murray. - Jest to sposób uprowadzenia stąd waszmości bez wzniesienia podejrzeń don Ascania i jego ludzi, jakobyś brał osobisty udział w tym ciekawym epizodzie. Ale wyliczajmy dalej role. Córka waćpana, ma się rozumieć, będzie "Niewinną ofiarą".

To mówiąc opuścił nas i drobnym kroczkiem, zgoła niepodobnym do zwykłego

mu kociego chodu, podszedł do czarno odzianej gromady otaczającej pannę O'Donnell.

- A niechże mię, co za smaczny kąsek! - ozwał się z przesadną czułością.

- Istne cuda! Chodź no tu, panienko!

Jakowys opasły mnich krzyknął nań coś groźnie po hiszpańsku, a dwie mniszki objęły ramionami młodą Irlandkę. Murray odpowiedział mnichowi jego własnym językiem, i to tak zjadliwie, iż cała gromada nie na żarty przejęta była zgrozą. Lecz dziewczeczka odcięła mu się tak dzielnie, że mnie aż krew żywiej zatętniła w żyłach.

- Wstyd i hańba ci, starcze, który mógłbyś być ojcem moim i innych tu obecnych! Wiem, ktoś ty zacz, kapitanie Rip-Rap, a jeśli przypuszczasz, że się ciebie złękne, spotka cię przykre rozczarowanie. O, lepiej byłoby ci paść na kolana i modlić się o zmiłowanie za popełnione łotrystwa niż obmyślać nowe niegodziwości i świętobliwym ludziom grozić straszliwymi męczarniami.

- Cha! cha! cha! więc waćpanna mnie poznajesz? - zaśmiał się mój dziadek.

- Wielki to dla mnie zaszczyt, mościa panno. Ale boję się, że aśćka nasłuchiłaś się wielu oszczerstw tyczących się mej osoby, przeto winienem cię zmusić do zwiedzenia mego okrętu i poznania odwrotnej strony medalu. Nie wątpię, że pierwsza będziesz rada zaprzeczyć nędznym potwarzom rzucanym na człowieka podeszłego w leciech.

- Wystąp waszmość, panie pułkowniku, i broń swej córy! - mruknąłem półgłosem do jej ojca.

Pułkownik rad był się usunąć, ale postąpił według mej rady, nadając sobie pozory szczerości.

- Hola, mości panie! - krzyknął. - Na cóż to sobie waszmość pozwalasz? Chyba i pańskie bezprawia muszą mieć jakieś granicę! Ta dziewczeczka jest moją córką.

Dziadek uciekł się do zwykłego obrzędu zażywania tabaki, z umyślną w gestach przesadą, która każdemu, kto go znał, musiała wydać się pocieszną.

- Nieszczęsny! - wycedził z udaną tkliwością. - Bardzo mi żal waszmości!

I zwrócił się do mnie:

- Odprowadź panienkę na pokład "Jakuba".

Spojrzenie panny O'Donnell po raz pierwszy spoczęło na mym obliczu.

- Pan Ormerod! - wyszeptła.

Przyskoczyłem do niej przybierając jak najrubaszniejszy sposób obejścia.

- Najlepiej niech panienka pójdzie po dobremu! - rzekłem jej w ucho.

Ona wyciągnęła ręce przed siebie, by mnie odepchnąć, gruby mnich zaś wraz z dwiema mniszkami rzucili się na mnie; napaść była istotnie niebezpieczna i gdyby nie Piotr, byłoby ze mną krucho. Olbrzymi Holender wkroczył z głupią miną w sam środek zamieszania, usunął O'Donnella na bok i odtrącił mnicha i dwie mniszki.

- Biesz małą ciefczynę, Bob - pisnął.

Ona opierała się całą siłą swego zgrabnego ciała, lecz ja ścisnąłem jej ręce i usiłowałem wziąć na plecy, gdy nagle zaatakował mnie jej ojciec wraz z kapitanem hiszpańskim, którego rozwścieczył widok świeżej zniewagi.

Murray dobył szpady i powstrzymał Hiszpana, Piotr zaś zarzucił sobie na plecy O'Donnella z taką łatwością, z jaką mnie udało się wziąć dziewczynę.

- Fsiąłem go, ja - oznajmił Murrayowi.

Dziadek włożył szpadę do pochwy.

- Nieś go dalej - odezwał się. - Ponieważ tak się trapi losem swej córki, więc pozwolimy mu nad nią czuwać. Potem, kto wie, może on się nam przydać i na co innego! A niechże go, co za uparty chwata!

Opasły mnich stanął na pokładzie, wymachiwał krucyfiksem i miotał pomstowania, na co mój dziadek odpowiadał podniesieniem brwi, a od czasu do czasu jakimś ciętym dowcipem. Ale ja miałem ręce zajęte podtrzymywaniem branki, więc nie zwracałem uwagi na to, co działo się na rufie, skoro już dotarłem do drabiny wiodącej na główny pokład.

Po pokładzie długim korowodem snuli się z wolna korsarze uginając się pod ciężarem dźwiganych beczulek i skrzyń żelazem okutych, okręconych drutem i zamczystych, z których każda była opatrzona ołowianymi pieczęciami z wyciśniętym na nich herbem króla hiszpańskiego. Spoglądali dwuznacznie na mą szamoczącą się brankę i otwierali szeroko gęby na pocieszny widok, jaki przedstawiała przydługa postać pułkownika O'Donnella zwieszającego się z pleców Piotra. Ale wszyscy czym prędzej odwrócili oczy w inną stronę, skoro ze schodów zstąpił ku nam mój dziadek.

- Czy dasz sobie sam z nią radę? - zapytał mnie krótko.

Byłem mocno podrażniony fałszywą sytuacją, w jakiej się znalazłem, więc wywarłem na nim cały swój zły humor.

- Doprowadzę ją albo utonę razem z nią! - warknąłem.

Dziadek uśmiechnął się.

- Tęgi masz w sobie animusz, chłopcze! Wolniej, wolniej, mościa panno - albowiem udało jej się wyswobodzić rękę i zaczęła mi się dobieierać do uszu.

- Niepotrzebnie się dąsas. To była tylko zabawka. Popatrz tylko, jak się zachowuje twój ojciec.

- Tym większa hańba dla niego! - syknęła. - Że też on pozwolił wam pojmać mnie żywcem!

- Jesteśmy przyjaciółmi - dowodził mój krewniak zniżając głos. - To, co czynimy, jest tylko fortelem...

- Przyjaciółmi? - i szcęknęła ząbkami, usiłując ugryźć mnie w ucho. - Och, wy jesteście przyjaciółmi sił nieczystych!

- Bądź jeszcze przez chwilę cierpliwa, Moiro! - orędownał jej ojciec spoczywający na barach Piotra. - Ja ci wszystko wyjaśnię...

Ona stała się naraz całkiem bezwładna i wybuchła spazmatycznym szlochem.

- Ach, padre, padre, pomyśleć, że okazałeś się tchórzem! To najgorsze ze wszystkiego.

O'Donnell zaklął bezradnie.

- Pozwólcie mi zejść, bym ją uspokoił - jął błagać.

Ale Murray skarcił go.

- Oni tam patrzą na waćpana z rufy, chevalier. Borykaj się, o ile tylko potrafisz, Piotrowi to nie zaszkodzi; ale jeżeli zależy ci na tym, byś mógł w przyszłości żyć spokojnie w Hiszpanii, nie wzbudzaj podejrzeń, jakobyś bratał się z nami.

Szybko jak kula armatnia wbiegłem na parapet bąkbortu, jednym ramieniem trzymając pannę O'Donnell, a drugim uczepiwszy się pętlicy zwisającej liny, a kiedy zabierałem się już do skoku, by przesadzić szczelinę oddzielającą oba okręty, Moira wyrwała się z mego objęcia i o mało co nie wpadła poza burłę, gdzie zapewne zostałaby zmiażdżona na śmierć, gdyż dwa kadłuby okrętowe zderzały się ustawicznie ze sobą. W samą porę zdążyłem jeszcze ją pochwycić, wypuszczając z rąk trzymaną pętlę, i omal nie spadłem w dół

wraz z mą branką, bom chwiał się to w jedną, to w drugą stronę jak piórko miotane wiatrem. Ostatecznie, pomimo jej szamotania i utraty równowagi przeze mnie, zacisnąłem zęby i dałem niezgrabnego susa na chybił trafił przed siebie, no i trzeba przyznać, dostałem się na parapet "Jakuba" raczej dzięki przypadkowi niż zręczności.

Gdym zsunął się na pokład, byłem w nie najlepszym humorze. Doprawdy, mogło dojść do tego, że byłbym uderzył tę łzami zalaną twarzyczkę, która przytuliła się do mego ramienia; pod wrażeniem nagłego zniechęcenia odrzuciłem ją od siebie.

- Źle odwdzięczasz się, mościa panienko, temu, który czynił wszelkie zabiegi, by ocalić dobre imię twego ojca - jałem zrzedzić tonem tak gburowatym, jakbym był jednym z piratów. - Omal nie stałaś się przyczyną mej śmierci.

Spojrzała na mnie, zanadto zdumiona, by mogła zdobyć się na natychmiastową odpowiedź; zanim przyszła do siebie, przystąpili do nas dziadek wraz z Piotrem. Piotr dźwigał jeszcze spokojnie pułkownika O'Donnella, niby worek z mąką. Murray z zadowoleniem rozejrzał się po swym okręcie.

- Wyszliśmy honorowo z tej przygody! - zauważył.

Z rufy odezwało się wołanie Marcina:

- Za pozwoleniem, mości kapitanie, wszystko w porządku, z wyjątkiem paru zerwanych lin, które marynarze właśnie wiążą, i dziury w wielkim żaglu tylnego masztu.

- To dobrze - odparł mój dziadek. - A jakie straty w ludziach?

- Rzuciliśmy dwunastu w morze, a dwóch pójdzie jeszcze za nimi...

- Bardzo dobrze, Marcinie. Ja będę w kajucie. Zameldujesz mi, gdy już wszystkie skarby zdobyczne znajdą się na naszym okręcie.

Po czym zwrócił się do nas:

- Komedia się kończy; już będzie można spuścić zasłonę. Panno O'Donnell, czy aścka pozwolisz służyć ci mym ramieniem? Szklanka wina i kęs strawy będą ci lepiej smakowały niż ucho Roberta, które chciałaś odgryźć mu z głodu. Fe, fe, moja panienko!

Ona wlepiła węń ze zgrozą oczy, w każdym razie jednak pozwoliła, by ujął ją pod ramię. Przybita ogromem wrażeń, nie mogła z siebie wydać ni tchnienia. Widząc katuszę głuchej trwogi, odzwierciedlonej w jej pięknych oczach, poniechałem gniewu. Biedne dziewczątko było podobne do motyla nabitego na szpilkę.

Podobnego wrażenia doznawać musiał mój krewniak, bo zaczął z iście ojcowską tkliwością gładzić bezwładną rączkę spoczywającą na jego ramieniu.

- Chodź no, chodź, waćpanna, czy nie powiedziałem, że komedia się skończyła? - strofował ją łagodnie. - Ja, co prawda, grałem "Starego rozpustnika", ale obecnie rzucam tę rolę. Panienska jest tu bezpieczna jak w swym klasztorze hiszpańskim. Ale pokład nazbyt wystawiony na widok publiczny, by można się tu było bawić w wynurzenia. Udamy się w zacisze kajuty, a tam, żeby cię uspokoić, opowiem ci całą historię, której prawdziwość może zaświadczyć twój rodzony ojczulek.

Ona potrzęsnęła głową.

- Nie... nie rozumiem, co waćpan masz na myśli.

- Z pewnością - przyznał słuszność mój dziadek. - Ale niebawem waćpanna dowiesz się o wszystkim.

Piotr, idąc za nami, chrząknął, by zwrócić uwagę Murraya.

- Czy pułkownik ma chociaż, czy jeścić?

- A niechże mię! - zawołał dziadek. - Zapomniałem na śmierć o tym, co się dzieje z ojcem waćpanny.

- Zdaje mi się, że nie ma ostatni! - sarknął Irlandczyk.

- Czy waćpan nie odegrał roli "Strapionego rodzica", który wszystko poświęcił dla uratowania swej córki? Mój drogi chevalier, czy mogłeś wybrać rolę bardziej bohaterską?

- Zaniechaj waćpan swych błazeństw - obruszył się O'Donnell. - Nie chcę, by ze mnie szydzono, mości panie!

- Słusznie waszmość powiadasz! - zawołał mój dziadek. - Nikt z ciebie szydzić nie będzie, chevalier. Mój drogi Piotrze, bądź tak dobry, wejdź ze trzy kroki w głąb korytarza i tam z należyтым szacunkiem postaw pułkownika O'Donnella na dwóch nogach, które natura dała każdemu z nas do chodzenia. Tak! Doskonale! Proszę pozwolić, łaskawa panienko!

Za nimi trojgiem weszliśmy też i my obaj z Piotrem w ciemny przesmyk korytarza.

- Przebyliśmy jeden szkopuł, Piotrze - szepnąłem. - Ale co teraz będzie?

- Kłopot - wymamlał Piotr.

- Kłopot?

- Ja. Dostać skarb to, moim zdaniem, szecz łatwa, Robercie. Ale pocielić skarb - z tym będzie kłopot. A ponadto mamy teraz kobietę na okręcie... a z tym będzie jeszcze większy kłopot.

Ben Gunn i dwaj czarni lokajczycy wskazali nam miejsca za stołem. Panna O'Donnell padła na krzesło bezsilna, prawie z rozpaczą. Na to, co ją otaczało, nie zwracała najmniejszej uwagi. Wydawało się, jakby się pogodziła z każdym złym losem, jaki ją czekał. Nie rzuciła okiem nawet na swego ojca, który siedział naprzeciw niej, po lewej ręce Murraya. Piotr zajął, jak zwykle, miejsce na szarym końcu, a ja siadłem obok panny.

- Racz waćpanna przyjąć ode mnie szklanekę tej aqua vitae - przemówił mój dziadek. - Pomaga na osłabienie i ból głowy. Proszę spojrzeć, ja sam tego skosztuję. To robi doskonale. Waszmość też pozwolisz, chevalier? Wybornie! Bądź łaskaw przysunąć flaszkę panu Corlaerowi. Panowie powinni poznać się wzajemnie po tak bliskim zetknięciu przed chwilą. Tam zaś siedzi pan Ormerod... mój, jak by to powiedzieć, wnuk cioteczny. Ale zdaje mi się, że waćpan i córka waćpana zawarliście z nim już dawniej znajomość.

O'Donnell burknął coś niezbyt grzecznie pod nosem, natomiast panna otrząsnęła się z odrętwienia, a oczy jej znów wpatrzyły się we mnie badawczo, przejęte na poły strachem i zdumieniem, które przemogły jej nadąsanie:

- Skąd pan tu się wziął? - zagadnęła. - Pan... pan... jest również korsarzem?

- Jestem jeńcem, tak jak i waćpanna - odpowiedziałem. - Ba, nawet w większym stopniu.

- Jeńcem! - zawołała ożywiając się znowu. - Ale zapewne waćpan...

Tu przerwał jej mój dziadek.

- Racz wybaczyć, panno O'Donnell! Nasz historia jest dość zawiła. Nie czyńże jej jeszcze bardziej niezrozumiałą przez wtrącanie, już na samym początku, różnych okoliczności ubocznych... Gunn!

- Słucham, jaśnie panie! - ozwał się głos kuchty, a w chwilę później on

sam wpadł skrobiąc się w głowę.

- Dawaj no tu jadło, jakie przygotowałeś, ale co żywo! Przynies też wina... portugalskie, burgundzkie, bordeaux, maderę.

- Słucham, jaśnie panie.

To rzekłszy Ben Gunn obrócił się na pięcie i wpadł w korytarz, a Murray podjął znów rozmowę z Irlandką.

- Po pierwsze, żeby nie było jakiego nieporozumienia, mościa panienko, prawda to, że jestem ten, którego powszechnie zwa kapitanem Rip-Rapem.

Ona. rzuciła się wstecz, przejęta ponownym lękiem.

- Powiedziałem już waćpannie, że nie masz powodu, by się mnie lękać - mówił dalej łagodnie - ażeby zaś ci tego dowieść, dołożę jeszcze, że jestem banitą... którego przezwano korsarzem, choć sam brzydę się tą nazwą będąc jakobitą. Sądzę też, że mogę poczytać ojca panienki za swego druha.

Tu spojrział pytająco na O'Donnella. Irlandczyk wysączył zawartość swej szklanki.

- Prawdą jest, co tu rzezono - potwierdził. - Ten pan, Moiro, jest Andrzejem Murrayem, który w roku 1715 musiał uchodzić z kraju, a następnie miewał różne przejścia w prowincji nowojorskiej z powodu porozumiewania się z naszymi stronnikami i Francuzami. Był on wiernym i dzielnym sługą króla Jakuba.

- Ale z jakiejże to przyczyny chcesz waszmość na zgubę narazić całą nieszczęsną załogę "Najświętszej Trójcy"? - krzyknęła dziewczyna. - Wasi ludzie chcą zabrać skarb należący do Hiszpanii, choć Hiszpania zawsze była bezpieczną przystanią dla tułaczy, którym hanowerczycy nie pozwalają służyć prawowitemu królowi i przebywać w Anglii!

- Smuci mnie to, że Hiszpanie muszą umierać, mościa panienko - odpowiedział dziadek ścisząc głos, przez co nadał mu jakby odcień wzruszenia. - Ale przypomnę waćpannie, że Hiszpania nie poparła świętej sprawy tak, jak należało, gdy była dobra sposobność do wyniesienia na tron dynastii Stuartów.

- Święta to prawda - przyznała dziewczyna, przejęta do żywego.

- Dlatego też - ciągnął mój dziadek - niektórzy z naszych postanowili zabrać część skarbu hiszpańskich i przeznaczyć ją na cele przywrócenia korony królowi Jakubowi.

- Ja wszelako sądzą, iż to dzieło niezbyt uczciwe! - rzekła ona powątpiewająco.

- Masz jeszcze zielono w głowie - zgromił ją ojciec wypróżniając drugą szklankę. - Nie do ciebie należy rozsądzać, co jest uczciwe, a co nieuczciwe w polityce, o której nie masz najmniejszego pojęcia.

- Istotnie - wtrącił mój dziadek - zagadnienia, co jest uczciwe, a co nieuczciwe w polityce, nie zdołano należycie wyświecić jeszcze od czasów Arystotelesa.

- Wszelako nawet politycy nie nazwą uczciwością, gdy się zabiera złoto jednemu człowiekowi na korzyść drugiego - wmieszałem się do rozmowy.

Panna O'Donnell spojrziała na mnie bokiem.

- Mówimy o królach, a nie o zwykłych ludziach - upomniał mnie mój dziadek.

- Niestety, przyłączę się do zdania pana Ormeroda - szepnęła Irlandka.

- Bajdurzysz, Moiro - zachnął się jej ojciec. - Czyż nie lepiej, że ten skarb będzie zużyty na oddanie Anglii i krajów należących do korony

angielskiej pod władzę prawowitych zwierzchników - którzy przyczynią się do wskrzeszenia prawdziwej wiary - niż gdyby miał być przelany w kieszenie królewskich kochanic w Madrycie? Jesteś dzieckiem, więc nie wypada ci wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w świecie; wszelako zdrowy rozsądek, nabożność i przywiązanie do króla winny przekonać cię do naszej sprawy. Ba, moja panienko, możni panowie, wśród nich nawet jeden z książąt kościoła, pochwalili i uznali nasz postępek.

Moira O'Donnell zwiesiła głowę.

- Jestem tylko niedoświadczoną gąską, jak powiadasz, mój ojciec, i wiem tylko tyle, ile nauczyły mnie siostry w klasztorze, ale głos wewnętrzny przemawia do mnie głębiej niż nauka, wszczepione zasady lub uległość władzy.

Pułkownik O'Donnell trzasnął pięścią w stół, wypił bowiem właśnie trzecią szklanekę.

- I to ma być dziecię plemina, które przywłaszczyciel i tyran pozbawił wysokich dostojenstw w kraju, dziecię tych, którzy Bóg wie gdzie postradali swe głowy, i tych, którzy uchodząc śmierci tułają się w nędzy i opuszczeniu! Dziewczyno, sama nie wiesz, co mówisz! Naród hiszpański będzie nam wdzięczny za to, żeśmy w ten sposób użyli ich skarbów... a zresztą później oddamy je im z powrotem - dodał, natchniony szczęśliwą myślą.

- A jakże! Tak zrobimy! - potwierdził dziadek. - Cóż znaczy półtora miliona funtów dla królestwa Hiszpanii? Albo i dla Anglii, która dojdzie do wspaniałego rozkwitu pod mądrymi rządami Stuartów?

- Zawsze pozostanie różnica między uczciwością a nieuczciwością! - krzyknął w uniesieniu. - Co się tyczy dobrobytu, to Anglia nigdy jeszcze nie była bogatsza niż teraz, co powie waszmości każdy, kto dorabia się uczciwie swego mienia. Król Jerzy może sobie być Holendrem, mówić cudzoziemskim akcentem i spędzać więcej czasu w Hanowerze niż w Londynie, ale nie uciemieża kupiectwa, to zaś przynosi dostatek wszystkim, którzy pracują.

Pułkownik O'Donnell wybałuszył na mnie gały swych oczu.

- Zdaje mi się, że obaj będziemy się musieli liczyć z niesnaskami w naszych rodzinach - napomknął oschłym głosem.

- Nie trapź się tym, dobrodzieju - odparł mój dziadek. - Et! chevalier, to młodzi... jeszcze nabędą doświadczenia. Czy pozwolisz im, aby się o to poczubili pomiędzy sobą! He? Wówczas dopiero nawrócą się na właściwą drogę.

- Nie pozwolę, by ktoś mnie nazywał przeniewierczynią! - zawołała Moira.

- Całą duszą stoję po stronie Stuartów, ale nie chciałabym, żeby mieli uciekać się do środków nieuczciwych celem odzyskania swej własności.

- Hm... - odezwał się mój dziadek. - Ażeby odzyskali to, co swoje, muszą mieć dużo pieniędzy. Jeżeli powiesz nam, moja panno, skąd jeszcze możemy ich dostać, to każę natychmiast przenieść skarby z powrotem na "Najświętszą Trójcę".

Moira zamilkła.

Łagodny sposób, w jaki przemawiał mój dziadek, naprowadził delikatnie na domysły, jak wielką wagę przywiązywał on do jej aprobaty.

- Nie chcę obarczać tak młodego i czarującego dziewczęcia, jak ty, moja droga, brzemieniem materialistycznej filozofii naszego wieku - mówił dalej - ale może waćpanna mi wybaczysz, jeżeli wskażę ci na tę nieszczęsną okoliczność, że ideał rzadko daje się osiągnąć? Innymi słowy, łaskawa

panienko, ażeby pozyskać największe dobro dla większej ilości ludzi, trzeba niekiedy ściągnąć nieszczęścia, cierpienia, ba, nawet śmierć, na mniejszą gromadkę ludzką. Co się tyczy obecnego wypadku, to aby zdobyć środki na przywrócenie władzy królowi Jakubowi i na ugruntowanie na Wyspach Brytyjskich tego, co ojciec waćpanny tak trafnie określa jako prawdziwą wiarę, taki banita jak ja, wespół z innymi o jeszcze mętniejszej przeszłości i sławie, musiał narazić na śmierć paru Hiszpanów, którzy sami przez się nie wyrządzili najmniejszej krzywdy ani nam, ani sprawie, której służymy. Mniemam, że moje dowodzenie jest całkiem jasne?

- Prawdę powiedziawszy, miłościwy panie - odrzekła mu na to prostodusznie - zdaje mi się, że waćpan sobie ze mnie żarty stroisz.

Dziadek zażył tabaki.

- Nigdy nie mówiłem poważniej.

O'Donnell wychylił czwartą szklanekę mrużąc coś niecierpliwie, bodajże klnąc pod nosem.

- Tracisz niepotrzebnie czas, panie Murray. Moira jest dobrą dziewczeczką i moją córką, ale co ona myśli o tym przedsięwzięciu...

- ...jest dla mnie rzeczą wielkiej wagi - obruszył się mój dziadek. -

Mimo woli na początek znajomości dałem jej złe wyobrażenie o moim charakterze, przeto bardzo pragnę zasłużyć na lepsze o sobie mniemanie:

- Waćpan weź się wpierw do swego siostrzeńca czy wnuka - dogryzł mu Irlandczyk.

- Właśnie po to staram się zrehabilitować w jej oczach, ażeby i on lepiej o mnie sądził - wyznał niefrasobliwie mój dziwny krewniak, a nieznacznym uśmiechem rozpromienił mu oblicze.

- Mniemam, łaskawy panie - odpaliła mu dziewczyna - że jest to najrozsądniejsze z tego, co waszmość powiedziałaś, gdyż ten młody pan wydaje mi się jedynym wśród was człowiekiem, który lubi szczerą prawdę.. o tym dużym panu nie mogę nic powiedzieć, jako że jeszcze nie raczył ust otworzyć.

Murray zaśmiał się i rzekł:

- Przywłaszczę sobie nieco zaufania, jakim waćpanna tak hojnie darzysz mego wnuka. Co się tyczy "dużego pana", to jest on już z natury taki milczący. Nieprawdaż, Piotrze?

- Ja - rzekł Piotr.

- Ale czemuż on... - tu zarumieniła się nieco - dlaczego pan Ormerod jest jeńcem? Czemu powiada, że jestem branką, jeżeli?...

- Waćpanna nie jesteś branką - odparł dziadek - tak przynajmniej mówię pod wrażeniem, że jako córka swego rodzica i gorliwa jakobitka nie zechcesz, choćbyś miała nie wiem jakie osobiste uczucia, wtrącać się do naszych planów.

Zatrzymał się, ona zaś po chwili skinęła głową.

- Z drugiej zaś strony - mówił dalej dziadek - tak mój wnuk, jak i ten "duży pan" nie są naszymi stronnikami politycznymi... przynajmniej do tej pory.

- Ani też nimi nigdy nie będą - dodałem.

- Nierad bym z tobą wszczynać spór, Robercie - odpowiedział dziadek. - Niemniej jednak, by oddać ci sprawiedliwość, pójdę jeszcze dalej i wyjaśnię panie O'Donnell, że kierując się względami, które mi się wydały wystarczającymi, porwałem cię przemocą na mój okręt, Piotr zaś towarzyszy

ci z własnej woli.

- Doprawdy, przychodzi mi na myśl, czyście wy wszyscy nie poszaleli - rzekła Moira bez ogródek.

- Pewnie, że pani miałabyś prawo tak powiedzieć! - zawołałem. - Rzecz się miała, jak następuje: imć pan Murray oprócz swojej własnej drużyny okrętowej ma jeszcze drugą szajkę korsarzy, którzy zaczęli trochę mu warcholić i swawolić. Zapragnął więc, bym był jego prawą ręką i pomagał mu utrzymywać ich w karchach...

- Dzielnieś ich waćpan utrzymywał na pokładzie "Najświętszej Trójcy"! - rzekła mi ona na to. - Dalibóg, jestem tu uwikłana w sieci kłamstw!

- Moiro! - chrząknął jej ojciec oblewając sobie rękaw, podczas gdy dopijał piątej szklanki. - Mówisz jak... jak... - tu wpadał w coraz ordynarniejszą gwarę - jak miotła albo też nie wiem co! Ja tego... ja tego... nie ścierpię, powtarzam!

- Myślałem tylko, by panią ratować! - wyjaśniłem.

- I jestem uratowana! - podchwyciła zjadliwie.

- Tak, jesteście uratowani: waćpanna i ojciec waćpanny - rzekł Murray poważnie. - Pułkownik O'Donnell siebie i wszystko, co posiada, naraził na szwank dla naszej sprawy. Ażeby go zabezpieczyć, należało przede wszystkim się postarać, by nigdy się nie rozgłosiło, że on brał udział w naszym przedsięwzięciu. Do tego celu można było wybrać dwojaką drogę. Jedną było zatopienie "Najświętszej Trójcy" z całą jej załogą, oprócz tylko was jednych...

Ona krzyknęła w przerażeniu i zasłoniła sobie dłońmi oczy, jak gdyby chciała pozbyć się wyobrażenia wywołanego tymi słowy.

- ...drugą drogą wyjścia było usunąć waćpannę i jej ojca w taki sposób, aby utwierdzić pozostałych w przekonaniu o waszej niewinności. Powiem otwarcie, że pierwsza droga była łatwiejsza. Jednakowoż przeważał głos ludzkości.

- A co waćpan powiesz o tej ludzkości, która zboczyła krwią pokład "Najświętszej Trójcy"? - odpowiedziała Moira. - I to wy stawiacie Hiszpanów za przykład przewrotności i okrucieństwa! Nie wierzę ani słowu z tego, co powiadacie. Nie będę wierzyła nikomu z tych, którzy tu przebywają. Wszyscyście skalani jednakowym występkiem!

- Panno Najświętsza, miej mię w swej opiece! - jęknął O'Donnell. - Słyszałeś kto kiedy, by coś podobnego mówiła córka o swym rodzonym ojcu? Cieszę się, że matka, która cię urodziła...

Piotr pochylił nad stołem swój olbrzymi kadłub.

- Nie gadajże już waćpan więcej - nakazywał Irlandczykowi. - Neen, ja teraz mówię! Panienczko, Bob i ja nie poszliśmy z własnej ochoty za Murrayem. On nas zmusił. Ja. On ma nas pod swą włacą. On ma włacę nad tfoim ojcem. Ale skoro jesteśmy u niego, zrobimy, co w naszej mocy, aszeby czuwać nad tobą. Niedopsze to, gdy ciefczątko pszebywa na okrętach korsarskich. Neen! - wyprostował się na krześle. - To fszystko.

Jej błękitne oczy spoczęły z powagą na szerokiej, gładkiej twarzy Holendra, na której tu i owdzie ledwo zaznaczały się jakieś rysy.

- Waćpanu wierzę - przemówiła.

- A niechże mię! - zadrwił Murray. - Nasz Piotr stał się naraz rycerzem i obrońcą płci pięknej... preux chevalier (franc. - waleczny rycerz).

Piotrze, zaniedbałeś swe talenta. Winniśmy na nich lepiej się poznać.

- Ja - rzekł Piotr bezmyślnie.

Panna O'Donnell podniosła się z krzesła.

- Wasza miłość - odezwała się do mego dziadka - raczysz mi wybaczyć, że nie pragnę już dłużej rozmawiać. Wasze sprawy wcale mnie nie obchodzą. Jestem głęboko wstrząśnięta. Serce mam po brzegi wypełnione czarną boleścią i... i... - tu poczęła się nieco ślaniać - chciałabym się położyć do łóżka... i wypłakać się...

Zerwałem się z miejsca, by ją podtrzymać. Jej ojciec, siedząc naprzeciwko, spoglądał na nas głupkowato przez łzy.

- Kochane dziewczątko! - wybełkotał głosem przerywanym przez łkanie. - Ona jedynie mi pozostała, gdy oddałem się przegranej sprawie. A bodajby tych hanowerczyków...

- Zaprowadź ją do swojego pokoju, Robercie - rzekł dziadek. - Ty musisz zamieszkać razem z Piotrem.

I powstał również, kłaniając się z wytwornym wdziękiem, który nadawał mu cechę szlachetności.

- Czym tylko potrafimy ci usłużyć, cna panienko, to wypełnimy z ochotą. Tymczasem udaj się na spoczynek i zapomnij o upiornych zjawach, od których uchroniłbym cię, gdybym tylko wiedział, w jaki sposób tego dokonać.

Doprowadziłem ją do samej sypialni. Ona podziękowała mi cichym głosem, gdy otwierałem przed nią drzwi, a ja pośpieszyłem zapewnić ją o przyjaznych względem niej zamiarach.

- To, co starałem się opowiedzieć pani, było najzupełniejszą prawdą - mówiłem półgłosem, wyrzucając słowa jednym tchem. - Tak było istotnie! Piotr Corlaer ma zupełną słuszność. My obaj nie jesteśmy korsarzami, a wszystko, cośmy uczynili, miało na celu złagodzenie waszej doli.

Ona podniosła oczy i pod czarnymi, długimi rzęsami zaśnił jakiś dziwny, cichy blask.

- Dałby Bóg, bym w waćpanu spotkała uczciwego człowieka - rzekła. - Ja... ja muszę jeszcze powstrzymać się z sądem. Cały świat przewrócił się i wiruje mi w oczach. Nawet padre...

Stłumiła łkanie.

- Pan nie weźmie mi tego za złe - zakończyła ze spokojem i godnością - że nie powiem już ani słowa, bo i tak może powiedziałam za wiele.

XIV

Skrzynia umrzyka

Gdy powróciłem do kajuty, Ben Gunn właśnie podawał jadło do stołu, a dziadek odsuwał trunek na taką odległość, gdzie już pułkownik O'Donnell nie mógł dosięgnąć ręką.

- Mamy już dosyć napitków, Beniaminie - mówił do kuchty i nie zważając na zafrasowaną twarz Irlandczyka, kazał wynieść i to, co było przed nimi, jako też i nową kolejkę butelek, którą jeden z lokajczyków niósł na tacy.

Nikt nie odzywał się, póki kuchcik i Murzynkowie nie opuścili pokoju.

Wtedy Murray pochylał się naprzód w swym krześle.

- Musimy rozpatrzyć pewną ważną sprawę, pułkowniku - oznajmił. - Proszę cię o chwilę bacznej uwagi.

O'Donnell pokiwał głową markotnie.

- Jak waćpanu wiadomo, drużyna mego sojusznika, kapitana Flinta, której część widziałeś w Nowym Jorku, nie nawykła do takiej karności, jakiej wymagam od ludzi mnie osobiście podległych. Kapitan Flint uznał za stosowne dąsać się na układ zawarty z waszymi przywódcami w sprawie podziału skarbów, więc aby go przejednać i paręczyć mu moją słowność, dałem mu Roberta Ormeroda i pana Corlaera jako zakładników. Im to było nie w smak, więc szczęśliwym trafem czmychnęli na pokład "Króla Jakuba" i ukrywali się tutaj przez kilka dni. Nie chciałem tracić czasu na odwiezienie ich Flintowi, więc przewiduję, iż przyjmie on mnie z jeszcze większą podejrzliwością niż wprzód.

- Ciągle powtarzam, iż było szaleństwem z naszej strony dopuszczać takiego nikczemnika do uczestnictwa w tym przedsięwzięciu - nachmurzył się O'Donnell.

- Nie ma potrzeby znów tego wałkować - odrzekł żywo mój dziadek. - Muszę mieć zabezpieczoną Rendez-vous, a za to trzeba zapłacić Flintowi. Ponadto, może mi on być potrzebny z innych jeszcze względów. Nasze zamierzenia nie zostały ziszczone w całej pełni. Trzeba też to mieć na uwadze, że dotychczas szedł on ze mną ręką w rękę, więc winienem mu nieco lojalności.

- Lojalność względem sprawy winna wyprzedzać wszystko inne! - oświadczył O'Donnell.

- Słusznie waszmość rzekłeś i ja tak samo twierdzę. Atoli muszę też patrzeć w przyszłość. Byłoby wbrew mej polityce zrywać z Flintem, o ile tego można uniknąć. Podobnie byłoby rzeczą sprzeczną z mym rozsądkiem wierzyć Flintowi więcej, niż się należy; w obecnym zaś przypadku nie mam wcale ochoty mu wierzyć.

- Więc cóż czynić? - zgrzytnął O'Donnell. - Zwiększyć mu zapłatę?

- Nie, nie, bynajmniej! Moim zdaniem powinniśmy ukryć część skarbów przypadającą na naszych przyjaciół, jeszcze zanim wrócimy na Rendez-vous.

- Ale gdzie je ukryć?

- Już od kilku tygodni układałem to sobie w głowie. Na południe od Porto Rico znajduje się wyspa - taki sobie splechec jałowej golizny - znieawidzona przez wszystkich marynarzy... z powodu smutnych wspomnień o rozbiciach i innych tarapatach. Nazywają ją "Skrzynią Umrzyka".

Przypomniałem sobie ponurą, przejmującą pieśń, którą po raz pierwszy usłyszałem w gospodzie "Pod Głową Wieloryba", gdy szukałem O'Donnella na prośbę jego córki. Samo brzmienie tej nazwy zapowiadało miejsce jakby stworzone do ukrywania skarbów korsarskich.

Irlandczyk skrzywił się.

- Co? To złoto, którego zdobycie kosztowało nas tyle zachodów i niebezpieczeństw, mamy wywalić na wydnię piaskową, by pierwszy przejezdny żeglarz?...

- Powiedziałem, że nikt tam nie zechce pójść, nawet gdyby potrafił tego dokonać.

- Mnie się to nie podoba - odparł O'Donnell patrząc spode łba. - Moi przyjaciele nawymyślaliby mi ostatnimi słowami, gdyby taki zasób złota wymknął się nam z rąk tym sposobem.

- Łatwiej się może wymknąć nam z rąk na pokładzie "Króla Jakuba" niż na Skrzyni Umrzyka! - odpowiedział Murray. - Namyśl się, chevalier! Nasamprzód musimy się liczyć z Flintem. Szelma będzie bezczelny w swoich

żądaniach, jak on to potrafi, zależnie od nastroju jego załogi oraz ilości wypitego rumu. Po wtóre, zawsze zachodzi możliwość, że natkniemy się na jakąś fregatę zanadto chyżą w biegu. W tym czy innym wypadku zawsze lepiej nie mieć skarbu na "Królu Jakubie". W ten sposób zyskamy czas na uciszenie wrzawy, jaką podniosą Hiszpanie, i na przygotowanie waszych przyjaciół do przyjęcia skarbu.

- Cokolwiek byś waćpan powiedział, zawsze to kiepski sposób rozwiązania sprawy - zachnął się O'Donnell. - Lepiej byłoby nam skierować się ku północnej stronie i wylądować skarb na wybrzeżu francuskim.

- Ażebym narazić się na zaczepienie przez krążowniki francuskie i angielskie? - ozwał się z przekąsem mój dziadek. - Rany Boskie! człowiecze, chyba postradałeś zmysły?! A gdy już go wylądujesz, cóż wtedy zamysłasz uczynić? Ileż to z tego skarbu okroi się dla twych przyjaciół, a ile pójdzie na omaszczenie kieszeni urzędników francuskich? Wielkim skarbem nie tak znów łatwo się rozporządzić!

- Ja - rzekł Piotr - masz rację, Murrayu. Ale na cóż to wracać do Flinta? On zafszę tylko narobi ambarasu... a jeżeli nie on, to jego lucie. Najlepiej będzie iść na inne miejsce.

Dziadek zażył tabaki, po czym jął w zadumie pobrzękiwać w wieczko tabakiery.

- Żeby tak wyznać waszmościom zupełną prawdę - odezwał się na koniec - postanowiłem wrócić do Flinta, ponieważ przewiduję, że być może, będę musiał go poświęcić celem zatarcia naszych śladów. Nie mam jeszcze w głowie określonego planu, ale sytuacja może się ukształtować w ten sposób, że kto wie, czy nie trzeba będzie dać jakowej zwierzyny do ścigania Hiszpanom, Francuzom i Anglikom. Z całej duszy wolałbym - a zapewne i wy tak samo, mości panowie - żeby tą zwierzyną był "Koł Morski", a nie "Jakub". Ponadto, zanim dojdzie do takiej sytuacji, Rendez-vous jest najbezpieczniejszą kryjówką, jaką znam po tej stronie Afryki.

O'Donnell wpatrzył się w niego z mimowolnym szacunkiem.

- Nie chciałbym ja mieć w waszmości swego prześladowcy, panie Murray! - zawołał. - Czy Flint nie jest pańskim przyjacielem?

Dziadek zamyślił się nad tym pytaniem.

- Nie bardzo przyjacielem - odpowiedział - powiedziałbym, że raczej sprzymierzeńcem. A bywa to niekiedy warchoł pierwszej wody. Nie zawahałbym się go poświęcić, ażeby zapewnić sobie stawkę, o którą gramy.

- Więc w sercu waszmość nie masz ni krzty prawdziwej rzetelności? - dociąłem mu. - Zatem waćpanu chodzi po prostu o to, by go wyzyskać dla własnych celów?

- Tak i nie. Robercie - odparł chłodno. - Gdy dojdiesz do lat starszych, przekonasz się, że żadna rzecz nie jest całkiem dobra ani też całkiem zła.

W korytarzu zadudniły kroki, wraz też w drzwiach kajuty ukazała się szpakowata głowa Marcina.

- Ostatni z... smoluchów już przybył na pokład, panie kapitanie - zaraportował. - Jaki kierunek drogi waszmość nam nakażesz?

Murray spojrział na Irlandczyka.

- Czas już coś postanowić, mości panie - odezwał się. - Do waćpana należy rozstrzygnąć, co czynić wypada.

O'Donnellowi jakby się twarz przeciągnęła.

- Skądże mam wiedzieć, co rzec powinienem, skoro nigdy przedtem nad tym

się nie zastanawiałem? - wykręcał się niepewnie. - Czy potrafię waćpanu to wytłumaczyć, że kapitan Flint może się pokusić o posiadanie całego skarbu?

- Uważałbym to za prawdopodobne - przystał mój dziadek.

- Jest rzeczą jeszcze bardziej prawdopodobną, iż on wywoła burdę, jeżeli waszmość przybędzie do zatoki rozporządziwszy się wpierw połową złota - wtrąciłem. - Przyczyni się to tylko do zaostrzenia jego podejrzeń.

- W tym, co waszmość powiadasz, jest trochę słuszności - przyznał dziadek. - Niemniej pozwól mi zaznaczyć, że jeśli nie zabezpieczymy połowy skarbu, mogę nie zdołać go uratować.

O'Donnell huknął rozwartą dłonią w wierzch stołu.

- Dość tych sporów! - wykrzyknął. - Jestem tu na twe rozkazy, Murrayu, mniejsza o moje osobiste zdanie. Czyń, co uważasz za najstosowniejsze.

Dziadek zwrócił się do sztormana:

- Odczepić się od zdobycznego okrętu, panie Marcinie, i nastawić wszystkie żagle! Jedziemy na południowy wschód ku południu. Chciałbym, żebyście nie byli widziani z brzegów Porto Rico.

- Według rozkazu, panie kapitanie!

Tu Marcin zawahał się.

- A skarb, panie kapitanie? - dodał.

- Ben Gunn da waszeci klucz od lazaretu. Złóżcie tam wszystko, jak zwykle.

- Według rozkazu, panie kapitanie!

Po jego odejściu nastąpiła chwila milczenia.

Z pokładu dobiegały nawoływania korsarzy, skrzypienie desek i łomotanie żagli. "Król Jakub" niejako się otrząsnął, odrywając się od połupanego kadłuba "Najświętszej Trójcy". Przez okno kajuty widać było bukszpryt i forkasztel hiszpańskiego okrętu, jeszcze nachylone pod ciężarem gmatwaniny żagli, strzaskanych rei i poszarpanych lin. Z wolna wyminęliśmy cały statek, a ja z zajęciem patrzyłem, jak z jego okien i zza parapetów wystawały głowy ludzkie, przyglądając się nam z beztroską ciekawością, jak gdyby po jakimś przyjaznym spotkaniu na morzu.

Bandera hiszpańska jeszcze powiewała na głównym maszcie, gdzie szamotała się przez całą bitwę. Kapitan don Ascanio z założonymi rękoma i wściekłym wyrazem twarzy stał wciąż na rufie. Gromadka duchowieństwa klęczała modląc się żarliwie. Opasły mnich w groźnej postawie podniósł krucyfiks, gdyśmy przejeżdżali koło nich.

Dziadek powstał z miejsca.

- Panowie wybaczą, ale muszę jeszcze obejrzeć niejedną rzecz na pokładzie. Jeżeli życzyte sobie jakowego posiłku, zadzwoncie dzwonkiem i wydajcie rozkazy kuchcikowi. Robercie, jeżeli ty i Piotr potraficie na tyle stłumić swe sympatie hanowerskie, to będę bardzo cenił pomoc, jakiej mi udzielicie w sprawie dotyczącej skarbu.

Ruszyliśmy obaj za nim, z jednej strony, by uniknąć pozostania sam na sam z Irlandczykiem, z drugiej zaś, by nasycić swą ciekawość co do skrzyń i pak, które widzieliśmy przelotnie podczas przeprawy przez pokład "Najświętszej Trójcy". Istotnie, scena, która nas oczekiwała, godna była widzenia. Pokład główny, tuż przed samą rufą, zatłoczony był zawartością lazaretu hiszpańskiego, zwaloną byle jak, gdyż pracujące drużyny przenosiły wszystko pośpiesznie z jednego okrętu na drugi.

Murray wydobyl rejestr i kałamarz; urządzono mi pulpit na beczce z wodą,

po czym piraci jeden za drugim jęli przechodzić przede mną, każdy ze swym ładunkiem złota lub srebra, w bitej monecie lub bryłach kruszcu.

Był to wprost niezwykły zasób kosztowności. Niepodobna wyszczególnić całych kolumn cyfr, jakie zapisywałem w rejestrze - było tam na przykład 5000 talarów albo 10 000 dublonów, 12 000 uncji castellanos, 25 000 talarów itd. - nigdzie nie zabawiano się w drobiazgi. Jedna z beczulek, któreśmy otworzyli, była zapełniona dziwaczными monetami wschodnimi, z których jedne miały kształt kwadratowy, inne podługowaty, jeszcze inne sześcienny lub okrągły, a wszystko zapisane pajęczą siatką zygzaków; był to haracz z posiadłości hiszpańskich na morzach południowych. Było tam z górą dwieście tysięcy funtów w sztabach srebrnych - każda z nich ważyła po pięćdziesiąt funtów - które zapakowano po trzy sztuki razem w jeden pokrowiec z płótna żaglowego, celem ułatwienia transportu karawanie mułów, w ten sposób, że każdy muł miał do dźwigania ładunek trzystu funtów. Był też pokaźny zapas złotego surowca, którego każda sztaba, wagi osiemdziesięciu funtów, owinięta była w oddzielny pokrowiec. Była też skrzynia drogich kamieni, których wartość można było jedynie ocenić na domysł, tudzież trzy skrzynie zastaw stołowych.

Wartość całkowita według urzędowego oszacowania na każdym z pakunków - czy to skrzyni, czy beczce - wynosiła na walutę angielską 1 563 995 funtów, nie licząc klejnotów i zastaw stołowych. Przeliczenie skarbu i przenoszenie go do winiarni Beniamina Gunna ukończyliśmy dopiero w godzinę po zapadnięciu zmroku, gdy Murray rozpuścił całą drużynę, obdarzywszy ją podwójną porcją rumu, i dał polecenie Saundersowi, sprawującemu podówczas wachtę, ażeby pozwolił swym ludziom spać na pokładzie, z wyjątkiem tych, którzy w danej chwili mieli pełnić służbę czatowników lub przy sterze.

W kajucie zastaliśmy śpiącego O'Donnella, który rozwalił się na stole, ułożywszy głowę na podgiętych ramionach; tuż koło niego rozlana była kałuża wina.

Dziadek podniósł brwi w górę i rzekł:

- Ten pan, Robercie, jest szambelanem króla Jakuba, rycerzem Malty i Santiago w Hiszpanii, pułkownikiem hiszpańskich wojsk inżynierskich oraz dziedzicem Bóg wie ilu dworów w Irlandii... o ile odzyszcze swoje prawa. A przypatrz no mu się teraz!

Przyznam, że nie wyglądał pięknie, ale zadrasnęła mnie ta złośliwość mego sławetnego krewniaka.

- A któż go do tego przywiódł? - dociałem mu.

- Nie ja, mój chłopcze! Takie żarty byłyby zgoła zbyt. No, no, ale niezbyt to szczęśliwe z mej strony, iżem go namówił, by zabierał z sobą tę dziewczynę.

- To był chyba najnikczemniejszy z uczynków waszmości!

Dziadek zażył tabaki rozważając ten zarzut. Pomimo całodziennego znoju twarz jego zachowała niewzruszony spokój.

- Pozory przemawiają przeciwko mnie - odpowiedział. - Jednak skłonny jestem przypuszczać, iż z czasem asan przyznasz mi, że czyniłem, com mógł najlepszego. Zważ, jaka czekałaby ją dola w klasztorze hiszpańskim, gdyby coś przydarzyło się jej ojcu.

- Zważ waszmość, jaka czeka ją dola na okręcie korsarskim, jeżeli mu się coś przydarzy! - odparłem z przekąsem.

Dziadek zwrócił się do Piotra:

- A niechże mię! Ten chłopak gra mi na nerwach. Znałże kto młodzika tak ślepo przekonanego o swej słuszności!

Piotr zmrużył małe ślepki.

- On ma słuszność i waćpan masz słuszność. Ale najlepiej będzie, jeżeli połączymy pułkownika do łóżka, ja.

- "Daniel zjawił się na sądzie!" - zawołał Murray. - Ale co chciałeś przez to powiedzieć, miły Piotrze?

- Waćpan wiesz, co chciałem powieścić... i ja wiem, co waćpan miałeś na myśli - odparł z powagą Holender. - Jesteś aś wielkim szubrawcem, ale tym razem mosze miałeś rację.

- Nie bądźże kpem, Piotrze - zachnąłem się.

- Asan jesteś sam kpem - nasrożył się dziadek. - Jesteście tutaj, wy obaj - ludzie najzaciejsi pod słońcem - i ja trzeci, który ma zapewne mniej pretensji do cnoty; ale jeżeli powiedzieć prawdę, jest bardzo zainteresowany w tej sprawie; wszyscy trzej całą duszą pragniemy zapewnić dziewczynie bezpieczeństwo. Czyż matka rodzona mogłaby dać lepszą opiekę?

- A Flint? - wtrąciłem. - Zapewne i on będzie się nią opiekował?

- On nawet nigdy nie będzie miał sposobności, Robercie - odpowiedział dziadek poważnie. - Wprawdzie wy obaj pogmatwaliście moje plany, ale John Flint nie zdoła mnie przemóc. Daj no mu powróż, chłopcze... a my damy mu sposobność do tego, by się obwiesił.

- Ja - rzekł Piotr. - Będziemy opiekowali się losem tej ciecfczyny... więc zaniesiemy pułkownika do łóżka.

I ponieśliśmy nieprzytomnego O'Donnella, który raz po raz bełkotał jakieś przekleństwa lub urywki piosenek jakobickich.

Na koniec, gdy udaliśmy się już do naszej sypialni, zapytałem Piotra, o czym to on napomknął w czasie rozmowy swej z Murrayem.

- O, właśnie o tym mówimy - odparł wtaczając się z ciężkim westchnieniem ulgi na swój tapczan.

- Słyszałem - podchwytyję. - Ale o czym?

W jego oczach, schowanych za trzęsącymi się płatami tłuszczu, zamigotało blade światelko.

- Właśnie o tym mowa - mruknął. - Murray mówi i ja mówię. Murray lubi mówić, ja.

Wstałem z łóżka wczesnym rankiem, lecz panna O'Donnell i mój dziadek już mnie w tym byli uprzedzili. Wyszędłszy na rufę ujrzałem ich oboje stojących koło bariery. Murray całą postawą i każdym rysem przystojnej, czerstwej twarzy okazywał niezmiernie ugrzecznienie, natomiast dziewczeczka wpatrywała się weń wzrokiem, w którym dziwnie łączyła się niechęć z szacunkiem.

Wiatr zmienił się w ciągu nocy na naszą korzyść, więc jechaliśmy swobodnie; "Jakub" zręcznie, chyżo, niby koń wyścigowy, pomykał po łagodnym nurcie. Łąd straciliśmy już dawno z oczu.

Dziadek z ojcowską poufałością poklepał mnie dłonią po ramieniu, zaś panna O'Donnell rzuciła na mnie nieśmiałe spojrzenie, w którym wyczytałem dwojakie usposobienie, podobne temu, jakie okazywała względem niego.

- Oto mój cioteczny wnuk, który uspokoi wszelkie wątpliwości kołaczące się jeszcze w twoim sercu, mości panno Moiro - oznajmił Murray. - A teraz waćpanna pozwolisz, że pójdę odbyć ranny przegląd okrętu, gdyż winniśmy utrzymać surowy rygor, jako że jedziemy pod banderą królewską i jesteśmy przeto okrętem floty królewskiej.

Ona z pewnym oczarowaniem przyglądała się odchodzącemu.

- Dalibóg, nigdy nie spotkałam nikogo jemu podobnego! - odezwała się na koniec. - Przypomina mi on tę zacnej krwi szlachtę, z jaką zapoznał mnie padre w Madrycie... I on jest korsarzem? Kiedy z nim rozmawiam, odczuwam mimo woli, że na całym świecie nie ma tak wytwornego i wspaniałego mężczyzny. Ale znowu gdy sobie przypomnę całą walkę na pokładzie "Najświętszej Trójcy" i to, co o nim mówił ojciec Sebastian... wtedy zimny dreszcz mnie oblatuje. Jednak wydaje mi się, że i waszmość, panie Ormerod, jesteś z tego samego osobliwego rodzaju ludzi... że potrafisz być szarmancki i ugrzeczniony dla młodej panienki, a jednocześnie okrutny jak dziki kot, którego pokazywali nam Indianie na wzgórzach za Porto Bello.

- Waćpanna musisz mieć o mnie takie wyobrażenie - odpowiedziałem. - Lecz prawdą jest, że tak samo jak aścka jedynie poddany igraszcze losu.

- Tak waćpan powiadasz? - zapytała łaskawie.

- Powiadam - odrzekłem dobitnie. - Pozwól mi pani, bym opowiedział ci całą historię... począwszy od nocy, kiedy waćpannę prowadził do gospody "Pod Głową Wieloryba".

- Ach, była też to noc! - zawołała Moira. - Po raz pierwszy w moim życiu odetchnęłam atmosferą przygód, a później, gdy mi się to wspomniało, myślałam, że nie potrafiłabym się nigdy nimi nasycić. Ale wczoraj zostałam uleczona z mego pragnienia...

I niebieskie oczy dziewczęcia zasły łzami, a kąciki jej ust opadły boleśnie w dół.

- Pozwól mi tylko, waćpanno, bym opowiedział rzecz całą - prosiłem - a zapewne będziesz lepiej myślała o owej nocy i o niektórych wypadkach późniejszych.

- Owszem, łaskawy panie - odrzekła - opowiadaj co żywo, a ja cała w słuch się zamienię i nie będę w niczym przerywała. Ale co się tyczy wiary... będę musiała i ja też coś niecoś powiedzieć... a waćpan posłuchać.

Zacząłem więc opowiadać wszystko po kolei, począwszy od chwili, gdy Darby Mc Graw przybiegł do kantoru na ulicy Perłowej. Jakże odległy wydawał nam się ów czas i owo miejsce teraz, gdyśmy wpatrywali się w zielonawomodre bałwany Morza Karaibskiego, ogrzane podzwrotnikowym słońcem, dochodzącym właśnie do największego skwaru godziny południowej! Ona słuchała ze wzrastającym zainteresowaniem, nie przerywając mi opowieści, co najwyżej jakimś westchnieniem: "Chwała Bogu!..." "O Święci Pańscy!.." "Najświętsza Panno, czy to możliwe!"

A gdy doszedłem do ucieczki z "Konia Morskiego", ona nie dała mi dokończyć:

- Więc waszmość gotów byłeś służyć mi swą pomocą i obroną? O, proszę mi wybaczyć niegodziwe podejrzenia, jakie żywiłam względem waćpana! Będziesz mi waćpan prawdziwym przyjacielem... Tak samo i ten duży pan. Jakże się nazywa?... Pan Corlaer? Doprawdy, jestem waszmości wielce zobowiązana i zawsze nią pozostanę. Wszakże jedyną odpłatą, na jaką zdobyć się umiem, będą tylko moje szczere dzięki i modlitwy, jakie zasyłać będę na klęczkach do Stwórcy, póki mi życia stanie.

Odtąd już pełnym zaufaniem darzyła mnie i Piotra i spędzała najwięcej czasu w naszym towarzystwie. Jej ojciec, o ile nie pił, zajęty był naradami z Murrayem. Całymi godzinami kreślili piórami po papierze, obliczając zarówno siłę klanów, koszty muszkietów, prochu i ołowiu oraz ilość dział

polowych potrzebnych do uzbrojenia okrętu, jak też osobiste potrzeby wodzów i szlachty tudzież kwoty, za pomocą których należało "podkupić" pewne osobistości. Gdy tak pracowali, dufność mego dziadka rosła coraz bardziej, a długa, końska twarz pułkownika O'Donnella nabierała żywych rumieńców, co było nie tylko wynikiem butelek madery, wypijanych po cztery za jednym posiedzeniem...

Siódmego dnia po bitwie z "Najświęszą Trójcą" spostrzeżliśmy niską, piaszczystą wysepkę, gęsto najeżoną karłowatymi drzewami i zaroślem, a pozbawioną jakichkolwiek cech, które by zachęcały do osiedlenia się na niej. Jedyną wyróżniającą odznaką był jej podługowaty, kanciasty zarys, który przy pewnym wysiłku wyobraźni można było upodobnić do kształtów kufra marynarskiego. Murray zbliżył się do niej ostrożnie, a jeden z mierników wciąż zanurzał ołowiankę - aż wreszcie zapuściliśmy kotwicę od nawietrznej strony, o milę albo i więcej od wybrzeża.

Tymczasem Marcin i gromadka może pięćdziesięciu ludzi wydobywali skarb z winiarni, czyli lazaretu; sztorman sprawdzał liczby wypisane na przygotowanej przeze mnie liście, a korsarze gderali pomiędzy sobą - w sposób, który niezbyt przypadł mi do gustu - gdy przeliczono ponownie majątek, jaki zdobyli, nie otrzymując, jak dotąd, żadnego wynagrodzenia ani uczestnictwa. Marcin był służbistym i sprężystym oficerem, więc pomimo szemrania i niezadowolenia potrafił utrzymać ich w korbach wyteżonej pracy aż do czasu, gdy zwinięto linę kotwiczną i Murray rozkazał spuścić na wodę wszystkie łodzie. W tej chwili ujrzeliśmy, że owych pięćdziesięciu ludzi rzuciło się na sztormana i zważyło go do rynsztoka, po czym ruszyli hurmem na sztymbort i jęli wdzierać się po drabinie na rufę, idąc za przewodem olbrzymiego Szkota.

Murray, który właśnie wiódł był rozmowę z O'Donnellem, skoczył na ich spotkanie z taką równowagą ducha, jak gdyby to zdarzenie wchodziło w zwykły tryb życia okrętowego.

- Cofnijcie się, wiara! - rozkazał spokojnie.

Przywódcy zatrzymali się, stropieni i niezdecydowani, strwożeni naraz czerwonym blaskiem w jego piwnych oczach i niewzruszoną mocą, jaka biła z białego oblicza.

- Chcemy tylko trochę złota!... - odezwał się chrapliwie pierwszy z idących.

Dziadek spokojnie wyjął z kieszeni mały, dwururkowy pistolet francuski, strzelił chłopcu w głowę, pochylił się nad nim i strącił zwłoki z drabiny.

- Panie Marcinie! - zawołał - bądź łaskaw nakazać, by wrzucono w morze to ścierwo. Do roboty, chłopcy, albo każę was wszystkich oćwiczyć.

Oni na łeb na szyję poczęli zbiegać z drabiny i rozproszyli się jak stado owiec; żaden nawet nie śmiał ręki podnieść na Marcina, który przybył do nich klnąc pociesznie swym łagodnym głosikiem oraz kułakując wszystkich na prawo i lewo. Dwaj z nich wyrzucili na jego rozkaz zwłoki za barierę, a potem ruszyli prosto do miejsca, gdzie spuszczone łodzie, ani słowem, ani czynem nie okazując buntowniczych zamiarów.

Gdy chwilę potem Murray obrócił się ku nam twarzą, zauważyłem pomiędzy jego brwiami głęboką ryse, świadczącą niezbicie, że nurtował go jakiś niepokój.

Moira O'Donnell, która stała koło mnie i Piotra, pierwsza zagaiła rozmowę:

- Czy waszmość musiałeś zastrzelić tego człowieka? - zapytała.

- Mieliśmy do wyboru: albo to, albo też może śmierć nas wszystkich, moja panno - odpowiedział niezwykle gniewnym tonem. - Załoga tego rodzaju, jak moja, jest to hałastra obwiesiów utrzymywanych w posłuszeństwie strachem. Niech no kiedy pryśnie zakłęcie dyscypliny, które da się osiągnąć tylko strachem, a oni dzięki swej liczebności rychło osiągną przewagę nad nami. Dzisiejsze wydarzenie na ogół nie miało większej wagi, lecz dało mi nauczkę, że winienem być stanowczo bezwzględny. Krótko mówiąc, moi drodzy - rzekł po chwili - nie mogę opuścić "Króla Jakuba", dopóki choć część skarbu znajduje się na okręcie; z drugiej zaś strony, nie byłoby dla mnie rzeczą bezpieczną powierzać komukolwiek z mej załogi umieszczenie skarbu w kryjówce.

Zażył tabaki przypatrując się w zamyśleniu wzgórkom piaskowym na Skrzyni Umrzyka.

- Zatem powziąłem plan następujący - ciągnął dalej. - Wyślę na brzeg osiemset tysięcy funtów, z czego sto tysięcy należy do mnie, a siedemset tysięcy jest przeznaczone dla twoich przyjaciół, chevalier.

Potem wysadzę na brzeg was czworo, dawszy wam dostateczną ilość żywności, i odpłynę z "Jakubem" na południe, skąd powrócę za pięć dni, by was z sobą zabrać. Przez ten czas zdołacie chyba przenieść skarb w bezpieczne miejsce i zakopać go. W ten sposób, chevalier, można będzie zapewnić sobie bezpieczeństwo skarbu, póki nie uda się nam wrócić po niego na "Jakubie" lub na jakim innym okręcie wysłanym przez waszych przyjaciół.

- Plan waszmości może jest najlepszy w dzisiejszych warunkach - odpowiedział O'Donnell - ale winienem przypomnieć panu, mości Murrayu, że z czterech osób, które wiedzieć będą o miejscu, gdzie ukryjemy złoto, dwie należą do stronnictwa hanowerczyków, a trzecią jest moja córka, Wątle jeszcze dziewczątka.

Dziadek roześmiał się.

- Nie potrzebujesz mieć żadnych obaw co do tych dwojga. Mało aś znasz pannę Moirę, jeżeli nazywasz ją wątłym dziewczątkiem; co się zaś tyczy Roberta i Piotra, obaj są uczciwymi ludźmi, a w każdym razie nie będą z pewnością narażeni na pokusę, by wydawać nasz skarb swoim sprzymierzeńcom. Nie, nie, pułkowniku, dzięki mojemu planowi będzie można skarb ukryć lepiej niż w banku.

Gadali jeszcze tak i owak, lecz koniec końców O'Donnell przyjął plan mego dziadka, a Moira dała się też przekonać argumentem, że dopóki skarb będzie ukryty, póty będzie można zapewnić obrócenie go na szlachetny użytek. Piotr i ja przystaliśmy z wielu powodów: po pierwsze, ze względu na panienkę, po wtóre, pod wpływem podniecenia płynącego z nadziei zakopywania skarbu, którego nikt z nas poprzednio nie dotknął, a wreszcie też i z tej przyczyny, że bądź co bądź byliśmy jeńcami i musieliśmy być posłuszni. Jednakowoż nie będę starał się zaprzeczać, że miły był dreszczyk, który przejął nas wieczorem tego dnia, gdy staliśmy na wąskiej wydmie wybrzeża wysepki, obok wielkiego stosu beczulek i skrzyń, siekier, kilofów i łopat, baryłki wody i pudeł z żywnością ze spiżarni Beniamina Gunna i patrzyliśmy, jak łódka, co nas tu przywiozła, wracała W Stronę "Jakuba".

Następne pięć dni wymagało znacznego nakładu pracy ręcznej, co wywołało jęki oburzenia z ust pułkownika O'Donnella, wielki wysiłek ze strony Moiry (ta nie skarżyła się ani słowem), a ze strony Piotra i mojej wyteżenie

całej siły, na jaką nas stać było. Doprawdy bez pomocy olbrzymiego Holendra nie zdołalibyśmy przenieść tak znacznego skarbu, wykopać dlań dołu i zamaskować miejsce jego ukrycia, i to w ciągu tak krótkiego czasu, jaki wyznaczył Murray.

Pierwszy wieczór upłynął nam na poszukiwaniu kryjówki w niegłębokiej dolince, zasłoniętej od strasznych burz, które nawiedzają tameczne morza. Pułkownik O'Donnell i Moira zostali odkomenderowani do kopania, ponieważ tylko Piotr i ja zdolni byliśmy unieść ciężki ładunek skrzyń i beczulek. Potem pracowaliśmy już bez przerwy, z wyjątkiem dwóch godzin w południe i krótkiej drzemki nad ranem, gdyż gwiazdziste noce, ochłodzone wiatrami morskimi, były najdogodniejszą porą do pracy. Wszakże już na widnokręgu ukazały się topzagle "Jakuba", zanim zdołaliśmy usunąć zwały piasku wydobytego z miejsca kryjówki i całą tę przestrzeń zasadzić drzewami i krzakami, które poprzednio wykopaliśmy z całą ostrożnością, by nie naruszyć ich korzeni.

O'Donnell czuł nieprzewyciężony wstręt do pracy fizycznej, ale jego wiedza inżynierska dawała mu możliwość wymierzyć w przybliżeniu położenie owego miejsca oraz wyznaczyć pewne kąty, które utrwały je w naszej pamięci - była to ostrożność wielce potrzebna, gdyż skoro ukończyliśmy robotę, nie było już nawet znaku naszego dzieła, oprócz lekkiego rozrzucenia ziemi dokoła paru drzew. A w miesiąc później, jakeśmy się dowiedzieli, bujna roślinność zatarła pono wąski trop ścieżyny, która wiła się kręto przez piaszczyste pagórki do krawędzi doliny.

XV

Podejrzenia

Opuściwszy Skrzynię Umrzyka "Król Jakub" ruszył na północny zachód w głąb Atlantyku. Murray wiedział, że "Najświętsza Trójca" z pewnością rozeszłała wzdłuż i wszerz Antylów wieść o jego postępkach. W chwili obecnej niewątpliwie już z San Juan de Porto Rico, z San Domingo i z Hawany wyruszyły hiszpańskie eskadry, a Morze Karaibskie pewno się roiło od guarda costas (hiszp. - straż pobrzeżna). Więcej atoli niż wszystkich zabiegów hiszpańskich należało się obawiać skutków zażalenia wysłanego niewątpliwie do admirała w Kingston. Fregaty z Jamajki mogły pierwszemu z brzegu krążownikowi angielskiemu w przystaniach zachodnioindyjskich dać hasło do pościgu.

Dotychczas byliśmy ścigani na równoleżniku południowej Hispanioli przez jakiś cudzoziemski statek, którego piętrzące się żagle i ociążały chód przypominały okręt regularnej żeglugi; mijając Kubę spostrzegliśmy trzy okręty - fregatę i dwa szlupy - które przez dwa dni i jedną noc goniły nas w kierunku wschodnim. Następnego dnia spotkaliśmy flotę brazylijską konwojowaną przez dwa okręty wojenne i pół tuzina drobiazgu, ale mój dziadek, nie tracąc fantazji, rozwinął białą banderę, wypalił na powitanie admirałowi portugalskiemu i przejechał koło nich.

Potem przez cały tydzień, kołując ku zachodowi, nie spotkaliśmy ani jednego okrętu, aż pewnego poranku, gdy wschodzące słońce gorzało za nami jak ogromna płyta miedziana, ujrzeliśmy przed sobą stożek Lunety, wznoszący

się ponad mgłą. Gdyśmy posunęli się naprzód o jedną lub dwie mile morskie, wyłoniła się cała wyspa, pokryta grzebieniem wzgórz, a dobywający się z Lunety słup dymu świadczył, że czatownik Flinta już nas dostrzegł.

Wiatr wzmógł się był w ciągu nocy, ale o świcie jał dać potężnie, przeto dopiero koło południa zdołaliśmy na koniec dobić do Zatoki Kapitana Kidda. Na pokładzie "Konia Morskiego" panował wielki harmider, a łodzie jeździły tam i z powrotem od okrętu do wybrzeża. Gdyśmy zapuścili kotwicę, od okrętu odbiła długa łódź, na której jak płomień migotał czerwony surdut Flinta.

- Na miłość Boską! - krzyknęła Moira O'Donnell, a jej błękitne oczy rozszerzyły się z przerażenia. - Tego człowieka nie potrzeba wskazywać, bym poznała w nim korsarza... w nim albo w tych strasznych drabach, co wiosłują. Zaiste, przyjrzyjcie się tylko ich skórze, zaczerwienionej od słońca jak u Indian... zaiste!... I nie noszą przyodziewku, w jaki ubrałyby się nawet najsprośniejszy pohaniec!

Klasnęła w dłonie.

- Ale podobają mi się chustki na ich głowach! Patrzcie! Czerwone, zielone, żółte i niebieskie. A jakież to rysunki mają na skórze!

Jej ojciec czym innym był przejęty. Spoglądał posepnie na kupę skrzyń, beczulek i pak ze skarbami, które Murray kazał rankiem wynieść na pokład, następnie wlepił wzrok w jaskrawo odzianą postać Flinta.

- Więc to takim łotrom, jak tamci, powierzysz nas wszystkich, Murrayu! - zawarczał. - Niekiedy zdaje mi się, że masz, człeku, źle w głowie. Bo widok tego złota i srebra zdołałby nawet ludzi lepszych niż oni skusić do rozlewu krwi.

Dziadek zażył tabaki.

- Diagnoza pana jest trafna, chevalier - odpowiedział. - Oni bez wahania dopuściliby się morderstwa, gdyby szło tylko o zdobycie pięknego noża lub przedziurawionego szeląga. Jeżeli odslaniam przed nimi w całej okazałości skarb, który przywozimy, czynię to w tym celu, by wzbudzić wśród nich od razu zaufanie do mej osoby oraz sparaliżować ich zachłanność widokiem bogactwa, jakiego nigdy nie marzyli otrzymać za jednym zachodem.

Sapnięcie Piotra zwróciło uwagę na Holendra.

- Waćpan nie zgadzasz się ze mną? - zagadnął Murray uprzejmie.

- Neen. Złociej zostanie złociejem. Kradnie, by kraść.

- Święta prawda! - potwierdził dziadek. - Cóż więc aść sądzisz?

- Jeszeli Flint ma na to chrapkę, to nic nie bęcie go opchocić, co mu waszmość pokasziesz... On chce otszynać wszystko.

- Aha!

Murray spojrzął z większą uwagą na korsarzy siedzących w łodzi, która właśnie mijiała środek naszego okrętu.

- Widzę, że z kapitanem Flintem siedzi John Silver i ten rudy Irlandczyk, którego Flint nazywa swoim szczęściem. Hm! Może masz rację, mój przyjacielu Piotrze, ale ja się tym bardzo nie trapię. W wielu wypadkach...

Przerwał i popadł w zamyślenie. Pułkownik O'Donnell podchwycił jego słowa:

- Tak? Tak? Jakież to nowe łotrostwa snują ci się po głowie?

Dziadek uśmiechnął się.

- Dalibóg, nie jest to łotrostwo knować w dobrej sprawie... dla dobrej sprawy, która jest naszą... Nieprawdaż, panno Moiro?

Ona potrzęsnęła głową.

- Nazbyt zawile są zamysły waszmości, bym mogła je zgłębiać, panie Murray
- odpowiedziała. - Ja jestem tylko młodą dziewczęciem, które nie wie nic
ponad to, iż sprawiedliwość winna nas wszędy obowiązywać.

- Mniejsza o to, co myśli Moira - wtrącił O'Donnell. - Waszmość nie
odpowiedziałaś na moje zapytanie.

- Prawda to, chevalier. Właśnie nad tym rozmyślałem. Myśli moje nie
zdołały przyoblec widomych kształtów, ale nic w tym nie będzie złego,
jeżeli wyznam, że przychodziło mi na myśl, iż zadanie nasze byłoby
uproszczone, gdyby kapitan Flint uciekł się do orężnego przeciwko nam
wystąpienia.

Irlandczyk policzył strzelnice na boku "Konia Morskiego".

- Zdaje mi się, że oni posiadają tyleż dział...

- Ale zarówno na lądzie, jak i na morzu rozum więcej znaczy niż brutalna
siła, chevalier. Waszmości, jako inżynierowi, nie potrzeba przypominać tej
znanej prawdy. W każdym razie jeszcze nie doszło pomiędzy nami do rozprawy,
a ja nie mam zwyczaju wszczynać niesnasek. W chwili obecnej zdaję sobie
sprawę z jednej tylko rzeczy, a mianowicie, że nie możemy się ważyć na zbyt
dalekie odjeżdżanie od wyspy, bo krążownicy trzech narodów dybią na nas na
wszystkich morzach.

- Znajdziemy się w matni - bąknął O'Donnell posepnie.

- Bynajmniej - odrzekł skwapliwie mój dziadek. - Jak dotąd, wiodło nam
się w grze doskonale. Teraz powinniśmy wycofać się i oczekiwać posunięć
innych graczy. O ich poczynaniach zadecyduje nasza... Ale kapitan Flint już
wszedł na pokład. Ta rozmowa jest bezcelowa, skoro fakt musi usunąć na bok
domysły.

Przyjrzał się nam wszystkim z pewnym zaniepokojeniem.

- Jedno tylko mam jeszcze do powiedzenia - dorzucił. - Cokolwiek by się
przytrafiło, pozwólcie mi prowadzić rozmowę.

- I tak to waćpan uczynisz, czy z naszą wolą, czy pomimo naszej woli -
burknął O'Donnell.

Flint, miotając stek przekleństw, przelał przez barierę i kaczym chodem
jął pięć się na rufę. Marcin opuścił w dół pętlę dryndającą na głównej
rei, a w chwilę później podniesiono na niej Johna Silvera ze szcudłem
uwieszonym u szyi. Darby i reszta przybyszów wbiegli po bocznej drabinie i
zmieszali się z załogą "Jakuba". Gały wyłaziły im z oczodołów, gdy okrążali
stos leżących skarbów; Długi John kusztykał wraz z nimi, przysłuchując się
chciwie opowiadaniom majtków "Jakuba", oceniając wagę pak i brył kruszcu i
z przejściem odczytując napisy na baryłkach i skrzyniach bitej monety.

Ich przywódca z równą szczerością okazywał po sobie chciwość, jaką
wzbudzał w nim ten obraz. Jego zielone oczki z obu stron cienkiego,
wydłużonego nosa migotały gorącym blaskiem, sine policzki posiniały jeszcze
bardziej, a osmagana wiatrami skóra twarzy porysowała się siatką
szkarłatnych żyłek, które w miarę podniecenia nabierały coraz żywszej
barwy. Jednak gdy rzucił wzrokiem na Piotra i na mnie, zapomniał zgoła o
skarbie.

- Aha, więc twoi zakładnicy wrócili do ciebie, Murrayu? A niechże mnie
kule biją, ładny mi kawał urządziłeś! Dochowałeś wierności, dochowałeś... a
jakże! Chciałeś mi dać dwóch zakładników zamiast jednego. Mówiłeś, że
dotrzymasz umowy, dotrzymasz... oczywiście, jest to rzecz zbędna, ale
chcesz uczynić cośkolwiek, aby stwierdzić wierność swego sojuszu ze mną!

Mówiłeś, że muszę wziąć ich obu albo żadnego! Obu albo żadnego! Dobrze, okpiłeś mnie wówczas, Murrayu, ale drugi raz ci się to już nie uda, do pioruna!... Inaczej niech się nie nazywam Johnem Flintem!

Dziadek w milczeniu wysłuchał tej przemowy, oczekując, aż korsarz zejdzie ze schodów wiodących na rufę i stanie oko w oko z nami.

- Nie odpowiadam za wypuszczenie przez ciebie zakładników - odrzekł wówczas jak najozięblejszym tonem. - A niechże mię piorun spali, Flincie, przecież przestrzegałem cię, że okręt twój uległ wielkiemu rozprężeniu. Czy myślisz, że mając wszystkich marynarzy pijanych zdołasz na uwięzi utrzymać dwóch ludzi silnych i nie bitych w ciemię?

- Mniejsza, czy byliśmy pijani czy trzeźwi, ale ich nam obiecano - postawił się Flint nieco zaczepnie. - Zresztą, mogłeś nam ich oddać... boć nie fraszka, to, że zabili mi dwóch ludzi... oni albo ci, którzy pomagali im wydostać się z "Konia Morskiego".

- Nikt z "Jakuba" im nie pomagał - odrzekł Murray. - Ręczę ci słowem honoru. Nie mogę za to tego samego powiedzieć o twoim rodzoniusieńkim okręcie, chociaż oni obaj, gdy zjawili się przede mną w parę dni po naszym odjeździe, opowiadali, że działali na własną rękę.

- Na własną rękę czy nie na własną, ale gdzież się podziało dwóch moich ludzi? - zaperzył się Flint. - Dobrzy marynarze na pniu się nie rodzą.

- Istotnie się nie rodzą: na pokładzie "Konia Morskiego" mordują się w najlepsze nawzajem - potwierdził dziadek. - Dalipan, waszeć nie masz żadnych dowodów na poparcie swego zarzutu.

- Żadnych dowodów?! - zawył Flint. - Ci dwaj wykradli się z mego lazaretu, a teźże nocy dwaj ludzie stojący na warcie...

Dziadek podniósł brwi.

- Phi, phi! Słyszane rzeczy! "Dwaj ludzie stojący na warcie!" Nawet John Silver i ślepy Pew zdołaliby się wymknąć takim niedorajdom, a cóż dopiero dwaj zdrowi ludzie, z których jeden jest chyba największym osiłkiem, jakiegom widział w mym życiu.

- No tak, dwóch uciekło, a dwóch zginęło - upierał się Flint przy swoim.

- A jeżeli nie stało się to za pośrednictwem tych dwóch, którzy uciekli...

- Jakież masz na to dowody?

- Dowody?

- Tak, dowody, powiedziałem. Gdzież ich ciała?

- Doprawdy, nigdyśmy...

Dziadek wzruszył ramionami.

- Widzisz! Zdaje się, że sam nie wiesz, co mówisz, mój drogi... Pozwólże mi jednak powtórzyć, że jeżeli zostawiłeś okręt przez całą noc na opiece dwóch ludzi, zasłużyłeś na to, by postradać zakładników i ażeby pozbawiono życia całą wartość. W każdym razie nie zyskasz sobie mego współczucia.

Flint ujął w garść rękojeść pugi.

- Ejże, mówię ci, Murrayu, że ta cała sprawa brzydka pachnie. Sam waszmość namawiałeś mnie do wzięcia zakładników, nie moja to była myśl. Potem zaś, ledwie przyszli na mój okręt, wnet już byli z powrotem u was. To mi się nie podoba. Jest w tym jakieś matactwo!

- Gdybym twoich zakładników znalazł na pokładzie "Jakuba" przed odjazdem albo nazajutrz, byłbym ci ich zwrócił - odrzekł Murray głosem stanowczym. - Ale nie ma się tu o co kłócić, bo czy miałeś zakładników, czyś ich nie miał, widzisz, że powróciłem ze skarbem, tak jakem ci był przyrzekł.

- Już to dość dawno, jak waszmość wyruszyłeś - utyskiwał Flint. - Zmitrężyłeś cały miesiąc ponad to, coś obiecywał.

- Miałem po temu ważne powody - odparł dziadek. - W czasie drogi powrotnej aż dwukrotnie mnie ścigano.

Flint dał się przekonać; jednocześnie oczy jego, jak gdyby przyciągane magnesem o nieprzewyciężonej sile, jęły znów błdzić po stosie skarbów ułożonych na pokładzie.

- Waszmość musiałeś mieć niebywałe powodzenie - przyznał niechętnie. - Dyć tu jest złoto indyjskie!

Spojrzał w górę i w tym momencie spotkał się z przerażonym wzrokiem Moiry. Na wargach zaigrało mu szyderstwo.

- Ale, jak widzę, wieziecie tu pasażerów - podjął rozmowę. - Złoto i kobiety! Piękna to kombinacja, Murrayu, ale w naszych ustawach istnieje jedno prawo, za którego wprowadzeniem sam najwięcej gardłowałeś. Paragraf czwarty, he? Utkwił mi on w łepiecie, gdyż raz stosowałeś go do mnie: "Ażeby zaś było mniej sposobności do bójek i niesnasek w naszej drużynie, postanawiamy dalej, że należy zabronić szulerki w każdym wypadku, gdy kapitan uzna ją za narażającą na szwank naszą zgodę; podobnie, że w żadnym czasie i w żadnych okolicznościach nie wolno brać i trzymać kobiet gwoli rozpusty na naszych okrętach ani na żadnym okręcie, który by przewoził naszą załogę". I cóż waszmość na to powiesz? Gdzież się teraz podział paragraf czwarty?

- Pragnę, aby go przestrzegano zarówno na pokładzie "Konia Morskiego", jak i na pokładzie "Króla Jakuba" - odciął się Murray. - Co się zaś tyczy szulerki, to zdaje mi się, że waćpan dajesz swym podwładnym zupełną swobodę.

- Chcę być panem na swoim statku - odrzekł Flint kwaśno. - Jednakże waszmość nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Dziadek zażył tabaki.

- Ta białogłowa - rzekł z lekkim przejęciem - jest córką tego oto mojego przyjaciela, pułkownika O'Donnella, ten zaś pan należy do zastępu mych sojuszników, którzy umożliwili mi zdybanie okrętu wiozącego skarby.

O'Donnell, który coraz bardziej czerwienił się na twarzy w ciągu tej rozmowy, ujął córkę pod ramię i odprowadził ją na stronę.

- Byłbym wdzięczny waszmości, gdybyś mi raczył powiedzieć, kiedy to nadejdzie czas, że przestaniemy bawić się w ceregiele z tymi opryszkami - rzekł spoglądając przez ramię poza siebie. - Słuchać już tego nie mogę, jak tu się naigrawają z mej córki. Ktom ja zacz, bym miał tu stać spokojnie i beczynnie, gdy tym łotrom objaśnia się...

- Proszę o spokój, chevalier! - przerwał mu Murray, a w głosie jego brzmiał ton zmuszający do bezwzględного posłuszeństwa.

Sine szczęki Flinta powlekły się chorobliwą, zielonawą bladością, a drobne żyłki na jego policzkach poczęły silniej pulsować.

- A niechże mię... jeżeli zniosę to od jakiegoś tam obłudnego irlandzkiego papisty z długą gębą...

- Dość tego - rzekł dziadek nie podnosząc głosu.

Flint przycichł.

- Pułkownik O'Donnell i jego córka są moimi gośćmi - mówił dalej mój dziadek. - Odegrali oni ważną rolę w zdobyciu przez nas skarbu. Muszę wymagać, Flincie, żebyś okazywał im uprzejmość podobną do tej, jaką ja

okazałbym twoim przyjaciółom w podobnej sytuacji.

- Oni nie są moimi przyjaciółmi - zawarczał Flint. - Jest to jeszcze jedno z twoich przeklętych głądzeń politycznych. Dalibóg, już mnie to nudzi, Murrayu, a nie wiem, kto potrafi się w tym połapać. Najpierw zawlokłeś nas do Ameryki Północnej tylko po to, by pojmać dwóch ludzi i nie zdobyć nawet stu funtów, by się opłaciła wyprawa. Następnie zamykasz mnie tutaj na sześć miesięcy, żeby ludzie mi poginęli od febry i pijaństwa, a w okręcie dno zaczęło gnić na dobre...

- Za jedno i za drugie zganić powinienes tylko własną niedbałość - wtrącił dziadek.

- ...a w końcu - dąsał się dalej Flint, nie zwracając uwagi na jego słowa

- przyprowadzasz mi tu jakiegoś tam mężczyznę i jakowąś podwikę, którzy nie należą do naszej drużyny i mogą pomimo naszej wiedzy dać stąd drapaka, a pewnego pięknego poranku, gdy będziemy zajęci oporządzeniem naszych okrętów i niczego nie będziemy się spodziewali, sprowadzą na nas okręt angielski...

- Chyba nie ty będziesz tym zajęty - odciął się Murray zgryźliwie. - Ty nie będziesz oporządzał statku, Flincie; przecież załoga twoja musiałaby się nie na żarty wziąć do pracy. Ale niepotrzebnie się frasujesz. Pułkownik O'Donnell ma powody, by zataić swe uczestnictwo w naszym przedsięwzięciu. Więcej jemu należy ufać w tej mierze aniżeli wielu innym.

- Nie obchodzi mnie, kto on zacz, ani też, na co on waćpanu może być potrzebny! - krzyczał Flint wpadając we wściekłość. - Dość, że waćpan wprowadziłeś już czterech ludzi obcych do naszego grona, nie pytając rozkazu ani pozwolenia innych z naszej drużyny.

- Nikomu nie przyznaję prawa do dyktowania mi, com powinien, a czego nie powinienem czynić - odparł dziadek wyniośle. - Bądź co bądź, ta drużyna powstała i istnieje na skutek mych wysiłków, a ważę się nawet na twierdzenie, że niedługo będzie ona istniała, gdy zabraknie mego kierownictwa. Czterej ludzie obcy, na których się uskarżasz, kapitanie Flincie, w znacznej mierze przyczynili się do dostarczenia ci skarbu... który oto oczekuje, byście raczyli wziąć się do podziału, stosownie do poprzednio ułożonych warunków.

Jeżeli słowa Murraya miały na celu okiełznanie chciwości Flinta, to swego dopięły w zupełności. Kapitan "Konia Morskiego" otwarł usta, by wydać okrzyk niedowierzania, a następnie znów począł bładzić oczyma po stosie stojącym pod krawędzią rufy.

- I... ile? - zapytał niemał z trwogą.

- Siedemset sześćdziesiąt trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć funtów w monecie bitej i kruszcu, nie licząc skrzyni z drogimi kamieniami i trzech skrzyń sreber stołowych - rzekł bez wahania mój dziadek. - Zechcesz zauważyć, że przy podziale okazałem się hojny dla naszych wiarusów obdarzając ich całą nadwyżką sumy półtora miliona funtów, jaką przypuszczalnie miała przewozić "Najświętsza Trójca".

Na twarzy Flinta pojawił się przebiegły wyraz.

- A gdzie reszta? - zgrzytnął.

Dziadek zażył tabaki.

- Bezpiecznie ukryta, mogę zapewnić waćpana - odpowiedział.

- Na spodzie okrętu?

- Nie, nie ma jej wcale na okręcie.

Flint ledwo potrafił złapać powietrze.

- Waćpan powiadasz, że jej tu nie ma? Nie ma jej na "Jakubie"?

- Tak jest, kapitanie.

- A niechże mię! - ryknął Flint. - Podzieliłeś się nią na uboczu... tak, żeby nikt z załogi "Konia Morskiego" nie był przy tym obecny i nie widział tej szacherki? Nie daruję ci tego, Murrayu! Niechże mię gromy spalą, gdybym miał na to dłużej pozwalać!

Dziadek brząknął w tabakierkę i przemówił:

- Aścine podejrzania są zgoła bezpodstawne; gdybym zamierzał waćpana oszachrować, bądź pewny, że sumy przeznaczonej do podziału między dwa okręty nie powiększałbym o przeszło sześćdziesiąt trzy tysiące. Dalibóg, doliczywszy wartość klejnotów i sreber otrzymamy zapewne nadwyżkę z górą stu tysięcy funtów.

- Znam się na waszych sztuczkach! - wrzasnął Flint. - A niechże mnie... jeżeli jakimś parszywemu politykowi-przecherze uda się rzucać mi piaskiem w oczy. Jest to zupełnie to samo, jak gdybyś, Murrayu, starał się mnie ocyganić, że siedemset tysięcy funtów odłożono dla waszych "przyjaciół", dorzucając nam jeszcze sto tysięcy funtów do podziału. "Przyjaciół"! Do pioruna! Jedynym przyjacielem, jakiego waść uznajesz, jesteś waść sam... ty wyschnięty kłaku!

- Dość tego! - rzekł dziadek cichym, spokojnym głosem.

Flint otworzył usta i wraz zamknął je pospiesznie, nie mogąc wydobyć głosu ze siebie.

- Zakazuję ci tych wyzwisk, kapitanie, i mniemam, że nie dasz mi powodu, bym miał powtarzać to upomnienie! - skarcił go mój krewniak chwytając za rękę pałasza.

Zabawną rzeczą było spoglądać na tłumioną wściekłość Flinta.

- Aha! Tuś mi aść ze swymi wykwintnymi, pańskimi manierami! - wykrzyknął.

- Znam ja waćpana! A niechże mnie piorun spali, jeżeli pozwolę tak się zwodzić! Kobieta i obcy ludzie na naszym pokładzie! A osiemset tysięcy funtów gdzieś się zaprzepaściło! "Bezpiecznie ukryte" - mówisz waćpan! A jakże! Bezpiecznie, czyli tam, gdzie możesz je wyłowić, kiedy ci się spodoba. Zaraz to zamiarkowałem, gdym posłyszał szelest spódniczki. Kobieta i złoto...

John Silver wystąpił z drabiny na rufę i przytrajdał się w naszą stronę.

- Za pozwoleniem, panie kapitanie Murray! - przerwał swym miłym głosem wrzaski Flinta. - Moje uszanowanie waszmości, panie Ormerod, i wam również, panie Corlaer. Dość to dawne czasy, mości panowie, gdyśmy się z sobą widzieli... prawda? Spodziewam się, że waszmość raczy darować mi moją śmiałość, panie kapitanie Murray, ale muszę powiedzieć słóweczko kapitanowi Flintowi... narada forkasztelu.

Dziadek znów zażył tabaki.

- Ach, tak - zauważył sucho. - Przypominam sobie, że na "Koniu Morskim" wszyscy muszą brać udział w wiecu forkasztelu. Tuszę, że zdołacie wlać odrobinę oleju w głowę swego kapitana. Jemu tego potrzeba, Silverze.

Flint zawrzał gniewem, lecz zanim zdołał coś odpowiedzieć, już Silver go w tym uprzedził:

- Dzięki waszmości. A teraz proszę mi pozwolić, bym pogadał nieco na osobności z kapitanem Flintem, a może uda się nam znaleźć jakiś sposób rozwikłania tej gmatwaniny.

- Uczyńcie, jak się wam podoba - odrzekł dziadek ruszywszy ramionami.

Silver zasalutował, a szeroka twarz rozjaśniła mu się, jak gdyby spłynęła nań niebywała łaskawość.

- Uprzejmie dziękuję waszmości.

I wsunął swobodną rękę pod łokieć Flinta, a mnie aż dziwną wydała się łatwość, z jaką zdołał nagiąć kapitana do swej woli. Ponieważ byłem przyzwyczajony do samowładnej karności wprowadzonej przez Murraya, przeto nie od razu zdołałem oswoić się znowu z poufałym i beztroskim nastrojem załogi "Konia Morskiego", gdzie pierwszy z brzegu mógł się stać dowódcą, jeżeli tylko umiał porwać za sobą większość drużyny, by dobywała kordelasów w jego sprawie. Flint posłusznie poszedł za swym kwatermistrzem na sztymbort rufy; tam przywarli do siebie głowami i gwarzyli z jaki kwadrans. Najpierw Silver coś tam wyłuszczał, a Flint opierał się jego dowodzeniom.

- Silver nie tak łatwo zezwoli, by czterysta tysięcy funtów miało mu się wymknąć z rąk - odezwałem się.

- A kto wie, może on nawet mówi, by nie darować ośmiuset tysięcy - zauważył Piotr. - Ja, takie jest moje pszypuszczenie.

Murray kiwnął nieznacznie głową.

- Zdaje się, że raczej masz słuszość, niż się mylisz, przyjacielu Piotrze. Z całej załogi "Konia Morskiego" on ma najwięcej sprytu i przemyślności. Łepak co się zowie!

Pułkownik O'Donnell, trzymając Moirę pod ramię, podszedł ku nam z najdalszego krańca rufy.

- Czy natarłeś uszu temu łotrowi, Murrayu? - zagadnął. - Dalibóg, nie przypuszczałem, że możesz ścierpieć takie zuchwalstwo na własnym swoim okręcie.

- Nie lubię się klócić, jeżeli nie mam w tym upatrzonego celu - odparł dziadek. - Nie należy nigdy grozić, chyba że jesteśmy do tego zmuszeni, chevalier, potem zaś należy uderzać niezawodnym ciosem:

- Bajania! - jał zrzędzić Irlandczyk. - Teraz trzeba by coś przedsięwziąć.

Moira uwolniła się spod ramienia ojca i stanęła pomiędzy mną a Piotrem.

- Jeżeliby miało przyjść ponownie do walki - odezwała się - chciałabym mieć pistolet i kordelas i wziąć udział w potyczce. Nie chcę stać beczynnym i bezbronnym, jak to było na "Najświętszej Trójcy", bo doprawdy, jeżeli już mam żeglować z korsarzami, to wolę kapitana Murraya niż tamtego w czerwonym kubraku.

W jej słowach i postawie było tyle rycerskości, że nawet Piotr się roześmiał.

- Wezmę ja panią kiedy ze sobą do ciekiej puszczy, kcie będziemy stszelali do niećfeci i skalpowali Indian - obiecał jej.

Dziewczyna klasnęła w dłonie.

- I owszem, panie Piotrze! - zawołała. - Pewno, że wolę bić się z Indianami niż z tłuszcza korsarską. Ale spójrz no aś, panie Bob! Tam na drabinie bakbortu stoi ów rudowłosy chłopak i daje panu jakoweś znaki.

Płomienna, rozczochrana czupryna Darby'ego Mc Grawa wystawała na tyle nad poziom pokładu, iż można było dostrzec jego oczy i rękę, którą tajemniczo machał w moją stronę.

- Chodź no tu do mnie, Darby! - zawołałem nań.

Lecz on potrząsnął silnie głową i ja sam musiałem podążyć ku niemu.

- Co ci dolega? - zagadnąłem.

- Bieda, paniczu, bieda, jakiej świat nie widział - odrzekł mi akcentując z irlandzka. - Ale ja wolałbym obiema nogami wleźć w piec kuchenny niż stać tak blisko starego diabła, jak wy, panie Bob. Doprawdy, to drab straszecznie okrutny.

- Nie więcej należy się go bać niż Flinta - odpowiedziałem ze śmiechem.

- Ech, panicz mało jeszcze wie, że może mówić coś podobnego! - wykrzyknął Darby. - U Flinta to ino: "ciach go w brzuch" ... albo przekleństwo... albo też: "bier to, a tego nie rusz!" Ale ten staruch... on gotów rzucić na nas zły urok, jeżeliby mu to tylko strzeliło do głowy.

- Wolałbym być mu przyjacielem niż nieprzyjacielem - przyznałem. - Czy tak go się tam boją na "Koniu Morskim"?

Darby zerknął na mnie z ukosa.

- Czasami go się boją. Potem zaś znowu, gdy rum zacznie łać się strugą... Ale powiem, co może później przynieść biedę i strapienie. Widzę, że panicz znalazł tę elegancką panienkę, która z paniczem przyszła do gospody "Pod Głową Wieloryba". Dalibóg, czyż to nie piękna dziewczucha! Czy ona też chce przystać do korsarzy?

- Nie większą ma ochotę niż Piotr i ja.

- E, co mi ta panicz opowiada! A tam na dole mówią ludziska, żeście ją wzięli razem ze skarbem. O, wspaniała to była zdobycz! Ale powiadają tu także, że przeszło połowę łupu zakopaliście na tej wyspie, o której Długi John tak lubi śpiewać.

- A więc słyszałeś o tym? - zawołałem.

- A jakże! Opowiadali o tym Długiemu Johnowi i mnie, zanim on poszedł rozmawiać z kapitanem Flintem. Boże litościwy, któż by pomyślał, że na świecie jest tyle pieniędzy? Ale oto nadchodzi John z kapitanem. Wolę czmychnąć!

Mówiąc to ześliznął się z drabiny, ja zaś przyłączyłem się do gromadki stojącej koło mego dziadka. Flint stapał wielkimi krokami przez pokład, a twarz miał pochmurną jak niebo przed burzą. Silver, idąc przy jego boku, okazywał oblicze spokojne, osłonięte uśmiechem.

- Podzielimy się tym, co jest na okręcie - rzekł Flint zwięźle.

- Cieszę się, żeś waćpan nabrał rozsądku - odparł Murray.

Silver wtrącił się do rozmowy:

- Prawdziwy to zazdrośnik i kłótnik ten kapitan Flint. Zawdy ma na względzie pożytek swej drużyny. Jest on dla nas, można rzec, opiekunem. Lecz my wszyscy jesteśmy waszmości bardzo wdzięczni, że jednakową łaską darzysz "Konia Morskiego" i "Jakuba"; co się zaś tyczy "Konia Morskiego", ośmielam się dodać, że nigdy ci tego nie zapomnimy, mości panie kapitanie Murray.

Dziadek przysłuchiwał się temu z nieznacznym uśmiechem na twarzy.

- Dziękuję wam, panie Silver - rzekł uprzejmie. - Miałem ufność, że potrafisz należycie ocenić sytuację. Czy chcesz od razu przystąpić do podziału, Flincie?

Flint mruknął coś gardłowym głosem, potem jednak znacznym wysiłkiem opanował swój zły humor.

- Wyznamy, jak zwykle, komisję sześciu, aby rozliczyła się z waszymi ludźmi - odezwał się chrapliwie. - Przyślę łodzie po odbiór naszej należności.

To rzekłszy obrócił się na pięcie. John Silver zsalutował i skłonił się

nam wszystkim.

- Dziękuję uprzejmie, kapitanie Murray. Moje uszanowanie waszmościom i łaskawej panience. Miło to, oj miło, mieć w kajucie taką śliczną, słodką buzię... nieprawdaż?... No, mości panowie, teraz to już można by wracać spokojnie do domu i raz na zawsze zerwać z morzem.

- A jakże - odpowiedział dziadek. - Mniemam, Silverze, że wrócisz do swej starej matuli... a może do małżonki, która czeka z utęsknieniem?

Silver wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeszcze do tego nie doszło, łaskawy panie. Ale w St. Pierre na Martynice znam pewną dziewczuchę, z którą mógłbym do spółki założyć sklepik. Wprawdzie trochę kolorowa, ale ostatecznie...

Machnął pobłaźliwie ręką, po czym pokuszył się do drabiny i lekko zeskoczył na główny pokład za swoim dowódcą.

XVI

Zdrada

Świece gorzały jednolitym, strzelistym płomieniem, nie drgając ani się chybotając, tak iż cienie padały nieruchomymi plamami na ściany kajuty, tworząc jakby pasma ciemniejszego malowania na gładkiej tafli drewnianej. Powietrze tak było spokojne, że słyszeliśmy wrzawę ptactwa nad zatoką, mlaskanie i syk wody dokoła rudła, pluskanie się ryb, odgłos kroków warty.

Panna O'Donnell udała się do swej sypialni, ledwo przyniesiono wino, bo zarówno jej ojciec, jak i Murray skrupulatnie przestrzegali w tym względzie prawideł obyczajności towarzyskiej. Pułkownik O'Donnell, jak mi się zdaje, miał w tym i ten jeszcze powód, iż obawiał się, by ona nie była świadkiem jego raz wraz powtarzających się wybryków, kiedy to się upijał do utraty przytomności, a ja z Piotrem musieliśmy zanosić go do łóżka, jakeśmy to uczynili w ową pierwszą noc po jego przybyciu na pokład "Króla Jakuba".

Dziadek, w braku innej rozrywki, postanowił wyuczyć Piotra gry w szachy, ku memu rozweseleniu - a winienem dodać, że i dla Murraya - Piotr, choć nowicjusz, okazał się bardzo groźnym przeciwnikiem i umiał się bronić bardzo przebiegle.

- Na koniec mat! - zawołał mój krewniak rozpierając się w krześle; spośród nas czterech on tylko jeden miał na sobie surdut i pludry, a mimo to potrafił zachować się spokojnie i chłodno w tej dusznej atmosferze. - Aleś mi dał łupnia, Piotrze! A niechże cię nie znam! Nie chciałbym grać z tobą za jakie sześć miesięcy! Gdybyś posunął swego laufra przed ośmiu ruchami... Ale jałowa to rzecz kłócić się o to, co mogło się zdarzyć. Zupełnie to samo, co starać się wywróżyć naszą własną przyszłość.

Piotr zachichotał i mruknął, że "czuje się niedopsze, neen".

- Wolałbym, żebyśmy mogli powiedzieć "mat" w tej ciężkiej gmatwaninie, w jakąśmy się uwikłali - rzędził O'Donnell. - Widzę, że nie zaszliśmy ani na krok naprzód z tymi sprzymierzeńcami waszmości.

I wskazał ręką w stronę okna wychodzącego na tył okrętu.

- Zabrali oni swoje czterysta tysięcy funtów, ale każdy z tych ludzi miał takiego kozła na czole, jak gdyby zamiast książęcego okupu dostali tylko garść piachu. Na świętego Patryka! Pomyśleć sobie, czym byłoby te czterysta

tysięcy funtów dla członków angielskiego parlamentu, którzy zaprzędają duszę każdemu, kto ofiaruje im najwyższą cenę!

- Zapłaciliśmy należność, chevalier - odrzekł dziadek. - Jeżeli otrzymamy to, cośmy kupili, tedy wszystko pięknie i ładnie, jeżeli zaś nie... - tu rozłożył ręce, jakby się wymawiając. - Jednakowoż winienem przyznać, że nie wróżę najpomyślniejszego obrotu rzeczy. Czy zauważyliście, mości panowie, że aczkolwiek noc jest tak cicha, nie słyszymy odgłosów hulanki na pokładzie "Konia Morskiego"?

Istotnie cisza panowała w tej chwili, a raczej już od dawna, to jest od chwili, gdy wkrótce po zapadnięciu zmroku przewieziono ostatnią ładugę skarbów na okręt Flinta.

- Czyż więc waszmość sądzisz, że on porwie się do walki? - rzuciłem pytanie. Siedziałem podówczas pod oknem wychodzącym na tył okrętu, tak iż mogłem dostrzec światła płonące na "Koniu Morskim", migocące bladeżółtym blaskiem w gęstej, aksamitnej, podzwrotnikowej pomroczy nocnej.

- Spodziewam się, że on wystąpi do walki, drogi wnuku - sprostował dziadek me słowa. - Boję się, że kapitan Flint przestał już mi służyć, a jeżeli moje obawy są uzasadnione, to im prędzej potrafimy go rozbić, tym bardziej będę zadowolony. Ale mam zasadę, ażeby nigdy nie myśleć o tym, co może się zdarzyć w przyszłości. Wolę przygotować się na wszelką ewentualność i czekać biegu wypadków.

- A czy waszmość przewidujesz zdradę, jeżeli ten rakarz Flint zwróci się przeciwko tobie? - zapytał O'Donnell.

Murray znów zażył szczyptę tabaki.

- W pewnej mierze tak, chevalier. Zaciągnęliśmy czujne straże, a działa zostały zaopatrzone w amunicję i odszpunktowane. Nic ponadto uczynić nie mogę. Jediną przewagą, jaką ma Flint nade mną, jest to, że zmuszony jestem oczekiwać, jaki sposób postępowania powźmie on sam lub z nakazu swej załogi.

Irlandczyk jednym łykiem wychylił szklanicę gorzałki i zawołał:

- Ba! Łatwo to waszmości mówić coś podobnego. Ale powiem waszmości, że zdaniem moim powinniśmy natychmiast rozstrzygnąć, czy mamy wszczynać walkę z Flintem, czy też wyruszyć na morze.

Dziadek potrząsnął głową.

- Czy tak, czy siak, kiepska by to była polityka. Walka pociągnęłaby za sobą straty w ludziach i uszkodzenie okrętu, więc jeżeliby dało się jej uniknąć bez strat, tym większy nasz zysk. Z drugiej strony, jak ci wiadomo, chevalier, morza są dla nas niebezpieczne... a ponadto Marcin, jako i ja, przewiduje, że w powietrzu zbiera się wielka burza.

- A brońże nas, święty Patryku! - zachnął się O'Donnell. - Nie potrafię nic a nic zrozumieć z twych zamiarów, mości Murrayu, jako mnie tu widzisz! To nawołujesz do walki z Flintem, to znowu mówisz, że należy jej unikać, o ile to możliwe.

- Całkiem słusznie, chevalier - rzekł spokojnie dziadek. - Położenie moje jest niezbyt jasne i dogodne. Wolę nie wywoływać wilka z lasu. Do tego właśnie zmierza moja polityka.

- Ale waszmość nie wiesz, co myśli zrobić załoga "Konia Morskiego", w tym cała bieda - odezwał się Piotr odrywając wzrok od pionków, którymi bawił się na stole.

- I to prawda, jużem to zaznaczył, Piotrze - odezwał się dziadek.

- Swojego czasu Bob i ja potrafiliśmy płynąć w nocy od "Konia Morskiego" do "Jakuba" - ciągnął dalej Piotr, nie zważając na słowa mojego dziadka. - Mosze potrafimy tego dokonać poftórnje, ja.

- Ha! - krzyknął O'Donnell uderzając pięścią w stół. - W sam raz to, czego potrzeba.

Ale dziadek siedział nieporuszony.

- To rzecz możliwa do wykonania! - zawołałem. - A nikt oprócz nas nie będzie o tym wiedział.

Przedziwne, bure oczy Murraya spoczęły na mej twarzy.

- Tak, można to wykonać - potwierdził. - Ale to rzecz niebezpieczna, mój chłopcze. Noc jest cicha i można usłyszeć nawet plusk ryby.

- A ludzie Flinta pewno sprawują pilną wartę - dorzuciłem. - Ale Piotr i ja płynamy doskonale; nie będzie najmniejszego szelestu.

Piotr zaczął zdmuchiwać świece.

- Ja - odezwał się. - Nie lubię wody, kiedy na niej pofstają bałwany, ale kiedy jest spokojna, to bardzo dopsze na niej się czuję.

Dziadek uśmiechnął się i rzekł:

- Byłbym obłudnikiem i głupcem, gdybym odrzucił waszą ofiarę, panowie. Na szwank jest nie tylko wystawione życie nas tu obecnych, ale i życie panny Moiry.

Z piersi pułkownika O'Donnella dobył się jęk.

- Ach, czyżem ci tego nie powiedział, Murrayu, że będziemy kiedyś zdani na łaskę pańskich rozpruwaczy i włamywaczy? A teraz sam musisz przyznać mi rację! Ciężka to sprawa... bodajbym nigdy nie był słyssał twojego nazwiska ani też nie wyjeżdżał z Hiszpanii!

Murray sam zdmuchnął ostatnią świecę.

- Dobrze, dobrze, chevalier - odpowiedział trochę cierpko - asan wyjechałeś z Hiszpanii i znajdujesz się na pokładzie "Króla Jakuba", a to właśnie, że tu się znajdujesz, jest jedyną ostoją twojego życia... nie mówiąc już nic o zobowiązaniach względem przyjaciół waćpana.

W tej chwili przesunęło się koło nas ogromne cielsko Piotra.

- Idę po linę! - zapiszczał.

- Linę! - głosem przerywanym przez czkawkę jał mówić O'Donnell. - Jeżeli nie skończymy na pętlicy powroza, to pewno będziemy rzuceni w morze. Mało stoję o samego siebie. Wiele przeżyłem w życiu i patrzy mi się już kres.

Ale nieszczęsny był to dzień, Murrayu, kiedy mnie namówiłeś, bym wziął z sobą Moirę. Nie mogę sobie wyobrazić, co ci wlało do głowy... młode dziewczę na okręcie korsarskim! To niegodziwość wprost nie do uwierzenia!

- Sza! - strofował go dziadek. - Uczyniłem to z jak najlepszych względów, które zostały potwierdzone wypadkami. Ale oto Piotr. Znalazłeś linę, Piotrze?

- Ja - powiedział Piotr i przywiązał jeden jej koniec do nogi od stołu, tak jakem ja to był uczynił w ową noc, gdyśmy się tu zakradali po kryjomu.

O'Donnell szukał pocieszenia w nowej szklanicy gorzałki, Murray zaś pomógł Piotrowi i mnie się rozebrać i odprowadził nas do okien wychodzących na tył okrętu.

- Pamiętajcie nie narażać się bez potrzeby - szepnął, gdy przełaziłem przez parapet. - Nade wszystko zaś starajcie się, by was nie odkryto. Lepiej nic się nie dowiedzieć niż dać się zauważyć.

Objąłem już kostkami nóg swobodnie zwisającą linę i byłem gotów ostrożnie

zesunąć się do wody, gdy doszedł mnie cichy śmiech dziadka.

- Cóż takiego? - zapytałem.

- Pomyślałem, jaki to z ciebie stał się zawzięty korsarz.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, on już odwrócił głowę. Zesunąłem się z największą ostrożnością w ciepłą wodę, uważając, by nie słyhać było pluśnięcia. W chwilę później Piotr był już koło mnie i poczęliśmy płynąć długimi, powolnymi ruchami w stronę światełek, które były jedyną widoczną cechą "Konia Morskiego" - tak nieprzenikniona była gęstwa tej bezwietrznej nocy. Nie było ani gwiazdki na niebie, a nawet samo niebo było niewidoczne.

Kadłub okrętu korsarskiego przyobłókl widoczne zarysy dopiero wówczas, gdyśmy podpłynęli pod krzywiznę rufy. Jedyna, zaledwie pełgająca latarnia paliła się prawdopodobnie w głównej kajucie, skąd nie było słyhać nikogo. Podpłynęliśmy przeto wzdłuż sztymbortu, przywabieni gwarem głosów dochodzących z przodu okrętu.

Gdyśmy przepływali poniżej bukszprytu, Piotr zatrzymał mnie dotknięciem ręki.

- Tu wdrapiasz się na górę - szepnął mi w ucho. - Oni fszyscy znajdują się na pokładzie. Zdaje mi się, że palą fajki i wiecują, ja.

Utrzymując się ruchami nóg na wodzie, jałem oburącz szukać jakiegoś uchwytu nad głową.

- Nie mogę dosięgnąć nijakiej liny.

- Dopsze, fszystko jedno. Wyłaś! - naglił mnie. - Wyłaś mi na ramiona. Ja cię utszymam, ja.

- Ale jeżeli chlupniemy w wodę?

- Nie chlupniemy. Ty wyjdziesz do góry, a ja pójdę pod wodę. To fszystko!

Przybliżyłem się i ostrożnie wgramoliłem się na ogromne bary Piotra uchwyciwszy pęk jego włosów, by podciągnąć się w górę. Następnie znów stanąłem mu na głowie, a tym razem udało mi się zaczepić rękami za linę bukszprytu, która biegła od połowy stengi do sworznia na dziobie okrętu.

- Już się trzymam - szepnąłem. - Zaraz skoczę do góry.

- Ja!

Podrzuciłem nogi w górę i oplotłem nimi sztuk, wisząc na nim jak małpa, Piotr zaś hulnął pod wodę z belkotliwym pluskotem, jaki mogła wywołać wynurzająca się ryba, i podpłynął pode mnie.

- Czy możesz się wdrapać, Bob?

- Zdaje mi się, że tak.

- Dopsze, ja poczekam.

Lina na szczęście była sucha - gdyby była oślizła od wilgoci, nie potrafiłbym po niej się wspinać - więc po wielu wysiłkach udało mi się dostać do bukszprytu i usiąść na nim okrakiem. O innej porze można by stąd widzieć pokład, ale w zalegającej świat ciemności potrafiłem dostrzec tylko ledwo majaczącą gmatwaninę rei i lin oraz blade światełko na środku okrętu. Pogwar głosów było tu lepiej słyhać, acz jeszcze niewyraźnie.

Posunąłem się w dół bukszprytu, aż do samego wzniesienia dzioba okrętowego, ale jeszcze i teraz nie mogłem nic dostrzec, nawet na forkasztelu. W każdym razie było rzeczą jasną, że tutaj nie należało się obawiać żadnej straży, przeto zesunąłem się na pokład, następnie zaś na czworakach poczołgałem się w stronę, skąd dochodził gwar rozmowy.

Forkasztel był zawalony zapasowymi linami, beczkami z wodą i innym sprzętem żeglarskim, musiałem się więc strzec, by ón nie zawadzić; zostałem

za to wynagrodzony, bo gdy przysunąłem się bliżej, pogwar głosów stał się wyraźniejszy i mogłem już odróżnić poszczególne słowa i całe zdania.

- ...to przebiegła sztuka ten Murray! - odezwał się głos jednego z marynarzy.

- Cokolwiek byś nam gadał, wszakże nasi kamraci z "Jakuba" będą walczyć przeciwko nam - dodał drugi.

- Pewno, że będą!

Był to niezawodnie przesłodzony głos Silvera.

- Któż nie chciałby walczyć za największy skarb, jaki kiedykolwiek wpadł w ręce śmiałych ludzi?

Wpełzłem na działko pościgowe i spoza jego lufy ogarnąłem wyteżonym wzrokiem środkowy pokład. Dwie latarnie zwisały z górnej reji, a w ich żółtym blasku widać było załogę "Konja Morskiego", która gęstą ciżbą, ramię przy ramieniu, przycupnęła dokoła podstawy grotmasztu, gdzie na przewróconych beczułkach rumu siedział Flint, Bones, Silver i kilku innych korsarzy. Właśnie gdym przytulił się mocno do lawety, Flint pochylił się w przód, przejęty wściekłością.

- A bodajbym skisł, jeżeli myślałem, że znajdę takich tchórzów wśród załogi! - warknął. - Czy myślicie, że można bez strat wziąć jakąkolwiek zdobycz?

- Wiadomo, że nie - odezwał się zgryźliwie jeden z marynarzy - ale jeszcześmy nigdy nie walczyli z Murrayem. Tym, którzy się na to porwali, nie dopisywało szczęście.

Potwierdzający pomruk był odpowiedzią na te słowa.

- Och! - wybił się nad innych głos Silvera. - Tak to zawsze bywa z początku, druhowie; Murray jest taki jak i inni spośród nas! Jedna kulka lub pchnięcie sztyletem może kres położyć jego życiu. A jeszcze dodam: któż nie zechciałby narażać życia dla sumy przeszło półtora miliona funtów w złocie i srebrze najczystszej próby, za które każdy z nas mógłby sobie nakupić tyle przyjemności, jakich mało który człek zakosztował w swym życiu?

- Ależ na pokładzie "Jakuba" pozostało tylko tyle pieniędzy, co u nas! - zauważył jeden z poprzednich mówców.

- Masz rację, Tomaszu Allardyce - rzekł Flint. - Ale reszta jest bezpiecznie schowana, nieprawdaż?

- Jedyne ich kilku wie o tym schowku - odrzekł tamten mężczyzna. - Na "Jakubie" opowiadano, że tylko trzech chłopca i jedną dziewczuchę wysadzono na ląd, aby zakopali skarb.

Flint odpowiedział śmiechem przejmującym do szpiku kości.

- Cóż wy myślicie, że tych czworga, nie licząc Murraya, nie można by wziąć na spytki? Mówię ci, Tomaszu, że skarb cały jest tak jakby już podzielony.

- Najpierw musicie pojmać Murraya - odparł Allardyce.

- A czemuż byśmy nie mieli tego dokonać? - zapytał Silver. - Czyżeśmy nie wzięli tego, co on raczył nam dać, i nie dziękowaliśmy mu za to jak potulne baranki? A czyż on podejrzewa, co się święci! W taką noc, jak dzisiejsza, nie będzie nawet wiedział, gdzie jesteśmy, póki nie napadniemy na niego.

Damy dwie tegie salwy, a potem wymieciemy mu pokład.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Kiedy zaczyna się przyptyw? - zapytał Flint przeciągając się i

poziewając.

- Za jakie dwie godziny - odrzekł Bones.

- Muszę jeszcze nieco się przespać - mruzczał kapitan korsarzy. -

Przystąpcie do głosowania, chłopcy, i zakończcie już raz tę mitręgę. Czy pójdziecie, czy nie pójdziecie? Wszystkim wam wiadomo, czym obdarzy was łaska Murraya, jeżeli kiedy dojdzie do niego wieść o tej naradzie... a nie brak takich, co gotowi wszystko roztrąbić, jestem tego pewny.

Silver podniósł się, biorąc szczudło pod pachę, i stanął wyprostowany.

- Kwatermistrz przemawia imieniem załogi - odezwał się. - A mój pogląd w tym się streszcza, że załoga powinna walczyć o swe słuszne prawa. Dość już długo "Koń Morski" pełnił rolę sługusa i chudopachołka, a dziś mamy taką sposobność, jaka prawdopodobnie nigdy już nam się nie zdarzy.

Przez krótką chwilę panowało milczenie.

- Nikt się nie sprzeciwia - oznajmił radośnie kuternoga. - Narada skończona! Zachowujcie się cicho, kamraci. Żadnych pijatyk, żadnych bójek! Później będziemy mieli nadto i jednych, i drugich!

Cizba siedzących wiecowników rozbiła się na gromadki, a garstka ludzi poczęła kroczyć w stronę mej kryjówki. Ale jam nie czekał na nich. Pod osłoną armaty przemknąłem się poza beczkę z wodą, stamtąd zaś przebiegłem z powrotem do dzioba okrętowego, przekradłem się za krawędź statku i po linie kotwicznej opuściłem się w wodę.

Jakaś wielka biała postać przypląnęła w moją stronę.

- Czy to ty, Bob?

- Tak. Oni chcą napaść na "Jakuba", gdy zmieni się przyływ.

Piotr jął płynąć z prądem, nie mówiąc ani słowa. Odezwał się dopiero wtedy, gdyśmy przebyli połowę przestrzeni dzielącej nas od "Jakuba".

- Ten Murray to szczęśliwy chłop. Zafszę zdobędzie to, czego sobie szczyzy.

- A czegoż on sobie życzy? - odsapnąłem.

- Teraz pozbędzie się Flinta i załogi "Konio Morskiego", ja.

- Ale on straci ich połowę skarbu, jeżeli...

- Być może, ale może też nie straci. Potem zaś pozbędzie się "Jakuba".

- DUBY SMALONE, Piotrze - odrzekłem z oburzeniem. - Przecież nie mógłby stąd wyjechać.

- O, on tego nie uczyni tutaj... może nawet fcale tego nie uczyni...

może diabeł przestanie mu pomagać, ja. Ale jeżeli trafi mu się sposobność, wtedy miej się na baczności, Bob. On się pozbędzie "Jakuba", a może pozbędzie się i nas samych.

- Dobrze, czemużemy więc mu pomagali? - rzekłem półgłosem, przypominając sobie żart mojego dziadka przy rozstaniu ze mną.

- Oto właśnie, w czym jest on kuty na cztery nogi. On tak fszystko uszacić potrafi, sze my musimy mu pomagać, by uratować własną skórę, ja... no i tę małą ciefczynkę. Na nim i na tym Irlandczyku, co pije jak ciurawa beczka, zgoła mi nie zaleszy. Ale ty i ta ciefczyna... to co innego.

- Czy myślisz, że on zamierza poświęcić nas wszystkich i zabrać cały skarb dla siebie?

- Nie wiem, Robercie. Murray to cfany chłop. Jaki cfany, ho, ho! On ciebie lubi: też tę ciefczynę. Może i mnie lubi - tego nie wiem. Jest tesz szetelnym i wiernym sługą tego starego króla, który mieszka f Szymie. Ale jeżeli który z nas fejcie mu w drogę, to on nas pouсуwa. A oto on sam!

Przed nami wyloniła się rufa "Jakuba", a w jednym z otwartych okien

ukazała się kształtna, siwa głowa mego dziadka, niby spłowiały obraz w ramie, widziany poprzez mrok zalegający pokój.

- Czymś się frasuje - szepnął Piotr. - Mosze tym razem Bóg pszemawia głośniejsz niż diabeł i odwróci go od złych zamiarów.

W tej chwili dobiegł nas całkiem wyraźnie głos dziadka:

- Nazbyt długo zwłóczę; dalibóg, chevalier, jeżeli oni nie powrócą niebawem, to każę podnieść kotwicę i skorzystam z ostatnich fal odpływu, by podjechać do "Konia Morskiego" i doraźnie rozstrzygnąć całą sprawę.

Odpowiedź O'Donnella doszła nas tylko jak żałośliwe echo z wnętrza kajuty.

- To brzmi tak, jak gdybyśmy mu byli na coś potrzebni - mruknąłem do Piotra rozgarniając bez szelestu wodę.

- Ja. Jesteśmy mu potszebni. Mosze bęciemy mu potszebni, gdy on się pozbęcie "Jakuba", he? Jeszezi diabeł go zawiecie, to mosze mu bęcie potszeba posządnych luci, Robercie.

- Zaraz się dowiemy - odpowiedziałem i uchwyciłem koniec liny, która dyndała koło rudła.

- Kto tam? - zawołał mój dziadek poruszywszy się nagle.

- Robert - odpowiedziałem półgłosem i zacząłem się piąć do góry. Murray wespół z O'Donnellem, który wyrwał się na chwilę ze zwykłej swej markotności, pomogli mi przedostać się przez framugę okienną; dziwne to na mnie zrobiło wrażenie, gdy zauważyłem niezadowolenie mojego dziadka, że zbryzgałem mu wodą jedwabny surdut.

- Nie poniosłeś jakiej rany? - zapytał skwapliwie.

- Nie, nie - odpowiedziałem. - Pomóście czym prędzej Piotrowi. Tamci ruszą na nas wraz z nastaniem przyływu.

Dziadek stał pomiędzy mną a oknem, tak iż mogłem na twarzy jego dostrzec lekki uśmiech zadowolenia.

- Właśnie tego się po nich spodziewałem - zauważył. - Musicie sprawdzić warty. Niezbyt to dobrze świadczy o czujności naszych ludzi, że ani nie podejrzewali waszego odejścia i powrotu.

Piotr wtoczył się do kajuty, podobny do ogromnej ropuchy.

- Uff! - zapiszczał. - Mam już bąble pod skórą. Bęciemy ciś w nocy mieli bitwę, Murrayu, ja?

- Dzięki tobie i Robertowi, drogi Piotrze, będzie to raczej czymś w rodzaju kary niż walki - odpowiedział uprzejmie dziadek. - Waćpanowie pozwolą, że odejdę, aby wydać potrzebne zarządzenia.

Brzęk szkła oznajmił mi, że O'Donnell napełniał znów swój puchar.

- I cóż to ma być za walka z takimi jak oni? - mruczał markotnie Irlandczyk. - Zdrady, knowania i skrytobójstwa... dalibóg, doskonała noc na tego rodzaju sprafki! o święci Pańscy, gdzie bęciemy jutro o tym czasie?

- Z pewnością będziemy już bezpieczni - starałem się go pocieszyć wkładając jednocześnie hajdawery. - Plugawa i ociążała załoga "Konia Morskiego" żadną miarą nie zdoła nas pokonać.

- Nie bądź waćpan nadto dufny, panie Ormerod - odparł pułkownik z niepowszednią gwałtownością. - Mniemam, że klątwa niebios zawisła nad całym tym przedsięwzięciem i nad nami wszystkimi.

Mimo to, gdyśmy się już ubrali, on przypasał pałasz i wyszedł wraz z nami na pokład. Ludzie snuli się tu w milczeniu tędy i owędy, z otwartej luki dochodził skrzyp liny, którą wyciągano jedną z armat na pomost działowy. W

górze, na masztach, garstka marynarzy rozwijała płachty żaglowe, by w razie potrzeby można było manewrować "Jakubem". Na rufie stał dziadek wydając ostateczne rozkazy Marcinowi, Saundersowi i Coupeau.

- Ty, Saundersie, będziesz stał z toporem koło liny kotwicznej, a na hasło, dane przeze mnie, odetniesz ją, by wpadła w morze. Ty, Marcinie, zajmiesz stanowisko na środkowym pokładzie, koło głównego i przedniego masztu ustaw ludzi, gotowych do nastawiania żagli, skoro już odetnie się kotwicę. Od ciebie, Coupeau, oczekuję pierwszej salwy, silnej i druzgocącej, a jeżeliby się tak ułożyły warunki, to nie żałuj i drugiej palby. A teraz na miejsca, a nade wszystko przekażcie swym ludziom, by zachowali milczenie. Kto by wszczynał jakieś hałasy, tego nabiję w armatę i wystrzelę nim w powietrze... i niech to będzie moim wyzwaniem rzuconym Flintowi!

Oficerowie złożyli ukłon i oddalili się. Jednocześnie Piotr wskazał w głąb zatoki.

- Patrzcie! - zawołał.

Światelko pełgające na maszcie "Konia Morskiego" zachybotowało i zgasło. Po paru minutach poszło za nim jedno ze światel połyskujących na środkowym pokładzie. Jeszcze parę minut - i okręt zniknął zupełnie w łonie czarnej nocy.

Dziadek z lekka pociągnął nosem.

- W ciemności człek staje się niedorajdą - bąknął. - Boję się, że zatracił węch wskutek nadmiernego zażywania rip-rapu. Dobrze, dobrze! Może to zdarzenie będzie nauczka dla takich łepaków jak kapitan Flint... A teraz muszę poprosić waćpanów, byście nie waleśali się tu i tam. Mamy jeszcze bez mała godzinę do odpływu, ale ostrożność winna być naszym hasłem.

XVII

Burza

Zanim zdołaliśmy dostrzec "Konia Morskiego", jużśmy posłyszeli łopot fokżagla i skrzyp liny. Potem można już było rozeznąć jakowyś potężny cień - spiętrzone motowisko rei i lin wyłaniające się jak widmo z rozpostartych mroków.

Okręt podpływał ku nam - bliżej, bliżej i bliżej; zderzenie obu statków wydawało się rzeczą niechybną; naprężenie doszło do ostatnich granic. Dziwiłem się powściągliwości mego dziadka. Czyż on nigdy?...

Odetchnąłem z ulgą, gdy jego spokojny i zrównoważony głos przerwał milczenie:

- Pal, Coupeau!

Trrach! Bu-u-um! Pokład zadygotał pod naszymi stopami; kadłub okrętu, przytrzymany kotwicą, zakołysał się w przód i bryznął kipiela. Czerwona smuga ognia opasała burtę "Jakuba", a na jedno mgnienie oka ukazał się nam "Konia Morski" zarysowując się silnie w swych szczegółach na tle połyskującej, czarnej wody i niskich, zalesionych brzegów. Na szczycie masztu przedniego ujrzałem człowieka wymachującego bezradnie granatem; ujrzałem ludzi, którzy ciekawie wytrzeszczali oczy ze strzelnic właśnie w chwili, gdy huknęła w nich nasza kanonada. Przelotnie dostrzegłem też

zwierzęcą twarz Bonesa, który wзираł zza parapetu trzymając w zębach kordelas.

Zapadła znów ciemność. Było słycać pęknięcie i trzaskanie desek współ z takim zgiełkiem, jakiego chyba już nigdy w życiu nie usłyszę; były to wrzaski nieszczęśników, którym zajrzała w oczy nieoczekiwana śmierć, były złorzeczenia, bluźnierstwa i żalosne nawoływania - wszystko to zlewało się w jedną nieopisaną, potępieńczą wrzawę.

Spokojny głos dziadka tak łatwo zapanował nad tym zamętem, jak gdyby wciąż trwała niezmacona cisza.

- Odetnij cume, Saundersie!

Z "Konia Morskiego" odpowiedział mu ryk Flinta:

- A walcieź w nich, tchórzliwe dranie! Do armat!

Z dział "Konia Morskiego" wybiegły na nas krwawe jężory ognia, a nierówny huk strzałów rozdarł ciszę nocną. Zadrżała i zatrzęsała się cała pojemność "Króla Jakuba", sieczona gradem żelaza. Na forkasztelu, pokładzie średnim i działowym podniosły się jęki i wrzaski:

- Boże!

- Moja noga!... Moja noga!...

- O, jak boli! Chryste Panie, jakże to...

- Oczy mi wypaliło! Już po nich!

- Gdzie moja ręka, Boże, gdzie moja ręka?

Ale dziadek po raz trzeci zapanował nad wrzawą:

- Nastaw żagle, Marcinie!

Coupeau nabił powtórnie swe działa i z pokładu "Jakuba" buchnęła druga salwa z tą samą druzgocącą zgodnością co przedtem. "Koń Morski" się cofnął, jak gdyby nasz ogień miał tę skuteczność, by sam przez się mógł odrzucić okręt. Chmury dymu zawisły pomiędzy okrętami, a ja spostrzegłem, że przydało się nam odcięcie cumy. Odpyw niósł nas już w dół zatoki, w stronę pełnego morza.

"Koń Morski" dał jeszcze jedną, poszarpaną salwę, która to tylko zdziałała, że rozbryzgała wodę lub zmaciła namuł pobrzeżny, potem zaś rozpoczął zaciekły pościg, a śmigownice na jego forkasztelu czekały zajadle, miotając dwudziestofuntowe pociski nad naszymi pokładami.

Nasze armaty milczały. Z pokładu działowego raz wraz wychodzili ludzie, których Marcin zapędzał do rei, by rozwijać wszystkie żagle celem chwytania błędnego wiatru, hulającego sobie dowolnie od południowego zachodu do południowego wschodu.

Pułkownik O'Donnell jął pięścią wygrażać dziadkowi.

- Co ci znów do łba strzeliło, Murrayu? - zawołał. - Miałeś doskonałą sposobność, by raz na zawsze skończyć z tymi szubrawcami. Czy się ich boisz, że tak zawracasz kite... ty, któryś dał pierwszą salwę... no i drugą?

- Bynajmniej, pułkowniku - odparł dziadek. - Oddawszy pierwszą i drugą salwę, jak waszmość trafnieś się wyraził, mam również zamiar zadać im coup de grace (franc. - ostateczny cios), i to z jak najmniejszym uszczerbkiem dla mojego okrętu.

- Człowiecze, nigdy już nie będziesz miał takiej sposobności, jaką właśnie przegapiłeś - nasrożył się Irlandczyk.

- Jak na żołnierza, waćpan okazujesz niezwykłą płytkość sądów - odrzekł dziadek. - Gdybym pozostał w ciasnocie przystani, by załatwić porachunki z

kapitanem Flintem, mógłbym oczywiście zyskać zwycięstwo, ale musiałbym przy tym podporządkować umysł sile fizycznej, a ponadto narazić się na - stosunkowo znaczne straty. Wolę wypchnąć go na morze, gdzie za pomocą manewrów i odpowiedniej strategii mogę połową lub trzecią częścią kosztów dopiąć tegoż celu.

- Wszystko jedno - odrzekł O'Donnell. - Jeżeli go zatopisz, stracisz skarb.

- Zupełna prawda - potwierdził Murray. - Ale co waćpan powiesz, gdy zapędzę go na brzeg, he?

Nie wiem, co na to odpowiedział O'Donnell, gdyż naraz na pokładzie rozległ się tupot i Moira rzuciła się ojcu w objęcia.

- O padre! - zawołała. - Uchroniłeś się od kuli armatniej?

Obudziłam się, gdy zaczęto strzelać i zdawało mi się, że jesteśmy znowu na "Najświętszej Trójcy", a biedny aptekarz, senior Nunez, jęczy od zadanej rany... a pragnął doczekać spokojnego końca swych dni w domku koło Alkantary!... Potem zaś myślałam, że to tylko taki sen okropny. Ale działa znów zagrzały, okręt się zatrzęsł, a pod moimi drzwiami rozległ się donośny krzyk. Wybiegłam więc w samej koszulce... na podłodze kajuty leżał, brocząc krwią, Murzynek Diomedes, a obok niego Ben Gunn, odprawiając modły. Wówczas ogarnęłam się dla przyzwoitości w jaki taki przyodziewek i poszłam szukać was, bo trzęsłam się ze strachu na całym ciele... na Boga żywego!

O'Donnell przytulił ją do siebie.

- No, no, córeczko - odezwał się z czułością, jaką okazywał tylko w stosunku do niej. - To, co najgorsze, zaraz przeminie. Nie masz czego się obawiać.

Ona sięgnęła ręką w górę i pogłaskała go po twarzy.

- Doprawdy, a ja myślałam tylko o tym, czy zdołam dostać się do ciebie, padre - powiedziała. - Ale straszna to rzecz spać samej i obudzić się podczas bitwy morskiej.

Ojciec zaklął półgłosem.

- Ach, byłem zaiste słaby i głupi, zem wciągnął cię w taką awanturę. Przyjdzie dzień, że będę musiał odpowiadać...

Ona ręką zatkała mu usta.

- Jak gdybym ja chciała być gdzie indziej, a nie właśnie tutaj!

Odwrociłem głowę nie chcąc się wtrącać do ich poufnych spraw; o jakie ćwierć mili za naszym statkiem ujrzałem błysk ognia i posłyszałem przygłuszony huk jednego z dział pościgowych znajdujących się na "Koniu Morskim".

Moira jeszcze coś powiedziała, czego nie dosłyszałem, ale ojciec jej przerwał:

- Zejdź na dół, moja droga, i zaczekaj, aż będziemy...

W powietrzu rozległ się przykry świst, na który zjeżyły mi się włosy na głowie; zaraz potem usłyszałem trzask kuli uderzającej w drzewo.

- Blisko, na Boga! - zauważył mój dziadek.

O'Donnell zachwiał się jakoś dziwnie i zwałił się w ramiona swej córki.

- Padre! - krzyknęła Moira, a głos jej przepojony był nieprzytomnym bólem. - Czemu nie wstajesz? Czyś raniony? Najświętsza Panno! On stracił przytomność! Panie Bob, panie Piotrze, pomóżcie mi! On taki... taki... ciężki!

Piotr i ja skoczyliśmy jej z pomocą, a Murray nadbiegł wkrótce po nas.

Ułożyliśmy rosłe ciało O'Donnella na pokładzie, a ja pobiegłem po latarnię. Gdy z nią powróciłem, już dziadek objął komendę nad całą sytuacją.

- Nie możemy się doszukać ani krwi, ani złamania kości - powiedział. - Bądź łaskaw, Robercie, potrzymać światło koło jego głowy.

Żółty blask zaigrał na pociągłym obliczu Irlandczyka. Wargi pułkownika były cofnięte jakby w zastygłym uśmiechu; oczy miał szklane i nieruchome; w jego żyłastej szyi nie było znać uderzeń tętna. Moira uklękła obok, nacierając jego bezwładne ręce i wymawiając z łkaniem najprzeróżniejsze pieszczotliwe słowa po angielsku, irlandzku i hiszpańsku. Murray, pochylając się z drugiej strony, zapuszczał badawczo palce w zanadrze koszuli jej ojca. W lekko połyskujących oczach mojego dziadka pojawił się wyraz zmieszania, lecz rysy twarzy zachowały nadal dawną nieruchomość.

- Na nic się nie zda wołać na niego, dziewczeczko - ozwał się łagodnie. - Sama widzisz, że nie odpowiada.

- Ale odpowie! - zachnęła się. - Pewno waszmość niebawem dojdiesz, co mu się złego przydarzyło. Może łyk wódki go otrzeźwi?

Dziadek przestąpił przez leżące ciało O'Donnella i wyjął z jej uścisku rękę zmarłego, którą nacierała.

- Chodź, waćpanna - rzekł podnosząc ją - poprosimy Piotra, ażeby zaniósł go do kajuty, dobrze?

- Ale... ale... musimy go ocucić!

- Nie zdołamy go ocucić - odrzekł dziadek łagodnie.

Ona wstała, oszołomiona i ledwie przytomna.

- Nie... zdołamy... go ocucić? Dlaczego?

- Bo serce bić w nim przestało - odrzekł dziadek. - Żwawo! Podtrzymaj ją, Robercie!

Moira wpadła w me ramiona.

- Umarł! - szepnęła mdlejącym głosem.

- Niepodobna, by umarł! - zawołałem. - Nie było ani śladu rany.

- Neen - rzekł Piotr.

Podniósł latarnię z tego miejsca, gdzie ją postawiłem na pokładzie, i skierował światło na wierzch głowy pułkownika O'Donnella. W poprzek lewej skroni Irlandczyka znaczyła się sina kresa podobna do blizny.

- Postrzał powierzchowny - oznajmił Piotr. - Kula przeszła tuż blisko.

- Ależ skóra nawet nie jest zdarta! - sprzeciwiłem się.

- Ja, ale to nie zmienia faktu... neen!

Murray nachylił się i palcami wymacał pręgę.

- Piotr ma słuszność - odezwał się. - Wstrząs uszkodził mózg. Słyszałem ja nieraz o takich dziwacznych postrzałach, ale nigdy nie widział czegoś podobnego.

Moira przywarła do moich ramion.

- Więc on naprawdę nie żyje? Padre naprawdę nie żyje? Więc umarł... bez spowiedzi, bez duchowej pociechy? O święci Pańscy, bądźcież jego orędownikami! Doprawdy, byłże kiedy sroższy zgon?

I zaniósł się rozpaczliwym płaczem.

- Zaprowadź ją na dół, Robercie - rzekł dziadek. - My pójdziemy za wami.

Pozwoliła bez najmniejszych sprzeciwów sprowadzić się z rufy, podobniejsza niż zwykle do dziecięcia, łkając, labiedząc i powtarzając raz po raz te same rzeczy z zapamiętałością bólu, jaką spotkać można tylko u Irlandczyków.

- Waćpan jesteś mi serdecznym przyjacielem - wyjąkała, gdy doszliśmy do sypialni. - Ach, panie Bob, bardzo mi jest potrzebna pańska obecność, bo jestem sama jedna, sierota, na tym zbójckim okręcie. Doprawdy, na całym świecie nie mam już przyjaciela oprócz ciebie i pana Piotra. Ale też ze mnie niegodziwa, samolubna dziewczyna, że myślę o swej własnej doli, a tymczasem ojciec mój, który mnie kochał, stanął już przed bramą niebios, nie otrzymawszy świętego wiatyku ani nawet pacierza za swą duszę. Ach, cóżeśmy tak złego popełnili oboje albo jedno z nas, że zabrano go tak ode mnie bez słowa pożegnania? Siostry zawsze powiadały, że powinniśmy pozyskać łaskę Bożą, ale widać nie należała mi się ta łaska...

Udało mi się na koniec uspokoić Moirę; wlałem jej do ust łyk gorzałki i nakłoniłem, by się położyła spać.

Szary brzask przesączał się przez okna na tyle okrętu, gdy powróciłem do dziadka i Piotra, siedzących w głównej kajucie. Piotr był jak zawsze spokojny, pykając gorliwie z glinianej fajki o długim cybuchu, natomiast mój krewniak wydał mi się bardziej zakłopotany, niżli go widywałem kiedykolwiek w przeszłości.

- Sądzę, że ci się udało uspokoić biedną dziewczeczkę - powitał mnie na wstępie. - A niechże mię, jakaż to kiepska sprawa! Nie wybrałbym nigdy O'Donnella na towarzysza podróży, ale bez niego nie wiem, co mam czynić. Całe przedsięwzięcie...

Potrząsnął głową i wpatrzył się poza okno, przy którym stał to otwierając, to zamykając wieczko swej tabakiery.

- Ale najpierw musimy zaczekać na "Konia Morskiego" - dodał ni stąd, ni zowąd. - Uczynię to z tym mniejszą niechęcią po ostatnim strzale. To ci dopiero diabelne szczęście! Strzał pobitego nieprzyjaciela, oddany po ciemku, na oślep... I pomyśleć, że musiał ugodzić człowieka najbardziej mi potrzebnego w mych zamiarach. Mógłbym... Dobrze, dobrze, nie ma o czym mówić! Musimy triumfować nad tym, co nieoczekiwane. Muszą to przebyć wszyscy wielcy wodzowie chcąc pozyskać ostateczne zwycięstwo.

Mimo woli poczułem w sobie wrogie usposobienie względem jego stanowiska.

- Co waszmość zrobiłeś z pułkownikiem O'Donnellem? - zapytałem chłodno.

- Piotr zaniósł go do sypialni. Wyprawimy mu wspaniały pogrzeb, skoro powrócimy na wyspę. A może kiedyś przyjedziemy doń urzędownie, całą eskadrą okrętów królewskich, i zabierzemy jego prochy do domu, by pogrzebać w ziemi, z której był wygnany.

Dziadek ożywił się widocznie i rozpromienił na twarzy lubując się obrazem wywołanym własnymi słowami.

- Tak, tak - mruknął na pół do siebie. - Co mógłby wykonać O'Donnell, może i ja potrafię. Nasi przyjaciele w Awinionie nam dopomogą. I Robert!

To mówiąc zwrócił się ku mnie.

- Ach, mój chłopcze, ten nieszczęsny wypadek najlepiej usprawiedliwi moją natarczywość względem ciebie. Cóż bym ja zrobił bez ciebie i Piotra! Wam obu oraz panie Moirze poruczę nawiązanie łączności pomiędzy nami i pełnomocnikami króla we Francji.

- Waszmość pono zapominasz, że nie jestem jakobitą - odpowiedziałem kwaśno.

- Sza, będziesz ty jeszcze tak hardym jakobitą jak sam ksiązę Karol.

- Przenigdy!

Uśmiechnął się.

- Zostawimy to pannie Moirze.
- Zdaje się, sze waćpan zapominasz o "Koniu Morskim" - wtrącił Piotr.
- Nie, Piotrze. O losie "Konia Morskiego" zadecyduję w ciągu kilku godzin!

- I Bóg - dodał Piotr, jak gdyby nie zważając na słowa Murraya.
Dziadek roześmiał się wesoło.

- Kochany Piotrze, ludzie rozsądni cię pouczą, że Boga nie ma... lub jeżeli przypuścimy istnienie Boga, to mamy wszelkie podstawy przyznać większą moc nieuniknionemu Złu. Doprawdy, gdybym dał się nakłonić do składania czci jakiejś istocie nadludzkiej, wybrałbym raczej szatana. Ale zabrnęliśmy w dysputę filozoficzną, a tymczasem, jak słusznie mi przypomniałeś, trzeba zwrócić uwagę na przeciwnika. Chodźmy na pokład.

Piotr nic na to nie odpowiedział i wyszliśmy na główny pokład, gdzie żeglarze krzatali się usuwając ślady pierwszej kanonady otrzymanej z "Konia Morskiego"; wyrządziła ona nieco pomniejszych uszkodzeń i przypawiła o śmierć paru ludzi. Było już dość jasno, co pozwalało nam rozejrzeć się wokoło - lecz była to dziwna jasność, jakiej nigdy dotąd nie zdarzyło mi się widzieć: jakowyś gęsty, miedziany światłokrąg, w którym jeszcze nie dostrzegało się słońca. Morze było całkiem gładkie, a wiatr co pewien czas zawiewał lawirując od południo-wschodu na południo-zachód. Wyspę Lunety mieliśmy od strony borku - jej zarysy były zadziwiająco wyraziste, jak gdyby wgrzyły się w obrzeże stalowomodrego morza i matowo połyskującego nieba, które je obejmowało. "Koń Morski", tak jak i "Jakub", wydostał się już z Zatoki Kapitana Kidda i mknął z wiatrem na północ, pomiędzy nami i ostrówkiem zwanym Wyspą Szkieletów.

Murray powiódł bystrym okiem po ożagłowaniu i zawołał na Marcina:

- Czemuż to na bezanmaszcie nie ma żagli?

- To z powodu tego ostatniego... strzału, kapitanie - odpowiedział sztorman podnosząc rękę do czoła. - Gdyby pan się przyjrzał, zobaczyłby niechybnie, jak to nas poczęstował ten... dwunastofuntowiec.

Poszliśmy za jego wskazującym palcem. Kula, która tylko drasnęła głowę pułkownika O'Donnella, o wiele cięższe uszkodzenie zadała maszтови tylnemu. W maszcie była wyrwa na głębokość paru cali, tak dokładna, jak gdyby wyrąbał ją topór jakiegoś olbrzyma.

Dziadek z wielką powolnością zażył tabaki.

- Co za traf! Co za traf! - mruknął.

A potem głośno dodał:

- Wiele nas kosztował ten strzał, bodajby go! No, Marcinie, przy najbliższej sposobności musimy spławić ten maszt, ale i bez niego uda się nam zapędzić Flinta w kozi róg. "Koń Morski" jest już przegniły i ciężko porusza się na wodzie; "Jakub" może krążyć wokoło niego przy tym wietrze.

Na ogorzalej od wichrów twarzy Marcina pojawił się posępny wyraz.

- Przepraszam, miłościwy panie, ten... wiatr wcale mi się nie podoba.

Będziemy mieli burzę... albo też jestem skończonym ciemięgą.

Dziadek wzruszył ramionami.

- Burza czy nie burza, ale "Koń Morski" wiezie prawie czterysta tysięcy funtów.

- Tak, łaskawy panie, ale, za pozwoleniem, najlepiej będzie go zatopić i szukać schronienia.

- Zatopić go! Człowiecze, ależ utracimy skarby!

- Lepiej utracić skarby, które są na "Koniu Morskim", niż pójść na dno - odrzekł Marcin z przekąsem. - Czyń waszmość, co ci się podoba, ale jestem... jeżeli to nie nadciąga jedna z tych okropnych burz karaibskich, co to człękowi od nich aż włosy stają na głowie.

Murray przez dłuższą chwilę przyglądał się czterem stronom nieba.

- Muszę przyznać słuszność twoim przepowiedniom, Marcinie - rzekł na koniec - sądzę jednak, że mamy dość czasu, by zdrzeć z "Koniem Morskim". Flint nie odważy się płynąć na południe, ponieważ wiadomo mu o gniazdach szerszeni, któreśmy rozjątrzyli na tutejszych morzach. Moim zamiarem jest zapędzić go w pułapkę i zmusić do lądowania. Jeżeli ten wiatr będzie trwał nadal, zagnamy tego szelmę na północne wybrzeże, a gdy "Konia Morski" uwięźnie przy brzegu, ruszymy i wpłyniemy do Zatoki Północnej.

Czy to cię zadowala?

Sztorman zawahał się.

- Waszmość tu jesteś kapitanem. Ale gdybym ja tu miał jakiś głos, powrócilibyśmy do Zatoki Kidda, mniejsza o "Konia Morskiego".

Dziadek wyprostował się i rzekł wyniośle:

- To niemożliwe. W każdym razie podpłyniemy do "Konia Morskiego", a waćpan nakaz Coupeau, by pokazał, jaką szkodę może on wyrządzić temu okrętowi swymi działami pościgowymi.

Marcin zasalutował i ruszył na przód okrętu. Dziadek poprowadził nas na rufę.

- Stary żeglarz może iść w zawody ze starą babą - ozwał się mimochodem, idąc przede mną po drabinie od strony sztymbortu. - Niech no tylko zwęszy zbliżanie się burzy, a już ma ochotę drapnąć do najbliższej przystani...

tak, i to zarówno korsarz, jak i żyjący w zgodzie z prawami kupiec.

- O'Donnell miał ponoć rację, gdy radził doprowadzić do końca dzieło, które waszmość rozpocząłeś w zatoce - bąknąłem, niezadowolony z wyglądu nieba.

- W takim razie, mój drogi wnuku, połowa z nas musiałaby wyginąć - odparł mój krewniak. - Poznałeś już nieco tych wilków, do czego są zdolni, gdy ich opanuje chciwość. Nie, nie! Nie jestem tchórzem podszyty, ale wolę raczej zwyciężyć przeciwnika spokojnie i po pewnym czasie, niż dawać mu równą sposobność do rozdarcia mi gardła.

Piotr chrząknął.

- Czy co powiedziałeś? - zapytał Murray grzecznie.

- Neen, nie powieciałem nic. Ale sącę, sącę, sze dopsze bęcie, jeżeli waszmość capniesz "Konia Morskiego" i sam wyjdziesz cało... Jeżeli nie uda ci się jedno i drugie, to nic z tego, sze jedno ci się powiecie, neen!

Dziadek podniósł lunetę i rzekł:

- Doskonale określiłeś, Piotrze, jedną z zasadniczych reguł powodzenia w każdym przedsięwzięciu. Kapitan Flint lepiej się spisuje, niż przewidywałem. Widocznie dzięki jakowejś opatrności ma on tam koło wyspy bardziej stały wiatr niż my tutaj. Aha. Słyszysz szczenie Coupeau.

Obłok dymu potoczył się na tył pokładu, gdy huknęła długa osiemnastka, stojąca na sztymborcie forkasztelu. Kula wyrzuciła fontannę wody o parę stóp od "Konia Morskiego", który teraz płynął równoległe z nami. Flint odpowiedział jedną ze swych dwunastek, ale kula padła za blisko. Nasze działo znów huknęło, a tym razem kula odbiła się od powierzchni wody i ugodziła w kadłub "Konia Morskiego".

- Dobrze - zauważył mój dziadek - ale trzeba nam teraz celnego uderzenia w reję.

Coupeau tyle tylko dokazał, że dwa następne pociski poszły za wysoko i rozbryzgały wodę poza celem. Ale dłużej już nie było mi dane przyglądać się wynikom jego palby, gdyż za piątym strzałem wyszła na pokład Moira O'Donnell, otwierając szeroko oczy z przerażenia.

- Przyrzekłeś mi, panie Robercie, dopiero przed paru minutami, że nie zostawisz mnie samej, jeżeli znów rozpocznie się walka - uczyniła mi wymówkę.

- To nie walka - odpowiedziałem.

- A jakże, staramy się tylko zapędzić tych drabów do brzegu - zapewnił ją Murray. - Oni nie mogą nas osiągnąć z tej odległości.

Ona przyjrzała się wąpiącym okiem tej scenie i niezbyt była skłonna dawać nam wiarę.

- Ale czemuż to światło jest takie dziwne? - zapytała. - Zupełnie tak wygląda, jakby ktoś otworzył drzwiczki gorzącego pieca kuchennego.

- Nadciąga brzydka pogoda, mości panno - odparł dziadek. - Powinnaś iść na dół.

Ale ona cofnęła się przed nim i obiema rękami pochwyciła silnie za ramię Piotra i mnie.

- Nie, nie, ja nie chcę iść tam znowu! - załkała. - Tam, w kajucie, nie mogę myśleć o niczym, jak tylko o bólu, który nade mną zaciężył. Pozostanę tutaj, na wolnym powietrzu.

- Doprawdy nie będzie to miejsce bezpieczne w czasie burzy - przekonywałem ją.

Ale ona tym silniej nas się uchwyciła.

- Nie pójdę na dół! Wolę być zabita przez korsarzy, niż zejść do kajuty. Tam na dole hałasy wody i okrętu będą mi brzmiały jak lament upiora. Nie, nie! W kajucie przebywa śmierć... i światło takie jest posępne... i te zgiełki będą rozlegały się wokół mnie... jakby przez całe życie... Nie chcę, nie chcę tego! Naprawdę nie dbam o żadne niebezpieczeństwo, jeżeli będę mogła pozostać tutaj i widzieć wszystko.

- Pozwolimy wacpannie pozostać - rzekł Piotr uspokajająco. - Ja, lepiej pozwólmy zostać tej ciefczyni, Murrayu. Bob i ja będziemy się nią opiekować.

- Będziemy - poparłem jego słowa.

Dziadek popatrzył na mnie z lekkim uśmiechem.

- Zdaje się, Robercie, że zaczynasz zmieniać przekonanie - zauważył. - W każdym razie niech Moira pozostanie z nami. Przypuszczam, że nic się jej nie stanie od zmoknięcia.

Ale burza trzymała się od nas z dala przez cały poranek, gdyśmy jechali wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy, a następnie na pełne morze, by osaczyć "Konia Morskiego" od północy. Coupeau raz wraz walił w nieszczęsny statek i strzaskał mu maszt przedni; jednakowoż przeciwnik wciąż trzymał się z dala od brzegu i czynił rozpaczliwe wysiłki, by nas wyprzedzić i zyskać swobodną drogę w stronę wiatru, a kiedy koło południa wiatr ustał do reszty, stanowisko obu statków było całkiem takie samo jak na początku gry w kotka i myszkę, w którą zabawiał się Murray.

"Król Jakub", dzięki większej obrotowości, bardzo się posunął w ciągu ostatniej godziny i był więcej niż na odległość strzału armatniego na

północny zachód od "Konia Morskiego"; najdalej na północ wysunięty cypel łańcucha górskiego - ten, który korsarze przewali Masztem Przednim - był prawie dokładnie na południowy wschód od nas. Gdyby wiatr powiał znowu mniej więcej w tym samym kierunku, "Konia Morski" znalazłby się w pułapce zastawionej przez Murraya. Przeciwnikowi pozostawały dwie drogi do wyboru: albo mógł zatrzymać się i wystąpić do boju, narażając się na niechybne ciężkie straty wśród załogi, albo też przybić do brzegu, gdzie w razie czego załoga mogłaby się schronić w lasach i - według wszelkiego prawdopodobieństwa - udaremnić pościg... chyba że Murray porwałby się na ryzykowne przedsięwzięcie, by wdzierać się w skaliste zakątki wyspy. Wydawało się rzeczą prawie niewątpliwą, że po wielogodzinnym ostrzeliwaniu, na domiar ciężkich porażek w czasie nocnej utarczki, niesforna załoga "Konia Morskiego" ujmie w swe ręce ster sprawy i wybierze drugą drogę, która stworzy im możliwość ocalenia życia, mniejsza za jaką cenę.

Sternik właśnie przewrócił klepsydrę (powszechnie wtedy używany przyrząd do mierzenia czasu, złożony z dwóch szklanych, stożkowatych naczyń połączonych bardzo wąskim kanalikiem; z górnego naczynia przesypuje się do dolnego piasek), która wraz z kompasem spoczywała w skrzynce obciążonej pokrowcem, tuż przed kołem sterowym, gdy posłyszeliśmy wołanie Marcina, który znajdował się na drabince sznurowej w połowie głównego masztu, wpatrując się przez lunetę w rąbek widnokregu. Dziadek krzyknął mu odzew:

- Czy nadciąga wiatr?

- Tak jest, panie kapitanie - huknął Marcin, a obecnie już w jego głosie nie było łagodności. - Albo jestem najgorszym... jaki żył na świecie, albo też nadchodzi naj... wiatr, jaki kiedykolwiek przeciągał przez niebo.

Osunął się co żywo z drabinki i przybiegł do zrębu pokładu tylnego; twarz miał poważną i surową.

- Najlepiej będzie, jeśli zrąbię maszt tylny! - zawołał.

- Poniechaj obawy, Marcinie - odparł Murray. - Przeżyłem już niemało burz na "Królu Jakubie". Zwiń żagle, w tym masz rację, ale jeżeli niepotrzebnie poświęcimy maszt, to przez tygodnie będziemy kuleli. Skąd idzie ten wiatr?

Marcin machnął ręką w stronę północno-zachodnią.

- Spójrz no sam, kapitanie. Jestem już stary, ale nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

W odpowiedzi na to Murray wspiał się z niebywałą zręcznością po linach masztu tylnego, ja zaś wygramoliłem się za nim. Byliśmy o jakie pięćdziesiąt stóp nad pokładem, gdy ujrzeliśmy wyraźnie gołym okiem ogromną purpurową płachtę, która posuwała się naprzód przez północną połąć nieba; było to zjawisko dzikie i piękne zarazem, o jaskrawym natężeniu kolorów. Poszarpane wstęgi błyskawic tryskały z jej ciemnych głębin. Strzępiaste kiście chmurzysk burzonośnych rozwijały się wokoło niby macki jakiegoś olbrzymiego polipa. Wszystko to zbliżało się ku nam z niesłychaną chyżością, a przez te kilka chwil, przez które przyglądaliśmy się zjawisku, już zdołało ono zasłonić znaczną przestrzeń nieba i morza.

Dziadek gniewnie wykrzywił twarz.

- Za późno już poświęcać maszt - odezwał się. - Nie mielibyśmy czasu uprzętać złomu.

Wraz też po całym okręcie rozbrzmiały jego komendy:

- Na reje, marynarze! Hola, Coupeau! Przymocuj silniej armaty przednie i sprawdź, czy baterie boczne są zabezpieczone i strzelnice pozamykane.

Pozamykać wszystkie luki, Saundersie!

Nie dał on i mnie spokoju, gdy stąpił na rufę.

- Przynieś zwój cieńszej liny, Robercie - rozkazał mi krótko. - Wszyscy będziemy musieli silnie się przywiązać.

- Czy mam zanieść Moirę na dół?

Zawahał się.

- Nie, będzie miała lepszą sposobność... - i nie dokończył zdania. -

Niech zostanie na pokładzie. W razie potrzeby będziemy jej tu mogli służyć pomocą. Spiesz się, chłopcze! Musimy mieć linę, zanim wiatr w nas uderzy.

Ześliznąłem się po karnacie (karnat, want - nazwa każdej z grubych lin służących do umocowywania masztów z boków) na pokład główny i doszedłszy do skrzyni z przyborami masztowymi, przymocowanej do przepierzenia kajuty, wy dobyłem stamtąd żadaną linę. Ostatnie słowa dziadka wywarły na mnie większe wrażenie nawet niż złowieszcza zjawa zakrywająca północną część nieba; dreszczem też przejął mnie niezmierny pośpiech, z jakim uwijała się cała załoga, by przygotować okręt na spotkanie burzy. Nie było niemal żadnego hałasu, tylko czasem zabrzmiał głos komendy i odzew oznaczający jej spełnienie; lecz każdy człowiek pracował tak usilnie, jak gdyby od tego zależało jego życie.

Murray stał z Moirą i Piotrem koło sternika, a podczas gdy oni w osłupieniu przypatrywali się nadchodzącej burzy, jego oczy zwrócone były w stronę "Konia Morskiego".

- Flint widocznie jest trzeźwy - rzekł z goryczą. - Właśnie zwija żagle.

A, żeby to piorun trzasł! W sam raz dobre zakończenie feralnego dnia!

Miałem go w garści, a teraz... Doprawdy, on jeszcze gotów wyjść cało, gdy natomiast my...

Z ośrodka nadciągającej burzy przybiegło ku nam jęśliwe wycie, jak gdyby ścierających się i skłębionych wichrów. Niebo pociemniało. Tchnienie powietrza, ciepłe i siarką przesycone, zjeżyło mi włosy. Wycie przeszło w zgiełk potępięczy i wrzawę.

Dziadek wyciągnął składany nóż zza pasa sternika, człowieka o krzywych nogach i płaskiej, szczerbatej gębie, która mimo całego podniecenia, wywołanego zapowiedzią burzy, nie zdradzała swym wyrazem najmniejszego niepokoju.

- Daj mi tę linę, Robercie! - zawołał Murray. - Głupio czynię, że tracę czas na gawędzenie. Hej, Piotrze, sam tu! I cisnął Holendrowi koniec liny.

- Przywiąż pannę Moirę do tych antabek... a najlepiej przywiąż ją też i do siebie. Ona nie zdoła sama utrzymać się na nogach. Ty zaś, Robercie, pomóż mi przywiązać sternika do koła.

Jedna z chmur, wyprzedzających gęstwą burzy, stanęła nad naszymi głowami, trzaskając gromami i rozbryzgując strugi deszczu; palce nam grabiły, gdyśmy przywiązywali najpierw sternika, a następnie siebie samych. Szum burzy zamienił się w ponury, iście zwierzęcy ryk, potęgowany od czasu do czasu łoskotami piorunów.

Ogromna zasłona zawisła nad "Jakubem" - czarna i nieprzebita u nasady, a ciemnokształtna w miarę posuwania się naprzód. "Konia Morski" majaczył niby okręt-widmo od strony wiatru, a wkrótce znikł mi zupełnie z oczu, zanurzony w ciemności.

- Matko Najświętsza! - westchnęła Moira. - Już wszystko stracone!

I tak istotnie się wydawało. "Konia Morski" gdzieś przepadł. Północny brzeg

wyspy zmroczniał i zniknął. Przez chwilę sterczał jeszcze w górze wierzch Masztu Przedniego, ale niebawem i on się zatarł przed naszymi oczyma. Szkarłatny półmrok jał gęstnieć. Deszcz lał się strugami z chmur zwieszonych niewiele co wyżej głowic naszych masztów. Żółtawe płomienie błyskawic migotały i gasły w morzu. Wicher smagał nas wyjąć zaciekle, jakby w radosnym upojeniu, i zagarniając w swe objęcia wszystko, co nie było przymocowane do pokładu.

"Jakub" zatrząsł się pod tym naporem, zanurzając się przodem i przechylając na prawy bok... Dziadek i ja runęliśmy twarzą na pokład. Sternik przygiął się nad sterem. Piotr pochylił się nad Moirą i osłaniał ją swym ciałem.

Naraz okręt się wyprostował, ale w sam raz, gdy dochodził do równowagi, rozległ się przeciągły trzask łamiącego się drzewa i uszkodzony bezanmaszt runął na pokład miażdżąc kilkunastu ludzi swym upadkiem, a drugie tyle zmiatając w morze przez wyłom powstały na bakborcie.

Rozpaczliwy krzyk konających przedarł się skroś zgiełku burzy, a "Jakub" cały zadudnił echem, gdy na jego kadłub zważyło się ogromne drzewce wraz z całą siecią rei i olinowania, uderzając weń niby ciężki młot kowalski; bezwładne brzemie przechyliło w bok okręt wciągając nas w zator fal idących za nieprzepartym podmuchem wiatru. Z wysokości, która niemal dorównywała wzniesieniu grotrei, spadły na nas strome zwały wodne łomocąc głucho o rufę i forkasztel. Olbrzymie bałwany tłoczyły się tak gęsto, że dusiliśmy się prawie pod ich nawałą. Pokład środkowy był jednym zalewem spienionych wód, które wiły się i szamotały u parapetów burtowych i schodowych.

Murray powstał, chwiejąc się na nogach, i przyłożył usta do mego ucha.

- Trzeba... odrąbać... maszt... oswobodzić... okręt...

Tyle zdołałem zrozumieć, przeto pomogłem mu rozluźnić linę, którą byliśmy przytwierdzeni do pokładu. Piotr zobaczył, żeśmy powstali, więc również się odwiązał, przezornie umocniwszy pęta Moiry. Następnie jęliśmy we trzech iść przebojem w piekielną czelusć pokładu środkowego, gdzie czółna, beczki z wodą i zwłoki ludzkie chygotały się w spienionej kipieli.

W skrzyni, z której wydobyłem linę, znajdowały się i topory; zaopatrzywszy się w nie brnęliśmy powyżej kolan przez grązel wody i złomu, płacząc się w kłębowisku karnatów i węzlic, które łączyły chwiejący się maszt z okrętem. Nikt nie przyszedł nam z pomocą. Poza masztem głównym nie było widać żywej istoty, a doprawdy byłoby niechybnym narażeniem życia, gdyby ktoś usiłował stamtąd dostać się na tył okrętu, gdyż z jednej strony był szeroki wyłom w barierze, przez który wlewała się woda, z drugiej zaś widniała dziura wybita przez maszt tylny. Ktokolwiek by przechodził tamtędy przez pokład, musiałby wpaść w morze z tej lub tamtej strony.

W miejscu, gdzieśmy stali, byliśmy jako tako zasłonięci przez rufę, ale i tak przedsięwzięcie było dość hazardowne. Jeszcze teraz potrafię sobie uprzytomnić postać mojego dziadka, jak odziany w czarny aksamitny surdut i pluderki, zbryzgane do cna wodą morską, pracował zawzięcie, jakby się pozbył połowy swych lat sędziwych, zawsze zręcznie trafiając do głównego węzła płataniny, zawsze pierwszy wstępując w zdradziecką sieć sznurów, gdzie każdy mylny krok groził upadnięciem w morze.

Piotr dwukrotnie wybawił go od niechybnej śmierci, raz zaś ocalił moją osobę, gdy zbałwanione morze chlusnęło w nas pryskiem wodnym, przelewającym się przez burty "Jakuba", i omal nie porwało mnie za powrotem. Sile mięśni

Piotra i przytomności jego umysłu zawdzięczał głównie mój dziadek sprawne wykonanie swych zamierzeń; on to odcinał i odrąbywał od bezanmasztu wszystkie przytrzymujące go wiązadła. I na Boga! nie zanadtośmy się z tym pośpieszyli, bo skoro wygramoliliśmy się z powrotem na rufę, zastaliśmy Moirę z rękoma załamany gestem przerażenia. Ujrzawszy nas wskazała w stronę, w którą nas niósł wichur: skroś szarego dżdżu widniał tam skalisty cypel.

Murray rzucił nań wzrokiem i skoczył do steru. Sternik siedział pochylony nad kołem, w takiej samej dziwacznej, zgarbionej postawie, jaką miał w chwili, gdy uderzyła w nas burza; gdy dziadek schwycił go za ramię, on przechylił się w bok bezwładnie, a ciało miał przegięte w krzyżach. Nie dał żadnej odpowiedzi, a tylko zesunął się w zwoje liny, które przytwierdzały go do siedziska; skurczone palce wysunęły się ze szprych, nogi podwinęły mu się w górę.

- Pękł mu kręgosłup! - zawołał dziadek.

"Jakub" zaczął już płynąć prosto, ale ponieważ koło wypadło z ręki sternika, więc dziób okrętu opadł w dół i okręt zanurzył się niezmiernie w przelewy bałwanów, które spiętrzyły się nad zrujnowanym pokładem średnim, a jedna z zielonych gór wodnych rozbiła się o krawędź rufy obalając nas na pokład. Piotr wstał na nogi wcześniej niż Murray i ja, odrzucił na bok zwłoki sternika i ujął ster we własne ręce. Z wolna, odzyskawszy równowagę, "Król Jakub" zawrócił tam, gdzie go kierował rudel, i jał z wiatrem pruć głębinę.

Cypel, który dostrzegła była Moira, znikł we mgle, lecz dziadek potrząsnął smutnie głową.

- Nabieramy coraz więcej wody - krzyknął do mnie - a wyspa jest od strony wiatru. Trudno nam będzie dobić się cało, a jeżeli...

Z forkasztelu doszedł do nas ledwo dosłyszalny okrzyk:

- Ziemia!...

Przez szparę w chmurach deszczowych ukazał się drugi, niższy cypel, widoczny nad prawą krawędzią dzioba okrętowego.

Piotr zaczął kręcić kołem, byśmy mogli jak najdalej ominąć ten cypel i o ile możliwości uniknąć rozbicia, lecz Murray schwycił Holendra za ramię.

- Nie, nie, Piotrze! - zawołał. - Jedź prosto! Jedź prosto, to Zatoka Północna! Jeżeli uda się nam przejechać na prawo od tego cypla, będziemy bezpieczni!

- Ja - pisał Piotr i stalowe jego mięśnie użyły całego wysiłku, by przemóc napór wiatru i fal morskich, co mu się wreszcie powiodło; "Król Jakub" posuwał się piędź za piędź ku południowi, ominął cypel wschodni w odległości nieledwie połowy liny okrętowej i wpłynął w wąską jak szyja u butelki zatokę, której brzegi porośnięte drzewami dawały zasłonę przed wszelką zawieją i nawałnicą.

Deszcz wciąż jeszcze zaczął. Na dalszych brzegach, na wydmach przymorskich pieniała się dunuga (wielka fala); wiatr gwizdał przeraźliwie w linach okrętowych. Ale ten widok już nas nie przerażał. Moira uklękła modląc się u zwłok korsarza. Dziadek przystąpił do bariery i nakazał pozostałym przy życiu marynarzom, by rozwinięli żagle celem umożliwienia obrotów okrętu. Trafiłem w bok Piotra; on spojrzał na mnie z powagą i rzekł:

- Zdaje mi się, że Bóg ciszej głośniejszemu przemówił od diabła, Robercie...

Ja!

XVIII

Złe wróżby

Gdyby na miejscu Murraya był jakiś inny człowiek, mniej pewny siebie, bardzo by się zafrasował i zaniepokoił szeregiem spadłych nań niepowodzeń. Byliśmy bezpieczni, lecz na tym koniec. "Król Jakub" nabierał wodę tak gwałtownie, że koniecznie należało go osadzić na płaskich, błotnistych brzegach w południowym kącie zatoki. Zaczął przeciekać już wówczas, gdy bezanmaszt strzaskał mu bok, a górne spojenia desek poszły w kawałki. W czasie bitwy z "Koniem Morskim", a następnie podczas burzy utraciliśmy z górą osiemdziesięciu ludzi, lecz najdotkliwszą była strata dwóch oficerów. Ciało Marcina znaleziono tuż przy kikucie masztu tylnego; zabił go ten maszt, któremu on tak nie dowierzał... O Saundersie nie było ani słychu i mogliśmy jedynie przypuszczać, że fala zmiotła go z pokładu.

Załoga była w posepnym i mrukliwym usposobieniu, skłonna do rokoszu lub do drwienia z powagi mego dziadka. Po raz pierwszy mieli powód, by kwestionować jego wszechwładztwo, tak iż trzeba było całej bezwzględności i srogości, by utrzymać ich w korbach, w czym zresztą niemało dopomagał mu Coupeau, a także - wyznam otwarcie - Piotr i ja, bośmy nie chcieli narażać się na hajdamacką swawolę, która nastąpiłaby niewątpliwie w wypadku jawnego buntu tej wielojęzycznej czerni. Dawny galernik wybornie nam sekundował dziewięciorzemienną dyscypliną lub pięścią o ciosie niezawodnym jak długie osiemnastki, z których bił tak celnie.

Z nadejściem zmroku deszcz i wiatr ustał i dziadek zwołał pod rufę zbiórkę całej załogi.

- Stoicie na pokładzie strzaskanego okrętu - przemówił oschle. - Pod pokładem spoczywa tyle skarbów, że każdy może wygodnie urządzić sobie życie, kupować stanowiska, majątki i wszelakie przyjemności. Jeden tylko człowiek może wam wskazać, jak naprawić okręt, i zaprowadzić was tam, gdzie będziecie mogli korzystać ze zdobytego skarbu. Tym człowiekiem jestem ja. Jeżeli mnie nie stanie, będziecie musieli spędzić resztę życia na zabijaniu kozłów pośród tutejszych gór; jeżeli zaś choć raz jeszcze się powtórzy bałagan, jaki dziś widziałem, to zostawię was wszystkich na wyspie, oprócz tych, którzy mi się przydadzą do prowadzenia okrętu. A teraz do roboty! Zanim położycie się spać, żądam, aby pokład był wyczyszczony, a po bokach ustawione rusztowania celem naprawienia burt.

Popędzał ich tak do północy, po czym zmęczonych i nie mogących ustać na nogach odprawił do hamaków.

Rankiem ułożono systematyczny plan zajęć. Za radą Coupeau wybrano zastęp ludzi, na których można było więcej polegać - byli to przeważnie Murzyni, Portugalczycy, Włosi i Prowansalczy - i utworzono z nich drużynę zapasową; pozostałych zaś podzielono na gromadki, na których czele postawiono ludzi odznaczających się zręcznością w pewnym fachu. Jeden oddział zaczął przyprowadzać do porządku ocalałe żagle tudzież kroić i szyć z zapasowego płótna ożaglowanie na bezanmaszt, który druga gromadka ludzi miała wyrąbać na zboczach Lunety i przyturlać na okręt. Trzeci zastęp miał

naprawić wszystkie zewnętrzne uszkodzenia pudła okrętowego, czwarty - zalewać smołą rozluźnione spojenia desek, piąty zaś miał być w pogotowiu do podjęcia niezbędnych reparacji we wnętrzu okrętu.

Coupeau dostał zlecenie czuwania nad robotami na statku, my zaś reszta zanieśliśmy zwłoki pułkownika O'Donnella na szczyt małego wzgórka na wschód od zatoki. Tam, pośrodku sosnowego lasu, ułożyliśmy go na wieczne spoczywanie. Było to miejsce odpowiednie dla tułacza, który nie osiągnął swego celu; szumiały mu drzewne konary, a odległy pogrzmot dunugi grał mu requiem aeternam (łac. - wieczny odpoczynek - pierwsze słowa hymnu śpiewanego podczas katolickich obrzędów pogrzebowych) po wieki wieków... Roztaczał się stąd widok na zielone błonia i karłowate zalesia aż po białą smugę wydm piaszczystych i po błękitną toń morską połyskującą w słońcu.

Wydawało się, że całe lata zbiegły od dnia wczorajszego. Przecierałem oczy spoglądając to na spokojną piękność przyrody, to na zgrabną postać Moiry, klęczącej w rozmodleniu koło kopczyka szarej ziemi usypanego między sosnowym igliwem. Na skraju lasu ludzie, którzy wykopali mogiłę, grali szyszkami sosnowymi w jakąś hazardową grę. Piotr wspierał się na muszkiecie, poważny i wzruszony. Dziadek wpatrywał się w morze przymrużywszy oczy. Gdy na niego spojrzałem, schwycił mnie za rękaw i odciągnął na bok.

- Pozwalam ci zabawić się, jak zechcesz, przez resztę dnia - odezwał się.
- Twoją i Piotra rzeczą jest czuwać nad tą panną. Ja muszę, ile to w mej mocy, przekonać się, co się stało z Flintem!

- A potem? - zapytałem.

- Potem? - brwi mu się zagięły łukowato ze zdziwienia. - A niechże cię... Robercie! Później będziemy tak postępować jak dotychczas.

- Więc waszmość nie możesz zrezygnować z tego szalonego przedsięwzięcia? On okazał względem mnie taką cierpliwość, jak gdybym był krnąbrnym dzieckiem.

- Nie jest to szalone przedsięwzięcie, ale przebiegła polityka niezwyklej doniosłości, mój chłopcze. Cóż? Mamy dać za wygraną li tylko z tego powodu, że okręt nasz został pogruchotany?

Potrząsnąłem głową beznadziejnie, ale postanowiłem znów próbować:

- Namysł się waszmość; można łatwo przysposobić czółno. W nim zajechalibyśmy...

- Wybij to sobie z głowy - przerwał mi z odcieniem zawziętości w głosie.

- Mało mnie znasz, Robercie, jeśli sądzisz, że możesz mnie odwieść od tego, com rozpoczął... zwłaszcza co się tyczy tej sprawy, która pochłania całą ambicję mego życia.

- Ależ my...

I tym razem upór zwyciężył.

- Chłopcze, grasz wielką rolę w mych zamierzeniach. Kocham cię bardzo, ale... Ale nie mówmy o tym planie. Nie lubię pogróżek. Niech ci to wystarczy, że nie wolno ci wspominać nigdy o tej sprawie.

Obrócił się na pięcie i opuścił mnie, a niebawem wraz z drużyną smoluchów, idących za nim gęsiego, schował się w gąszczach na niższych zboczach wzgórza.

Słońce przeszło już poza południk, gdy Piotrowi i mnie udało się nakłonić Moirę, by oderwała się od mogiły; ażeby zaś nieco ją rozruszać, poprowadziliśmy ją na ścieżkę wiodącą ku grzbietom Lunety, gdzie kilkunastu

ludzi z załogi "Jakuba" już zrąbało ogromny świerk i ociosywało pień z gałęzi, przygotowując go do odarcia z kory. W przyległym lesie zabiliśmy sporo ptaków; Piotr zrecznie upiekł je na wolnym ogniu, potem zaś, ponieważ ona rozkoszowała się ciszą zboczy górskich, poszliśmy dalej, tam gdzie już nie było słychać dzwonienia toporów, aż na koniec przybyliśmy do podnóża ostrej iglicy skalnej, która była soczewką Lunety.

Bylibyśmy się tu zatrzymali, ale Moira tyle się nasłuchiwała o straży korsarskiej, utrzymywanej na szczycie, iż poczęła nalegać, byśmy wspinali się do samego końca, mimo że godzina była już spóźniona. Ulegliśmy jej życzeniu, gdyż radzi byliśmy wykonać wszystko, co by jej się w tym dniu podobało i przyniosło ulgę w strapieniu.

Była to wyprawa trudniejsza, niż się zdawało; słońce już było nisko na zachodzie, gdyśmy dotarli do płasni na wierzchołku, zakurzeni i szerniali od ognisk, jakie tu niegdyś palono na wici. Ale widok stąd był wspaniały. Wyspa rozpościerała się pod nami, jak mapa na stole, od Masztu Przedniego, po naszej lewicy, ciągnąc się skalistym grzbieciem zachodniego wybrzeża do góry Masztu Tylnego i do przylądka na zachodzie, który przez starego Marcina zwany był "Dziobem Okrętowym". Po stronie wschodniej nieregularne wybrzeże biegło na północ i na południe aż do Zatoki Kapitana Kidda, wrzynającej się zębem w głąb ładu; ta strona była porośła drzewami gęstymi i splątanymi, z wyjątkiem kilku łąk pośrodku wyspy oraz srebrzystych przeświekli drobnych rzeczulek.

Rozpoznaliśmy maszty "Jakuba", wznoszące się nad Zatoką Północną, oraz wyrąb wśród drzew na północ i wschód od zatoki Kapitana Kidda - było to miejsce, gdzie Flint zbudował warownię. Naraz Moira zawołała:

- O święci Pańscy, czy to okręt? Spójrzaj no waćpan, panie Bob! Panie Piotrze!

Wskazała na wschód; istotnie widać tam było okręt, a raczej topżagle okrętu, wznoszące się nad krawędzią widnokregu. Gdyby nie to, że promienie słoneczne słały się poziomo po powierzchni morza i odbijały się od płócien żaglowych, nie dostrzeżelibyśmy tego okrętu nawet przez lunetę.

- Tak, to okręt - odezwałem się.

- Ja - potwierdził Piotr. - To Flint.

Moira zadrzała.

- Doprawdy, któż by to mógł być inny? - zapytała. - Zdaje mi się, że żaden z naszych przyjaciół nie przybywa tu na zawołanie.

- Może to okręt królewski... - zacząłem.

- Nie - sprzeciwiła się. - Jeżeli przez tyle lat okręty królewskie nie mogły trafić do tej wyspy, to nie wygląda na rzecz prawdopodobną, by, miały tu naraz przybyć właśnie w tej chwili.

- Tak, to okręt... - przystałem niechętnie - okręt o pełnym ożaglowaniu.

- Ja, wygląda on na okręt Flinta - rzekł Piotr.

Zamilkliśmy na chwilę, przerażeni nagłością, z jaką zmieniły się nasze przewidywania, z chwilą gdyśmy niespodzianie ujrzeli te topżagle widniejące o parę mil w oddali.

- Teraz rozpocznie się znowu krwawa bitwa! - zawołała Moira. - Na mą duszę, czy nie dość szafowano życiem ludzkim dla tego skarbu? Czy każda moneta musi być krwią zbryzgana!...

- Lepiej choćmy do Murraya - rzekł Piotr posuwając się w stronę krawędzi skalistej płasni.

- Ale skądże by się Flint wziął tu tak prędko? - zachnąłem się. - To rzecz niemożliwa, Piotrze. On nie potrafiłby...

- Potrafi, ja - odrzekł Holender niewzruszony. - Busza pszeszła po dwóch gocinach, a okręt może być oddalony o ciesięć mil, neen?

Zeszliśmy w milczeniu z Lunety. Zmierzch zastał nas w lesie u jej stóp; drogę powrotną musieliśmy odbywać z największą ostrożnością, tak iż zabrzmiało już osiem uderzeń dzwonka (z taką ścisłością przestrzegano przywróconej karności na lądzie), gdy wyszliśmy z drzew na brzeg Zatoki Północnej i jęliśmy przywoływać łódkę.

Na pomoście przywitał nas dziadek, wyświeżony jak zawsze; ubrany był w śliwkowego koloru satynową kurtkę i błękitne spodnie pluszowe, w białe pończochy i czarne trzewiki ze srebrnymi sprzączkami; włosy miał pięknie przewiązane czarną jedwabną wstążką.

- No, no - odezwał się - długoście marudzili. Nie jesteś chyba zbyt zmęczona, lubciu? - zwrócił się do Moiry. - Nie zasiadałem do wieczerzy spodziewając się, że wnet nadejdziecie. Możecie się przekonać - i zatoczył ręką wokoło - że nie próżnowaliśmy na pokładzie "Jakuba". Zaczynamy wyglądać, jak przystało na okręt, he? Czy nie widzieliście przypadkiem nowego bezanmasztu?

- Lepiej ićcie do kajuty - rzekł Piotr zwięźle.

- Mamy coś powiedzieć waszmości - wyjaśniłem. - Jest to rzecz nie cierpiąca zwłoki.

Przewiercił mnie oczyma i zdaje mi się, że od razu odgadł, jaką niesiemy nowinę. Brząknął w tabakierkę, otworzył ją i zażył tabaki.

- Tak? - mruknął. - Stąd to wiatr dmucha!

Po czym z wdziękiem i dostojnością, w jakiej celował, podał ramię Moirze i wprowadził ją do kajuty głównej.

- Przynieś no nam tylko potrawy na stół, Gunn - rozkazał, gdyśmy usiedli.

- Usłużymy sobie sami.

I zwrócił się do Moiry:

- Zalecam tę rybę. Jest świeżo złowiona, a Scypion - było to imię pozostałego przy życiu Murzynka - jest mistrzem w przyrządzaniu takich potraw; jak państwo widzą, przyprawił ją zieleniną, którą znalazł w lesie.

- Mało mamy czasu, by jeść, a cóż dopiero podziwiać jadło waszmości - przerwałem opryskliwie. - O zachodzie słońca widzieliśmy ze szczytu Lunety topżagle okrętu płynącego od wschodu.

- Przypuszczam, żeście go wzięli za "Konia Morskiego"? - odpowiedział.

- Ja - odezwał się Piotr. - To Flint.

- Bo któż by to mógł być inny? - zapytała Moira.

- Niewątpliwie macie rację - zgodził się mój dziadek. - Na Boga! Ja sam co do tego nie będę się spierał. Nasz wywiad na wschodnim i północnym wybrzeżu nie przyniósł mi żadnych tropów, które by wskazywały, co stało się z "Koniem Morskim"; gdyby się rozbił, to jakiś jego szczątek dopłynąłby do brzegu. Tak, tak, moi drodzy, szczęście nadal nam nie sprzyja. Flint wyszedł cało z tej burzy. Ale nie jest to jeszcze, Robercie, powodem, byśmy nie mieli się uraczyć tą smakowitą wieczerzą... zwłaszcza gdy się pomyśli o tym, że przez parę następnych dni nie będziemy jadali tak wykwinicie.

- Waszmości to nie wzrusza? - zawołałem.

- Czemuż bym miał się wzruszać? Jest to zła wróżba, w tym się z tobą zgadzam, ale rozdrażnienie na nic tu się nie przyda.

- Waszmość tu nie zostaniesz, prawda? - rzekł Piotr.

- Masz zupełną rację, drogi Piotrze. "Król Jakub" w obecnym położeniu byłby dla nas jeno zabójczą pułapką. Dziś jeszcze go opuszczę i przeniosę się do warowni, którą był łaskaw wybudować nam Flint koło wielkiej przystani.

- A skarb? - zapytałem.

On podniósł w górę szklanicę wina i bacznie jej się przyglądał pod światło.

- Niestety, musimy być tam, gdzie jest skarb - odrzekł na koniec. - Ale też, jeżeli się komu podoba, odwrócimy tę zasadę: skarb musi być tam, gdzie my jesteśmy. Nasi ludzie będą mieli pono dużo roboty w noc dzisiejszą.

Moira wyciągnęła ku niemu błagalnie ręce.

- O panie, czemuż choć teraz nie zechcesz wejść w układy z tym okrętem, gdy nadejdzie, by sobie zabrali, czego pragną, i poszli precz? Chyba byłoby to lepsze niż...

- Powoli! - zgromił ją dziadek. - Część tego skarbu to osiemset tysięcy funtów, przeznaczonych dla przyjaciół twego ojca, oni zaś, moja panienko, są przyjaciółmi króla Jakuba. Jesteś, jak sędzę, dobrą jakobitką i nie chciałabyś, by nasza sprawa utraciła choć jeden dublon, za który można nakupić muszkietów w Lyonie lub brzeszczotów w Bredzie?

- Nie żywię zbyt gorących uczuć dla króla Jakuba ani dla nikogo z tych, którzy wysłali mego ojca przed sąd Boga! - krzyknęła Moira. - Co mi tam jakobita czy hanowerczyk; czymże na to zasłużył król Jerzy lub Jakub, że musicie siać mord i łotrstwa... że człek zacny i spokojny spoczywa w ziemi nie poświęconej?! - i zerwała się drżąc z uniesienia, które skrzesało ogień w jej źrenicach. - Jakobita! Odrzucam precz tę nazwę i tych, którzy jej używają!... Nie dała mi ona nic więcej, jak tylko nędzę, wygnanie i śmierć tej, która mię na świat wydała... a teraz... ojciec... i jeszcze...

Zalana łzami uciekła z kajuty, a drzwi jej sypialni zatrzęsły się za nią.

- Biedne dziewczę! Biedne dziewczę! - westchnął dziadek. - Dzisiaj dla niej był dzień próby. Musimy być wyrozumiali.

- Waszmość powinienes paść na kolana, modląc się do niej o przebaczenie, żeś dla zabawki wciągnął ją w te niebezpieczeństwa! - fuknąłem na niego.

- Dla zabawki, Robercie? - sprzeciwił się łagodnie. - Kierowałem się jak najlepszymi powodami, jak najwznioślejszymi pobudkami.

Uderzył w srebrny-dzwonek przed nim stojący, a gdy ukazał się Ben Gunn, rzekł:

- Przyślij mi Coupeau.

Po czym znowu zwrócił się do mnie:

- Ze wszystkich ludzi na tym świecie ty, Robercie, najmniej masz powodów, by ganić mnie za obecność panny O'Donnell.

- Ja mam ich najwięcej! - odparłem w uniesieniu. - Nieszczęście chciało, że jestem krewnym waszmości, więc w pewnej mierze muszę podzielać hańbę wynikającą z postępów waćpana.

On pokiwał smutno głową.

- Słowa! Słowa! Jakichże to pochopnych, nierozważnych słów używa nieraz młokos ulegając ślepym przesądom! Piotrze, odwołuję się do ciebie: czy mój wnuk nie powinien mi być wdzięczny za to, iż nastęczyłem mu sposobność adorowania tej młodej Irlandki?

Piotr wychylił szklankę wódki.

- Lepiej nie mów już nic więcej, Murrayu - burknął. - Neen. Waszmość mówisz za duszo.

W drzwiach korytarza ukazała się potworna gęba Coupeau.

- Oui, m'sieur? - zaszwargotał.

- Aha, Coupeau! - odrzekł Murray. - Jakiś okręt przybliży się do wyspy; może to Flint, może kto inny. Nas to nic nie obchodzi. Musimy obwarować się na ładzie. Skarb i dostateczny zapas żywności na dwa tygodnie pobytu trzeba będzie przenieść do twierdzy za palisadą, na północ od Zatoki Kapitana Kidda. Ludzie będą musieli pracować nawet całą noc, jeśli zajdzie potrzeba. Zrozumiałeś?

- Oui, m'sieur - odrzekł puszkarz.

- To dobrze. Pogoń ich od razu do roboty.

- Oui, m'sieur.

Coupeau niezgrabnym krokiem potoczył się przez korytarz; w chwilę później jego schryplę głos jał wykrzykiwać rozkazy zakłócając ciszę okrętu.

- Dzielny chłop ten Coupeau - napomknął dziadek. - Nigdy nie żałowałem tego, że go ocalał. Ale może byłoby rzeczą dobrą, gdybyśmy poszli na pokład i poparli go swą powagą.

Jednak załoga w mniejszym stopniu, niżesmy przypuszczali, była skłonna sprzeciwić się tej nowej pracy. Nietrudno było znaleźć przyczynę. Przenoszenie skarbów do warowni nad przystanią dawało im sposobność bliższego zetknięcia się z tym ich mieniem; tak bliskiej styczności jeszcze z nim nie mieli - oczarowywała ich ona, podniecała, oszołamiała. Wprawdzie już raz przenosili całą ładugę z "Najświętszej Trójcy", później połowę porzucili na Skrzyni Umrzyka, a dwa dni temu wydobyli resztę do podziału z "Koniem Morskim", lecz tamto było zgoła co innego, aniżeli przenosić pękate, ciężkie skrzynki, beczułki i owinięte w płótno sztaby kruszcowe przez szmat ładu, po ciemnych ścieżynach, mgławo oświetlonych tu i ówdzie latarniami i łuczywem, aż w róg wielkiej stancji drewnianej, która była cytadelą niezdarnej twierdzy Flinta.

Piotr i ja, wraz z Moirą, Beniaminem Gunnem i Scypionem, ruszyliśmy koło północy w odwodzie głównej kolumny opuszczającej pokład "Jakuba". Coupeau wcześniej poprowadził pierwszy oddział, z którego teraz spotkaliśmy kilku ludzi, jak wracali na okręt, by przenieść drugi ładunek zapasów.

Dziadek miał pójść za nami, zabierając z sobą tychże oraz resztę załogi. Na pokładzie "Króla Jakuba" miało pozostać jedynie dwudziestu kilku ludzi, którzy jeszcze nie wyleczyli się należycie z ran otrzymanych podczas bitew z "Najświętszą Trójcą" i "Koniem Morskim", niepodobna więc było narażać ich na przenosiny; umieszczono ich jak najwygodniej na pokładzie działowym.

Zauważyłem z niepokojem, że gromadki, które nas mijały, wiodły z sobą ożywioną, jakby gorączkową rozmowę, bynajmniej nie okazując przygnębienia, jakiego można by się spodziewać po marynarzach zaprzężonych do roboty nie wchodzącej w zwykły tryb zajęć; jednak milkli od razu, skoro zobaczyli, kim jesteśmy.

- Ci ludzie chyba sobie nie podpili - mruknąłem do Piotra.

- Neen - odpowiedział. - Ale stają się pijani przy skarbie.

- Widzicie, jaka to kłątwa ciąży na wszystkich, którzy go dotknęli - rzekła Moira. - Ach, Najświętsza Panno! Bodaj ten skarb spoczywał na wieki wieków w głębinach ziemi, gdzie osadził go Bóg wszechmogący!

Nasze złe przeczucia nabrały uzasadnienia, gdyśmy wywlekli się na piaszczyste zbocza wzgórzka, na którym zbudowana była warownia. Skroś drzew ukazał się jaskrawy blask ogromnego ogniska, a zachryple głosy nuciły tę ohydłą pieśń marynarską, którą poznałem przy pierwszym zetknięciu się z bractwem korsarskim.

Piętnastu chłopów na Umrzyka Skrzyni -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Piją za zdrowie, resztę czart uczyni -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Nigdy poprzednio nie słyszałem tego śpiewu pomiędzy załogą "Jakuba".

Gdy zbliżyliśmy się do częstokołu, ujrzeliśmy poprzez luki garstkę korsarzy, którzy pocieszenie odziani w szerokie pantalone, błyszcząc od kordelasów i pistoletów wetkniętych za pasem, skakali dokoła watry jak Mohikanie odprawiający płasy nad poległym wrogiem.

Nie zwrócili na nas najmniejszej uwagi, przeto przeszliśmy skwapliwie w poprzek wykarczowanego placu aż do drzwi stancy, gdzie stał Coupeau oparty niedbale o ścianę.

- M'sieur le capitaine ma przyjść? - zapytał.

Odpowiedziałem potwierdzająco.

- Prędko przyjdzie?

Wzruszyłem ramionami, on zaś chrząknął:

- Może pójdziemy... do tych łotrów - zagadnął.

- Czy dostali rumu? - zapytałem podejrzliwie.

- Non. Mają ogień... i widzą dużo pieniędzy.

Urwał.

- Może państwo pójdą - rzekł po chwili i nie czekając na naszą odpowiedź podążył sam w stronę ogniska.

Wepchnąłem Moirę w głąb stancy, a sam w towarzystwie Piotra poszedłem za puszkarzem. Chciałem nabić pistolet, ale Piotr pochwycił mnie za ramię.

- Neen - ozwał się. - Dokaszemy tego pięściami i głosem... albo nie dokaszemy niczego, Robercie.

Taka była również taktyka Coupeau, lecz on polegał głównie na swych pięściach. Wkroczył w krąg marynarzy, tłukąc na prawo i na lewo, Piotr zaś i ja poszliśmy w jego ślady. Kilku ludzi sięgnęło po kordelasy, ale te wyrwali im, zanim zdążyli obnażyć klingę.

Wśród tego harmideru zabrzmiał nagle z mroków ostry głos Murraya, który sprawił, że nasi przeciwnicy pierzchli z trwogą.

- Do kroćset! - wycedził kapitan. - Czy chcecie, łotry, zapanować nade mną dlatego, że na parę godzin odwróciłem się do was plecami?

Wystąpiłem naprzód, stając w świetle ogniska.

- Ostrzegałem was nie dawniej, jak w zeszłą noc - mówił dalej zimnym jak lód głosem. - Chyba to powinno było wystarczyć...

Coupeau!

- Oui, m'sieur!

- Kto tym razem wszczął burdę?

Puszkarz utkwiał swój straszny wzrok w poblądłych twarzach gromady warcholów.

- Ten człowiek.

I jął kolejno wskazywać winowajców.

- On... On... On... On...

- Doskonale - rzekł dziadek. - Większość nas woli spać, wiedząc, że rankiem na pewno czeka nas żmudna praca; lecz nie chcę skwasić tych, którzy mają ochotę bawić się dziś w nocy. Owszem, wynajdę im rozrywkę. Coupeau, weź tych pięciu i tych drabów, którzy dokazywali pospołu z nimi, i czuwaj nad tym, by ich zwolennicy wymierzili każdemu z nich po sto pięćdziesiąt batów.

Przez chwilę trwało milczenie. Następnie wzbił się szmer zgrozy; jakiś człowiek począł szlochać.

- Na Boga! Panie kapitanie... łaskawy panie kapitanie... my nie wytrzymamy stu pięćdziesięciu batów! Żaden człowiek nie wytrzyma... Nie mów tego, łaskawy panie. Czołgamy się przed tobą, kapitanie... gotowiśmy umrzeć...

- Powinniście byli wcześniej o tym pomyśleć - odparł Murray niewzruszenie.

- Nie każ dawać stu pięćdziesięciu plag, kapitanie - błagał ktoś inny. - Na pewno od tego umrzemy.

- Nie zdziwiłoby mnie, gdyby tak się stało - przytwierdził dziadek zażywając tabaki. - Weź ich, Coupeau... i zaprowadź z łaski swej tak daleko, by nie było słychać ich wrzasków.

XIX

Napaść na warownię

W świetle dnia ujrzeliśmy "Konia Morskiego" wjeżdżającego całym pędem do przystani; jednak dym naszych ognisk kuchennych widocznie wprawił w zakłopotanie drużynę kapitana Flinta, bo spuszczone łódkę, która ruszyła na zwiady w głąb zatoki. Ze szczytu naszego wzgórza niepodobna było rozeznąć, co czyniła obsada łodzi; widać było tylko, że odjechali z powrotem, skoro się przekonali, że "Jakub" nie czatował na nich w zasadzce. "Koń Morski", przycumowawszy łódkę, ruszył pełnymi żaglami w stronę północną.

- Wybiera się do Zatoki Północnej - zauważył Murray chowając lunetę do kieszeni. - Flint odnajdzie "Jakuba" i na przedwieczeru przybędzie do nas.

- Jego działobitnia krótką będzie miała sprawę z tą lichotną fortecą - odezwał się markotnie.

- Niepoprawny z ciebie pesymista, Robercie - zgromił mnie dziadek. - Jest rzeczą niemożliwą, by okręt tej wytrzymałości, co "Koń Morski", mógł się zdobyć, na salwę ze wszystkich dział.

- Czemu waszmość nie wdasz się z nimi w układy? - burknąłem. - I tak aścine osiemset tysięcy jest bezpiecznie ukryte.

- Wyłuszczyłem zeszłej nocy swe powody pannie O'Donnell.

- Ale nie byłeś wówczas waszmość zmuszony zachłostać na śmierć pięciu drabów - sprzeciwiłem się. - Żadna załoga nie zechce walczyć bez nadziei zwycięstwa.

- Oni i im podobni walczyli za mnie przez trzydzieści lat - odparł dziadek spokojnie. - Nie myślę też doprowadzać do walki beznadziejnej, Niech no mi się tylko uda wciągnąć Flinta do ataku na nas tutaj, a ręczę ci, że nie stanie mu ludzi do obsługi okrętu. Zresztą mylisz się w swym pierwszym twierdzeniu, Robercie. Z wczorajszych rokoszan zmarło tylko trzech; dwóch jeszcze żyje... ale czują się bardzo mizernie... O, bardzo

mizernie.

- Jakże oni muszą kochać waćpana! - zadrwiłem.

Dziadek zwrócił się do Piotra, który nic nie mówiąc żuł źdźbło trawy, i zagadnął go:

- Może przekonamy się, czy panna O'Donnell dokończyła swej toalety? Chce mi się jeść i z chęcią spałaszowałbym śniadanie.

- Wzmianka waszmości o tej pannie jest najsilniejszym argumentem, że powinniśmy podjąć układy z Flintem - począłem znów swoje. - Czegóż może się ona spodziewać, jeżeli...

- Robercie - przerwał mi dziadek uprzejmie - mówisz na wiatr. Cała przyszłość tej dziewczeczki związana jest z moim powodzeniem, a w powodzenie mej sprawy nawet wątpić niepodobna. Jak to? Mamże ugiąć kolano przed hałastrą obwiesiów i niedołęgów stanowiących załogę "Konia Morskiego"? Przecież ich widział!

Tu podniósł głos.

- Wiesz, jaka karność panuje między nimi! Czy myślisz, że ludzie tego pokroju zdołają mnie pokonać? To rzecz nie do wiary, powiadam ci! Nie mogę się mylić.

- Ja - rzekł Piotr wypluwając źdźbło trawy. - Raz już się pomyliłeś.

- Pomyłka to rzecz względna - odparł dziadek - i wyraz ten może mieć różne znaczenie. Według tego, co ty, Piotrze, określasz tym słowem, byłem zmuszony obrać zawód, który doprowadził mnie do tego, iż jestem ośrodkiem sprzysiężenia mającego obalać królestwa. Ale nie kłóćmy się już o nic, lepiej zatopmy wszelkie nasze nieporozumienia w filiżance czekolady.

Nie było już o czym mówić, więc aczkolwiek niechętnie, obaj, tak Piotr, jak i ja, byliśmy zmuszeni czynić wszystko, co było w naszej mocy, by umocnić stanowisko. Piotr wpadł na pomysł, by zająć ludzi kopaniem płytkich dołków za palisadą, celem lepszej osłony przed ogniem muszkietowym ze skrajów lasu i zarośli u podnóża góry. Również, jak mi się zdaje, on to poradził, by zbudować dla Moiry zabezpieczającą przed kulami alkowę z ustawionych w kącie stancy skrzyń i beczulek ze skarbem.

Ledwośmy ukończyli te przygotowania, aż tu ponownie ukazał się "Konia Morski" i przybił do brzegu w tym miejscu, gdzie zatoka gwałtownie się zagina dokoła większej wyspy zamykającej dostęp. Dalej nie mógł już jechać ze względu na płytkość wody; z tej samej przyczyny zmuszony był przy zapuszczaniu kotwicy zwrócić się przodem w naszą stronę, wskutek czego - zgodnie z tym, co przepowiadał Murray - przeciwnik mógł przeciwko naszemu wzgórzku skierować tylko działa pościgowe oraz parę kartaczownic ustawionych na przodzie pokładu działowego. Jednak nie było widać, aby tamci nosili się z myślą natychmiastowego zastosowania swej baterii. Załoga zdawała się być całkowicie zajęta lądowaniem, a patrząc przez szkło przybliżające, obrachowaliśmy, że stu pięćdziesięciu ludzi wyszło na brzeg i rozpełzło się bezładnie po lesie.

Potem nastąpiła w działaniach Flinta chwila ciszy, wobec czego kończyliśmy ostateczne przygotowania do obrony przed spodziewanym natarciem. Murray porozstawiał swych ludzi wzdłuż całego obwodu palisady, wyłączwszy tylko tych, których poprzednio nazwałem strażą tylną. Ci - a było ich około dwudziestu chłopów - zostali zatrzymani w stancy jako oddział posiłkowy, który można było pchnąć z pomocą tym odcinkom naszej linii obronnej, gdzie by zaszła potrzeba silniejszej ostoji. Sam Murray wraz

z Coupeau, Piotrem i ze mną stanął pośrodku ogrodzenia, gdzie mogliśmy czuć nad wszystkim, co się działo. W powietrzu rozlana była południowa duszność i ospałość. "Koł Morski" na gładkiej powierzchni zatoki wyglądał niby dziecięca zabawka. Na pokładzie nie znać było ani śladu życia, a las, który rozciągał się pomiędzy nami i wybrzeżem, osłaniał milcząco swe tajemnice. Dziadek zmarszczył się w zamyśleniu.

- Nie wygląda to na Flinta - zauważył. - On zawsze pędzi do ataku na łeb na szyję, jak rozjuszony byk.

Ledwo tych słów domówił, gdy spod boku palisady, wychodzącego na zatokę, doleciał okrzyk:

- To ten rudziak, co służy u Flinta!

Jęły się z sobą ścierać wołania:

- Strzelać do niego!

- Chorągiew pokoju!

- To chłopak, co przynosi szczęście!

Podbiegliśmy do palisady nakazując ludziom, by się wstrzymali od ognia, a Piotr podsadził mnie na belkę poprzeczną, która spajała pale. Z tej wysokości mogłem przyjrzeć się ogołoconym stokom wzgórza i gęstym zaroślom karłowatych drzewin i krzewów ciągnących się dokoła. Ze ściany leśnej wyłaniała się niewątpliwie płomienna czupryna Darby'ego Mc Grawa, który wznosząc jedno ramię do góry, pilnie wymachiwał czymś, co niegdyś było białą koszulą. Skoro tylko mnie zobaczył, zaraz wygramolił się na porębę.

- Czy pozwolisz mi wejść, panie Bob? - zawołał.

- No, to zależy - odpowiedziałem. - Czy chcesz nas szpiegować?

- Ależ nigdy, nawet o tym nie myślałem. Mam poselstwo do niego...

- Do kogo?

- Do niego... co jest twoim wujem czy dziadkiem...

- Ponieważ słyszymy się wzajem doskonale z tej odległości, możesz przemawiać z miejsca, gdzie stoisz! - odpowiedziałem.

- Na Boga! Bardzo mi się to podoba - odrzekł ochotczo - i trafnie to było powiedziane. Flint żąda, aby kapitan Murray złożył skarb u podnóża pagórka; gdy żądanie zostanie spełnione, "Koł Morski" zabierze skarb i' odjedzie. W przeciwnym razie weźmiemy go sobie innym sposobem... a jeżeliby się nam to nie udało, wtedy rozbijemy wam "Jakuba" i skazemy was wszystkich na pobyt na odludnej wyspie.

I począł przybierać ton poufały.

- Tak, i on właśnie to zamyśla, panie Bob. Możesz wierzyć memu słowu. Nasza załoga jest zjadła i wściekła na was za tę niespodziankę, jakąście wypłatali nam po ciemku.

- Była to doskonała zapłata za waszą zdradę, Darby - odparłem nieco podniecony.

On zwiesił głowę grzebiąc w piasku końcem buta.

- Przecie korsarze zawdy tak robią - odezwał się. - Jakie ci mogą być ceregiele między tymi, którzy występują do boju?... Albo też żądają od drugich tego, co tamci posiadają?

- Być może, że nie posiadamy skarbu przy sobie - wykręcałem się.

- O, wiemy, co się święci. Ranni, pozostawieni na "Jakubie", opowiedzieli nam co innego.

Spojrzałem na dziadka pytająco.

- Jeżeli próbują układów, widocznie nie są pewni wyników - rzekł ów. -

Odpraw tego chłopaka.

- Ale jeżeli oni zniszczą "Jakuba"?

- Najpierw ruszą do ataku... a potem będziemy sobie suszyć głowę nad tym, jak zabezpieczyć okręt.

A widząc, że się waham, dodał:

- Bądź tak dobry i odpowiedz mu natychmiast, inaczej zastrzelę go jak psa na miejscu.

- Idź z Bogiem, Darby - zawołałem. - 'Kapitan Murray nie chce przyjąć żadnego z waszych warunków.

- Boże, miej nas w swej opiece! - wyrwało się chłopakowi bezwiednie. - Zdaje mi się, że wiele dzielnych ludzi padnie teraz trupem. No, szczęście Boże paniczowi, panu Piotrowi i pięknej panience. Jeżeli uda się nam wszystkim wyjść cało...

Dziadek wskoczył na pień drzewa i strzelił z pistoletu ponad głowę Darby'ego. Chłopak stał przez chwilę nieruchomo, rozdziawiwszy gębę.

- Stary czarti - zawył po chwili i co sił w nogach jął zmykać w dół po zboczu.

Flint nie czekał na powtórzenie mu odpowiedzi Murraya; ten strzał pistoletowy był dostatecznym wyjaśnieniem. Od strony podnóża wzgórz huknęły w odzew trzy strzały muszkietowe, a na forkasztelu "Konia Morskiego" wszczął się znowu ruch. Nad pokładem wzbił się kłęb białego dymu, a łoskot długiej dwunastki spłoszył krocie ptactwa morskiego z nadbrzeżnych żuław. Pocisk ze świstem przeleciał nad nami i lupnął kędyś w środek lasu. Drugie działo wrzuciło nam kulę w ogrodzenie, gdzie wryła się tylko w miękką piasek, nie czyniąc żadnej szkody. Dwie kartaczońce, o niższych lawetach i krótszych lufach, wysłały teraz pociski, które padły tuż przed palisadą. Ta pierwsza salwa była początkiem bombardowania, które trwało aż do zachodu słońca.

Zginał tylko jeden człowiek, a materialnej szkody nie było żadnej.

Kartaczońce swymi cięższymi pociskami nie zdołały osiągnąć stancy, a Długim Tomkom (tak popularnie nazywano działa okrętowe stojące na pokładzie

- przyp. tłum.) brakło siły, by mogły przebić żywiczne drzewo ściany.

Większość kul ugrzęzła w piasku. Trzy pale częstokołu zostały zwalone, ale natychmiast ustawiliśmy je z powrotem. Na tym koniec. Zgiełk strzałów sprawiał wielkie wrażenie, jako że echa, odbijając się od krzesanic Lunety, tłukły się po całej wyspie; jednak wynik ostateczny nappełnił mnie ufnością, jakiej nie żywiłem poprzednio. Gdy zapadła ciemność i strzelanina ustała, mieliśmy świadomość, że z pierwszego okresu walki wyszliśmy zwycięsko.

Przez cały ten czas nie widzieliśmy ani śladu tych z załogi "Konia Morskiego", którzy wyszli byli na ląd; z nastaniem nocy jęliśmy z ciekawością spoglądać przez szczeliny w palisadzie, oczekując z każdą chwilą, iż obaczymy podkradające się sylwetki. Lecz godzina mijała za godziną, a żaden głos nie zakłócał ciszy, tak iż nawet Murray, który miał nerwy jakby z kowanej stali, zaczął się niepokoić, po raz trzeci od zachodu słońca odwróciwszy klepsydrę. W końcu postanowił obejrzeć dokoła całe obwarowanie.

- Ta Fabiuszowa (mowa o Fabiuszu Quintusie, wodzu rzymskim z II wieku p.n.e., który w drugiej wojnie punickiej unikał rozstrzygającej bitwy z Hannibalem, stosując taktykę odcinania żywności i nękania przeciwnika drobnymi, lecz częstymi starciami. Otrzymał za to przydomek "Cunctator" -

"Zwlekający") taktyka nie wydaje mi się strategią Flinta! - zauważył. - Ktoś tu inny działać musi, może John Silver. Jest to drab przebiegły i zręczny. Zbytńia czujność nie zawadzi.

Moira - biedne dziewczątko! - spała w alkwie osłoniętej zapasami złota i srebra. Ben Gunn i czarny Scypion, obaj jednakowo przerażeni, skulili się na progu, zaś ludzie należący do tylnej straży rozsypali się po piasku; jedni z nich spali, inni zabawiali się grą, jako że korsarze zarówno jednej, jak i drugiej załogi byli zawziętymi szulerami.

Przy południowym narożniku palisady przyłączył się do nas Coupeau i zameldował, że w dolnej części zbocza zauważono jakieś niewyraźne poruszenia i stłumione szelesty, jednak bynajmniej nie oznaczające ani nie wróżące jakowegoś podchodzenia nieprzyjaciół w naszą stronę. Tu i ówdzie z dołów podnosili się ludzie i pośępnie lub głupowato, zależnie od usposobienia, potwierdzali, że nie widziano wroga. Po stronie północnej natrafiliśmy na dołek, który był opróżniony, a w następnym znajdował się człowiek, który leżał na brzuchu, jak gdyby pogrążony we śnie. Murray żgnął go szpadą - człowiek jęknął, ale się nie poruszył.

- Cóż to się stało temu człowiekowi? - zapytał dziadek.

- Proszę jaśnie pana, to Job Pytchens - odpowiedział jego sąsiad.

- Pytam, co mu się stało - rzekł dziadek chłodno.

- To jeden z tych, co otrzymali sto pięćdziesiąt batów, panie kapitanie.

Zadrzałem. Dziadek zażył tabaki.

- A któż to odszedł z tego pustego miejsca? - pytał dalej.

- Tomasz Morphew... on umarł, panie kapitanie.

- Zabity?

- Nie, panie kapitanie. On też otrzymał sto pięćdziesiąt batów.

- Gdzie się znajduje?

Nastąpiła chwila milczenia.

- Pochowaliśmy go, proszę łaski jaśnie pana - odrzekł ów człowiek.

- Gdzie?

Człowiek wskazał niedbale ręką poza piaszczysty wierzchołek wzgórza.

- Aha! Otóż teraz nie wolno wam grzebać następnego człowieka, który umrze... czy to będzie Job czy kto inny... inaczej każę oćwiczyć wszystkich, którzy bez pozwolenia opuścili swe stanowisko.

- Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie - lecz chrapliwy i zrzędny głos mówiącego nie zdradzał wdzięczności; twarz jego zasłonięta była ciemnością.

- A niechże mię piorun spali! - rzekł Murray odchodząc - ale te szelmy stają się tak niesforni jak hołota Flinta!

Na karczowisku rozległ się strzał z muszkietu, potem drugi i trzeci. U stóp wzgórza huknęła salwa - wraz też odpowiedzieli na nią nasi ludzie. Ochryple wrzaski zwiększyły jeszcze hałas strzelaniny.

- Na koniec!

Głos Murraya drgał radością.

- Teraz rozbijemy tych szubrawców jak garstkę piachu! Durnie! Nocny atak to kiepskie przedsięwzięcie, gdy się ma niekarnych ludzi.

Pobiegliśmy za stanicę, gdzie oddział posiłkowy właśnie zrywał się na nogi; Moira, stojąc w drzwiach, załamywała ręce.

- Nie opuście mnie chyba! - zawołała na nas.

- Waćpanna musisz pozostać w ukryciu - ozwał się dziadek uprzejmie. -

Bylibyśmy bardzo skrepowani w ruchach, gdybyśmy musieli dbać o bezpieczeństwo jej osoby.

- Nie boję się żelaza ani ołowiu - odpowiedziała dziewczyna - tylko krwawych wspomnień, jakie wypełzają ze skrzyń kryjących skarby. Na Boga! Wolę być tu, na miejscu otwartym, niż wewnątrz.

Dziadek zawahał się, rozdrażniony jej postanowieniem.

- Gdzie jest Gunn? - zapytał.

- Ach, on!

I śmiech Moiry zadźwięczał tak swobodnie, jak gdyby w powietrzu nie świstały śmiercionośne kule.

- On jest tam, gdzieście mnie początkowo chcieli umieścić: pod skarbami. Jemu tam dobrze.

- Niechże sobie będzie, jak chcesz - fuknął dziadek dając folgę swemu rozdrażnieniu - ale waćpanna nie możesz tu zostać, a my jesteśmy zmuszeni...

W tejże chwili tuż poza częstokołem od północnej strony zerwała się piorunowa trzaskawica wystrzałów, a z odgłosem muszkietów mieszały się okrzyki:

- Rzucajcie broń, marynarze z "Jakuba"!

- Z drogi, wiara z "Jakuba"!

- Chcemy tylko starego Murraya!

A raz po raz odzywało się jęśliwe wołanie:

- Oto Tomasz Morphew z okrwawionymi plecami!... Patrzcie, okrętnicy!

Strzelanina stawała się bezładna i przycichała, po czym nastąpił złowieszczy szczeł i zgrzyt kordelasów.

- Nie zrobimy wam nic złego, marynarze z "Jakuba"!

Teraz rozpoznałem głos Silvera.

- Złóżcie broń, marynarze z "Jakuba"!

Trzech ludzi, z których jeden miał przetrącone ramię, podbiegło pędem ku nam.

- Długi John wdarł się do środka! - jęknął jeden.

- Tomasz Morphew ich wpuścił - wykrztusił drugi.

- Wybornie to było obmyślane! - wycedził Murray.

Posłyszałem brzęk tabakiery.

- Damy jeszcze tęgą nauczkę przebiegłemu panu Silverowi!

- Tak, o ile można polegać na podwładnych waszmości - rzekłem z przekąsem.

- Na każdej drużynie można polegać w zwycięstwie, mój Robercie - odrzekł Murray.

- Ja - ozwał się Piotr - ale lepiej byłoby, żebyś nie pozwolił temu chłopakowi opowiadać o tym, że mu okrwawiono plecy.

- Jesteś wybredny, zdaje się, Piotrze - mruknął mój dziadek. - Dobrze, postaram się właśnie ciebie udobruchać. Coupeau!

Głos jego stał się ostry i dobitny.

- Oui, m'sieur - odezwał się puszkarz wychodząc spoza skulonych szeregów straży tylnej.

- Uderzamy!

Ale właściwie to uderzano na nas. Nie uszliśmy jeszcze czterech kroków od chroniącego nas szałas, gdy z mroku nocy wypadło kilkunastu napastników, wrzeszcząc i wymachując kordelasami. Daliśmy piorunową salwę, która obaliła

czterech przeciwników, i nabiliśmy znowu muszkiety. Przywitało nas parę kulek pistoletowych, ale większość atakujących odrzuciła była muszkiety, przenosząc nad nie marynarski sposób walczenia kordelasami; byli więc zbici z tropu niespodziewanym przyjęciem, jakieś im zgotowali.

Cienka szpada Murraya, zadając śmiertelne pchnięcia, torowała nam drogę wśród najbardziej zwartych szeregów. Przy jednym boku jego szedł Piotr, wznosząc muszkiet o szerokiej kolbie, którą co krok rozwalał łby i ramiona. Po drugiej stronie biegł Coupeau, z równą skutecznością wywijając kordelasem.

Nad wierzchołkami drzew wypłynął złoty księżyc, będący właśnie w pierwszej kwadrze; zatrzymaliśmy się przeto koło wylomu, który napastnicy uczynili w palisadzie, by przy świetle miesięcznym rozejrzeć się w sytuacji. W połowie stoku wzgórza zebrała się gromadka ludzi z załogi "Konia Morskiego". i otworzyła na nas ogień. Coupeau chciał wypaść na nich, ale dziadek go powstrzymał.

- Nie, nie, Coupeau! Tam oto na palisadzie siedzi okrakiem John Silver. Patrz, on wyciąga w górę jednego ze swych kamratów. Trzeba ich sprzątnąć. Weźmy się do nich od razu.

Przyznam się, że ocknęło się we mnie coś w rodzaju współczucia dla Silvera. Był on oddalony od nas o niespełna dwadzieścia sążni; dzięki prawie niewiarogodnym wysiłkom, z pomocą drugiego człowieka, który go podpierał, udało mu się wygramolić na częstokół i siedział tam, zwiesiwszy po naszej stronie swą jedyną nogę. Gdyśmy go dostrzegli, zaczął przekładać nogę przez wierzch palisady; widocznie zamierzając zdać swego towarzysza na pastwę losu. Ale czy to na skutek tego, co rzekł mu tamten, czy też z obawy, że się potłucze spadając z wysokości ośmiu stóp na ziemię, gdzie nie było nikogo, kto by go podtrzymał - dość, że naraz zmienił postanowienie i śmiało zwrócił się ku nam twarzą, chwytając szcudło, które wisiało mu na rzemyku u szyi.

Człowiek stojący u stóp częstokołu zebrał się w sobie jak zmija skręcająca się przed skokiem i wyjął zza pasa długi nóż. Dotychczas mrok przesłaniał jego postać, ale teraz światłość miesięczna oblała go tak, iż rozpoznaliśmy w nim ślepego Pewa. Gdzieś był postradał zielony daszek, więc jego zżarte prochem oblicze spoglądało na nas w żółtej oświetli niby twarz trupa. Oczy miał rozwarte, a zdawały się szklić mgławo, gdy były na nas wytrzeszczone. W ręce połyskiwał mu nóż.

- Czy chcesz być sprowadzony na dół i powieszony, czy też mamy cię strącić stamtąd, Silverze? - zawołał Murray.

Zarówno jak my wszyscy, tak i on nie zważał na ślepego. Całą uwagę skupiliśmy na Silverze, którego szerokie oblicze w księżycowej poświacie wydawało się bardzo spokojne.

- Tamci oto nie próbują wcale układów, panie kapitanie Murray - odparł Silver pogodnie. - Czy waszmość nie mógłbyś być nieco bardziej wspaniałomyślny?

- Każę ci teraz wypić piwo, któregoś dla mnie nawarzył - odparł dziadek oschle.

- Ależ, łaskawy panie! - zachnął się Silver. - Jakże waszmość możesz mówić coś podobnego? Cały nasz zamiar polegał na tym, by nakłonić waćpana do oddania nam należnej części skarbu... ponieważ waćpan schowałeś kędyś osiemkroć sto tysięcy funtów na jakieś tam swoje faramuszki. Ale nie

chcieliśmy waćpana tym urażać.

- Twoje wywody mogą być bryłą lodu w piekle, Silverze! - odrzekł dziadek z uśmiechem. - Rzuć no to szczudło! Porzuć nóż, Pew... czy jak cię tam zowią!

I trzymając w ręce szpadę wysunął się na czoło naszej gromadki, która rozciągnęła się od wyłomu w palisadzie. Coupeau szedł przy jego boku, a Piotr i ja tuż za nim z tyłu.

- Hejże! - zawołał na nich po raz drugi. - Nie mam ochoty bawić się w układy, a jeżeli będziecie się ociagać, to śmierć wasza stanie się bardziej bolesną.

Silverowi twarz pożółkła w blasku miesiąca.

- Tak - zgrzytnął kulawiec - każesz nas smagać do krwi, jak tych chłopaków, co nas tu dziś wpuścili.

A gdy Murray podchodził bliżej, ów machnął szczudłem.

- Precz stąd! - wrzasnął. - Precz stąd! Nie mogę dosięgnąć, Ezdraszu. A siepnijże go!

Pew przycaił się schowawszy nóż za siebie.

- Tak, trafiło się, że ślepy Pew może go siepnąć! - zakrakał swym ohydny głosem, pełnym nienawiści.

I wyrzucił rękę w przód. W świetle księżyca mignął nagły blask i dziadek zachwiał się; rzucony nóż wbił się po rękojeść w jego bok.

- Jestem ugodzony - westchnął.

- Pew ugodził Murraya! - zawołał Silver. - Chodźcie no ludzie z "Konia Morskiego". Zaprzestańcie walki, chłopcy z "Jakuba"! Nie zrobimy wam nic złego. Skarb dla wszystkich i koniec tyranii! Dość walki, jakubiaki!

Piotr i ja podtrzymywaliśmy padającego dziadka. Coupeau, uniesiony wściekłością, przyskoczył do ślepca podnosząc kordelas, lecz gdy podszedł na odległość ciosu, Silver zręcznie poderwał szczudło, niby włócznię, pochylił się i wbił ostry koniec żelaznego okucia w oko puszkarza wwiercając mu go aż do mózgu. Coupeau runął na wznak.

- Zabiłem Coupeau! - krzyknął znowu Silver. - Chłopcy, nie dajcie się wyręczać Długiemu Johnowi!

Wśród nieprzyjaciół powstało takie poruszenie, taki wrzask radości, że aż tchu zabrakło mi w piersiach.

- Trzymaj Murraya, Piotrze - odezwałem się. - Ja się uporam z tą cudaczną parą.

I ruszyłem na Pewa, z większą jednak ostrożnością, niż to uczynił był Coupeau; lecz ślepiec (doprawdy, jeżeli był on ślepy, to słuch miał niepospolicie wyrobiony) podniósł pękata krócićę, a Silver zasłonił go z góry swym groźnym szczudłem. Krzyknąłem na nasz oddział, by dali do nich ognia, ale nasi ludzie jeszcze nie zdążyli nabić, a wielu z nich ścierało się z partią, którąśmy dopiero co przegnali, a która teraz tłumnie wdzierała się przez wyłom. Ci z załogi "Jakuba", którzy stali najbliżej, zachowywali się zgoła obojętnie; Silver, siedzący na wierzchu palisady, widząc to przeważanie się szali losów, cisnął we mnie swym szczudłem i w dalszym ciągu wydawał okrzyki nawołując do zbiórki.

- Murray już kipnął, kamraci! Coupeau zda się jeno na żer rekinom! Pozostało tylko dwóch myśliwców. Obchodźcie się łagodnie z załogą "Jakuba". Nie macie o co walczyć, chłopcy z "Jakuba". Podzielimy się z wami równo!

Ze wszystkich stron częstokołu jęli ku nam nadbiegać ludzie należący

zarówno do załogi "Jakuba", jak i "Konia Morskiego" a gdzie jeszcze nasi stawiali opór, znać po nich było bojaźliwość i zniechęcenie. Zostaliśmy odepchnięci w tył, a ponadto musieliśmy baczyć, by nas nie otoczono.

- Choćmy do domu, Bob - pisnął Piotr. - Lucie z "Jakuba" nie będą już walczyć w naszej obronie.

Przewiesił sobie przez ramię bezwładne ciało Murraya, a w ręce jeszcze trzymał żelazną lufę swego muszkietu, gdyż kolba była już strzaskana; mimo to biegł ręczo koło mnie po grząskim piasku.

W obrębie ogrodzenia palisady powstało okropne zamieszanie; gdyby nie ta okoliczność i gdyby nie spory obłok, który przesłonił tarczę miesięczną, nie dotarlibyśmy przenigdy do stancy. Nasi ludzie topnieli z każdym krokiem. Dwóch poległo z początkiem odwrotu, a ustawiczne wołania: "Zatrzymajcie się, jakubiaki... nie zrobimy wam nic złego!" - niweczyły ostatek nawet tej służbistości, jaka przetrwała wśród zajęć kilku ostatnich dni. Do stancy dotarliśmy sami, od strony przeciwległej drzwiom, i obeszlśmy ją ostrożnie, niemało zaniepokojeni losem Moiry, gdyż tuż nie opodał w różnych kierunkach trzaskały pistolety i szczękały kordelasy. Wobec przyćmienia księżyca nie widzieliśmy nic przed sobą na odległość muszkietu, a skoro zwróciliśmy się ku czarnej czeluści wejścia, natknąłem się na czyjeś zwłoki.

- Sam sobie będziesz winien swej śmierci, człowiecze - odezwał się spokojny głos. - Słyszę cię doskonale i jeżeli nie...

- Moira! - zawołałem.

- To waćpan, panie Bob? O święci Pańscy, jakże się cieszę! Wzięłam was za... Czy to Piotr?

- Ja - rzekł Piotr.

- A co waćpan dźwigasz na ramieniu? Umarłego? Czy to ten, którego zabiła przed paru minutami?

- To kapitan Murray - odpowiedziałem ustępując z drogi Piotrowi.

- Królowo Niebieska! To już chyba z nami krucho!

- A jakże! - potwierdziłem markotnie, wchodząc za Piotrem. - Czy macie tu światło?

Wydobyła latarnię spod pokrowca; nikłe promyki zaczęły igrać i przeganiać się z cieniami po grubo ciosanych kłodzinach belek ściennych, po stosach beczulek z rumem, po skrzyniach bitej monety i zwałach skarbów.

- Gdzie Ben Gunn i Scypion? - zapytałem.

- Wyszli, skoro zabiłam tego, co leży tam na dworze... Ogromnie się trwożyli, co z nimi zrobi kapitan Flint, gdy znajdzie ich tutaj i jednego ze swych ludzi leżącego trupem przed drzwiami.

Piotr lekko ułożył dziadka na glinianej podłodze - nie było tu miększego łoża - i zaczął rozrywać na nim odzież dokoła rękojeści noża, który tkwił jeszcze w jego prawym boku.

- A czemuż pani nie poszłaś za nimi? - zapytałem.

Ona spojrzała na mnie z oburzeniem.

- Miałam opuścić was obu?! Nie taką jestem przyjaciółką, Robercie.

Piotr spojrzał w górę.

- Ty ić pilnować tych tszfi, Bob. Panna Moira zaś pszyniesie mi kapeńkę rumu. Mosze Murray pszycie do siebie, zanim...

Poczułem naraz, że temu wierzyć niepodobna.

- To niemożliwe, Piotrze!

- Ja - odrzekł Holender cierpliwie. - Fkrótce zemsze. Ma krfotoki wewnętszne.

Podszedłem do drzwi chwiejnym krokiem, a w głowie mi szumiało: Murray konający? Wierzyć temu się nie chciało! Ta groźna osobistość, tak wytworna, wyniosła, panująca nad wszystkim, z czym się zetknęła... tak dziwnie kojarząca w sobie występki, mądrość i dziecinną próżność! I tłumaczcie to, jak chcecie... naraz odkryłem w sobie podziw dla niego, narastający już od wielu miesięcy pod powłoką zewnętrznej odrazy. Aż do tej chwili potępiałem go, lecz teraz dławiała mnie myśl o jego śmierci... Kimkolwiek był, nie był jednak istotą tchórzliwą i nikczemną. I tak mu przyszło kończyć śmiercią tak nędzną i przypadkową... z ręki ślepego człowieka, w noc ciemną... On, którego ambicje dosięgały gwiazd, poległ oto z ręki ślepego Pewa! I to w chwili, gdy ku niemu chylił się los zwycięstwa!

Bezwiednie i odruchowo stoczyłem paki złota i srebra ze stosu leżącego skarbu i zbudowałem barykadę w poprzek drzwi. Było tu parę zapasowych muszkietów i pistoletów, nabiłem je i umieściłem na podporędku, potem ukląknąłem za barykadą i czekałem tego, co miało nadejść. Ale nic nie nadchodziło. Dokoła stаницы chrzęściły stapania po piasku; słyhać było nawoływania, zapytania i spory; czasem gdzieś tam wystrzelono z muszkietu - i na tym koniec.

Triumf Flinta uzyskany był z nazbyt zdumiewającym powodzeniem, by tenże mógł go pojąć od razu, a ponadto, jak się zdaje, w zastępach korsarskich wynikły nieporozumienia w sprawie tego, co teraz z kolei uczynić wypada.

Klepsydra, którą przenieśliśmy z "Króla Jakuba", stała koło drzwi i pamiętam, że dwukrotnie ją odwróciłem, zanim Piotr dotknął mego ramienia.

- On ciebie wzywa - przemówił.

Murray leżał oparłszy głowę na kolanach Moiry; na twarzy jego uwydatniała się woskowa bladość; nozdrza mu wpadły i wcisnęły się do wnętrza; w kątach ust jawiła się szkarłatna posoka... lecz piwne oczy pały niespożytym ogniem jego ducha. Gdy pochylałem się, z ich czarnych głębin wyblęsnął drwiący półuśmiech, a usta poruszyły się ledwo dosłyszalną mową.

- Smucisz się, hę?

Skinąłem głową, a drwiący wyraz stał się wydatniejszy.

- Gdybym... chłopcze... przedtem... cię pozyskał...

Moira otarła ohydłą pianą z jego warg.

- Ty... nie... wydasz... naszej tajemnicy?... - zapytał.

- Byłoby nieuczciwie przyrzekać - odrzekłem. - Wątpię zresztą, czy długo żyć będziemy po waszmości.

Palce jednej jego ręki dziwnie się zatrzęsły.

- Cicho, chłopcze... nigdy... nie trać nadziei. Miej... jeszcze wzgląd na mnie... Jeszcze... zwyciężę...

Jego wyblakłe wargi rozchyliły się w poczwarnym uśmiechu na widok niedowierzania w mej twarzy.

- Będzie to... już... koniec Flinta. Zabili mnie... zabiją jego...

Znów jął gmerać palcami, a Moira szepnęła:

- On szuka tabakiery, Robercie.

A gdy zacząłem jej szukać w strzępie jego surduta, dodała:

- Ale gdy raz zażyje, może go to o śmierć przyprawić.

Zawahałem się, ale wyraz jego oczu nakłonił mnie, by mu ją podać.

- Poczciwy chłopak!

Palce mego dziadka pieszczotliwie objęły wysadzone brylantami puzderko postukując w pokrywkę, którą zwykł był otwierać i zamykać w chwilach zakłopotania. Piwne jego oczy z lubością spojrzały na Moirę.

- Opiekuj się... dziewczyną... Robercie... wychowanie, majątności... na tym głupim świecie...

- Uczynię, co w mej mocy - obiecałem widząc, że czekał na odpowiedź.

- Mogło być... gorzej... lub lepiej - odpowiedział, z lekka się uśmiechając. - Pew swoim nożem... zagroził ci drogę do księstwa...

Moiro...

Nastała chwila ciszy. Moira otarła mu usta.

- Głupi świat... - powtórzył. - Co powie... książę Karol?...

Oczy zaszyły mu mgłą; począł nucić półgłosem urywek pieśni, jednej z tych szumnych ballad jakobickich, co to jak pożoga rozchodziły się po roku 1745:

Z Dunbaru Cope rozesłał zew:

Karolku, chodź no spotkać się ze mną...

Przerwał mu atak kaszlu, który tak go wyczerpał, iż myślałem, że dziadek już wyzionął ducha, lecz za chwilę zabrzmiał znów jego ochryply, upiorny głos uderzając jakby w ton wesoły i beztroski:

Hej, Janie Cope, czy maszerujesz do mnie?

Czy twoje bębny jeszcze werbel grają?

Jeżeli idziesz...

I podniósł głos:

- Wasza Królewska Mość! Pochód już gotów!... Ruszać!... Heroldowie... czekają... lordowie... Izba Gmin...

I dobywał wszelkich sił, aby się podnieść, tak iż chcąc mu pomóc, oparłem go na swoich ramionach.

- Radosny dzień... ten... i wiele w przyszłości... Czy Wasza Królewska Miłość pozwoliś tabaki? To rip-rap... czystej próby.

Otworzył tabakierkę i podniósł do nosa szczyptę tabaki.

- Radosny dzień... ale świat głupi...

I tak skończył.

XX

W niewoli

Z nocnej ciemności zagrzmiało wołanie:

- Hej tam, stаницa!

Moira zaprzestała płaczu, ja zaś powstałem z klęczek.

- To Flint - szepnął Piotr. - Odezwij się do niego, Bob, ja.

- Co takiego? - krzyknąłem.

- Czy Murray jest z wami?

- Już umarł - odpowiedziałem po chwili namysłu.

- A to ci dopiero... szczęście dla niego! Właśnie jest tu Tomasz Morphew, który rad by mu odplacił z nawiązką za wczorajszą chłostę.

Przeraźliwe wycie było wtórem tych słów.

- Nie wiercie temu człowiekowi, kapitanie Flincie! Wszystko to łgarstwo! A tyś mi przyobiecał, że będę mógł go wychłostać.

- Mówię świętą prawdę - odezwał się markotnie. - O wschodzie słońca

możecie przysłać człowieka, by przekonał się na własne oczy.

- Aha! - zaszydził Flint. - Ale widzisz, moja Koźła Skórko, ja nie mam ochoty czekać na wzejście słońca, zachód księżyca czy tam jeszcze co innego. Wiemy, ilu was tam jest, i jeżeli się nie poddacie, to podłożymy żagiew pod stanicę i upieczemy was na wolnym ogniu. Ogień nie zaszkodzi złotu i srebru, ale niemiło zgorzeć żywcem.

- Będzie was to wprawdzie nieco kosztowało - odciąłem się.

- Nie tyle, ile wam się zdaje.

- To prawda - pisnął Piotr do mnie. - Ja, lepiej zafszyjmy z nim układ, Bob.

- Układ? - powtórzyłem. - O cóż możemy się układać?

- O skarb na Skszyni Umszyka.

- Ależ on... - tu zwróciłem się do Moiry. - Biorąc rzecz ściśle, ów skarb należy do pani, a nam powierzono w zaufaniu jego tajemnicę. Czy pani się zgadza...

- Zaprawdę, cokolwiek ma się stać, lepiej, gdy się pozbedziemy tego skarbu - przerwała Moira. - Cóż on przyniósł innego, jak tylko rozlew krwi i cierpienia dla wszystkich, którzy mieli z nim styczność? Jeżeli teraz możemy za pomocą niego okupić nasze życie, Robercie, będzie to jedyna zasługa, jaką na karb jego policzyć będzie można.

- Czas upływa! - krzyknął Flint. - Jeżeli nie poddacie się, podkładamy łuczywa.

- Czyńcie, co chcecie - odpowiedziałem z butnością, na jaką stać mnie było. - Jest nas tu troje i tylko my wiemy, gdzie znajduje się skarb na Skrzyni Umrzyka. Jeżeli nie przyrzeciecie nam nietykalności, będziemy się bić do upadłego i zabierzemy tajemnicę ze sobą do grobu.

Na to ozwał się szmer sprzeciwu; do głosu Flinta dołączył się parę innych, między innymi głos Silvera.

- Nic tu nie mówiono o waszej śmierci - oświadczył Flint. - Oddajcie skarb, a rozstaniemy się po przyjacielsku.

Spojrzałem bezradnie na Piotra.

- Cóż więcej możemy uzyskać? - zapytałem. - Niedorzecznością byłoby ufać ich obietnicom.

- Ja - potwierdził Piotr. - My im nie będziemy wieszyć. Ale my o tym wiemy, Bob, i nie damy się fsiać na kawał. Teraz choć tylko o to, by jakimś sposobem ocalić szycie. Potem...

Wzruszył olbrzymimi ramionami.

- Bylebyśmy się wydostali z tej strasznej wyspy, to już sobie jakoś damy radę! - zawołała Moira. - Na miły Bóg, będę na klęczkach modliła się dniem i nocą, jeżeli ujrzę jeszcze kiedy oblicze jakiej kobiety... nie znaczy to jednak, bym miała być niewdzięczną dla was obu, boć jesteście dzielnymi kawalerami, którym ja, biedne dziewczę, tyle jestem winna.

Jej słowa pobudziły mnie znowu do zastanowienia się, zaraz też zawołałem na Flinta:

- Panna O'Donnell winna mieć wszelki respekt, do jakiego nawykła, i przyzwoitą kwaterę w kajucie, a my dwaj mamy nad nią sprawować pieczę.

- Do licha! - wrzasnął Flint. - Czy myślisz, że założymy żeński klasztor na pokładzie "Konia Morskiego"?

- Myślę, że ona jest młodym, osamotnionym dziewczęciem, więc niepodobieństwem, by miała mieszkać razem z piratami - odpowiedziałem.

- W naszych ustawach jest paragraf czwarty - zadrwił Flint. - Pewno słyszałeś o nim poprzednio. Przestrzega on przed braniem ze sobą niewiast.

- Słyszałeś moje warunki - odrzekłem. - Możesz je przyjąć lub odrzucić. Jeżeli obchodzić się będziecie z nami grzecznie, zyskacie osiemkroć sto tysięcy funtów. W razie przeciwnym, gotowiśmy zginąć, jako tu stoimy wszyscy troje, zanim wydamy waszeci naszą tajemnicę... a przekonasz się, ilu lat potrzeba, by przekopać całą Skrzynię Umrzyka.

- Weźmiemy was z sobą - zawołał Flint gniewnie. - A bodaj... nie słyszałem jeszcze nigdy ani pewno nie usłyszę tak przekornego drania. Czy upierasz się przy swoim, Kozła Skórko?

- Tak.

- Więc rzuć broń i zostań tam, gdzie jesteś. Chcemy wejść by się wam przyjrzeć.

Na majdanie warowni wszędzie wokoło załśniły skwierczące łuczywa; gdy korsarze podeszli bliżej, Piotr i ja zwaliliśmy barykadę zbudowaną przeze mnie w poprzek drzwi. W chwiejnym świetle ukazały się postacie obnażone do pasa, podrapane kolcami krzaków; ordynarne twarze, okolone szpakowatym zarostem, spoglądały na nas chyłkiem, jakby przyczajone.

- Odstąpić! - ostrzegłem ich. - Nie wpuścimy tu nikogo, zanim nie nadejdzie kapitan Flint.

- Ho, jesteś ostrożny, Kozła Skórko! - roześmiał się kapitan stojący za gromadą korsarzy. - Z drogi, kamraci! Wszyscy prędzej czy później będziecie mieli sposobność obejrzenia skarbu i podzielimy się nim równo, akuratnie, według ustawy.

Gromada rozstąpiła się, by dać mu przejście, on zaś buńczuczny krokiem przystąpił do drzwi. Przy nim był Bones, Silver i człowiek, którego przezywano Czarnym Psem; ten, podobnie jak Bones, niósł łuczywo. Za nimi wszystkimi zaś wlokła się na czworakach okropna jakowaś postać, której posępna twarz była istnym zwierciadłem bóleści, a gołe plecy i boki były pokryte ropiącymi się ranami i szmatami zdartej skóry. W jednej ręce trzymał dziewięciorzemienny kańczug, którego zwisające pętlice wraz z wystrzępionymi węzłami były ciemnoczerwonej barwy.

Gdy weszli przez niskie odrzwia, Bones wznosił łuczywo, tak iż światło rozjaśniło wszystkie kąty wielkiego szałas.

- Czy to Murray? - zapytał wskazując na ciało spoczywające pod poszarpanymi szczątkami ciemnomodrego surduta, który służył za całun.

- Tak - odpowiedziałem, Moira zaś wcisnęła się ze strachem pomiędzy Piotra i mnie, gdy rozbójnicy zaczęli hurmem pchać się naprzód, patrząc z rozdziawionymi gębami na wystygłe już zwłoki człowieka, którego oni tak się bali i tak nienawidzili.

- A niechże mię kule biją! - zaklął Flint. - Nigdy nie myślałem, że zobaczę Andrzeja Murraya leżącego bez ducha.

Silverowi zabłyśły oczy.

- On teraz niewiele znaczy, nieprawda, kamraci? - przemówił.

- Przyjrzyjmy się jemu - rzekł Bones mrukliwie. - Hej, Czarny Psie, podnieś no także swoje łuczywo.

Człowiek z okrwawionymi plecami przywłókł się za nimi, z jakąś pożądliwą pieśczołliwością gładząc palcami rzemyki swego kańczuga.

- Puście mnie do niego! - zamruczał. - Będę go smagał, oj będę! Nauczę go, co to znaczy mordować marynarzy. Nas pięciu i...

Bones kopnięciem nogi odrzucił na bok surdut zakrywający zwłoki; pociągła, blada twarz Murraya uśmiechała się jak gdyby z lekka drwiąco do obecnych; jedna ręka obejmowała jeszcze tabakierkę.

- Bodaj... tak on zawsze wyglądał! - szepnął Flint.

- Niepojęte dziwy! - odezwał się Bones. - On tak wygląda, jakby wiedział, że jesteśmy tutaj... i nie możemy mu nic zrobić.

Silver nic nie mówił wpatrując się spod namarszczonej brwi w nieboszczyka, jak gdyby usiłował odczytać coś, co się tajiło za nieruchomymi rysami.

- Będzie wyglądał inaczej, gdy go wychłosczę - zajęczał człowiek z nahają, odtrącając Czarnego Psa. - Poczekajcie, niech no przejadę po jego plecach, kapitanie. Zaraz zejdzie ten uśmiech z jego diabelskiej twarzy.

I już nieszczęśnik podniósł ramię do ciosu, gdy uchwycił go za nie John Silver.

- Nie, nie, Tomaszu! - zawołał. - Murray nie żyje!

- Nie żyje? - odpowiedział ów człowiek jak oszołomiony. - Ale tyś mi obiecał, że będę go mógł oćwiczyć!

- Tak, Tomaszu, ale nie wolno ci bić umarłego.

- Czemu? On bił mnie, aż byłem prawie nieżywy. Trzech mych kamratów zachłostał na śmierć, a Job Pytchens kona w tej chwili na piasku.

Ale wdał się w tę sprawę sam Flint, wrywając z niekłamanym obrzydzeniem nahają z garści Tomasza.

- Nie wolno ci bić nieboszczyka, Tomaszu - zgromił go kapitan "Konia Morskiego". - To przynosi nieszczęście. A przypatrzcie no się, jakie szczęście nam sprzyja, odkąd znaleźliśmy Darby'ego Mc Grawa! Powiadam wam, towarzysze, że dałbym się powiesić za moje szczęście!

Bones mruknął coś potwierdzająco, a Silver dodał:

- Tak, tak, kapitanie, lecz jeżeli wolno ci doradzić, powinienes, nie tracąc czasu, zakopać Murraya w ziemię.

Wszyscy zamienili spojrzenia pełne zabobonnego lęku, a Bones przemówił ochryplym głosem:

- Czyż on nie był jakąś prawie nadludzką istotą?

- Powiadają, że można unieszkodliwić upiora przybijając trupa na wskroś kołkiem do ziemi - napomknął Czarny Pies i zatrząsł się tak, aż iskry posypały się z łuczywa.

- Nie potrafiłbyś przebić Murraya w ten sposób, jeżeliby on zechciał cię straszyc - odrzekł Silver. - Ja osobiście nie wierzę w upiory.

- Kaleczenie umrzyka przynosi nieszczęście - zachnął się Flint. - Nie, nie, pochowajmy go jak najprędzej i basta!

- Ale obiecaliście mi, że będę mógł go wychłostać - zaszlochał Tomasz Morphew. - Ja was wpuściłem, Długi Johnie, a tyś mi obiecał!

- Skądże mogłem wiedzieć, że on umrze? - odparł Silver. - Nie bądź uparty, Tomaszu. Damy ci w dwójnasób tyle pieniędzy za to, coś uczynił, a gdy wykurujesz sobie grzbiet, będziesz mógł pohulać do woli!

Ale Morphew był niepocieszony; wypelzał z szałas wlokąc za sobą kańczug.

- Nie potrzeba mi złota - płakał. - Chciałem tylko wybatożyć plecy tego szubrawca. Tak! Aż cały ociekłby krwią jak Job Pytchens i inni, którzy już ziemię gryzą. Och, moje nieszczęsne plecy!

Po jego odejściu zapanowała chwila milczenia.

- Dotknięcie trupa przynosi nieszczęście - powtórzył Flint. - Nie, nie,

trzeba go pochować jak najprędzej! Bill, weź no ze szczęściu ludzi i zakop go gdzie bądź... byle dość głęboko.

- A co ze skarbem? - zawołał jeden z ludzi stojących koło drzwi.

- Tak, tak! - przyłączył się drugi. - Kiedy przeniesiemy go na okręt i podzielimy?

Flint jął skubać podbródek namyślając się.

- E, nie macie co spieszyć się tak z tym skarbem, kamraci - odpowiedział na koniec. - On tu jest bezpieczny. Oprócz tego rumu i dwóch strażników niczego nam więcej nie potrzeba.

Powszechny pomruk, który na to powstał, był oznaką zgody. Flint skinął na mnie palcem.

- Chodź no ze mną, Koźła Skórko. Wsadzimy was wszystkich troje na okręt, gwoli bezpieczeństwa, jako że tak drżycie o własną skórę. Długi Johnie, tobie zlecam czuwanie nad jeńcami. Tej pannicy daj oddzielną alkowę.

Silver kazał nam iść przed sobą, kierując się w głąb nocnej pomroczy, a gdyśmy ruszyli, skupił przy sobie gromadkę ludzi, którzy otoczyli nas bezładną kupą.

- Jeżeli dacie mi słowo, że będziecie zachowywać się poprawnie, panie Ormerod, będę mógł służyć wam swą uczynnością - oświadczył, skorośmy stracili z oczu stanicę.

- Cóż ty na to, Piotrze? - zapytał Holendra.

- Ja.

- To mi wystarczy - oznajmił Silver radośnie. - I bardzo to roztropnie z waszej strony, mości panowie... Jestem tylko ułomnym marynarzem i bardzo się utrudziłem tej nocy. Doprawdy, gdy wspomnę sobie dzisiejsze przygody, to aż serce zamiera mi ze wzruszenia. Jużem był przekonany, że mnie tam capniecie na palisadzie, ale nie masz to człowieka sprawniejszego w rzucaniu nożem jak Pew, boć on zwęszy wroga, gdy nie może go dostrzec. No, no! Któż by się spodziewał wtedy, gdyśmy się spotkali w Nowym Jorku, że do tego przyjdzie między nami, panie Ormerod!

Nie miałem zamiaru mu odpowiadać, więc w milczeniu szliśmy, potykając się co chwila, poprzez las, aż do brzegu zatoki. Tam uwiązane było jedno z czółen "Konia Morskiego"; ruszono wiosłami i popłynęliśmy w stronę okrętu, którego kadłub sterczał niby skała nad spokojną taflą wody. Z pokładu zakrzyknięto na nas, spuszczoneo pętlę dla wywindowania Silvera, my zaś reszta jęliśmy się wspinać po drabince, przy czym Moira okazała się tak sprawna, jak gdyby już Bóg wie ile miesięcy przebywała na morzu.

- Oto znaleźliśmy się już cało i zdrowo na "Koniu Morskim" - dodał Silver, wciąż nadskakująco uprzejmy - a ci, którzy tu się znajdują, mogą nazywać się szczęśliwymi, że pozostali przy życiu. Tak, niechże będę skończonym ciemięgą, jeżeli noc dzisiejsza nie była krwawa. Idźcie naprzód, towarzysze - zwrócił się do ludzi, którzy nas konwojowali - ja już się zajmę jeńcami. A teraz, panowie... i ty, panienko... chodźcie ze mną, a ja urządzę wam wszystko tak wygodnie jak na bristolskim okręcie pocztowym. Pamiętaj waćpan, panie Ormerod, pamiętaj, że Długi John był twoim przyjacielem. Zapytasz, czemu? Dlatego że człek nigdy nie zdoła przewidzieć, co mu przyniesie najbliższa godzina. A czekają nas teraz dziwne czasy. Czemu dziwne; zapytasz? No, skądże ja to mogę wiedzieć? Mówię tylko, i to z niezbitą pewnością, że nadchodzą dziwne czasy... a pamiętaj waćpan, że Długi John był ci przychylny, że służył ci serdeczną i szczerą

przyjaźnią. Pojmujesz?

Było rzeczą widoczną, że pragnął odpowiedzi, chociaż nie bardzo rozumiał, do czego on zmierzał tą gawędą.

- Zdaje mi się, że nie - odrzekłem krótko.

On przekrzywił głowę w bok.

- Nie rozumiesz? Hm, są rzeczy, które najlepiej pominąć milczeniem, jednakowoż zwierzę ci się z nich. Weźmy oto pod uwagę nasz okręt, dalej skarb, potem Flinta, następnie ze dwustu chłopców, z których nie wszyscy jednej są myśli; ponadto w grę tu wchodzi Bill Bones - a na ostatek i ja. Może być nie lada kawał, mopanku. A kto potrafi powiedzieć, kto to wywoła? Nie ja w każdym razie. Ani też nie wiedzieć, kto później wypłynie na wierzch.

I skinąwszy mi na pożegnanie, pokuszył się w stronę rufy zaginając palec na znak, że powinniśmy iść za nim przez niechlujny pokład.

- Na miłość Boską! - westchnęła Moira krzywiąc nosem. - Toć to raczej stajnia niż okręt.

Nie było w tym przesady. "Koń Morski" był jeszcze brudniejszy niż w ową noc, gdy Piotr i ja przebywaliśmy tu jako zakładnicy. Pokłady butwiały od łoju i wszelkich nieczystości; farba na nich była popękana i zdrapana; chmary much uwijały się z brzękiem dokoła stosu wnętrzości rybich, których nikomu nie chciało się zrzucić w morze; z otwartej luki zionął stęchły i przykry zaduch. Jakież przeciwieństwo z "Królem Jakubem"!

W korytarzu kajutowym pod rufą natknęliśmy się na rumowisko potłuczonych butelek, skałek pistoletowych oraz strzępów zużytej odzieży. Silver oparł się o ścianę, skrzesał ogień i zatliwszy szczapę drzewa zapalił od niej knot w wiszącej na kołku latarni z tranem wielorybim. Trzymając ją nad głową obejrzał podwójny rząd drzwi, które wiodły do bokówek, nader podobnych w rozmieszczeniu do układu pokojów na "Królu Jakubie".

- To kajuta główna - objaśniał. - Tę po lewej ręce zajmuje Flint, a Bones śpi po przeciwnej stronie. Inne pomieszczenia są zastawione solonym mięsem, ale łatwo będzie je wyprzątnąć.

Blizsze badanie wykazało, że tym solonym mięsem był przeważnie "Rum Jamajka" i inne mocne napitki, które wyrugowaliśmy do kajuty głównej. Ale brudu, zaskorupiałego od wielu lat, nie dało się tak łatwo usunąć. Silver - trzeba mu oddać tę sprawiedliwość - patrzył przychylnie na początkowe nasze wysiłki, a nawet zdobył się na to, że wystarał się dla nas o wiadro na linie, którym mogliśmy czerpać wodę z morza; po pewnym czasie jednak znużył się taką bezowocną robotą i skoczył na swój hamak upominając nas, byśmy byli zadowoleni, że w tapczanach nie ma pluskiew.

Uczyniliśmy, co było w naszej mocy, po czym namówiliśmy Moirę, by odważyła się spocząć w czystszej z dwóch kajut - wybraliśmy ją również dlatego, że od wewnątrz miała zasuwę, co zapewniało w pewnej mierze niezakłócony spokój i swobodę - natomiast Piotr i ja ułożyliśmy się po drugiej stronie korytarza: Piotr na podłodze, ze względu na swą tuszę, ja zaś na jakimś pogruchotanym tapczanie. I doprawdy dziwię się, żeśmy natychmiast usnęli i nie obudziliśmy się prędzej, aż dopiero koło południa, gdy słońce napłynęło strugami przez zszarzałe szybki okna kajutowego.

Rozgłośnie chrapania upewniły nas, że Flint i Bones spali w najlepsze, natomiast znany nam głos, paplający gwarą irlandzką, skierował nas ku głównej kajucie.

- E, na cóż ty jeszcze możesz się uskarżać, jeżeli widziałeś, jak ludzi rzucano w morze, jeżeli byłeś na Madagaskarze, we Wschodnich Indiach i w Afryce, skąd pochodzą Murzyny? Na mą duszę! Słabo mi się robi od twojego kwilenia! Człowiecze, spojrzysz na tylko na mnie, który już od tylu miesięcy jestem korsarzem i wraz z innymi korsarzami brałem udział we wszystkich walkach, jakie oni prowadzili...

- Ale tyś miał w ręce kordelas i muszkiet na ramieniu - sprzeciwiał się drugi, również znany głos. - I chodzisz po pokładzie bez trzewików na nogach, a na głowie masz piękną jaskrawą chustę, a jeżelibyś chciał holować linę lub kręcić ster, to nikt ci nic za to nie powie, mój Darby. Ale ja skazany jestem na lokajskie zajęcie i noszenie liberii od pierwszego dnia, gdy wyjechałem na morze. I wciąż ino: "Ben, zetrzyj stół!" albo też: "Nalej w kielichy, Beniaminie Gunn!", albo "Przynieś mi tytoniu, Gunn!" Jestem takim samym korsarzem jak ta irlandzka dziewczyna...

- Nie wspominaj o niej, bo użyję stryczka na ciebie! Nie życzę sobie, byś mi się tu zanadto puszył. Czyż kapitan nie dał mi cię za służącego? A jakże! "Bodaj to... - powiedział, gdyśmy cię zabrali - Darby, jesteś dobrym chłopcem kajutowym i w czepku się urodziłeś. Daję ci tego chłopaka, by cię wyręczał".

- A obiecywano, że mnie uwolnią od liberii - odpowiedział Gunn z gniewem - a jeżeli...

Właśnie w tej chwili wkroczyliśmy do kajuty; on przerwał, kuląc się w sobie pod wpływem nagłego zakłopotania, jakiego doznawał zawsze, gdy znalazł się w obecności kilku osób. Darby Mc Graw, nie mniej zaskoczony, zerwał się z fotela, w którym się rozwaliał, i pochylał czoło przed Moirą, z gorliwością poganina kłaniającego się bożyszczu. Za cały przyodziewek miał parę płóciennych, spiętych w pasie hajdawerów oraz zawój na głowie, spod którego wymykały się jego rude włosy. Kordelas dyndał mu u lędźwi, a za pasem miał zatknięte trzy pistolety.

- Pan Bob! - zawołał. - I pan Piotr też! I... i... panna O'Donnell...

doprawdy, jakaż to harfa w tej chwili zagrała we mnie czarowną muzykę?

I roześmiał się. Pomimo tylu miesięcy spędzonych na "Koniu Morskim" uśmiech jego był tak słoneczny jak niegdyś w kantorze przy ulicy Perłowej.

- Racz mi wybaczyć, łaskawa pani dobrodziejko, bom ja sam Irlandczyk, a gdy patrzę na oczy pani, to mi się mimo woli przypominają jeziora Wickłów.

Moira klasnęła w dłonie.

- Wicklow! - zawołała. - Właśnie w Wicklow urodziłam się; stamtąd też pochodziła moja matka.

- A więc jakże się raduję, że panią spotkał w tej stronie świata - odpowiedział Darby uderzając butnie dłonią w rękajeść swego kordelasa. Boć gdybyśmy się spotkali w Wicklow, ja byłbym sobie at synem zwykłego błotołaza, a pani byłabyś wielką damą.

Od czasu, gdy ojciec Moiry poległ na pokładzie "Jakuba", nie słyszałem, by śmiech jej zadźwięczał tak czarowną nutą.

- Więc to ty jesteś tym chłopcem o srebrnym głosie! - odezwała się. - Ale jeżeli pochodzisz z Wicklow, mój Darby, to tak, jakbyśmy byli sobie krewni.

Naraz spoważniała.

- Ale ja, która mogłabym ci być starszą kuzynką lub nawet siostrą, muszę cię zapytać, czemu jesteś korsarzem. Czy nie pochodzisz z ucziwej rodziny?

Darby zafrasował się nie mniej niż Ben Gunn.

- I owszem, widzi panienska... Zawsze bardzo rwałem się do morza... Byłem sobie tylko zwykłym chłopcem do posyłek... Aż ci tu Długi John powiada...

- Darby - przerwała ona surowo - od jak dawna nie byłeś u spowiedzi?

On zaczął bić się końcem pochwy kordelasa po palcach bosej nogi.

- No... może miesiąc... może, jakby to powiedzieć... doprawdy, jeżeli panienska tego ode mnie wymaga...

- Pewno wiele miesięcy! - postawiła twardo sprawę.

- Nie będę temu przeczył - potwierdził rumieniąc się ze wstydu.

- I ty jesteś rodem z Wicklow, Darby?!

- Nie moja to wina, że nie mogłem znaleźć księdza.

- Pewno, kto znajdzie księdza na okręcie korsarskim? A co by ksiądz powiedział, gdybyś poszedł do niego i wyznał mu to, coś tu narobił? O Darby, wyrośniesz na złego człowieka!

Darby był skruszony.

- Na mą duszę! nigdy o tym nie pomyślałem. Doprawdy, nikt nie będzie bardziej żałował ode mnie... jeżeli trafi mi się sposobność. Ale widzi panienska... dopóki ktoś obcuje z piratami, musi być im podobny, ale kiedy się od nich wyrwie, to będzie miał czas wszystko naprawić...

I usiłował pokryć zmieszanie besztaniem Bena Gunna, który stał drżąc przez cały czas tej rozmowy:

- Cóż to za sposób postępowania, lokajczyku? - zapytał, przewybornie naśladowując sposób przemawiania Flinta. - Czy jesteś tak głupi czy zalękniony, iż nie widzisz, że czekamy na kęs strawy?

- Stój, stój! - wdałem się w tę sprawę widząc, że biedny Gunn już zaczyna się gramolić z kajuty. - Skądęś ty się tu wziął? Zdaje mi się, że kapitan Flint odkomenderował cię do twych dawnych obowiązków?

- Nie wiem, co to znaczy "odkomenderował", panie Ormerod - odrzekł głupowato - lecz ma pan rację, że spełniam dawne swe obowiązki. Zeszłej nocy wyobraziłem sobie, że już przysłała kreska na kapitana Murraya... co, jak słyszę, okazało się prawdą... więc powiadam do siebie: "Ben, idź do kapitana Flinta i zgłoś się, że jesteś człowiekiem, który z całej duszy pragnie mu służyć... jako tęgi marynarz... niech mu da do tego sposobność".

I szurnął nogami, patrząc na mnie z ukosa.

- A cóż na to rzekł kapitan Flint? - zapytałem.

Ben Gunn kłopotliwie poskrobał się w łepetę.

- Ostatecznie powiedział, że jestem za dobrym lokajem, by miano mnie marnować. Potem zawołał Darby'ego i powiedział, że dobry chłopak kajutowy zasługuje na własnego służącego... to mówiąc wskazał na mnie. Taki to mój los, łaskawy panie! Urodziłem się pod nieszczęśliwą gwiazdą... zaraz potem dano mi liberię pazia... i żyłem nieszczęśliwie. I umrę pono nieszczęśliwie, paniczku. Ale nie chcę umierać w liberii, nie, mości panie!

- i szurnął nogami w ukłonie.

- Co za kiep i prostaczek! - sarknął Darby z niechęcią.

- I jemu zachciało się być korsarzem.

A jeszcze zajęci byliśmy jedzeniem, gdy do kajuty niepewnym krokiem wtoczył się Bones. Rzucił wzrokiem na Moirę i jego wyzółkła twarz pofałdowała się w grymas mający oznaczać galanterię.

- To mi się podoba! Całkiem jak w domu! - odezwał się. - Chodź no tu, lubciu, siądź na kolanach Billa i pokraj mi ten kawałek mięsa na talerzu.

Chciałem się zerwać z miejsca, ale Darby już mnie uprzedził.

- Jeżeli ważysz się choćby palcem ją ruszyć, to ci wpakuję kulę w serce!
- krzyknął swym chłopięcym, wysokim głosem.

- Tego ci się zachciewa, ty ruda małpo!...

- Moja głowa jest szczęściem okrętu - z dumą odparł Darby. - Im mniej będziesz na nią wygadywał, tym lepiej dla ciebie.

- Zaraz zobaczymy! - warknął Bones. - Jesteś tylko sługusem i niczym więcej, mój chłopcze, ja zaś...

Pochwycił za rękę kordelasa, lecz Darby, bynajmniej nie zatrwożony, wymierzył w niego pistolet, długi jak ramię chłopaka. Zanim jednak doszło do walki, z korytarza wypadł Flint i uchwycił Bonesa za łopatkę.

- Cóż to takiego, Billu? - zapytał. - Czy nie możemy spotkać się z sobą, by nie zastać burdy wywołanej przez ciebie?

- Więc chcesz, bym przyjmował obelgi i wyzwiska od tego rudego szczura ładowego, co go Długi John wyłowił w Nowym Jorku? - wrzasnął Bones.

- Bynajmniej - odparł Flint. - Darby, jesteś moim szczęściem i opatrnościowym chłopcem, ale wytrzępię ci plecy harapem, jeżeli będziesz się awanturować.

- To on chciał wywołać burdę - odpowiedział Darby w zaciętrzewieniu. - Czyż on nie ubliżył pannie O'Donnell? Dalibóg, jestem Irlandczyk, jej ziomek, i zabiję każdego szubrawca, który jej da powód do płaczu... choćby to był nie wiem kto!

- Powoli, bratku - upomniał go Flint. - Cóż to takiego, Billu?

- A niechże będę skończonym draniem, jeżeli wiem, czemu tak ją wyróżniają
- huknął Bones. - Jestem sztorman... a jeśli...

Krwia nabiegłe oczy Flinta wpatrzyły się weń prawie z taką samą mocą, jaką dawniej Murray poskramiał swą załogę.

- Powinieneś mieć więcej rozumu w głowie, Billu - powiedział spokojnie. - Przed chwilą właśnie Długi John doniósł mi, że załoga zażądała zwołania wiecu, a Bóg wie, co tam knuje Allardyce i jego szajka. Ty zaś chcesz targnąć się na paragraf czwarty! U licha! Wiele zarzutów miałem przeciwko Andrzejowi Murrayowi, ale jeden z jego postępów uważam za najmądrzejszą rzecz, na jaką zdobył się jakikolwiek korsarz - jest to zaś paragraf czwarty.

- Kobieta jest zdobyczą, tak jak i skarb - mruczał Bones.

- O nie! Kobieta nie jest zdobyczą, lecz przeszkodą. Wiesz, co się dzieje, gdy na statku korsarskim są kobiety. Powstaje zazdrość, bójki i leje się krew jak w bitwie. Nie możemy sobie pozwalać na utratę więcej ludzi, Billu. Z całej drużyny okrętowej pozostało jedynie stu pięćdziesięciu ludzi! Zapowiadam, że od dnia dzisiejszego wrzucę w morze każdego, kto porwie się do noża.

- Ja, dopsze uczynisz - wtrącił się Piotr.

- Będziemy nad tym czuwać. W każdym razie nie pozwolę na bójki o kobiety
- spojrział złowrogo. - Rzuciłbym tę dziewczkę za burzę, gdyby nie to, że ona pomoże mi odnaleźć skarb ukryty przez Murraya.

- Jeżeli ją skrzywdzisz, nie dowiesz się ani słowa od nikogo z nas -
dodałem z powagą.

- O, polegajcie na tym - fuknął Flint. - Wasze szczęście, żeście żywi!...
A jedyną tego przyczyną jest, że wiecie to, co mi potrzebne.

I odwrócił się znów do Bonesa.

- A teraz, zapamiętaj to sobie, Bill, masz zostawić ją w spokoju. Gdy już
dostaniemy ten skarb, będziesz mógł do woli bawić się z dziewczkami lub też
czynić to, czego dusza zapagnie.

- Jeśli go dostaniemy...

- Stanie się to prędzej, niż ci się zdaje! - odrzekł Flint.

- Akurat! Teraz, gdy cała załoga domaga się rozpuszczenia na cztery
wiatry! Gdy Allardyce zapowiada, że jutro ruszy do domu! Widziałem, że
dawałeś sobie radę w przeciwnościach, ale ty nie jesteś Andrzejem Murrayem!

Ten docinek rozdrażnił Flinta. Twarz mu posiniała, jak to się zdarzało,
gdy wprawiono go w zły humor lub gdy przebrał miarę w napoju.

- Zobaczymy! - fuknął. - Jeszcze ich nauczę! Nie jestem Andrzejem
Murrayem! Może i nie. Ale mam ja własne fortele, Billu! Tak, fortele moje
rodzone, Flintowe! A są one nie najgorsze! - naraz przypomniał sobie o
naszej obecności. - A wy tam trzymajcie język za zębami. Nic nie wypaplać
Silverowi ani też nikomu innemu. Ty zaś, moja dzierlatko - zwrócił się do
Moiry - schowaj się gdzieś dobrze, zarówno ze względu na mnie, jak i na
siebie. Jest to okręt korsarski, spotkać się tu można z grubiaństwem...

- Nie troszcz się o pannę O'Donnell - ozwał się Darby ufnym głosem. - Ja
już się nią zaopiekuję.

- Aha, ty się do tego weźmiesz! - roześmiał się Flint. - Do kroćset! co
za chłopak. No dobrze, strzeż ją od złej przygody, a skoro podzielimy się
skarbem, może upiecze ci się jakaś uboczna gratka. Chciałbyś ją mieć, he?

- Więcej ona warta niż wszystkie skarby, co się tu znajdują -
zacietrzewił się Darby. - A racz sobie zapamiętać, co ci powiem, kapitanie
Flincie. Jeżeli stanie się jej jaka krzywda lub sercu jej ból ktoś zada, to
pożegnaj się ze swym szczęściem... tak, będziesz szczęśliwy, jeżeli ci się
uda ująć z całą szyją.

Flint pobladł.

- No, no, Darby - jął go uspokajać. - Nie gadajże tak po próżnicy; to nie
wyjdzie nam na dobre. Ja zawsze byłem dla ciebie łagodny...

- I ty właśnie przyczyniasz się do zguby naszego szczęścia - rzekł Darby.

- Powiem ci tylko tyle, że masz się obchodzić uprzejmie z tą wytworną
panienką, gdyż biada ci, jeżeli ktoś wyrządzi jej krzywdę!

- Jest ona całkiem bezpieczna - odpowiedział Flint. - Będziemy ją tu
trzymać, dopóki nie dobędziemy tego, co zostało zakopane na Skrzydni
Umrzyka, potem zaś ona i ci dwaj mogą sobie wziąć czołno i jechać, gdzie im
się podoba... a...

- I ja z nimi pojedę - dodał Darby.

- Nie, nie, Darby! Pomyśl no, ile złota mieć będziesz na pokładzie "Konia
Morskiego"! Zresztą potrzeba nam jeszcze będzie do szczęścia twej rudej
łepety.

- Szczęścia! - nadał się Darby. - Bodaj grom spalił to moje szczęście!
Więcej z nim kłopotu niż pożytku.

Tymczasem Bones pochwą kordelasa odtłukł szyjkę butelki z rumem i wlał
sobie w gardło łyk, jaki by się zmieścił w sporej szklanicy, i popłukiwał

sobie krtań, by odczuć cały smak płomiennego trunku.

- Zostaw dla mnie resztę! - zawołał Flint chciwie. - Aaaa! Nic tak nie dodaje serca człowiekowi, jak łyk dobrego rumu. No, Darby, dokończ tego! To mi zuch! A nie mów już więcej o utracie swego szczęścia. W najbliższych dniach bardzo nam ono będzie potrzebne... ba, nawet dzisiaj, jak powiada Bill, bo oto Tomasz Allardyce i gromadka mazgajów drze się, że powinniśmy poprzestać na tym, cośmy zdobyli, rozwiązać naszą bandę i ratować głowę na karku.

- Nie tyle się boję Tomasza Allardyce'a - rzekł Bones rozważnie - ile Silvera. On ma głowę nie od parady... ten Długi John... a wszystka wiara jak w dym do niego, odkąd udało mu się wziąć fortelem warownię.

Flint kiwnął głową.

- Masz rację, jednakże przeoczyłeś rzecz jedną, a mianowicie, że John jest tego samego zdania co ja. Gdy już cały skarb będzie wydobyty, wtedy tylko czekać burdy, ale w chwili obecnej, Billu, Silver, zarówno jak ty i ja, pragnie jechać z nami w kupie.

- Być może - odrzekł Bones, raczej wąpiąco niż z przekonaniem.

- Być może? Niechże będę skończonym ciemięgą, jeżeli nie mam racji - to mówiąc Flint powstał ze stołka, na którym siedział. - Chodź ze mną na pokład, a ja ci pokażę. Ty również, Darby. Nie, nie, mój chłopcze - odezwał się widząc, że ten się ociąga - twoja obecność będzie mi potrzebna. Powiadam jeszcze raz, że twoja czerwona łepeta jest najlepszą flagą, pod jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek żeglować.

U wyjścia na korytarz zatrzymał się i przemówił do nas, spozierając przez ramię:

- Pamiętajcie, co mówiłem o dziewczynie. Trzymajcie ją w ukryciu - i pchnął Darby'ego przed sobą. - Biegnij co żywo i zwołaj ludzi na tył okrętu! - rozkazał. - Co za chłopak! Billu, coś tam masz rzadką minę! Przystroj gębę uśmiechem i zaśpiewaj jakąś piosenkę. Nie pozwolimy, żeby te kpy z forkasztelu pomyślały, że jesteśmy strapieni, he?

I głos jego zahuczał głucho wśród ciasnych ścian korytarza:

Pięknym i wielkim okrętem był "Słoń",

Na wszystkich morzach sływał;

Minąwszy Kanał prął słoń toń

Do Indii Wschodnich płynął.

A młodszy bosman, Dicky Lamb,

Podmówił żeglarską czeladź:

"Do kroćset! Dobrą rzecz radzę wam!

Krwi trochę warto przelać!

Bones przyłączył się do pieśni, wpadając w środek melodii:

Jest nas czterdziestu trzech - każdy zuch!

Zaś kupców dziesięciu, a z nimi

Kapitan, kucharz i sztormanów dwóch,

I chłopak-półgłówek, Simmy.

Razem piętnastu na czterdziestu trzech -

Uciechę będziemy mieć rajską!

W nocy ich zdybiem... czy kto żyw, czy zdechł -

Hul go w Zatokę Biskajską!"

Wył wicher, miotając żagle tam i sam -
Noc była to pełna grozy,
A Portugalczyk i Dicky Lamb
Związali szypra w powrozy.

W tej chwili stanęli już na pokładzie, a Flint przerwał na chwilę śpiewanie, by zakrzyknąć gromkim głosem:

- Na tył okrętu, durnie! Żądaliście zwołania wiecu, więc będziecie go mieli. A niechże cię, Billu! Nie możesz śpiewać głośniej?

- Głośniej?! - mruknąłem do Moiry i Piotra. - Ależ chyba i na Lunecie można ich dosłyszeć.

- Pst! - upomniała mnie Moira. - Chciałabym usłyszeć dalszy ciąg. O, teraz śpiewa Darby... i inni.

Kilkanaście głosów podjęło dziką śpiewkę:

Sztormana w morze Sandy Grant zmiótł,

Trzasnąwszy go mocno po kufie,

W łóżku nożami drugi sztorman skłut -

Toż kupcy, co spali na rufie.

Kucharza zduszono wśród solonych mięs;

Lecz nikt Simmy'ego nie znajdzie,

Bo od ich pogrózek mózg nazbyt się wstrząsł

Biednemu niedorajdzie...

Zaszył się kędyś w najciemniejszy kąć

Z toporem, świdrem i piłą -

I śmiał się z uciechy, gdy morze swój prąd

Przez otwór wyrżnięty wtoczyło...

Ach, w taki to sposób wielki "Słoń"

Na wodach biskajskich zginął;

Już nigdy nie będzie przez morską toń

Do Indii Wschodnich płynął.

Gdy dochodzili do ostatniego wiersza, śpiewała już chyba cała załoga. Talerze, stojące na stole przed nami, pobrzękiwały od pohuku śpiewających głosów.

- Doskonała pieśń! - odezwał się głos Flinta. - Najlepsza ze wszystkich, jakie znam, z wyjątkiem "Piętnastu chłopów". Nie jestem kaznodzieją, ale nie mogę się opędzić od myśli, że każda załoga w gronie swym posiada takiego cwaniaka jak Simmy, co to zawsze chce dla siebie pieczeń upiec, a nie zważa na to, co myślą jego kamraci.

Odpowiedzią na to było tylko klaskanie bosych nóg na pokładzie i szmer gromadzących się ludzi.

- No, zaczynajcie przemawiać, marynarze! - mówił dalej Flint z odcieniem złośliwości w głosie. - Czego wam potrzeba? Doszły mnie słuchy, jakoby tu mówiono o tym, by dać mi czarną plamę... mniejsza o to, jakie będą skutki... a potem popłynąć na własną rękę do domu... i basta. Cóż mi tu chcecie wykladać, pytam.

Sień kajutowa, niby tuba okrętowa, donosiła wszelki gwar z pokładu do naszych uszu; jednak słyszeć nie było to samo, co widzieć, przeto Piotr i ja namówiliśmy Moirę, by poszła do swej alkowy, a sami przysunęliśmy się do drzwi wychodzących na pokład, gdzie toczyły się właśnie obrady. Była to

scena prawie taka sama jak ta, której świadkiem byłem parę nocy przedtem, gdy podglądałem przygotowania Flinta do napaści na Murraya. Flint siedział, jak wówczas, na przewróconej beczce, mając przy sobie Bonesa, Silvera, Pewa i jeszcze kilku innych. Reszta załogi rozłożyła się półkolem na deskach pokładu - można było dostrzec ich brązowe oblicza i tatuowane piersi. W powietrzu było parno, dlatego też wszyscy obecni mieli na sobie taki sam przyodziewek co Darby, a mianowicie tylko parę hajdawerów, najczęściej zakasanych powyżej kolan.

W półkręgu siedzących w kucki marynarzy najbardziej wyróżniał się wysoki, chudy mężczyzna o przydługich, żółtawych włosach i wyzywającej minie. On to dźwigał na sobie ciężar rozprawy z Flintem, opierając się w pewnej mierze na otaczającej go gromadce złożonej z kilkunastu ludzi.

- Tak, tak, Tomaszu Allardyce - mówił Flint, właśnie gdyśmy dotarli do miejsca, skąd można było ich podglądać. - Tyś to najwięcej sprzeciwiał się napastowaniu Murraya.

- Czyż nie miałem słuszności? - odciął się Allardyce. - Czyż nie stało się wszystko tak, jakem wam przepowiadał? Wyrznięto nas jak bydło.

- Nie wszystko idzie pomyślnie od samego początku - odpowiedział Flint. - Ale zważcie no sami, druhowie, co już udało się nam osiągnąć.

- Nie twoja to zasługa! - upierał się Allardyce. - Tylko ślepemu szczęściu zawdzięczać należy, że burza rozbiła okręt Murrayowi, a nam udało się jej uniknąć.

- Aha! - ozwał się Flint przymilnie. - Masz rację mówiąc o szczęściu. Tego samego określenia ja użyłem, Allardyce. Bo, widzisz, szczęście najwięcej popłaca, a mnie ostatnimi czasy szczególnie sprzyjało; nikt temu nie potrafi zaprzeczyć. Do czegokolwiek rękę przyłożę, to mi się udaje.

Szmer potwierdzenia przyjął te słowa, człowiek zaś o żółtych włosach wykrzyknął:

- Dobra to rzecz szczęście, ale każdemu szczęściu przychodzi kres, a ja ci powiem, kapitanie, że już przeciągasz strunę!

- Jeszcze mi tego mało - rzekł Flint. - Wyznam ci otwarcie, że chciałbym w dwójnasób zwiększyć nasze bogactwo. Widzicie, kamraci - zwrócił się do ludzi - moje szczęście zdobyło nam osiemset tysięcy funtów, a ja chciałbym zeń skorzystać, by zdobyć drugie osiemset tysięcy. Do tego zaś potrzeba mniej wysiłku, niżby się komu zdawać mogło, gdyż najcięższe zadanie zostało już wykonane. Mamy troje brańców, którzy znają tajemnicę zakopanego skarbu Murraya, nam zaś pozostało tylko popłynąć na Skrzynię Umrzyka, wysadzić tam gromadkę ludzi i załadować skarb na okręt.

- Dobrze, ale przypuśćmy, że jakaś fregata nas dopadnie? - zawołał jeden z ludzi siedzących obok Allardyce'a.

- Zależy, jaka fregata, mój człowieku - odrzekł Flint spokojnie. - Jeżeli hiszpańska, to mogę ją pobić. Przed angielską zdołam uciec. Jeżeli francuska... to jeszcze nie wiem.

- Okręt jest zbutwiały. Nie zdołamy uciec - rzekł Allardyce. - Nie, towarzysze, powiadam, że mamy już osiemset tysięcy funtów i powinniśmy na nich poprzestać. Na każdego wypadnie po parę tysiączków.

- Tak, tak - ozwały się głosy. - Rozwiązać załogę, póki sprzyja nam szczęście!

- Rozwiązać?!... Gdy prawie już mamy w kieszeni drugie osiemset tysięcy!

- krzyknął Flint. - Nigdy nie słyszałem głupszej mowy!

- Lepiej zachować życie i osiemset tysięcy funtów niż wytracić trzecią część załogi, by zyskać drugie tyle! - nalegał Allardyce zawzięcie.

- Nie, nie! Dopóki mam prawo cokolwiek stanowić w tej mierze! - wrzasnął Flint. - Niech mnie czort weźmie, jeżeli mam utracić bogactwa, dla których tyleśmy się natrudzili i walczyli... byle tylko przypodobać się garstce patałachów, którzy nie mają odwagi, by jeszcze trochę nadstawić karku!

Zaczęto kolejno wypowiadać zdania, oświadczając się za tą lub tamtą stroną; cała drużyna podzieliła się na dwa obozy. Allardyce zaczął zyskiwać przewagę.

- Jeżeli mówisz o utracie skarbów, kapitanie, to właśnie ty sam godzisz się wystawić na szwank te osiemset tysięcy funtów, które mamy już w garści. Wyprawimy się po jedne skarby, a możemy, i to prawie niechybnie, utracić to, co już posiadamy.

Flint, zamyśliwszy się, spojrzął z ukosa na żółtowołosego mężczyznę.

- Mogłoby to być dobrym argumentem, Allardyce, gdyby było prawdą - zauważył - jednakowoż jest inaczej. Prawdą jest, że mam zamiar ukryć bezpiecznie cały skarb przez nas posiadany, zanim wyprawimy się na Skrzynię Umrzyka. Znajdujący się na okręcie skarb jest nieszczęściem dla okrętu, jeżeli nie ma zapewnionego użytku. Dlatego to kazałem wam zostawić na lądzie tę część skarbu, którą Murray przeniósł do stancy.

Allardyce uniósł się gniewem.

- A jakże, chcesz umieścić skarb tam, gdzie mógłbyś położyć na nim swą łapę, a potem dać drapaka przed nami!

- Jakżebym mógł tego dokazać, Allardyce? - zapytał Flint łagodnie.

- Gdybym wiedział, co knowasz, byłbym ci w tym przeszkodził.

- A, przeszkodziłbyś mi?

- Przeszkodziłbym!

- Bardzo to ładnie z twojej strony - rzekł Flint. - Chcę cię przekonać, czy chcesz, czy nie chcesz, że mam względem was dobre zamiary. Zaraz je wam wyłuszczę: nasamprzód, kamraci - mówił zwracając się do całej załogi - czy życzyście sobie zdobyć bez walki osiemset tysięcy funtów?

Ogromna większość przyklasnęła tym słowom.

- Następnie, kamraci, czy zgadzacie się, by skarb, który posiadamy, został zakopany tu, na Rendez-vous, aż do czasu, gdy przywieziemy ową część, która spoczywa na Skrzyni Umrzyka?

- A któż go zakopie? - wtrącił posępnie Allardyce. - Łatwo to kilku ludziom tak zakopać skarb, żeby go nikt, prócz nich samych, nie odnalazł... a jeżeli ci, co ten majątek zakopią, nagle gdzieś znikną, cóż poczną ich kamraci?

- Jest w tym nieco słuszności - przyznał Flint. - Niechże więc na tym stanie, Allardyce, że zakopiesz go ty razem ze mną.

Żółtowołosa mężczyzna potrząsnął głową.

- Z nas dwóch powróciłby tylko jeden... a nie byłbym to ja...

- Masz chyba o mnie nazbyt wielkie mniemanie? - zadrwił Flint. - Ale dajmy na to, że weźmiesz z sobą paru przyjaciół. Czułbyś się wtedy bezpiecznie?

- Ilu?

Flint zwrócił się do Silvera, którego bystre oczy bacznie przyglądały się ludziom z obu stronnictw biorących udział w sporze:

- Ilu byś ty wyznaczył, Długi Johnie?

Pociągła twarz Silvera wykrzywiła się drwiącym uśmiechem.

- Przyjąwszy, że będziesz sam jeden po tej stronie, kapitanie, radziłbym wziąć pięciu... a, sześciu, licząc razem z nim.

- Sądzisz, że on będzie ode mnie bezpieczny mając przy sobie pięciu przyjaciół? - zapytał Flint z powagą.

- Sześciu w sam raz wystarczy do zakopania skarbu - odrzekł Silver, szerzej niż zwykle rozdziawiwszy usta w uśmiechu. - Z tobą będzie siedmiu... a siedem to liczba szczęśliwa.

Flint popatrzył nań z podziwem.

- Widzicie, jak to Długi John wymędrkował? Siódemka jest szczęśliwa, prawda! Tak, ale dla kogo! No, Allardyce, cóż ty na to? Czy będziesz czuł się bezpiecznie pod osłoną pięciu przyjaciół?

Kilku ludzi się roześmiało.

- Tak - odrzekł żółtowołosy mężczyzna.

- Więc już sprawa postanowiona - rzekł Flint. - Teraz ich sobie dobieraj. Zaczniemy zaraz przenosić skarb na brzeg, a gdy to zostanie ukończone, natychmiast wyruszmy na wyspę: ty, ja i twoi przyjaciele. Bill obejmie komendę nad statkiem. Najlepiej, Billu, jeżeli będziesz trzymał "Konia Morskiego" na wschód od wyspy, jeżdżąc tu i tam, stosownie do pogody; jeżeli będziesz stał tu beczynnie, to powstaną burdy i ludzie będą wychodzili na brzeg, a wtedy nigdy nie uporamy się z robotą.

- Jak długo tam zabawicie? - zapytał Bones śmiejąc się znacząco.

Flint zawołał na Allardyce'a, który pochłonięty był rozmową z gromadką swych popieczników.

- Jak ci się zdaje? Ile czasu zabierze nam uprzątnięcie dwóch działów skarbu, Allardyce? Złoto i srebrną monetę złożymy w jednym schowku, a sztaby srebrne w drugim.

- Skądże mogę wiedzieć? - warknął Allardyce.

- Skądże mogę wiedzieć? powiada! - powtórzył Flint posepnie. - Wobec tego, Billu, będziesz pływał tam i sam, tak jak ci powiedziałem, a gdy będziemy już gotowi, by wsiąść na okręt, wyjedziemy łodzią z zatoki. Jest to chyba jasne i proste załatwienie sprawy? Nie ma mowy o jakowymś nieporozumieniu.

Po czym ruszyli obaj w stronę rufy, przeto Piotr i ja daliśmy nura do swej kajuty. Oni weszli do pokoju Bonesa, który przylegał do alkierza Moiry; przez pewien czas słyszeliśmy, jak rozmawiali przyciszonym głosem. Gdy wychodzili, Flint przemawiał:

- Pamiętaj, Billu, sprawuj swe dowództwo łagodnie, ale nie pozwól im się rozpuścić na dziadowski bicz. A tej dziewczce daj spokój; wywołałoby to tylko niesnaski wśród załogi.

Bones odpowiedział stekiem przekleństw.

- Jesteś dureń - zmienił naraz temat rozmowy - że pozwoliłeś Długiemu Johnowi, by postawił ciebie oko w oko przeciwko sześciu ludziom. Przecież nawet Murray...

- Milczeć! - krzyknął Flint głosem, w którym wyczułem najwyższe napięcie złości. - Murray to, Murray tamto... do pasji mnie doprowadza ciągle bajdurzenie o tym człowieku. Pokażę tym drabom, że sposoby Flinta są tak niezawodne jak sposoby Murraya. Gdzie są moje flamandzkie pistolety?

Gdy nareszcie odeszli, spojrzałem pytająco na Piotra.

- Ja - przemówił Holender.

- Ale jeden na sześciu! Co o tym sądzić?
- On chce schować skarb tam, kcie tylko on sam będzie mógł się dostać.

Ja, to fszystko.

Rankiem szóstego dnia zostałem obudzony donośnym krzykiem na pokładzie, a w chwilę później do mojego pokoju wpadł Darby Mc Graw, tak podniecony, że jego żargon stał się niemal niezrozumiały.

- Śpiesz się, śpiesz się, panie Bob! - zawołał. - Flint wraca... ale tylko sam... sam jeden!

Obudziłem Piotra, ubraliśmy się i wybiegliśmy na główny pokład, który był zatłoczony korsarzami, patrzącymi z osłupieniem poza barierę sztymbortu. Słońce właśnie wschodziło, a wyspa, mroczna, i posępna, wylaniała się stopniami z pianistych bełtów dunugi. "Koń Morski" stał od niej na południe, mając po prawej stronie Białą Opokę, a przed sobą wejście do Zatoki Kapitana Kidda. W bok od wylotu tejże widać było płynącą ku nam łódkę, którą zostawiliśmy byli przy brzegu dla Flinta i jego towarzyszy. Siedział w niej, wiosłując, jeden tylko człowiek, z głową obwiązaną jasnoblękitną chustą.

- Ale skądże pewność, że to Flint? - zawołałem. - Jest odwrócony do nas plecami, a z tej odległości...

- Za pozwoleniem, panie Ormerod - ozwał się Silver, stojący tuż przy mnie - dostrzeżliśmy go przez szkła. Bill - tu wymachnął swobodną ręką w stronę rufy, gdzie Bones przechadzał się tam i z powrotem koło sternika - ...Bill jest pewny, że to on.

Kulawiec uśmiechnął się i zniżył głos:

- Waszmość się temu dziwisz? Co?
- Jeden na sześciu! - tyle tylko zdołałem z siebie wydobyć.
- Ja - potwierdził Piotr chichocząc.

Silver uśmiechnął się znowu.

- Tak, jeden na sześciu. Flint to chłop silny, a wściekły ryzykant. Jakże się waćpanom zdaje, cóż on teraz robi z mapą?

- Jaką mapą?

- Kiedy się zakopuje skarb, to trzeba narysować mapę - wyjaśnił Silver tonem wyroczeni. - Jeżeli więc jeden tylko człowiek wie, gdzie skarb zakopano, a przy tym ma on mapę, to skarb jest bezpieczny aż do dnia sądnego... chyba że ktoś inny zwędzi mu tę mapę.

- No, przecież on nie da mi tej mapy - odparłem krótko.

- Nieee, na to się nie zanosz. Lecz jeżeli on ją schowa tak, że będziecie mogli dostać ją w swe ręce lub zobaczyć, że on ją daje komu innemu, wspomnijcie, że Długi John jest waszym przyjacielem, waćpanowie. Przyjacielem, pamiętajcie to słowo. A stare przysłowie powiada, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

Jego czarne oczy załśniły przenikliwie, spoczywając kolejno na twarzy Piotra i mojej. Wnet potem pokuszył się w stronę rufy, krzycząc:

- Spuszczaj liny, kamraci. Pomóżcie kapitanowi wciągnąć łódkę na pokład.

W tej chwili skręciliśmy pod wiatr i jęliśmy podjeżdżać, tak iż Flint płynął obecnie ku nam od nawietrznej strony, wiosłując powoli, długimi, nieskwapliwymi uderzeniami, jak człek bardzo strudzony, ale całą duszą oddany dokonywaniu ciężkiego przedsięwzięcia. Teraz, gdy był już blisko, mogliśmy dostrzec, iż chusta na jego głowie pokryta była skrzepami krwi. Surdut i koszulę podarte miał na strzępy, a trzewiki i pończochy oblepione

blotem.

Rzucono mu pęk lin, on zaś przywiązał je starannie do przodku łodzi, po czym zaczął się wspinać po szczeblach bocznej drabinki, poruszając się sztywnie, ale z nieomylną sprawnością. Gdy jego twarz pojawiła się nad parapetem burty, stojący bliżej ludzie rozdziawili gęby i cofnęli się, następując na nogi tym, którzy się tłoczyli poza nimi. Takiej twarzy nie widziałem nigdy w życiu. Uderzała w niej nie tylko okropna siność cery i kłębowisko żył nabrzmiąłych czerwono pod skórą, ale i odbicie przeżyć, przechodzących miarę zwykłego ludzkiego zrozumienia. Oczy pałały mu dzikim blaskiem. Usta zacięły się w dąs nienawiści. Na jego gładkich policzkach wyżłobione były rysy lęku, gniewu, mściwości, żądz, nieokiełznanej ambicji, ba, nawet i szyderstwa.

Zesunął się na pokład i bacznie spojrzął po wszystkich wokół.

- No, jestem już tutaj! - wycharczał. - Hej, Darby, przynieś mi butelkę rumu. Co żywo, chłopcze!

Darby, trzęsąc się i pobladłszy na twarzy, skoczył wypełnić zlecenie. Nikt nie odzywał się ani słowem, a Flint jął się śmiać - jakże ohydnie!

- Nie cieszyście się z powrotu swego szypra, hę? Jak się wam powodzi, Billu?

Bones ramionami przebił sobie drogę poprzez ciżbę, ale i jemu słów zabrakło, gdy stanął oko w oko z przerażającą i ohydą postacią Flinta.

- Nam... nam... nam dobrze się wiedzie - wyjąkał na koniec.

Jedynie Silver, jak się zdawało, pozostał niewzruszony.

- Było was siedmiu, gdyście odeszli na ląd - odezwał się wykrętnie - a jeden tylko powrócił na okręt?...

Flint zaśmiał się powtórnie owym piekielnym śmiechem.

- Tak, sześciu zostało na lądzie, Silverze, sześciu tęgich chłopów.

Sześciu, powiadasz... a siódemka jest szczęśliwa. Dalibóg, szczęśliwa! I jeszcze jak szczęśliwa! Allardyce powiadał, że z sześcioma czuje się bezpiecznie! Cha! cha! cha!

- Gdzie... gdzie... oni się znajdują? - zapytał Bones.

- Na lądzie, powiedziałem wam, Billu. Wszyscy bezpieczni... na lądzie...

- Nieżywi? - dopytywał się Bones.

- A jakże... wyciągnęli kopyta... jak Henryk Morgan... lub Avery...

Przez ciżbę jął się przepychać Darby niosąc odkorkowaną butelkę rumu. Flint wyciągnął obie ręce i począł roztrącać ludzi na prawo i na lewo, by utworzyć chłopcu drogę.

- Rumu! - zawołał. - Tego mi potrzeba. Rumu!... I to dużo!

Pochylił głowę w tył, przyłożył do warg butelkę i zaczął pić, pić bez końca. Słyszał było bulgot trunku przelewającego mu się przez grdykę.

- Aaaa! - odetchnął. - To pyszna rzecz! Przynieś mi jeszcze jedną, Darby.

Cisnął butelkę w morze i zaczął śpiewać zwrotkę z tej dzikiej pieśni żeglarskiej, która była tak ulubiona pośród załogi:

Tom Avery dostał nożem po policzku -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

A Monsieur Tessin zadyndał na stryczku -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

- Ale co się stało ze skarbem, kapitanie? - zagadnął Silver.

Flint wlepił w niego oczy i wpatrywał się tak przez czas dwóch pacierzy. Muszę przyznać, że Silver nieugięcie wytrzymywał jego spojrzenie.

- Cóż by miało być? Jest całkiem bezpieczny - odpowiedział Flint owym przerażająco łagodnym tonem, jakim dawniej przemawiał był do Allardyce'a. - Wszystko zakopane, tak że ani pies tego nie ruszy.

- Ale gdzie? - nagabywał go Silver.

Sina, płamami okryta twarz Flinta zatrzęsa się wściekłością, jakiej niepodobna opowiedzieć słowami.

- Gdzie? - wybuchnął. - Chcesz wiedzieć gdzie? Pytajże dalej, jeśli ochota, człowiecze! Albo szukaj go, jeżeli sobie życzysz. Idźcie sobie na wyspę. Puśćcie te liny! - krzyknął na ludzi, co stali przy powrozach, do których przywiązana była jego łódka. - Otóż! - ciągnął dalej. - Narzędzia są na wyspie. Możesz wziąć z sobą zapas jadła i rumu. Idź na ląd i zostań tam, czyja ochota! Szukaj skarbu, choćbyś do samego piekła miał się dokopać! Ale okręt pojedzie dalej, do pioruna!... By zdobyć więcej!

Począł chwilę, ale nikt z obecnych nie przyjął tego wyzwania.

Silver zamyślił się, wytoczył się o kuli ze ścisku, patrząc kędyś w dal oczyma, które były tak nieruchome i świecące jak para polerowanych guzików.

- A więc dobrze - rzekł Flint. - Kierunek na południowy zachód ku południu. Jedziemy na Skrzynię Umrzyka. Rozwinąć wszystkie żagle, a na każdym maszcie umieścić czatownika!

XXII

"Darby, przynieś mi rumu!"

Murray miał rację przepowiadając, że obrabowanie "Najświętszej Trójcy" pociągnie za sobą wysłanie fregat z San Domingo, St. Pierre, Hawany i Kingston; przygody "Konia Morskiego" w zupełności potwierdziły jego słowa. Po sześciu dniach żeglugi w kierunku południowym dostrzegliśmy topżagle jakiegoś sporego okrętu cudzoziemskiego, w którym czatownicy rozpoznali okręt floty angielskiej.

Flint, ocknąwszy się z nietrzeźwości, potwierdził ich spostrzeżenia i kazał zmienić kierunek jazdy. "Konia Morski" jął zdążać na zachód, a tamten statek puścił się w pogoń. Gnał tak za nami dzień i noc, a nazajutrz dojrzeliśmy przez szkła lunety złowrogi rząd strzelnic, jaki się widuje na sześciopokładowym okręcie wojennym. Lecz jak wszystkie tego typu statki angielskie i on też poruszał się ociężale na wodzie. Flint zaś, bądź co bądź, był sprawnym żeglarzem, tak iż udawało mu się stale być oddalonym więcej niż na odległość strzału armatniego; w ciągu następnej nocy zręcznie odmienił kurs i wymknął się prześladowcy. Wszakże nie ważył się płynąć od razu z powrotem, płynęliśmy zatem na północny wschód, śladem flotylli hiszpańskich, mijając w ciągu trzech dni cztery okręty płynące na zachód. Czwartego dnia Flint uznał, że jest już bezpieczny od pościgu, zwrócił więc "Konia Morskiego" na właściwą drogę, sam zaś począł w dalszym ciągu, jak dzień długi, raczyć się rumem w kajucie, osuszając butelkę za butelką, klnąc, śpiewając i wykrzykując krwawe opowieści lub śpiewki ku jakimś niewidzialnym słuchaczom, którzy siedzieli obok niego czy staczali z nim bójki.

Nam, trojgu jeńcom, cały okręt wydawał się pływającym szpitalem wariatów. Moira nie mogła ruszyć się ze swego alkierza, chyba nocą, gdy Flint

przypadkiem zasnął, a większość załogi oddawała się pijatyce na forkaście, lecz biedaczka nigdy się nie uskarżała na to więzienie, które ścierało rumieńce z jej twarzy, i zachowała pogodne usposobienie pomimo groźnego niebezpieczeństwa, jakie wisało nad nią o każdej godzinie.

Gdyby nie Darby, los jej byłby jeszcze bardziej opłakany. On to wypatrywał chwile, gdy dziewczyna mogła się odważyć na większą swobodę, i bez trwogi, nie dbając na niczyje groźby, służył jej swą pomocą. On to jej przynosił jedzenie, na jakie miała ochotę, często zaś czynił to i dla nas.

W tym okresie kapitan nie dowierzał nikomu na okręcie, oprócz Darby'ego i Billy'ego Bonesa, i bał się jakowychś niewidzialnych istot, które rzekomo czatowały po kątach kajuty i wykrzywiały się do niego spoza okien. W czasie takich napadów trwogi porywał pistolety i strzelał na wszystkie strony - nie zważając, czy kto jest obecny - albo też żgał sztyłem w ściany i gonił urojonych nieprzyjaciół po całej sieni kajutowej. Gdyby nie przeszkodził mu Darby, kapitan zabiłby Beniamina Gunna, a raz nawet istotnie zabił jakiegoś nieszczęsnego wyrostka, którego zdybał na swej drodze przy wyjściu na pokład, dokąd wybiegł, pieniać się i rzucając złorzeczenia na dręczące go upiory.

Jedynie Darby mocen był go uśmierzyć. Bonesowi Flint ufał, ale nie pozwalał mu się do niczego wtrącać, natomiast Darby mógł doń przemawiać otwarcie, a niekiedy okiełznać jego gwałtowność podając mu rum, ilekroć tylko tego zażądał.

Na szerokości Cieśniny Wiatrów dwie fregaty i jeden hiszpański statek liniowy wynurzyły się niespodziewanie przed nami spoza gęstej mgły. Nie było co robić, jak tylko uciekać. Ów dzień przeszedł nam jakoś bez szwanku, ale w nocy zadał lekki powicher, tak iż przeciwnik mógł rozpiąć żagle takiej mocy, że byłby niechybnie dosięgnął "Konia Morskiego".

O świcie ów statek otworzył ogień z dział pościgowych, a przez pięć godzin Flint musiał manewrować swym okrętem, by uniknąć osiemnastofuntowego pocisku. Potem wiatr zelżał, więc - rozwijając żagiel za żaglem - poczęliśmy coraz to się oddalać od Hiszpana. Był to okręt na ogół niezdatny, a kapitan nie potrafił wyzyskać jego przymiotów, zwłaszcza że puszkarze nie umieli trafić w cel tańczący po karkołomnych morskich przewalach. Fregaty, jak sądzę, mogłyby nas dogonić, jednakowoż bały się podchodzić za blisko i działać na własną rękę. Nazajutrz byliśmy już parę mil w drodze powrotnej, zmyliwszy czujność przeciwnika w najciemniejszą godzinę nocy. Flint przechwalał się swym szczęściem, aż na koniec, spity do utraty przytomności, rozwalił się na stole jadalnym wśród rumowiska potłuczonych mis i szklanek, które pokaleczyłyby boleśnie każdego, kto nie postradał czucia.

Przykre było jego obudzenie z tego snu w dwa dni później, gdy okazały statek francuski zaczął następować nam na pięty. Och, był to istny chart! Jego kadłub w każdej swej piędzi był dostosowany do uzyskania jak największej chyżości, a sprawne reje przybrane były żaglami o takiej powierzchni, iż dzięki nim można było przebyć dobrze trzy mile w ciągu godziny. Bones z pomocą Darby'ego ściągnął Flinta ze stołu w kajucie i wylał nań trzy kubły wody morskiej, by otrzeźwić go z nieprzytomnego stanu wywołanego rumem. Flint wyszedł chwiejnym krokiem na pokład, klnąc jak sam diabeł, i z ukosa spojrzął przekrwionymi oczyma poza poręcz rufy. W jednej chwili odzyskał przytomność.

- Do licha, toć to okręt francuski! Ma on nas już w garści, kamraci. Ale nie damy się zjeść w kaszy, he? Zwołaj wszystkich okrętników na pokład główny, Billu.

Wśród załogi podniosło się szemranie; spełniło się to, co przepowiadał Allardyce, a niedobitki jego stronników nie omieszkały wyzyskać sposobności. Jednakowoż większość załogi poszła do dział, przejęta taką samą zaciętą uporczywością jak ich kapitan.

- Walczyć, psy! - wołał Flint z rufy, przenosząc to tu, to tam swe sine oblicze. - Zostaje wam albo stryżek czy też galery, albo hulanka zbójcka. Tylko walka może nas uratować!

Francuz ani myślał używać dział pościgowych, tak dalece dufał sobie, że przymusi nas do bitwy, w której by można było zastosować salwę z jednego boku okrętu; lecz przez cały ranek bryza cichła, aż w południe oba okręty znalazły się w martwej ciszy. Fregata spuściła na wodę łodzie; uczyniliśmy tak samo i od razu przewaga przechyliła się na naszą stronę. Albowiem całkiem co innego było ciągnąć wielką "czterdziestkę czwórka" obciążoną ogromnym brzemieniem metalu, ludzi i zapasów, co innego zaś wlec "Konia Morskiego", który miał ledwie dwie trzecie pojemności swego przeciwnika i nawet nie był naładowany poniżej pokładu działowego. Co więcej, żeglarze francuscy nie byli bynajmniej tak zuchwali i tak desperacko usposobieni jak korsarze, którzy wiedzieli, że życie ich uwarunkowane było odległością pomiędzy obu okrętami.

Flint, zataczając się, chodził dokoła forkasztelu, kłął i popędzał ludzi siedzących w łodziach, a był w tym podobny do widza na wyścigach konnych, który założył się o większą sumę, niż mieściła się w jego kieszeni.

- Damy sobie radę, do krośset! - powtarzał. - Moje szczęście jest z nami, powiadam to wam wszystkim. Hej, Darby, skocz ku barierze, niech no oni obaczą twój ryży łeb! Patrzcie na niego, ludzie! To wasze szczęście! Nikt nie potrafi mi pomieszać szyków, póki ten chłopak jest z nami.

Jego obietnice dziwnie się sprawdziły. Na przedwieczерzu odsadziliśmy się od prześladowcy prawie o milę - prawda, że po ciężkich wysiłkach - w nocy zaś pod osłoną ciemności przekradliśmy się cichaczem na północ; natrafiliśmy na orzeźwiający wiatr, który nad ranem przeszedł w burzę. Francuska fregata znikła chroniąc się przed niepogodą, "Konia Morski" zaś był miotany to na północ, to na zachód przez pięć dni, mijając to równoleżnik, to rozsypane skały i zatoki Wysp Bahama, to znowu Florydę. Niepodobna była teraz wypatrywać długich masztów okrętów wojennych - jako też niemożliwą byłoby rzeczą wdawać się im lub nam w walkę - gdyż szare bałwany wzbijały się na wysokość grotrei, a strzelnice przez połowę niemal czasu były zasłonięte dunugą. Flint mógł tylko żeglować na oślep, gdyż nawisłe chmury i czarne strugi deszczu zakrywały słońce i gwiazdy. Dosłownie nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy, aż dopiero w poranek, gdy burza przycichła, nasi czatownicy dostrzegli skroś mgły mały spłacheć ziemi na Bermudach.

W ów poranek po raz pierwszy w naszym gronie pojawiła się febra. Jeszcze dziś mogę sobie uprzytomnić na poły wątpiące, na poły lękliwe spojrzenie Silvera, w chwili gdy wtoczył się na tył okrętu po jednej z lin ratowniczych i zawołał do Flinta:

- Dziesięciu chłopców jęczy w hamakach, kapitanie.
- Wypróbuj na nich swego szczudła - fuknął Flint.

- Ci chłopcy są chorzy - odpowiedział Silver. - Aż się skręcają od bólu żołądka i głowy.

- Oni umyślnie tak mitrzą, byle nie posyłano ich na maszty - odrzekł Flint. - Ale jeżeli ty się o nich boisz, to ja bynajmniej.

Pierwszy z chorych, którego Flint trącił sztyletem, był już martwy, przeto kapitan wrócił czym prędzej do kajuty i na nowo obstarwił się rumem. Słyszałem, jak coś tam mamlął do Bonesa, gdy tenże wszedł do przedsiönka.

- Jest to rzecz wielce dziwna, Billu. To mi się nie podoba. Może moje szczęście nie jest skuteczne przeciwko chorobom.

- Być może - odpowiedział Bones. - Co zrobiłeś z mapą?

Flint zgrzytnął zębami.

- Jeżelibym myślał, że ty...

- Daj spokój, Johnie. Przychodzi mi tylko na myśl, że gdybyś zachorował, to któryś z tych draniów na forkasztelu mógłby próbować dostać ją w swe ręce.

- Nie troszcz się o to - odrzekł Flint gniewnie. - Mapa jest bezpieczna... i pozostanie bezpieczna.

Nazajutrz zmarł drugi mężczyzna, a zamiast dziesięciu chorych było już osiemnastu. Popłoch powstał wśród załogi, a Silver zwołał więc przerażonych korsarzy, którzy szeptali do siebie i trącali się wzajem łokciami, patrząc z trwogą na nachmurzoną twarz Flinta siedzącego na beczce, która była jego krzesłem przydzielonym. Choć sami byli niezgorszymi łotrzykami, to jednak zgodnie okazywali mu szczery szacunek, jaki należy się człowiekowi, który całą gębą przewyższał ich w bezceństwie. Uważali go za niezwykłą osobę, za najbardziej desperackiego opryszka i powiadali, że ołów i stal były dlań niby chleb i mięso.

- Czego sobie życzycie? - burknął.

- Otóż, kapitanie - jął rzecz dyplomatycznie wyłuszczać Silver - załoga zdaje sobie sprawę, iż febra wynika stąd, że okręt jest już zbutwiały i od tak dawna przebywa na morzu...

- Niedługo to czas, jak bawimy na morzu.

- Może niedawno, jak wyjechaliśmy z Rendez-vous, ale w tym roku jeszcze nie odświeżaliśmy okrętu.

- Czyją to jest winą?

- Nie jest to niczyją winą, ale zdaje się, że powinniśmy popłynąć do jakiegoś przyzwoitego portu, gdzie można dostać słodkiej wody i jarzyn i powstrzymać febrę, zanim rozszerzy się na całą załogę.

- A jakże, mamy wiele portów, do których moglibyśmy zawinąć! - rzekł Flint z przekąsem.

- Możemy więc wracać na wyspę - wtrącił jeden z obecnych.

- Aha! Żebyście mogli odkopać skarb, któryśmy dopiero ukryli! - sarknął Flint. - Nigdy na to nie pozwolę!!

- Tu nie ma mowy o wyspie - odezwał się Silver pośpiesznie. - Ale co powiesz o Bermudach?

- Za wiele raf, by tędy się trajać... a zresztą port Hamilton jest punktem zbornym okrętów angielskich.

- Z ust mi wyjąłeś te słowa! - zawołał Silver. - Ale co powiesz, kapitanie, o Savannah? Jest to miejscowość spokojna i nie ma załogi wojskowej, boć Georgia jest najnowszą ze wszystkich kolonii w Ameryce.

Flint schylił się ku pokładowi poza sobą i wydobył stamtąd butelkę rumu,

którą przyłożył do ust i opróżnił do dna jednym potężnym łykiem, budząc tym popisem niezmierny podziw całej załogi.

- Aaaach! - zamruczał wycierając sobie usta dłonią. - Savannah? He?

Niechże będzie! Ale pamiętajcie, ludzie, że ani tam, ani gdzie indziej nie ma mowy o rozwiązaniu naszej gromady. Zatrzymamy się, by zażegnać febrę i nabrać wody, a gdy z tym się uporamy, ruszymy na południe i zagarniemy to, co nas czeka na Skrzyni Umrzyka. A słowa dotrzymam!

Silver pośpieszył wyrazić zgodę:

- Doskonale! Przez ten czas, gdy będziemy stali w Savannah, fregaty zmylą nasz trop. Dwojaki więc to będzie fortel, kapitanie.

- Pójdzie wszystko według mego fortelu - bąknął Flint, po czym ześliznął się z beczki, przez chwilę zataczał się nieprzytomnie, aż dotarł do kajuty pod rufą.

- Darby Mc Graw! - zawołał opryskliwie. - Hej, Darby, przynieś rumu!

Tej nocy miał znów napady szału i głosił, że Andrzej Murray przybył na okręt, by go uśmiercić. Pochwyciwszy sztylet wypędził Bonesa z kajuty i już zabierał się do wachty na pokładzie, gdy powstrzymał go Darby podając mu butelkę rumu i zapewniając, iż zawiera ona krew z serca Murraya. Flint wyrwał mu butelkę, wyjąc z piekielnej radości, i zawróciwszy z drogi ułożył się do spoczynku na podłodze kajuty, wijąc się przez sen jak opętany i wyrzucając pianę z ust. Nazajutrz, gdyśmy płynęli, chybotając się na gnuśnych falach pod skwarem słonecznym, który bąblami dobywał smołę ze szczelin pomiędzy deskami, febra kładła już swą gorącą dłoń na czole kapitana.

- Nie patrz na mnie w ten sposób, Gonzalezie - bredził nieprzytomnie. - Billu, jaki z ciebie kolega, iż wpuściłeś tu starego Rossa z okrwawioną gardzielią?

Potem znów rozczulał się i rozserdeczniał.

- A teraz, mateńko, czy pozwolisz mi na zawsze pozostać w domu, jak małemu dziecku? Spójrz na te zasoby złota. Czy ci się nie podobają? Założę się, że żadna z twoich przyjaciółek nie ma takiego syna, który by przywiózł jej podobne skarby! Nie, nie, nie pytaj o nic! Chryste Panie, co za ból! Boże, Boże, nie daj, bym w ten sposób zeszedł ze świata. Zbuduję kaplicę w rodzinnym moim Tewkesbury, gdy odnajdę skarb Murraya. Półtora miliona funtów, mój Boże... ba, nawet więcej... i wszystko to mnie przypadnie... część dam Billowi Bonesowi... i Darby'emu, który jest dobrym chłopcem i przyniósł mi szczęście.

I jął po dziecięcemu paplać o swym szczęściu.

- Nie niszczonego szczęścia, o Boże! O, Ty tego nie uczynisz.

Nie było żeglarza nad Johna Flinta... boć to John Flint przechytrzył starego Murraya i przyprawił go o zgubę.

I tak mamrotał dniem i nocą, rzadko tylko zapadając w omdłałość i sen, przerywany nagłymi, przeraźliwymi okrzykami:

- Hej Darby! Darby Mc Graw! Przynieś no rumu, Darby Mc Graw!

A potem znowu:

- Goreję na całym ciele, Darby! Nie pozwól mi zgorzeć. Przynieś mi kapkę rumu!

Kiedy indziej pośpiewywał, a zawsze tylko jedną pieśń, tę, która powitała mnie przy pierwszym zetknięciu z tą drużyną:

Trup Bellamy'ego szerniały i suchy -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Wisi pod Kingston, a brzęczą łańcuchy -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Ale słowami niepodobna opisać zgrozy następnego tygodnia, albowiem przez pięć dni umierało po trzech ludzi na dobę. Potem wydało się, jak gdyby plaga zaczynała słabnąć, a chociaż mieliśmy do siedemnastu chorych jednocześnie, to jednak wszyscy utrzymywali się przy życiu. Zazwyczaj bywało tak, że ludzie tknięci chorobą albo umierali w ciągu dwudziestu czterech godzin, albo też powoli się wylizywali. Flint był jednym z nielicznych wyjątków, a mogę przypuszczać, że w tym wypadku choroba polegała na walce pomiędzy jego silnym z przyrodzenia organizmem a przypadłościami rozwiniętymi wskutek nadmiernego podniecania się trunkami.

To, że my troje oraz Darby nie ulegliśmy chorobie, przypisuję przede wszystkim zabiegom zastosowanym przez Piotra. Uwarzył on skuteczny środek przeczyszczający z rumu, syropu i prochu strzelniczego i wymógł na Mc Grawie, by tenże postarał się o spory dzban gliniany do przechowywania wody gotowanej, który umieściliśmy w alkwie Moiry. Bones, Silver, Pew i ci z załogi, którzy uniknęli zarazy, zawdzięczali to jedynie swej tężyznie fizycznej, a może byli tak przyzwyczajeni do życia w niechlujstwie, że nie szkodziły im opłakane warunki bytowania na pokładzie "Konia Morskiego".

Po tygodniu od chwili, jakeśmy zwrócili ster ku zachodowi, zobaczyliśmy ujście szerokiej rzeki; doczekawszy przyptywu przejechaliśmy przez mierzeję i powlekliśmy się w górę rzeki pośród niskich, piaszczystych brzegów porośniętych gajami sosnowymi. Wieczorem okrążyliśmy cypel lądu i zapuściliśmy kotwicę naprzeciw mieściny pobudowanej z drzewa i przylegającej do piaskowego wiszaru.

Z gromadki statków kupieckich spoglądano podejrzliwie na poobijane boki i zawarte strzelnice "Konia Morskiego", a większość jęła podnosić kotwicę i ustępować nam z drogi. Na brzegu ludzie zaczęli biegać w tę i ową stronę; na tarasie fortecy pojawiło się parę armatek, wywieszono też chorągiew angielską.

Piotr i ja skorzystaliśmy z półmroku, by wyprowadzić Moirę ku poręczy burtowej i właśnie przyglądaliśmy się z chciwością tej daleko wysuniętej placówce cywilizacji, gdy wtem: Pukupuku! Pac-pac-pac! - na pokładzie zadudniło szczudło Silvera.

- Państwo może sobie myślą, żeśmy przybili do tego lądu dla jakowych skarbów znajdujących się w Savannah - zaczął kuternoga - ale, dalibóg, nie opłaciłoby się brać tego miasta: więcej by nas kosztował proch armatni zużyty na zwalenie fortecy.

Przyznałem mu rację. Z nocnej pomroki dobiegł nas przytłumiony głos Flinta:

Piętnastu chłopów na Umrzyka Skrzyni -

Jo-ho-ho!... i...

- Hej, Darby! Darby Mc Graw! Przynies rumu, Darby Mc Graw!

- Oj, krucho z Flintem, krucho! - rzekł Silver wskazując wielkim palcem poza siebie. - Bill powiada, że nasz kapitan ledwie dożyje poranku.

- Biada jego duszy! - zawołała Moira. - Za tyle niegodziwości będzie musiał odpowiadać! Sądzę, że bardzo mu jest potrzebna modlitwa, więc jeżeli sprowadzisz mnie na dół, panie Bob...

- Racz na chwilę się zatrzymać, mościa panno - przerwał Silver. - Czy waszmość, panie Ormerod, widziałeś mapę?

- Nie - odpowiedziałem krótko. - Nie chcę mieszać się do sporów na pokładzie tego diabelskiego statku.

- Powoli, powoli! - upomniał mnie Silver. - Szorstkie słowa nic ci nie pomogą, waszmość. Ja oto rad bym być waszym przyjacielem, a sam aśc wiesz najlepiej, czy wam potrzeba przyjaciela. Zastanówcie się sami: Flint już prawie że kipnął. Kto po nim nastąpi... ja czy Bill Bones? Za którego z nas dwóch oddalibyście swe głosy?

Bill jest to gbur i narwaniec i robi oko do tej dziewczyny; Długi John chce tylko skarbu i swobodnej drogi do domu. Nie należę ja do opalców i zawalidrogów karczemnych, mości panowie. Przeszedłem ja edukację i zamierzam się trochę przetrzeć między ludźmi.

Dajcie mi półtora miliona funtów do podziału, a puszczę w trąbę stary nasz okręt i będę jeździł kareta do parlamentu!

- A cóż to nas obchodzi? - zapytałem.

On mrugnął oczyma.

- Co to was obchodzi, pan pyta? Jak to? Właśnie w tym rzecz! Jestem waszym przyjacielem. Wy poprzecie mnie, a ja was wesprę. Będzie wybór kapitana, a o ile znam naszą załogę, kto będzie miał mapę, ten wypłynie na wierzch. Dostańcie mi mapę, a ja was wysadzę na ląd.

Nagle doszedł nas brzmiały obłąkaniem i trwogą okrzyk Flinta:

- Billu! Gdzie Billy Bones! Stań koło mnie, Billu! Ja nie mogę patrzeć im w oczy!

Odpowiedział mu na to gardłowy pomruk Bonesa. Silver przechylił głowę w bok i przytknąwszy dłoń do ucha bacznie nasłuchiwał. Ale słów niepodobna było rozróżnić.

- Nie, nie, jeszcze nie, Billu! - jęczał Flint. - Nie chcę jeszcze umierać. Gdzie Darby? Hej, chodź no tu, chłopcze, i siądź koło mnie. Jesteś moim szczęściem, Darby. Nie mogę umierać bez ciebie.

Bones znów coś przemówił, a Silver, zakławszy, wcisnął kulę pod pachę i skoczył przez pokład ku przedsiownikowi kajuty.

- Lepiej bęcie, gdy odejciemy - powiedział Piotr. - Ja, zabieszymy ciefczynkę do jej alkiesza, Bob. To mi się nie podoba.

Gdyśmy zstępowali do przedsiownika, Silver dotarł już do drzwi pokoju Flinta. Mogliśmy go widzieć wyraźnie w świetle gasnącego zachodu, które dochodziło przez okno wychodzące na rufę. Ben Gunn przykucnął koło drzwi, odwrócony do nas plecami, widocznie podpatrując to, co się działo w pokoju kapitańskim. Gdyśmy się przyglądali temu wszystkiemu, Silver podniósł prawą rękę i wymierzył Gunnowi taki cios, że nieborak nakrył się piętami i poturlał do kajuty głównej, gdzie wydawszy rozdzierający okrzyk wczołgał się pod stół. Silver rozwarł drzwi pokoju kapitańskiego i wetknął przez nie głowę.

- No, no, jaki to wzruszający obraz! - zauważył. - Billu, widzę, że jesteś wierny i czuły względem naszego nieszczęsnego szypra. Ale kto cię znał, mógł się tego po tobie spodziewać. Czy to chodzi o mapę określającą zakopane skarby?

- Co chcesz z nią zrobić? - warknął Bill zamiast odpowiedzi.

Silver cofnął się na korytarz, jak gdyby ustępując przed jakowąś podniesioną bronią.

- Zrobić? - powtórzył. - To zależy, Billu. Zobaczymy, co na to powie załoga.

- Tak, zobaczymy - odparł Bones, a głos drgał mu triumfem. - Kto ma być twoim następcą, kapitanie? - dodał.

- Nie chcę jeszcze umierać, Billu - doszedł nas żaloszny jęk Flinta. - Gdzie rum, Darby? Pali mnie pragnienie.

- Kto będzie twoim następcą, Johnie? - nalegał Bones.

Silver roześmiał się urągliwie:

- Tak, tak, on wie, co ma odpowiedzieć!

- Bill jest sztormanem. On... ma... mapę... - wyjęczał Flint.

- Czy na tym poprzestaniesz? - zadrwił Bones.

- Poprzestanę, Billu - zapewnił go Silver. - Ale wpierw zdamy to na załogę, uczciwie i przepisowo. A cokolwiek oni powiedzą, Billu, pamiętaj, że będę miał cię na oku. Nie próbuj żadnych szacherek z tą mapą. Mam ja sposoby na ciebie, a jeżeli spróbujesz mydlić nam oczy, to prześlemy ci czarną plamę.

- Niech лихо porwie was wszystkich i waszą czarną plamę! - ryknął Bones.

- Wynocha stąd, zanim dobędę noża na ciebie.

Silver pokuszykał ku nam, a twarz miał wykrzywioną wściekłością.

- On ją ma - zgrzytnął. - Niech diabli wezmą tego szubrawca! No, teraz waszmość winienesz wziąć się do rzeczy, panie Ormerod!

- Obejdzie się - rzekłem chłodno.

- To czekaj, aż on weźmie się do tej dziewczyny - odrzekł kuternoga i pokuszykał na pokład.

Z pokoju Flinta rozległ się pełen sprzeciwu głos Darby'ego:

- Wara ode mnie, ty... Jeżeli on życzy sobie rumu to niechże go dostanie! A jakże! Co się stanie...

- Nie trzeba marnować dobrego rumu dla umarlaka! - rzekł Bones śmiejąc się rubasznie.

Słychać było gulgotanie trunku, a potem jęk Flinta: Gdzie rum dla mnie? Przynieś rumu, Darby Mc Graw!

- Ach, ty czarne ścierwo! - wrzasnęła przeraźliwie Darby. - Niech upiory zaświszczą na ciebie, a... Nie chcę! Nie dotykaj mnie, bo...

Drzwi pokoju kapitańskiego znów otwały się z trzaskiem i do przedsionka wpadł Darby.

Bodaj cię spotkało nieszczęście! Ty sobako - zaskrzeczał.

Ohydna twarz Bonesa wychyliła się spoza drzwi, dosięgając chłopca strugą wypłutego soku tytoniowego -

- Fara stąd, ty rudy szcurze! Jął gderać sztorman. Wynoś się ze swym szczęściem! Ładne szczęście przyniosłeś Johnowi Flintowi... aż mu charczy w grdyce!

- Darby Mc Graw! - labiedził Flint. - Hej, Darby, przynieś mi rumu, Darby Mc Graw!

Drzwi kapitańskiego pokoju zatrzasnęły się tłumiąc skargę konającego; Darby stał przez chwilę, wygrażając pięścią i przeklinając:

- Bodaj szczeł, kto odmówi pacierz za twą duszę! Kto poda ci kęs stawy, niech zawrze w nim gorzką truciznę! Obyś nigdy nie zaznał kojącego snu ani życzliwości... Ale po cóż to wszystko? Tylko piekielne ognie zdołają dostatecznie ukarać człowieka tak złego jak ty!

Odwrócił się strapiony i dostrzegł mnie. Łzy ciurkiem pociekły mu po piegowatych policzkach.

- Ach, panie Bob, kapitan tam pewno umarł lub niewiele mu brakuje do

tego... a Bones... wy... wypędził mnie precz, bo... bo bał się, że będę go szpiegował... tak powiadał... i tę mapę, którą on wycygnął od Flinta w czasie jego choroby! Klnę się na skałę Cashel! Jużem zerwał z piratami! To nikczemna zgraja! Jedźmy do domu.

- O ile tylko potrafimy, Darby! - odpowiedziałem.

On przetaił, sobie kułakiem oczy, spojrział na mnie smętnie i odrzekł:

- Doprawdy, panie Bob, zdaje mi się, że nikt z nas długo nie pożyje.

XXIII

Kapitan Billy Bones

Tupu-tupu! Klap-klap-klap! - zatętniły ciężkie buciory marynarskie, podzwaniając echem przez całą długość kajutowej sieni, a pogwar głosów zabrzmiał im do wtóru.

- Tak, on tu leży.

- Bodaj to... widziałże kto kiedy taką ohydną gębę?!

- No, żebyś ty go widział, zanim Długi John położył mu dwa pensy na oczach!

- Także coś!... Kłaść pensy na powiekach Flinta, który przebierał w gwineach jak w groszach!

- Czyż oszalał, brachu? Nie należy nigdy kłaść złota na całunie umrzyka!

- Może i nie! Może i nie! Nie należy zaszywać... to wiem.

- E, co się tym trapić? On już nie żyje. Spocznie sobie na dnie rzeki...

Tupotanie przeszło w miarowy stuk kroków; to czterech rosłych marynarzy wносиło pokrowiec z żaglowej płachty, w którą zawinięty był zwłok Johna Flinta. Żalony bełkot Darby'ego przerwał ciszę. Słyszeliśmy go nawet w pokoju Moiry, gdzie zebraliśmy się we trójkę, czekając, co przyniesie nam najbliższa przyszłość.

- Niech będzie Bogu chwała... ale on zmarł obarczony tylu grzechami. Ach, święta Brygido, święty Patryku, błogosławiona Weroniko i święty Marku, przyczynicie się za nim! Wołajcie do Panny Najświętszej, by orędownała za nim przed trybunałem niebieskim. Och, biadaż, biada, biada! Był on zły, ale i dobry po swojemu, a nie ma nikogo, kto by mu wyjednał drogę do szczęścia!...

Wtem rozległ się wściekły głos Bonesa:

- Dość tej paplaniny! Dalibóg, oćwiczę was kilku, jeżeli on nie stuli gęby!

Darby zaskomlał i umilkł.

- Z wodą!... - mówił dalej Bones. - Tu, od bąkbortu. Nuże go w górę! Czy nie możecie prędeż? Puszczajcie go, wiara! Bęc! Plusnęło.

- A teraz, kto powie, że Bill Bones nie jest kapitanem "Konia Morskiego"?

- zapytał Bones z pogroźką w głosie.

Piotr dotknął mego ramienia otwierając lekkim pchnięciem drzwi pokoju Moiry.

- Chyba mnie nie opuścicie? - szepnęła.

- Neen - zaprzeczył Holender. - Ale lepiej posłuchajmy, co oni tam knują.

Gdyśmy się zakradli do opuszczonego przedśionka, Bones znów przemawiał. Siedział na beczce, którą dawniej zwykł był zajmować Flint. Nad jego głową

wisiała latarnia, a w jej bladożółtym świetle można było poznać, że był prawie tak pijany, jak bywał jego zmarły zwierzchnik.

- A bodaj to... takie szczęście! Flint był tęgim korsarzem, ale za wiele dufał szczęściu. Ja jestem marynarzem... a, jestem! Niech no mam tylko słońce i gwiazdy, a powiodę was wszędy, gdzie potrza. Niech no tylko dostrzegę topzagle, a poprowadzę was zdobywać okręty. Nie lubię się przechwalać... nie. Możecie pić rumu, ile tylko dusza zapagnie, bylebyście umieli kierować okrętem i walczyć. A teraz, co macie do powiedzenia? Gadajcie, jeden z drugim, warchoły!

Z ciemności ozwał się głos Johna Silvera, przemawiający tonem łagodnej, nieco ckliwej namowy:

- Lepiej byłoby uczynić wszystko według przepisów, Billu. Jesteś sztormanem, a powiadasz, że Flint dał ci mapę skarbów i nazaczył cię swoim następcą; ale przepisy są przepisami, a nie zawadziłyby...

Bones wyciągnął z zanadru twardy, szeleszczący arkusik papieru i wywinął nim w powietrzu.

- Oto jest mapa - oświadczył. - Długi John dobijał się o nią, ale Flint mnie ją wręczył, jakeście to słyszeli z jego ust.

- Prawda, zem to powiedział i mówię, Billu - podjął Silver nie zmieszany.

- Ale mówię również, że powinniśmy urządzić wybory, zgodnie z naszymi ustawami.

Pomruk zgody przywitał to oświadczenie. Bones sposepniał.

- To zbytęczne - odpowiedział. - Jestem sztormanem i jedynym prawdziwym żeglarzem, jakiego posiadacie w swym gronie. Ale nuże, wybierajcie sobie kogo chcecie... tylko pamiętajcie, że ja dostałem mapę dotyczącą skarbów.

- Tak, tyś dostał tę mapę, Billu - potwierdził Silver, przy czym głos jego przybrał odcień wielkiej nienawiści. - Wiedz jednak, że my nie uznamy jej za twoją własność. Jesteś, jak to mówią prawnicy, naszym zaufanym. Trzymasz ją u siebie w imieniu nas wszystkich, my zaś (tu zaśmiał się zjadliwie), tak, my nie spuścimy cię z oka, Billu.

Bones zaklął.

- Dalej, przystąpcieź do wyborów - jął popędzać załogę. - Któż będzie kapitanem? Wymieńcie czyje nazwisko!!

Kilkunastu lizusów krzyknęło: "Bones!" z taką mocą, aż ów napuszył się w sobie; kilku zaś zawołało: "Silver!" albo "Długi John!"

- A któż jeszcze? - wyzywał Bones.

Nikt nie odpowiadał.

- No, Długi Johnie - zadrwił Bill - zdaje się, że idzie tylko o ciebie i o mnie. Ustawy mówią, że ci, którzy głosują za jednym, przechodzą na jedną stronę, a ci, którzy głosują za drugim, przechodzą na stronę przeciwną. Ponieważ więc siedzisz po stronie baka, ogłaszam, że ci, którzy głosują za tobą, mają przejść na bak, ci zaś, którzy są za mną, niech przejdą na sztybort.

- I owszem - mruknął Silver.

Słychać było przytłumione szuranie i dudnienie stóp rozstępujących się ludzi, a w świetle latarni można było rozróżnić dwie gromadki skupiające się po obu stronach bezanmasztu; pośrodku na beczce siedział Bones. Trzy piąte załogi oddało głos na niego.

- No, Długi Johnie! - krzyknął Bill, nie starając się nawet tłumić triumfu brzmiącego w jego głosie - czy chcesz coś powiedzieć o wyborach?

- Nie - odrzekł Silver zwięźle. - Tyś zwyciężył.

Bones z radością zatarł ręce.

- Powiadasz, że zwyciężył?

- Powiedziałem, że tak.

Oba przeciwne stronnictwa przyglądały się sobie wzajem jak dwie zgraje wilków, gotujących się do bójki o ścierwo świeżo zabitego łosia. Przez chwilę przypuszczałem, że pobiją się z sobą, ale złe miałem wyobrażenie o przebiegłości Silvera i jego panowaniu nad sobą.

- Zwyciężyłeś, Billu - powtórzył - a ja pierwszy życzę ci z tego pociechy. Ponieważ zaś zostałeś prawnie obrany, prawdopodobnie objaśnisz nas, jakie masz plany co do okrętu?

- Planu? - odrzekł Bones ostrożnie. - Jakie plany masz na myśli?

- Czy zamierzasz zabrać skarby z obu wysp, czy wyprawić się po nowe?

Bones zamyślił się. Nie był on tak kuty na cztery nogi jak Silver, a przypuszczam, że wiedział też o tym. Bał się podstępu, ale choćby nie wiem jak się głowił, nie mógł poza tym niewinnym pytaniem dostrzec żadnej pułapki.

- Pójdę za zdaniem załogi - oznajmił z triumfem. - Mówcie, czego sobie życzycie!

Tym razem załoga odruchowo jęła się wpatrywać w Silvera, czekając na jego hasło.

- Mamy wielkie skarby w tych kryjówkach - odrzekł ów licząc się z każdym słowem. - Ja osobiście radziłbym zabrać to, co mamy, wziąć ze dwa lub trzy okręty i rozjechać się w różne strony świata, stosownie do woli każdego z nas. To, co wykopie, wystarczy nam, by urządzić sobie życie wygodnie, a ci, którzy mają ochotę jeszcze coś sobie zarobić, mogą z łatwością to uczynić. Oddaj im "Konia Morskiego", jeżeli za nim tak przepadają. Nie zmartwią się z tego powodu. Jednak niektórzy z nas dosyć już zakosztowali morza, więc radzi byśmy teraz zaznać wygod na lądzie.

Mowę tę przyjęły huczne okrzyki uznania. Nie było człowieka, który by nie był olśniony nadzieją przetrwonienia tysięcy funtów, zanim pójdzie na szubienicę. I jak wszyscy żeglarze utrudzeni wieloma wyprawami pragnęli na zawsze już rozstać się z okrętem - przynajmniej tak im się wydawało. Bones, na równi z innymi, był zachwycony planem Silvera.

- Doprawdy - przyklasnął. - Długi John ma dobry pomysł. Jutro puścimy się z wodą, a potem hejże na Skrzynię Umrzyka!

I pijackim głosem jął wykrzykiwać pieśń, którą Flint nucił przed śmiercią:

Piętnastu. chłopów na Umrzyka Skrzyni -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Piją zdrowie, resztę czart uczyni -

Jo-ho-ho! i butelka rumu!

Zawtórowali inni i jakby na skinienie różdżki czarnoksiężskiej pojawiły się czarki z rumem. Bones wypił ich kilka przez ten czas, gdyśmy się im przyglądali.

- Przepijcież do mnie, dranie - zawołał na swych popleczników - Bill Bones jest łaskawym szyprem! Rumu dla wszystkich i do... kata z dyscypliną!

Na to zerwała się radosna wrzawa i to, co według mego przewidywania miało doprowadzić do otwartej walki, zdawało się przechodzić jedynie w szal pijacki, jakiego widownią niemal w każdą noc bywał pokład "Konia

Morskiego". Ale nie leżało widać w planach Silvera, by zachować całkowitą powściągliwość na tym punkcie, bo oto wystąpił, kulejąc, w krąg światła latarni, mając za sobą Pewa, Czarnego Psa, Darby'ego i kilkunastu innych.

- Dajcie spokój, kamraci! - zawołał. - Mamy tu do załatwienia ważną sprawę. Będzie i później czas na hulankę.

- Nie ma lepszej pory na pijaństwo, jak wówczas, gdy pod bokiem mamy trunek - odparł Bones.

- Prawda i to - wesoło przyznał Silver. - I widać to jasno, że z takiego szypra jak ty, Billu, radzi będą wszyscy okrętnicy. Ale właśnie teraz przyszło mi na myśl, że nikt z nas nigdy nie zapytał jeńców, ile to czasu zajmie wykopanie skarbu Murraya. Przeto ośmielam się wam podsunąć myśl, byśmy ich tu przyciągnęli na górę i wzięli na spytki. Nie powinno tak być, żeby jeńcy mieli siedzieć jak mruki, na co pozwalał im Flint. Dobrym kamratem był nasz Flint, ale zdaje mi się, że nadużywali nieco jego pobłażliwości.

Dostrzegłem, iż Bones z wolna przejechał językiem po wargach, mrugając jednocześnie oczyma. Myśl ta przypadła mu do smaku; tak samo i załodze.

- Przyprowadźcie ich - nakazał Bones. - Długi John ma rację.

- Tak, przyprowadź ich tutaj - zawołała załoga. - Niech potańczą.

Bystre, lśniące jak polerowany agat oczy Silvera prześliznęły się po kręgu dzikich twarzy i spoczęły na obliczu Bonesa.

- Pobiegnij na rufę, Darby - przemówił - i sprowadź nam jeńców. Jest tam piękna dziewczyna.

- Jej... jej... nie przyprowadzę! - odpowiedział Darby ociągając się.

- Tak, ją właśnie! - rzekł na to Silver z lekką emfazą i wyciągnawszy rękę ścisnął silnymi palcami ucho Irlandczyka.

Darby wrzasnął z bólu i chciał znów protestować, ale Silver przerwał mu jednym bezlitosnym słowem:

- Chybaj!

- Przyprowadź tę dziewczynę, chłopcze - burknął Bones - albo zakosztujesz tortur.

Darby ruszył ku nam zalewając się łzami. Widzieliśmy, jak powoli przebijał się przez ciżbę. Jeden z ludzi kopnął go. Biedny Darby! Był on ulubieńcem Flinta, a w każdej załodze bywają tacy, którzy nienawidzą tego, co miłe kapitanowi.

Spojrzałem na Piotra, on zaś odpowiedział niemym wyrazem kryjącym w sobie smutne przypuszczenia.

- Może by dać nura w wodę? - przemówiłem.

Moira odezwała się zza naszych pleców:

- Nie róbcie nic podobnego!... Ja ani o tym myślę. Jeszcze nie jest z nami tak źle.

- Pani nie...

- Oni na pewno nas złapią - sprzeciwiła się. - Nie, nie, panie Bob, musimy czekać lepszej sposobności!

- Ja - przyklasnął jej Piotr. - Racja. Ja myślę...

Tu zawahał się.

- Że Silver knowa jakieś tajne zamysły - dodała Moira.

- Ja - rzekł Piotr. - Skąd pani to wie?

- Domyśliłam się - odrzekła. - Od kwadransa już nasłuchiwałam stojąc poza wami, gdyż przeczucie mi mówiło, że coś niedobrego się święci. Ale oto

nadchodzi Darby, więc ze względu na niego powinniśmy iść prędko.

Darby, zadyszany, stanął przed nami.

- Silver kazał mi...

Moira wcisnęła się pomiędzy Piotra i mnie i położyła rękę na ramieniu chłopca.

- Nie zważaj na to, co oni mówili - jęła go pocieszać. - Zaprawdę, rycerski z ciebie chłopak, Darby, i tak jestem dumna z ciebie, że dałabym ci chętnie strzępek chusteczki lub pstrokatą wstążkę, byś ją mógł nosić przy kapeluszu... tylko szkoda, że ty nie masz kapelusza, a ja nie posiadam ani chusteczki, ani wstążki! Ale zobaczymy, czego od nas chcą te łotry!

I ruszyła przy boku chłopaka, zanim który z nas obu zdołał ją uprzedzić. Tłum piratów rozstał się, aby przepuścić nasz pochód, my zaś kroczyliśmy przez mroki aż do krawędzi świetlnego kręgu, gdzie stał Silver oparty na kuli. Usunął się na bok, by ustąpić nam miejsca, tak iż znalazłem się po jego prawicy. O jakie piętnaście stóp dalej siedział Bones na swej beczce; ordynarna jego twarz poczerwieniała i rozpromieniała, a drapieżne oczy pożerały wdzięczną urodę Moiry; reszta siedzącej - rzeszy wydawała mi się jedynie zbiorowiskiem olbrzymich a pokracznych cieni, lecz Moira rozejrzała się wkoło z pewną wyniosłością, która zdolna była poskromić najzuchwalsze spojrzenia. Piotr patrzył głupowato ponad głowy zebranych; było to jego zwyczajem, gdy stawał oko w oko z niebezpieczeństwem. Znad wałków tłuszczu oczki jego przerzucaly się jak sztylety od twarzy do twarzy, badając, odgadując, oceniając.

Silver przemówił pierwszy:

- Otóż ich mamy, Billu.

Bones dwakroć przejechał językiem po wargach, zanim się zdobył na odpowiedź; nie spuszczał przy tym oczu z Moiry.

- Ładna dziewczka, he?

- Jak się waćpan do mnie odzywasz! - zawołała Moira.

Piraci rechotali.

- Hola, waćpanna chcesz brykać, jak widzę! - zadrwił Bones. - Potrzeba cię ujeździć, a ja mam na cię bat, żeby wygnać z ciebie te fochy!

- Odpokutowałyby za to dziesięciu takich jak ty - odcięła się Moira podnosząc hardo głowę.

Silver uciszył wybuch ogólnego śmiechu. Mimowolnym podziwem przejęła mnie zręczność tego niecnoty.

- Tak jest, łaskawa panienko - odezwał się z szacunkiem - kapitan rad by się tylko dowiedzieć, ile czasu zabrałoby wykopanie skarbu, który państwo z rozkazu kapitana Murraya zakopaliście na Skrzyni Umrzyka?

Moira nadal trzymała głowę podniesioną.

- Jeżeli nie boicie się ciężkiej roboty, tedy mogłoby to wam zająć nieledwie połowę jednej wachty.

Silver zwrócił się z kolei do mnie, z tymże respektem, żądając potwierdzenia tego, co ona powiedziała. Jakoż ja i Piotr potwierdziliśmy te słowa.

- A czy to daleko od wybrzeża? - zapytał ją następnie Silver.

- Jednemu może się wydawać daleko, a drugiemu całkiem blisko.

Na to Bones zeskoczył z beczki.

- Mówiłem, że potrzeba cię okiełznać, i zostaniesz też poskromiona, moja dziewczucho - oznajmił. - Zdaj resztę na mnie, Silverze. Wezmę ją na rufę i

zmuszę, by wyśpiewała wszystko, co wie.

Ona spokojnie i drwiąco wpatrzyła się w jego rozgorzałe ślepie.

- Próbuj mnie tylko palcem ruszyć, a zabiję albo ciebie, albo siebie samą! - przestrzegła go.

On zaś zaśmiał się niepewnie i ruszył ku niej; kiedym podniósł nogę, by wkroczyć pomiędzy nich, ktoś wcisnął mi rękojeść noża w prawą rękę.

- Bierz to - posłyszałem głos Silvera. - Powiedz mu, że będziesz walczył za nią.

Machinalnie postąpiłem krok naprzód i znalazłem się w kręgu światła otaczającego beczkę Bonesa. Sam Bones zatrzymał się i jął mi się przyglądać z widocznym zakłopotaniem.

- On powiada, że będzie walczył za nią, Billu - zawołał Silver usłużnie spoza mego - ramienia, gdy zaś Bones wybuchnął stekiem przekleństw, ów szepnął mi w ucho: - Naznacz ją swoim piętnem. Jest to stare prawo zbójckie.

Gdym się jeszcze wahał, nie dość go rozumiejąc i nie mogąc oderwać oczu od Bonesa, który wydobywał właśnie nóż z pochwy, Silver burknął z gniewem:

- Nuże, durniu, prędzej! Byle jak! Wystarczy małe nacięcie na jej ręce, twoim nożem!

Moira posłyszała go i odgadła znaczenie jego słów; nie zwlekając włożyła mi pod ramię swoją lewą rękę.

- Niech ci Bóg pomaga, Bob - szepnęła. - Jam twoja...

Nie ociągałem się już i końcem noża, podanego mi przez Silvera, naznaczyłem szkarłatny krzyżyk na jej dłoni. Były to chyba najosobliwsze zaręczyny, jakie kiedykolwiek widziano.

- Panna O'Donnell jest moją narzeczoną! - zawołałem na cały głos. - Poza tym kapitan Flint poręczył nam słowem, że ani jej, ani żadnemu z nas nie stanie się krzywda.

- Słowo Flinta nie jest lepsze od mojego - zaśmiał się Bones. - Toteż zapowiadam ci, Koźła Skórko, że najpierw cię schwycę i wychłostam, a potem dla nauczki obetnę ci uszy.

I machnął niedbale ręką.

- Brać go, kamraci! Nie mogę się zniżyć do tego, by walczyć z jeńcem.

Kilku jego drabów chciało wypełnić ten rozkaz, ale Silver, Czarny Pies i kilkunastu innych podnieśli głosy sprzeciwu.

- Daj no Koźlej Skórce się popisać! - wołali. - On ją naznaczył swoją kreską! On ją wziął sam dla siebie, gdy Murray zdobył "Najświętszą Trójcę"!

Przyjaciele Bonesa cofnęli się. Ze zwartej półkole zgrupowanych korsarzy rozlegały się najprzeróżniejsze zdania i rady. Jednakowoż stronnicy Silvera byli widać przygotowani na to wydarzenie, gdyż z taką zaciekłością gardłowali w moim imieniu, że samą wrzawą zdobyli sobie opinię publiczną. Silver nawet pochwyił rękę Moiry i wznosił ją w górę, by wszyscy, nawet najdalej siedzący, mogli przyjrzeć się krwawemu znakowi.

- Będzie to dla nas wszystkich pyszne widowisko - obwieścił stentorowym głosem (donośny; od Stentora, znanego z mitologii wojownika greckiego, który podczas oblężenia Troi nie dał się przekrzyczeć chórowi pięćdziesięciu głosów) - Koźła Skórka należał do załogi Murraya i porwał dziewczynę w bitwie. On ją naznaczył swym piętnem, a jeżeli pragnie bić się za nią, to ma do tego prawo... czy jest jeńcem, czy nim nie jest.

Bones przyglądał się tej burdzie miotany sprzecznymi wzruszeniami.

Domyślał się, że złapano go w pułapkę, ale jeszcze nie potrafił zrozumieć, jak to się stało, ani też, jaki jest ostateczny cel fortelów Silvera. Nie przypuszczam, by się mnie obawiał lub powątpiewał, czy zdolny jest zabić mnie w walce na noże, jako że nigdy poprzednio nie miałem sposobności popisać się wobec korsarzy zręcznością w tym zakresie. Wiedział jedynie, że znalazł się w takim położeniu, iż musi walczyć osobiście, by utrzymać swą powagę wobec załogi; toteż pierwszy poryw jego nienawiści skierował się oczywiście przeciwko mnie. Jednakże nie ominął i Silvera.

- Zapamiętam ci to! - krzyknął na kuternogę i poczołgał się naprzód, by uderzyć we mnie, trzymając nóż przed sobą i wyciągając prawe ramię, by pochwycić mię w przegubie lub odbić cios z boku.

- Nic mnie nie obchodzi, Billu, czy tobie dostanie się ta dziewczyna - zachnął się Silver. - Chciałem ci przypomnieć paragraf czwarty. Gdy zaś idzie o honor, to kapitan ma takie same prawa jak i każdy inny.

- Racja! - dobył się krzyk z kilkunastu gardzieli. - Kapitan winien potykać się z każdym, kto go wyzwie.

- Zależę ja jeszcze sadła za skórę paru innym, gdy uporam się z tym draniem - zgrzytnął Bones.

Jałem cofać się przed nim w półkręgu, licząc się z przestrzenią, oświeconą blaskiem bujającej się latarni, oraz ze smolnymi deskami wyczuwanymi pod stopą.

- Stój, ty... - huknął ów. - Nie pozwólcie mu wydostać się z waszego kręgu, kamraci... i baccie, by ten gruby Holender nie skoczył mi na kark. To człek niebezpieczny!

Silver w te pędy przywołał paru ludzi, by odgradzili Piotra; ten, napatrzwszy się mej biegłości od lat pacholących w używaniu noża skalpowniczego, nie trapił się bynajmniej myślą, czy dam radę na pół pijanemu żeglarzowi, którego cała umiejętność walki na noże polegała na tym, by nagle pochwycić za przegub przeciwnika, w chwili gdy ów chwycił jego w taki sam sposób, potem zaś dźgać i rąbać dopóty, póki jeden z nich nie straci władzy w rękach.

- Nie frasuj się, Billu - doradzał kuternoga tonem łagodzącym. - Nie pozwolimy Holendrowi ani nikomu innemu, by wyrządził ci jakąkolwiek krzywdę. Ino teraz se skocz i haratnij Koźlą Skórkę... jeżeli potrafisz.

- Jeżeli potrafisz! - syknął Bones. - Przypatrz no mi się!

To rzekłszy przypadł do ziemi i nagle skoczył w górę, ale dość niezdarnie; nie tak, jak by to uczynił wojownik z plemienia Irokezów, który podrywa się jak strzała, całym ciałem dążąc za nożem gotowym do ciosu. Usunąłem się w bok i ciąłem na odlew z góry, zamierzając wbić nóż w kark Bonesa. Lecz czy to oślepiło mnie światło latarni, czy też co innego - dość, że ostrze mego noża rozplątało mu tylko policzek od oka do wargi górnej, pozostawiając głęboką i szeroką ranę.

Kapitan ryknął na całe gardło, ja sam też byłem mocno zdumiony, gdyż myślałem, iż od razu z nim skończę. Przez parę mgnień nikt wokoło nas się nie poruszył, gdyż nie przypuszczano, by można było tak rychło zobaczyć rozstrzygnięcie walki. Moira opowiadała mi później, że pocieszenie było widzieć rozdziawioną gębę Silvera.

Bones, slaniając się, odszedł parę kroków w tył, gdyż buchająca krew tak go oślepiła, że musiał po omacku szukać drogi. Poszedłem za nim z wolna, prawie przygotowany na jakowyś podstęp; on z pewnością posłyszał moje

kroki, gdyż zawołał:

- Nie dajcie mu, by mnie zabijał, kamraci! Nie widzę nic przed sobą, a on dybie na mnie!

Na ten krzyk ze dwunastu korsarzy skoczyło pomiędzy nas, klnąc i odgrażając mi się, ja zaś postąpiłem w stronę, gdzie obok Silvera stali moi przyjaciele. Kulawiec ruszył na moje spotkanie, jednakowoż niezbyt wielką było mi to pociechą. Wyrwał mi nóż z ręki i pochyliwszy się plunął na mnie, rzucając obelżywe słowa, których nie mogę przytoczyć w całości:

- Ty niezgrabo! On prawie ślepy, a ty nie potrafiłeś go dobić! - i przemknął koło mnie na szcudle, nawołując swych przyjaciół: - Oto tam napadnięto Czarnego Psa! Dalej na tych psubratów, kamraci!

Na całym pokładzie szcęknięły noże - zaczęto żgać i rąbać się nawzajem. Bones został pochłonięty przez zgraję rozbestwionego pospólstwa, które skłębiło się na ciasnej przestrzeni między wsporą bezanmasztu i wzniesieniem rufy.

Ktoś szarpnął mnie za rękaw. Gdym obróciłem się, przybierając postawę obronną, ujrzałem przed sobą Piotra.

- Gdzie Moira? - jęknąłem.

- Darby ją fsiął. On ma sposób, szeby nas wysfobocić. Spiesz się, Bob! Mamy dobrą sposobność, ja. To właśnie było celem Silvera, by z twojej ręki zgłacić Bonesa lub podbuszyć pszećiw niemu załogę.

Zauważyłem, że Piotr ciągnął mnie ku przodowi okrętu, gdzie pokład był pusty; nie zadawałem jednak żadnych pytań, gdyż głos Silvera dodawał nam bodźca do pośpiechu.

- Na rufę, na rufę, chłopcy! - wołał kuternoga. - Pokażmy im, co umiemy! Nie pozwolimy, by takie głupie ściervo jak Bill Bones miał przed nami chować mapę wskazującą skarby! On nie potrafił zwalczyć nawet Koźlej Skóry!

Zza windy kotwicznej przywitał nas głos Moiry:

- Czy to ty, Bob? O dzięki Bogu, dzięki Bogu!

- A twoja ręka? - wyjąkałem.

Przycisnęła ją do moich ust.

- Oto ona - rzekła. - Żebyś tylko kiedy indziej był tak ostrożny!

Pośpieszyłem naprawić swe uchybienie i na chwilę połączył nas błogi uścisk.

- Czy to było pomyślane serio? - zapytała nieśmiało.

- Pomyślane! Od dnia, gdym posłyszał miły dźwięk twego głosu w...

Z dołu, poniżej bakhortu, doszedł nas przytłumiony gwizd.

- To Darby! - zawołała Moira. - On spuścił się w dół po linie kotwicznej, by dostać się na jedną z łódek, które miały odjechać na łąd celem nabrania wody i nie odplynęły.

Piotr skinął na nas niecierpliwie znad poręczy.

- Nie rozmawiajmy - nakazał zrzędnie. - Choćmy.

Mieliśmy na podorędziu zwój zapasowej liny, więc spuściliśmy go za burtę i jedno po drugim zsunęliśmy się w łódkę, którą Darby umocował koło nasady bukszprytu. Prąd rzeczny obrócił był "Konia Morskiego" rufą ku miastu, przeto Darby i ja ujęliśmy paczyny i zaczęliśmy spokojnie wiosłować wzdłuż olbrzymiego kadłuba okrętowego w stronę rozsianych światełek, co w mroku wskazywały nam Savannah. Jakże piękne wydawały się nam te nikłe połyski latarni i kaganków w tym szczerym pustkowiu! Oczarowywały nas urokiem bezpieczeństwa i przytulności domowej.

Jednakże nie byliśmy całkiem bezpieczni. Ponad nami majaczył zrąb ogromnego korabia, którego strzelnice szczyrzyły się na kształt kłów, a reje i liny wznosiły się jak niewód gotów do zarzucenia. Na pokładach aż wrzało od walczących i biegających rozbójników; słyhać było dzikie okrzyki, brzęk stali, a od czasu do czasu i strzał pistoletowy.

Minęliśmy gromadę łodzi przytroczonych do bocznej drabinki, nie chcąc tracić czasu na ich odcięcie i puszczenie z prądem. Minęliśmy tylny pokład, gdzie toczyła się szczególnie zacięta utarczka. Dobijano się do drzwi kajuty głównej, a ktoś wołał, ażeby wytoczyć kartaczożnicę i wpakować ...owi kulę w brzuch. Wpłynęliśmy pod rufę "Konia Morskiego" i natknęliśmy się na dziwne widowisko.

Do rufy była stale przywiązana druga łódź, na wypadek, gdy należało nagle spuścić ją na morze. Ta łódź została teraz ściągnięta pod okno kajuty oficerskiej, skąd jakiś człowiek staczał ciężką skrzynię czy kufer, drugi zaś człowiek wciągał to na plichtę (przód łodzi). Siedzący w łodzi postyszał szcęk naszych wiosła i rzucił na nas błyskawiczne spojrzenie, zanim przeciął tralówkę (lina holownicza) i wziął się sam do wiosła. Prąd poniósł go tuż za nami, a ja dostrzegłem krwawą twarz owiniętą strzępem starej koszuli. Czy nas poznał, tego nie wiem, bo nie dał ani znaku, tylko przygarbił się nad burtnicą i powiosłował z prądem w dół rzeki.

Lecz ten, który stał w oknie kajuty oficerskiej, nie był tak skłonny do milczenia; owszem, wychylił się znaczną częścią ciała, załamywał ręce i wołał ratunku:

- Panie Bones! Ach, waszmość chyba nie opuścisz biednego Beniamina Gunna, który do samego końca stał wiernie przy tobie i trzymał drzwi kajuty, dopóki ich nie zaryglowałeś. Ach, ci... łotrzy, właśnie w tej chwili je rozbijają. Nie odchodź i nie zostawiaj mnie w ten sposób! Oni mnie zamęczą. Oni mnie zachłoszczą na śmierć!

- Jedź z powrotem, Darby - rozkazałem. - Nie możemy opuścić biedaka.

- Ależ on stał po stronie Bonesa! - zachnął się Darby.

- Nie jego w tym wina...

Podjechaliśmy pod rufę, a ja zawołałem:

- Skacz w wodę, a my cię wyłowimy, Beniaminie.

- Któżeś ty? - zapytał ów z lękiem.

- To pan Ormerod - wyręczył mnie Darby.

Słyhać było uderzenia w drzwi na końcu kajuty oficerskiej.

- Pośpieszaj, człeczule! Nie możemy czekać!

- A czy nie chcecie ubrać mnie w liberię?... - nalegał Ben.

- Ani nam się nie śni!

On skoczył, nie mówiąc już ani słowa, my zaś wyciągnęliśmy go, ociekającego wodą, i usadowiliśmy pomiędzy sobą.

XXIV

Powrót do domu

Zgiełkliwy wrzask, jaki rozległ się w chwilę potem, był dowodem, iż wdarło się do kajuty głównej, lecz brzmiała w nim nuta triumfu niebawem ustąpiła miejsca wściekłości, skoro ogary Silvera przekonały się, iż

zwierzyna im uciekła.

- Zwiął!

- Wyprowadził nas w pole ten...

- Łodzi, wiara, łodzi!

Szczęk wiosła, rozlegający się poza nami, skłonił Darby'ego i mnie do podwojenia wysiłków. Przybiliśmy do brzegu o kilkadziesiąt sążni w dół rzeki od miasta, na płytkiej snadziznie, ale nie chcieliśmy mitrężyć czasu na szukanie schronienia w obrębie drewnianych tynów (ogrodzenie) warowni. Prawdę powiedziawszy, mieliśmy obecnie wątpliwości, czy samo miasto zapewni nam bezpieczeństwo. Kartacze "Konia Morskiego" łatwo dałyby sobie radę z takimi murami i sztańcami, jakimi szczycić się mogło miasto Savannah.

Ruszyliśmy przeto co sił w górę wydmy piaszczystą ścieżką wijącą się przez otwarte pola dokoła warowni; mieliśmy w uszach ustawiczny szczęk wiosła i krzyki korsarzy pobrzmiwające pomiędzy kilkoma ich łodziami. Nie mogłem przekonać się, czy ścigano nas, gdyż noc była ciemna jak podziemia piwniczne; jednak nie ufaliśmy losom, tylko biegliśmy co sił w nogach przez plantacje miejskie. Po drodze słyszeliśmy podnieconą rozmowę strażników na bastionach warowni, którzy widocznie przewidywali napaść ze strony złowrogich przybyszów stojących na rzece. Nie zatrzymaliśmy się ani na jedno tchnienie, dopóki nie dotarliśmy do skraju lasu.

Piotr znalazł się teraz w swoim żywiole. Zarówno w dzień, jak i w nocy potrafił znaleźć drogę w obcej kniei z taką łatwością, z jaką żeglarz potrafi żeglować po bezdrożnych rozłogach morskich; zaczął więc nas prowadzić na północ, mniej więcej w kierunku ustronnych osad położonych między Savannah i Karoliną. W jaką godzinę po wschodzie słońca wyszliśmy na wioskę wśród wyřębu, której mieszkańcy przyglądali się nam z niedowierzaniem, dopóki Darby nie wydobyl złotego dublona z zapasiku, jaki sobie był uciułał w czasie swego królowania w roli Flintowego ulubieńca.

Ludzie ci nigdy przedtem nie widzieli złota, więc za dublona sprzedali nam muszkiet, stary, lecz zdalny do użyciu, wraz z workiem kul i rożkiem prochu, oraz ubrania ze skóry jeleniej dla nas wszystkich, z wyjątkiem Beniamina Gunna, który wyniośle odrzucił dar, uznany przez niego jedynie za odmienny rodzaj liberii. Sprzedali nam też nieco soli i mąki i wskazali drogę do Charlestonu w Karolinie.

Odtąd o naszej podróży mogę tylko tyle powiedzieć, że była to Odyseja, do jakiej z dawna byli nawykli mieszkańcy naszego pogranicza. Dla Piotra i dla mnie wszelkie niebezpieczeństwa kniej i rzek, strachy przed Indianami i dzikimi zwierzętami były niczym w porównaniu z okropnościami morza, a Moira i Darby nauczeni zostali smutnym doświadczeniem - tak iż gdy na koniec, pokłuci od cierni i nogi mając obolałe, weszliśmy w spokojne ulice Charlestonu i zastaliśmy tamże wiele statków pocztowych, mających wyruszyć ku północy, wszyscy czworo jak jeden mąż oświadczyliśmy, że dalej iść będziemy drogą lądową.

- Neen - rzekł Piotr. - Ja już nigdy nie udam się na mosze, Bob.

- A któż by był taki głupi, by tłuc się po słonych bałwanach morskich, moknąć i ciorać się, gdy możemy zaznać przygód w kniei, polować na jelenie, na niedźwiedzie i lamparty, a nawet może walczyć z Indianami, jeżeli szczęście dopisze? - zrzędził Darby.

- Przypominam sobie, że ktoś z obecnych tu chciał koniecznie dostać się na morze i rozbijać głowy ludziom! - szdyłem.

- Prawdać to, bo ja wówczas mniej wiedziałem niż teraz! - odparł Darby nie stropiony. - Ci korsarze mogliby nawet świętego wytrącić z równowagi. Z wyjątkiem Flinta nie było wśród nich nikogo, kto by potrafił oprzeć się takim jak my...

- Może Silver...:

- To człek łebski, ten Długi John, ale będzie on miał jeszcze kłopoty, sami zobaczycie - upierał się Darby. - Może nawet teraz znajduje się w opałach.

- Nie dbam, jakie go tam czekają opały - odrzekłem. - Nie pragnę już nigdy w życiu zobaczyć ani jego, ani kogokolwiek z jego załogi.

Moira, siedząca koło mnie na ławie gospody, rzuciła mi się z lekkim dreszczem w objęcia.

- Nigdy, przenigdy! - zawołała. - A jeżeli i ty się na to zgodzisz, Bob, to nigdy już nie udamy się na morze. Lubię czuć ziemię pod nogami i słyszeć szum drzew. I na lądzie pewno bywają źli ludzie, lecz nigdy tak wielośćmi jak ci najokrutniejsi z żeglarzy.

Do końca życia, ilekroć tylko posłyszę łomot morskich wałów i plusk odpływu morskiego, będę myślała o ojcu, spoczywającym tak daleko i samotnie pod granią Lunety, i o panu Murrayu - Boże, bądź miłościw grzesznej jego duszy! - i o wielu innych. Wszystkich pochłonęło morze!

Ale Piotr potrząsnął poważnie głową.

- Neen - odezwał się. - Mosze nie było przyczyną fszystkiego. Oni zginęli przez chciwość, która toczyła ich serca. Nie lubię mosza, ale mosze jest takie samo jak i ziemia.

Siedzieliśmy przez czas pewien w milczeniu, przyglądając się bujnemu życiu wokoło: Murzynom w jasnych zawojach na głowie, plantatorom przejeżdżającym na mułach, sławetnemu mieszczaństwu w szarej odzieży.

- A ty, Beniaminie Gunnie? - zapytałem kuchcika, który siedział po drugiej stronie stołu. - Czy pójdiesz z nami na północ? Mój ojciec...

On skoczył, wijąc się i wykręcając w niepomiernym zakłopotaniu, ba, nawet z niejaką obawą w twarzy.

- Dyc sam pan mi obiecywał, że nie będę nosił liberii - zachnął się. - A przedtem jeszcze waszmość mi powiadałeś, że wystarasz się dla mnie o stanowisko prawdziwego marynarza, takiego smolucha, co to zwija liny i kręci sterem. Tak obiecywałeś, panie Ormerod, a ja panu wierzyłem... Choć jest wielu takich, którym za nic jest okpić biednego Bena.

- Ja cię nie oszukam, Benie - odrzekłem. - Jeżeli chcesz iść na morze, nie będę się sprzeciwiał.

I nazajutrz wystarałem się dlań o miejsce na pakietbocie (statek pocztowy) barbadoskim, ostrzegając go, by nie rozgłaszał dziejów przeszłego swego życia, o ile nie ma ochoty, jako dawny korsarz, dostać się w ręce urzędników Admiralicji. Był on ostatnim węzłem, jaki łączył nas z niecną kompanią podlegającą niegdyś wspólnym rządóm mego dziadka i Johna Flinta. Co się stało z nim, jako też z niedobitkami załogi Flinta na "Koniu Morskim", nie wiem do dnia dzisiejszego; że jednak nigdy już nie opowiadano mi o "Koniu Morskim", wnioskuję, że ten okręt albo się rozbił, albo też został porzucony przez swą załogę. Wiem tylko, że opuścił Savannah w ciągu dwudziestu czterech godzin od naszego wylądowania tamże - tyle tylko dowiedziałem się z listów jednego z tamecznych kupców.

Wróciłże on na Rendez-vous? Czy korsarze zdołali przeryć całą

powierzchnię wyspy, by odkryć skarb zakopany przez Flinta? Czy też może wyprawili się po złoto ukryte przez nas na Skrzyni Umrzyka? I jedno, i drugie - beznadziejne to przedsięwzięcia! Całkiem to samo, co szukanie jakiegoś tam ziarnka zboża w kopiałym sąsiadku.

A cóż się stało z Billem Bonesem? Czy zmylił pogoń swych opuszczonych kamratów i szukał sposobności, by na własną rękę wykopać skarb Flinta? Przysięgłbym, że było to jego zamiarem od samego początku; tak samo dałbym głowę, że gdyby Silverowi udało się wpierw dostać w swe ręce mapę Flinta, tak pokierowałby sprawą, że tylko on i garstka jego najbliższych przyjaciół byłaby dopuszczona do udziału w łupie. Ale może Bones nie zdołał się wymknąć? Może Silver natrafił na jego ślad i ścigał go tą osobliwą zemstą, której dawano u nich nazwę "czarnej plamy"? Często zachodziłem w głowę, co to mogło być takiego (Odpowiedź na te wszystkie pytania znajdzie czytelnik w książce R. L. Stevensona Wyspa Skarbów)

No, niechże to im wyjdzie na zdrowie, jeżeli potrafią odnaleźć ów skarb lub jego część. Mówiłem nieraz z Moirą o tym, czy zawiadomić sojuszników jej ojca, jakobitów, o skarbie zakopanym na Skrzyni Umrzyka, a ona zrazu skłaniała się do tej myśli, lecz później, gdy już zamieszkaliśmy w Nowym Jorku, odmieniła zdanie i przysięgła sobie nie podejmować żadnego kroku, który by zakłócał spokój.

- Nie ma tu co myśleć o sympatiach hanowerskich lub jakobickich - powiedziała. - Wszyscy jesteśmy Anglikami.

Ale zapędziłem się zbyt daleko w opowiadaniu. Cofnijmy się wstecz i powróćmy do gospody w Charlestonie. Odprawiliśmy Beniamina Gunna i ułożyliśmy sobie, że będziemy się posuwać na północ wzdłuż wybrzeża morskiego. Jedyne, na co dybaliśmy, było znaleźć jakiego księdza, by dał mi ślub z Moirą; zdawało się, że to nie może stać się prędzej aż w Baltimore. Jednak szczęście nie opuszczało nas do ostatka, gdyż w dniu, w którym mieliśmy wyruszyć, zerwała się burza, tak iż zmuszeni byliśmy odłożyć naszą podróż; tego samego zaś dnia po południu zawinął do przystani okręt francuski, chroniący się przed zawieruchą. Wśród podróżnych tego statku znajdował się pewien franciszkanin i chętnie się zgodził dać nam ślub.

Ostatecznie przybyliśmy do Nowego Jorku dnia 24 kwietnia 1755 roku, o godzinie czwartej po południu. Ojciec właśnie znajdował się w kantorze przy ulicy Perłowej i podszedł ku drzwiom na odgłos kopyt końskich tętniących po bruku. Zachodzące słońce raziło go w oczy, toteż przez ten czas, gdy zeskoczyłem z konia i pomagałem Moirze zsiąść z siodła, ojczysko moje stało oszołomione, bojąc się, czy to nie mamy go jaskrawy blask.

- Czy to naprawdę ty, Robercie? - zawołał. - Ale chyba tak... bo oto Piotr i Darby!

- Tak, ojcie! - odpowiedziałem. - I jeszcze kogoś w dom ci przywiozłem.

On, uśmiechając się z rozrzewnieniem, rozwarł ramiona.

- Jest tu miejsce dla was obojga, mój chłopcze. Widzę, żeś wstąpił w moje ślady i ze swej ryzykownej wyprawy przywiozłeś sobie żonę.

- Jest to szlachcianka irlandzka, którą...

- Kimkolwiek jest, sercem ją całym witam. Ale chodźcie no, chodźcie oboje! Zdrów... i cały... i z żoną! Robercie, ledwo temu mogę uwierzyć! Po całym roku rozłąki! Piotrze, wiedziałem, że przy tobie nie stanie mu się nic złego. Och, Darby, masz teraz więcej oleju w tej czerwonej łepiecie aniżeli wówczas, gdyś nas porzucił; a jeżeli przysłużyłeś się im, to

przebaczam ci wszystko. Ależ macie dużo do opowiadania!

Tej nocy, gdy leżałem w pokoju na piętrze, który zajmowałem od dzieciństwa, zostałem obudzony dalekim szczękiem i gwarem, który stawał się coraz głośniejszy i wyraźniejszy. Gdy doszedł do rogu ulicy, naraz coś ciężko zadźwięczało i jakiś pompatyczny głos oznajmił:

- Dwunasta godzina... noc piękna i jasna... a pan Robert Ormerod wrócił do domu z niewoli u korsarzy... Boże, miej w opiece swojej króla i sławetnych rajców Nowego Jorku!

Był to stróż nocny, Diggory. Słyszając jego głos przypomniałem sobie, jak to Silver wystrychnął go na dudka w ową noc, gdy zostałem porwany, i zacząłem śmiać się na całe gardło, aż Moira poruszyła się przez sen i odezwała się rozżalonym głosem:

- Źle to, Robercie, że nie chcesz spać w pierwszą noc, którą spędzamy we własnym domu!